



**FIONA GIBSON**

**Pierwsze kroki**

*Tytuł oryginału BABYFACE*



Coś wdarło się do naszej sypialni. Śmignęło obok mojego ucha i wylądowało na policzku Jonathana. Ból zakrada się i narasta, ściskając mój brzuch.

- Zaczęło się - mówię mu.

Jonathan wzdryga się i mucha odlatuje z głośnym bzyczeniem.

- Jesteś pewna?

- Tak mi się wydaje. Przechodzi mi, a potem... - Szukam czegoś, żeby się złapać, i natrafiam na jego dłoń.

- Zadzwoń do szpitala. Oddychaj.

Jonathan ustawił składane łóżeczko w nogach naszego łóżka. Pod sufitem wisi karuzela z Kubusiem Puchatkiem, a w łóżeczku siedzą pluszowe zabawki - pingwin, miś i wydra. W mojej szpitalnej torbie znalazły się krople Bach Rescue Remedy, żebym mogła się łatwiej odprężyć, i nocne koszule zapinane z przodu na guziki, żeby ułatwić dostęp do piersi.

Poród to nie jest wcale jakaś tam wielka sprawa. Kobiety ciągle rodzą. W czasie, jaki jest potrzebny do wyciśnięcia torebki herbaty, żeby nie ciekło z niej po drodze do kosza, na świecie pojawia się pięcioro maleńkich ludzi.

Jonathan wraca do sypialni. Wyciąga z górnej szuflady pozwijane skarpety, a z niższej wyjmuję swój ulubiony niebieski sweter, który sam pierze ręcznie, bo po moim praniu by się sfilcował.

- Włóż coś ciepłego - instruuje mnie, opatulając wełnianym swetrem, który został tak rozciągnięty przez mój brzuch, że wygląda, jakby był w czterdziestym pierwszym tygodniu ciąży, nawet jeśli nie mam go akurat riasobie.

Jonathan wyprowadza mnie przez frontowe drzwi, delikatnie trzymając dłoń na moich plecach. Policzki ma pokryte czerwonymi plamami. Jego cera łatwo się przebarwia, zwłaszcza w stresie. Na ścieżce czai się listonosz.

- Będzie rodzic - mówi Jonathan, jakby musiał cokolwiek wyjaśniać. Listonosz ma okrągłą twarz jak kartofel i nieprzemakalną, szeleszczącą kurtkę. Usiłuje zejść nam z drogi i cofa się tyłem, objijając o żywopłot. Pewnie boi się, że zaraz pojawi się główka i będzie zobligowany pomóc.

Jonathan sadza mnie na tylnym siedzeniu samochodu. Wcześniej ciągle wybiegałam myślami do tego momentu, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądała jazda do szpitala: slalom pomiędzy wlokącymi się pojazdami i gwałtowne hamowanie przy prostokacie zmalretowanej trawy, gdzie energicznie ziejąc, wyrzucę z siebie dziecko na kraciasty pled Jonathana. Od fryzjera wybiegną w połowie strzyżenia mężczyźni, wiwatując jak kibice zwycięskiego boksera, a ja pomyślę sobie, że to nie takie złe być matką - człowiek jest w centrum zainteresowania. Jonathan owinie naszą trójkę pledem i przyjedzie fotograf z „Hackney Gazette”.

- Nie zrobiłem nic takiego - powie Jonathan. - Nina doskonale poradziła sobie sama. Całkowicie naturalny poród.

Oczywiście Jonathan będzie wiedział, co robić. Któregoś dnia w czasie przerwy na lunch kupił poradnik *Opieka nad niemowlęciem: twój niezbędny przewodnik przez 12 pierwszych miesięcy*, autorstwa doktor Hilary Dent, która na zdjęciu ma lekką trwałą. Każdego wieczoru, kiedy wylegiwałam się w kąpielni przesyconej słodkim zapachem olejku migdałowego, czytałam jeden rozdział.

- Musimy się podszkolić - mówił Jonathan, zadowolony, że podchodzę do tego wszystkiego poważnie. Przestudiowałam pastelowe rysunki niemowlęcia przyssanego do piersi, niemowlęcia podczas mycia włosów (*Ważne jest, żeby usunąć miejski pył i zaschłe mleko, choć istnieją małe szanse, żeby to była ulubiona rozrywka twojego dziecka*). Mimo to nadal nic nie wiem. Nigdy nie zajmowałam się nikim młodszym od siebie. Raz, kiedy nasza koleżanka graficzka przyszła do redakcji ze swoim nowym dzieckiem, żeby się pochwalić, robiłam wszystko, żeby mieć pełne ręce roboty z telefonami, a na monitorze migotał pilny reportaż do zrobienia. Wendy pojawiła się przy moim biurku z umęczonym wzrokiem i pełnym nadziei uśmiechem.

- Chciałabyś potrzymać? - zapytała. Spojrzałam na nią, udając zaskoczenie.

- Bardzo bym chciała, ale jestem przeziębiona. Mogłabym go zarazić. - Udało mi się powiedzieć to ze ściśniętym gardłem i zabrzmiało, jakbym naprawdę była chora.

- To dziewczynka - stwierdziła Wendy. Uśmiech zastygł jej na ustach i oddaliła się szukać ludzi, którzy potrafili zachwycać się dziećmi. Wiedziała, że kłamię. Ale ta trzęsąca się szyja noworodka... nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Człowiek ma wrażenie, że jak będzie nieodpowiednio trzymać takiego delikatnego malucha, może odpaść mu główka.

A teraz, kiedy parkujemy w miejscu przeznaczonym tylko dla pracowników szpitala, sama nie mogę dojść do ładu ze swoją szyją: ja, osoba niezależna, cała roztrzęsiona. Łóżeczko dla dziecka już stoi, aleja nie jestem jeszcze gotowa. Przydałby się kolejny miesiąc - jak dodatkowy czas w meczu piłki nożnej - i może do tego dojrzeję. Kiedy dziecko na chwilę przestaje się rozpychać w moim brzuchu, udaję, że to wszystko wcale nie dzieje się naprawdę.

- Grzeczna dziewczynka, grzeczna dziewczynka - mówi Jonathan, podając mi maskę do oddychania. Jonathan, który zawsze robi to, co należy. Jonathan, który przeprosza za pękniętą prezerwatywę. Jego jasnorude włosy lepią się do spoconego czoła. Zdjął sweter z owczej wełny. Na jego szarej koszulce pod pachami porobiły się ciemne plamy, a z przodu widnieje jakiś tajemniczy brązowy kleks. Teraz już nie walczę ze skurczami, tylko odczuwam ogromne parcie w dół, którego nikt nie jest w stanie powstrzymać, niezależnie od tego, jak głośno się wydzieram, że zmieniłam zdanie i chcę wrócić do domu, do mojego mieszkania, gdzie byłam sama, jadłam smażone potrawy i budziłam się w wannie, kiedy już wystygła woda.

W końcu czuję je; dziecko klinuje się przez moment, a w następnej chwili jest już na zewnątrz i wrzeszczy.

- Jest - mówi Jonathan. - Mamy dziecko. To chłopiec. Górną połową ciała leży na mnie, ciężki i wilgotny. Potem jego miejsce zajmuje maleństwo,

które kładami na brzuchu. Ma chudziutkie kończyny i jest całe pomarszczone jak bekon.

- Spójrz na niego, Nina - mówi Jonathan. Ale ja wciąż wpatruję się w beżowe płytki na suficie, upstrzone czarnymi plamkami, które wyglądają jak mrówki. Kiedy wreszcie spoglądam na małego, ten patrzy na mnie wilgotnymi oczami. Pomiedzy moimi nogami stoi kobieta o sztywnych żółtych włosach.

I słyszę głos, ostry i metaliczny, przebijający się przez szpitalny hałas:

- No dobra, Nina, zobacz, w co się wpakowałaś tym razem.

2

**Trochę wcześniej**

Nie planowałam dziecka. Nie planowałam nawet, że z kimś zamieszkam. Chciałam tylko poznać faceta, który lubi dobrą zabawę.

Zacząłam od nowa: kobieta, trzydzieści lat, wielbicielka muzyki klasycznej.

To ostatnie to nie była prawda. Miałam tylko jedną płytę z muzyką klasyczną *Słynne duety operowe*, którą kupiłam z zamiarem otwarcia na oścież okna mojego salonu i wypełnienia ulicy pokrzykiwaniem wielkich facetów. Zamierzałam puszczać to tak głośno, żeby było słychać pomimo autobusów rozgrzewających się i pierdzących oparami z rury wydechowej za moimi oknami. Facet z azjatyckiego spożywczego wybiegłby ze swojego sklepu i patrzył w górę, zastanawiając się, co to za dramatyczna i pełna pasji istota może mieszkać na drugim piętrze. Potem przypomniałam sobie, że nie znoszę opery. Nigdy nawet nie zadałam sobie trudu, żeby zdjąć z płyty folię. Z całą pewnością nie miałam ochoty spotykać się z facetem, który by mnie

zmuszał do wysłuchiwania przez trzy godziny zawodzenia skrzypiec i późniejszej dyskusji na ten temat przy kolacji.

Napisałam: „Atrakcyjna, pełna życia kobieta”, świadoma tego, że reklamuję siebie, jakbym była uroczym szczeniakiem spaniela, „szuka czułego, lubiącego przygody faceta na wspólne wyjścia do restauracji, może coś więcej”. Przepisałam to starannie do formularza, świadoma, że robię to tylko dla zabawy. Zadzwoiłam do Elizy, by jej powiedzieć, że wysłałam ogłoszenie; nie mogłam wydobyć tego cholerstwa z powrotem ze skrzynki, choć z wielką determinacją usiłowałam wepchnąć rękę do środka.

- Nie wstydz się - powiedziała. - Jedna moja podwładna też dała ogłoszenie, a była naprawdę atrakcyjna. - Eliza właśnie jadła swój lunch. Nie była odpowiednią osobą do dzwonienia w takiej sprawie. Nasza przyjaźń przypominała jeden z tych koktajli składających się z pięciu różnych alkoholi plus sok brzoskwiniowy: uwielbiasz je i chcesz jeszcze i jeszcze, nawet jeśli potem ci niedobrze. Czasami nawet bardzo.

- Ja nie jestem atrakcyjna? - zapytałam.

- Założę się, że mnóstwo facetów mana ciebie ochotę. - Przełknęła głośno.

- W takim razie po co to robię?

- Coraz trudniej poznać faceta w normalny sposób. Zastanawiałam się, skąd dorwać sprzęt do cięcia metalu, żeby dostać się do tej skrzynki.

Spodziewałam się, że na moje popekane brązowe linoleum w holu spłynę stos odpowiedzi od superinteligentnych i oszałamiająco atrakcyjnych facetów, którym mój ostry nos wyda się interesujący. Perspektywa otrzymywania listów, żeby sortować je na trzy kupki (tak, nie, może), sprawiała, że tradycyjne ogłoszenie było bardziej pociągające od poszukiwań przez Internet.

Listy przyszły razem, zapakowane w ciekawą brązową kopertę. Było ich czterech: Laszlo, zakolczykowany na całym ciele muzyk; Leo, który z profilu zerkał nieśmiało w dół automatu do zdjęć; Jerry o białych, stojących pionowo włosach, rozłożony nago na brązowej welurowej sofie; i Jonathan o nieokreślonej twarzy, uśmiechający się z nadzieją, jakby czekał, aż otwo-



rzysz prezent od niego. Życzliwe, niegroźne oczy (może niebieskie, choć bardziej prawdopodobne, że w odcieniu mlecznej szarości). Facet, po którym można się spodziewać, że przytrzyma ci otwarte drzwi, nie pozwalając, by trzepnęły cię prosto w twarz. Napisał: „Zapewne szukasz kogoś bardziej rozrywkowego, kto częściej gdzieś wychodzi. Ale pozwól, że Ci trochę o sobie opowiem”. Starannym, pochylonym w prawo pismem wyszczególnił swoje zainteresowania: gotowanie, ogród, wystrój wnętrz. Przeanalizowałam jego charakter pisma, doszukując się czegoś, co by wskazywało na mroczne, sekretne życie: zamiłowanie do łatwopalnej damskiej bielizny, jakiś wyrok sądowy. Nikt nie jest aż tak zwyczajny, kiedy już odkryjesz jedną czy dwie warstwy. Ale choć długo się wpatrywałam w fotografię, uśmiechał się zachęcająco jak prezenter programu o ogrodnictwie, kiedy to ekipa wdziera się na twoją własność i ryje w twoich klombach, a wszyscy mają łagodny, ambiwalentny wyraz twarzy, by cię przekonać, że robią dobrze.

- Siedzi w komputerach - oznajmiłam Elizie w kawiarni urządzonej w stylu obscurnego salonu. Ściągnęła sandały i podwinęła stopy pod tyłek spoczywający na popękanej skórzanej kanapie. Miała otarte jedno kolano, z którego chyba coś się sączyło. Eliza ciągle się kaleczy i obija, zapewne dlatego że zapomina, jaka jest długa. Jej stopy (nosi dziewiątkę) wiecznie o coś zaczepiają.

Na zmaltretowanych fotelach rozłożyły się jakieś gładkolice panienki. Przy stoliku z laminatu chłopiec i dziewczyna ledwie po podstawówce całowali się soczyście nad stosem pokruszonych herbatników. Eliza trzymała zdjęcie Jonathana dwoma palcami.

- Denerwuję się na myśl o spotkaniu z nieznanym - powiedziałam. - Może być zbrodniarzem albo szaleńcem.

Eliza przetarła swoje otarte kolano papierową serwetką.

- To zwyczajny facet. Normalny.

- Ten zwyczajny wygląd to pewnie kamuflaż. Zresztą zwyczajni ludzie robią przerażające rzeczy. Szaleńcy zawsze wyglądają normalnie.

Roześmiała się i schrupała kostkę brązowego cukru.

- Spotkaj się z nim w publicznym miejscu. W pubie, gdzie kręci się mnóstwo ludzi, żebyś miała świadków. - Puknęła palcem jego zdjęcie, zostawiając tłusty ślad. - Jest wiarygodny. Ja bym go wypróbowała - dodała, jakby to był ford fiesta.

Ale nie powiedziałam jej jeszcze wszystkiego.

- On czyta te snobistyczne magazyny o wystroju wnętrz, gdzie nikt nie ma odtwarzacza do kompaktów czy telewizora. Jedynie prosty biały wazon na gzymsie kominka.

- Spotkaj się z nim. Nie masz nic do stracenia.

- Nie uważasz, że jest za bardzo zwyczajny?

Zmrużyła oczy, usiłując całkowicie skoncentrować się na Jonathanie.

- Nie - odparła. - To dobrze, że jest zwyczajny. Ćwiczę sobie rozmowę telefoniczną:

„Cześć, Jonathan? Odpisałeś na moje ogłoszenie. To ja jestem kobietą, która nie może znaleźć faceta w normalny sposób. Zwykle nie bawię się w takie rzeczy. Nie mam takiego zwyczaju. Ale często podróżuję i nie mam czasu na poznawanie nowych ludzi. Kojarzysz te rozrzucone w poczekalni u lekarza magazyny z oślimi uszami, pełne szokujących historii z życia wziętych? No więc, ja to piszę. Robię wywiady z ludźmi o ufnych oczach, którzy karmią mnie kanapkami z ozorkiem i swoimi historiami. To wiąże się z ciągłymi podróżami: Sheffield, Woking, Walton-on-the-Naze. Tak więc sam widzisz, że mam dużo zajęć, odnoszę sukcesy i jestem naprawdę szczęśliwa. Może chciałbyś się spotkać?”

Odebrał telefon, podając swój numer, jakby był w pracy.

- Jonathan? Cześć! Tu Nina. - Nina o samotnym sercu, myślę. Nina desperatka. - Z ogłoszenia - wyjaśniam, okropnie mlaskając językiem. Mam za dużo śliny. Tyle mi się jej nasączyło do ust, jakby moje ciało zostało przepuszczone przez wyżymaczkę.

- O, jak miło, że się odezwałaś - powiedział spokojnie. - Wyobrażam sobie, że dostałaś mnóstwo odpowiedzi. Nie myślałem, że...

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam - wyrzuciłam z siebie.

- Ja też nie. Więc co sprawiło, że...



Powiedziałam, że dużo wyjeżdżam i pracuję głównie z kobietami. To była prawda. Dodałam, że chcę powiększyć moje grono znajomych, co nie było prawdą.

- Twoje ogłoszenie wydało mi się przyjazne - rzekł.

No właśnie, wiedziałam, że zostanę odebrana jak przyjazne szczenię. Zastanawiałam się, czy mu wyznać, że jestem nauczona, by nie brudzić w domu i tylko czasem obwąchuję obcych w kroku, ale przypomniałam sobie, że go nie znam i nie czas na takie żarty. Zamiast tego powiedziałam:

- Trudno sprzedać siebie w dwudziestu słowach. Zastanawiasz się, czy powinieneś opisać swój wygląd zewnętrzny: wzrost, kolor włosów, czy po prostu napisać, że dobrze wyglądasz. - Pożałowałam tych słów. Teraz zapyta, jak wyglądam. (Natychmiast w mojej głowie uformowały się podstawowe informacje: metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, zapewne z powodu tego, że moja matka w czasie ciąży paliła papierosy; błękitne oczy z łobuzerskimi, bursztynowymi plamkami. Czy to wystarczy? Czy może już na tym wczesnym etapie wymagane są wymiary: obwód biustu, pas, biodra?)

Roześmiał się uprzejmie.

- Nie myślałem o tym jak o sprzedawaniu siebie. Powiedziałbym, że to wymaga odwagi. Chciałbym się z tobą spotkać, Nino. Może wpadłabyś na kolację?

Zobaczyłam siebie, jak siedzę zakneblowana błyszczącą taśmą, upchnięta w szafce pod zlewem, pomiędzy ścierkami.

- Wolałabym się raczej spotkać w jakimś miejscu publicznym, jeśli nie masz nic przeciwko.

- W porządku. Wybierz coś. Ja nie wychodzę zbyt często. Wyobraziłam sobie aż zbyt normalnego faceta, który siedzi w domu za zaciągniętymi zasłonami.

- Znasz Gina na Old Compton? - zapytałam. Gino był najnowszym wcieleniem nijakiej włoskiej knajpy, która zmieniała właścicieli kilka razy do roku, zachowując jednak ceraty w księżycy i gwiazdki oraz betonową fontannę z ciurkającą wodą. Nikt tam nie chodził. A przynajmniej nikt ważny.

Powiedział, że zna, ale mogłam się założyć, że ściemnia.

- Jak się rozpoznamy? - zapytałam.
- No cóż, wiesz, jak wyglądam.
- Czyli ja namierzę ciebie, a ty będziesz wiedział, że ja to ja, kiedy do ciebie podejde.
- Będę czekać - powiedział.

Łatwo go było znaleźć. Pomijając kelnera, który wkładał łososiowe goździki do kryształowego wazonu, Jonathan był tam jedyną formą życia. Zaplanowałam sobie wcześniej wejście: pewny krok, beztroski uśmiech (żadnego całowania: zbyt duże ryzyko, że będzie niezręcznie i stukniemy się głowami).

Kiedy mnie zobaczył, podniósł się i uśmiechnął łagodnie, jakby witał się z kuzynką. Uśmiech z fotografii. Jakby mówił: „Spokojnie. Jestem normalny. Nie ma we mnie nic, czego mogłabyś się bać. Nie mam żadnych niewytłumaczalnych blizn i nie będę cię dotykać pod stolikiem”.

Choć nie składaliśmy zamówienia na grillowane warzywa, wjechały w formie szaszłyków na stół, zanim jeszcze zdążyłam zdjąć kurtkę. Kelner odszedł, żeby zająć się zupełnie niepotrzebnymi czynnościami: przestawiał pojemniki na sól i pieprz przy pustych stolikach i przecierał moką szmatą czerwone oparcia krzeseł. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, jakby się spodziewał, że w każdej chwili może wpaść komornik, żeby zabrać zatłuszczoną maszynę do cappuccino. O czasu do czasu spoglądał pełnym nadziei wzrokiem na przechodniów, którzy zatrzymywali się, żeby przeczytać laminowane menu w oknie. Zerkali przez szybę, między zielonymi literami układającymi się w napis „Trattoria Gina” i widzieli tylko jedną parę-nie, żadną parę: kuzynów, którzy byli ze sobą zżyci w dzieciństwie i nadal lubią się na tyle, żeby spotkać się raz na jakiś czas w tej bliskiej zabicia dechami restauracji, ale tylko w poniedziałki, żaden cenny weekendowy wieczór.

Zamówiłam pstrąga, bo wydało mi się, że to będzie dość lekkie i uniwersalne danie. Nie byłam w ogóle głodna. Jonathan zastanawiał się nad pstrągiem, ale uprzejmie zamówił taplającą się w błotnistym sosie pierś kurczaka, żebyśmy nie byli przesadnie dopasowani.

Mój pstrąg zjawił się razem z nieporęczną rosyjską sałatką, złożoną ze zbyt wielu składników. Plastry śliwki i czerwonej pomarańczy leżały niepokojąco chwiejnie na stosie zielonych cebulek. Całą tę hałdę przykrywał niepokrojony buraczek z puszki.

Omówiliśmy, które dzielnice Londynu lubimy, a których nie. Czułam się równie nijako i mdło jak mój pstrąg. Kiedy powiedziałam, gdzie mieszkam, Jonathan odważnie wziął kawałek kurczaka do ust i rzekł:

- Ciekawa okolica.

- Dobrze się zapowiada - skłamałam.

Jonathan mądrze zrobił, kupując mieszkanie we wschodnim Londynie, niedaleko mnie. W pobliżu miał dwa bary ze zdrową żywnością, klub i fantastyczne tajskie jedzenie na wynos. U mnie był tylko sklep spożywczy, biuro taksówek na telefon i tajemniczy magazyn zastawiony zepsutymi maszynami do szycia.

Jonathan używał takich sformułowań, jak „krok do przodu” czy „długoterminowa inwestycja”. Nie przyznałam mu się, że moje mieszkanie jest wynajęte, a na górze mieszka dziwny facet z Dundee, który ma hałaśliwego owczarka alzackiego; pies buszował samopas pomiędzy porzuconymi w holu ulotkami reklamowymi. Lepka masa sernika Jonathana opadła pod żółtą skorupką. Nie mogłabym przełknąć deseru. Mój żołądek skurczył się do wielkości bobu. Ubywało mi energii.

Ktoś dociekliwy przyglądał się nam przez O w wyrazie «Trattoria». Zobaczył sernik i oddalił się pospiesznie do nowej knajpy, która z miejsca zyskała popularność; znajdowała się dwa domy dalej, gdzie proponowano białe miski makaronu modelkom i młodym projektantom mody przy hałaśliwych wspólnych stołach. Kiedy wychodziliśmy, pomiędzy nogami czerwonego krzesła przemknęła mysz i schowała się za wyszczerbionym złotym kaloryferem. Kelner obdarował mnie wyjętym z wazonu goździkiem z oślizgłą łodygą.

- Miłego wieczoru - powiedział, jakby ta kolacja była tylko wstępem do dalszych ekscytujących przeżyć.

Staliśmy na peronie metra, zastanawiając się, co zrobić z rękoma i ustami. W oddali rozległo się dudnienie zapowiadające przyjazd naszego pociągu.

- Przepraszam za tę restaurację - powiedziałam. Uśmiechnął się wyczekująco. Spodobał mi się ten uśmiech. - Może następnym razem moglibyśmy... - Stało się: powiedziałam to.

Spojrzał zaskoczony.

- Następnym razem mógłbym coś ugotować. Jeśli nie masz nic przeciwko, żeby do mnie wpaść.

Z pociągu wytoczył się jakiś facet, który niezwykle rozpromienił się na widok Jonathana.

- Cześć, stary! - krzyknął. Miał przekrzywiony krawat i przekrwione policzki. - Kim jest twoja przyjaciółka?

- To jest Billy - przedstawił go Jonathan przez zaciśnięte zęby. - Mój kumpel ze szkoły. Billy, właśnie...

- Kim jesteś?! - Billy zakrzyknął mi w twarz.

- Dopiero co się poznaliśmy - powiedział Jonathan.

- A może wszyscy pójdziemy na piwo? Jest za wcześnie, żeby wracać do domu. Chodźcie, ja stawiam.

Billy pogrzebał w kieszeni i rozległ się brzęk monet. Jonathan przygryzł wargę.

- Zadzwoń do ciebie, stary.

- Zawsze tak mówi. - Billy roześmiał się i chwycił przebiegł przez peron, ciskając garść miedziaków w kierunku otwartego futerału na gitarę jakiegoś grajka.

- Przepraszam - rzekł Jonathan.

- Ale za co? On tylko...

Pocałunek pojawił się zniemacka. To on zaczął, ujmując moją twarz w dłonie. Potem doszły usta. Upuściłam goździk na peron. Wciąż się całowaliśmy, kiedy pociąg ze stukotem bez nas opuścił stację.

Jonathan zaczął dla mnie gotować. Uważał, że nie odżywiam się prawidłowo. Zbyt dużo cholesterolu obrastającego moje tętnice. Wyglądał na

szczęśliwego, kręcąc się po swojej wymuszkanej kuchni, mieszając różne rzeczy. Był u siebie. Wszystko pod ręką. Mówił, że to lepsze od wychodzenia do knajpy.

Nigdy nie spotykałam się z facetem, który by wiedział, co zrobić z kaparami. A przynajmniej zakładałam, że się spotykamy; nie mogłam przecież powiedzieć, że ze sobą chodzimy, skoro spotykaliśmy się tylko u niego. Ten jeden raz, kiedy go namówiłam, żeby przyszedł do mnie, leżeliśmy na mojej wytartej sofie, gdzie Jonathan zrobił mi masaż pleców, a nad naszymi głowami czekał owczarek faceta z Dundee.

Jonathan był szczęśliwszy u siebie, gdzie wszystko lśniło i pachniało cytryną. Obserwowałam go w akcji z żółtymi gąbkami. Sprzątał w niebieskich roboczych ciuchach. Opowiadał mi o wnętrznościach komputerów, co dodało mi pary. Jego praca wymagała ogromnej precyzji. Programiści są albo w porządku, albo nie. Nie ma miejsca na żadne odcienie szarości.

Kiedy szykował kolację, obserwowałam składniki w szklanych miskach: posiekane zioła, przepołowiona, gotowa do wyciśnięcia limonka. Przygotowane wcześniej składniki widywałam dotychczas tylko w telewizyjnych programach kulinarnych. Kiedy ja robiłam sobie jedzenie, przesuważąc samotny obiekt na patelni, udawałam że jestem kimś z takiego programu.

- A teraz rozbijamy jajko i wlewamy je na patelnię... - mówiłam. - Poproszę czarny pieprz... — Moja prawa ręka, mój asystent, podawał mi młynek do pieprzu, a ja pytałam: - Czyż to nie wygląda smakowicie? Może powinniśmy dać spróbować naszej publiczności? - Wrzucałam jajko w rozerwaną bułkę i wgryzałam się w nią, rozlewając żółtko. - Mmm - mruczałam. - Przepyszne.

Jonathan chyba pojawił się w samą porę.

- Nie możesz być w ciąży po jednym małym wypadku - powiedział.

Zjawił się w moim biurze przy Leicester Square, ściskając nerwowo aktówkę. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy do najbliższego pubu, w którym nigdy nie piłam. Tam nadal podawano jedzenie w koszyczkach. Na barze leżało plastikowe opakowanie ze śmietankami do kawy.

- Zrobiłam test - powiedziałam.

Jonathan dostał białe wino w zatłuszczonym kieliszku. Ja poprosiłam o wodę.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Nie jest to coś, z czego bym żartowała.

Siedzieliśmy w rogu, otoczeni z obu stron przez matowe szyby. Jonathan wrzucił dwie zostawione przez poprzednich gości, zwinięte jak ślimaki frytki do popielniczki.

- I co myślisz? - zapytałam bezradnie.

- A jak ci się wydaje? Cieszę się. - Sięgnął przez stolik i dzielnie ścisnął moją dłoń.

- To się stało zbyt wcześnie. Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie. Daleko nam do niego.

- Może z testerem było coś nie tak?

- Nie wydaje mi się, żeby te testy kłamały. - Wyciągnęłam z kieszeni tester, żeby mu pokazać. Owinęłam go papierem toaletowym z łazienki w moim biurze, teraz papier powiewał nad bordowym dywanem jak miniaturowy żagiel.

- Co chcesz zrobić?

- Urodzić, niby co innego? - Nie byłam w stanie wymyślić żadnego powodu dla którego miałabym go nie urodzić.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Niedobrze mi. Wczoraj robiłam wywiad z jedną kobietą, którą mąż wyrzucił z ich wspólnego łóżka, żeby mógł z nim spać jego pies. Olbrzymi chart afgański, śmierdzący mokrym futrem. I nawet kiedy ta kobieta wygoniła psa z kuchni, ciągle czułam ten zapach; przylgnął do mojego płaszcza.

Włosy opadły mi beznadziejnie na czoło. Jonathan odgarnął je i powiedział:

- Biedna Nina. Będzie dobrze, obiecuję.

Osoba z zewnątrz mogłaby pomyśleć, że jesteśmy normalną parą.



## Pierwszy spacer

Głęboki dekolt Marthy zawisł niebezpiecznie blisko moich oczu. Naszyjnik z drewnianych paciorków podskakuje delikatnie pomiędzy jej piegowatymi piersiami.

— Na początku wszyscy mówią, że to bolesne - oświadcza moja konsultantka od karmienia piersią - ale sutek w końcu hartuje się i powstaje twar-  
da kuleczka. Zanim się obejrzyysz, będziesz wyciągać pierś w kawiarniach,  
pociągach, nawet w teatrze, zupełnie o tym nie myśląc, moja droga.

Martha chce mnie przekonać, że czterodniowe niemowlę może wyżywić się wyłącznie przez jeden sękaty sutek. Drugi (bo mam dwa) uschnął i wygląda jak nędzna rodzynka, więc tymczasowo jest zwolniony z obowiązków. W rezultacie pierś, do której mały jest uczepony, rozrosła się jak bulwa i boję się, że może wybuchnąć, ochlapując słodką cieczą Constance, siedemdziesięcioośmioletnią matkę Jonathana.

- Chcę go przestawić na mleko z butelki - mówię do Marthy, na co ona szybko potrząsa głową, jakbym była dzieckiem, które chce jak linoskoczek chodzić po drutach wysokiego napięcia. W tajemnicy zakupiłam trochę sztucznego mleka, zakradając się z postawionym kołnierzem od kurtki do apteki. Stoi za płatkami owsianymi, owinięte ściereczką.

- Po co? Świetnie sobie radzisz - upiera się Martha. - Pomyśl, ile dobrego robisz dzięki temu dla swojego dziecka. Mniejsze ryzyko zapalenia żołądka i jelit, wyższa inteligencja. Wiesz, dzieci karmione piersią mają o wiele większe szanse pójść na studia.

To sugeruje, że mój syn może opuścić dom w wieku osiemnastu lat, a nie jeszcze jako czterdziestolatek wylegiwać się na kanapie, nadal domagać się ode mnie chipsów i prasowania spodni. Czego chcesz więcej? Martha opiera na moim kolanie małą, pulchną dłoń.

- Znam pewną kobietę, która zrobiła sobie kłębek z gumek. Kiedy przyszło do karmienia, miała się w co wgryźć.

- Ciasteczko? - pyta Constance, stojąc wyczekująco z obsypanym cukrem talerzem.

Przyniosła własne ciastka. Constance jest moją tak zwaną teściową. Nie wzięliśmy z Jonathanem ślubu. Dziecko zostało poczęte, zanim jeszcze poznaliśmy swoje nazwiska, i zwyczajnie nie było czasu, żeby się pobrać.

- Jonathan był karmiony butelką - grzmi Constance. - Rozrabiałam je z sucharkiem, żeby było gęstsze, i tak się najadał, że spał pełne dwanaście godzin. - Układa herbatniki w idealny wachlarz. Jest niewysoka, energiczna, a jej rzadkie włosy z trwałą ondulacją wyglądają jak mokre. - Był żarłokiem - dodaje - ale ja go karmiłam w ściśle określonych porach. Tak wtedy się robiło. Kiedy miał czternaście miesięcy, już korzystał z nocniczka, prawda?

- Nie pamiętam - prycha Jonathan.

- Prawda, prawda. Zdarzył się nam tylko jeden poważny wypadek, w Bots. No ale oni zawsze byli bardzo uprzejmi i pozwolili nam skorzystać z pomieszczeń dla personelu.

Jonathan uśmiecha się smutno do swoich butów.

- W jego drugie urodziny - gada dalej Constance - zdjęłam mu foliowe majtki na noc i powiedziałam: - Nie potrzebujemy już tego, prawda?

Jonathan usiłuje obejrzeć swoją podeszwę.

-I było po wszystkim - oświadcza Constance. - Nigdy się nie zsiusiał. Ale z innymi sprawami nie radził sobie już tak szybko.

Z mojej zwolnionej od obowiązków piersi sączy się mleko. Mały już wie, co trzeba robić, i ssie żarłocznie, a potem główka mu opada. Czynny zawodowo sutek tryska mlekiem. Zatrzymuję ten potop dłonią. Jonathan rzuca się do mnie z chusteczką, osuszając powietrze wokół mojej piersi.

- Może nie jesteś dostatecznie zrelaksowana - podsuwa Martha.

- Ugotuję obiad - mówi Constance. Z kuchni dobiegają trzaski otwieranych i zamykanych szuflad. - Nie macie mielonego mięsa?!

Mały krztusi się, rozpryskując mleczną ślinę. Przechylałam go przez ramię i klepię po plecach, aż wyciskam z niego silny strumień zsiadłego płynu.

- Uwierz mi, z czasem jest coraz łatwiej - mówi Martha, patrząc zrozpaczona spod brwi. Chrupie ostatnie ciastko i wyciera ręce w płócienne brą-

zowe spodnie. Namierza swoją torbę pod robótką Constance. - Jonathan powinien ci pomóc - dodaje. -Wiem, że nie może karmić osobiście, bo nie ma odpowiedniego sprzętu, ale łatwiej wytworzyć więź, jeśli tata jest zaangażowany w kołysanie i usypianie maleństwa. Wiesz, co jest kluczem do tego, żeby dobrze ci szło karmienie piersią, Nina? - Wystawia język, zbierając cukier z ust. - Dbanie o siebie. Kochanie siebie. Powtarzanie sobie: „Jestem matką, ale też mam swoje potrzeby”.

- Tak! - zgadzam się z zapalem.

- Jesteś szczęściarą, bo masz partnera, który cię wspiera. -Uśmiecha się szeroko do Jonathana i wychodzi na kolejne spotkanie z młodą matką, która cudownie sobie radzi i zamierza karmić piersią tak długo, aż dziecko będzie w czasie karmienia oglądać w telewizji filmy dla dorosłych. Jonathan zdejmuje ze mnie śpiącego malucha.

- Musicie mieć patelnię z grubym dnem - mamrocze Constance w kuchni.

Padam z powrotem na sofę, z odkrytą piersią, która przypomina kulę poprzecinanego niebieskimi żyłkami sera Stilton.

- Będę go karmić butelką - chrypię.

Z kuchni wyłania się Constance, ściskając w jednej ręce otwarte opakowanie sosu Bisto. Musiała przynieść ze sobą, bo my go nie używamy. W drugiej ręce trzyma łyżeczkę do herbaty z popielatym proszkiem. Patrzy na małego, który leży obok mnie, napojony moim mlekiem, gotów wrócić do łóżeczka. Na rozrzucone różowe nóżki i rączki, jakby zaliczył upadek z samolotu.

- Dziwne - mówi Constance. - W ogóle nie jest do ciebie podobny.

Mieszkamy na parterze, w przebudowanym dwupiętrowym wiktoriańskim szeregowcu. Hol nigdy nie jest zaśmiecony ulotkami reklamowymi, nie kręci się tu żaden zaniedbany owczarek. Jonathan jest właścicielem kwadratowego ogródka od frontu, który odchodzi od mieszkania jak blat rozkładanego stołu. Jonathan wyłożył go kostką (żeby był łatwiejszy w utrzymaniu) i obstawił emaliowanymi donicami z lawendą (ze względu na zapach). Jest też ogródek od tyłu, gdzie Jonathan planuje posadzić więcej roślin, być może bambus i jakieś eleganckie pnącza.

Jonathan mieszka tu od paru lat. Natychmiast po przeprowadzce pozbył się dawnego wystroju, bo poprzedni lokatorzy mieli straszny gust. Zanim rozpoczął remont, był na tyle zapobiegliwy, żeby porobić zdjęcia rdzy i pasudnego oliwkowego koloru. Jego matka uważała, że ma pomysły ponad stan, wyrzucając absolutnie użyteczne elementy instalacji i armatury. Powiedział mi, że na jej oczach wyrzucił wyblakłe aksamitne zasłony i łazienkowy dywanik śmierdzący amoniakiem. Zdjęcia trafiły do albumu, zestawione z fotkami wszystkich pomieszczeń w obecnym stanie, gdzie wszędzie królują kremowa wanilia i błękit.

- Wiem, co zrobiłeś - powiedziałam, kiedy pokazał mi album podczas mojej drugiej wizyty u niego. - Postarałeś się, żeby wszystko wyglądało okropnie na zdjęciach „przed”, tak jak to robią w pismach, chcąc sprawić, żeby potem kobieta wyglądała jeszcze lepiej.

- Jakich pismach? - zapytał.

- No wiesz. Przed i po. Na zdjęciu „przed” smarują jej twarz wazeliną, żeby się świeciła.

- Czy to nie jest oszustwo?

Roześmiałam się, kartkując strony albumu. Hol - przed. Łazienka - po. Drzwi od tyłu - wygładzone, ale niepomalowane. Było nawet zdjęcie śmietnika, z którego wystawała zasłonka prysznicowa.

- Jesteś bardzo drobiazgowy jak na faceta - powiedziałam.

- Co znaczy, jak na faceta”?

- Chodzi mi o to, że to rzadkość. Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do ciebie.

- To komplement? - zapytał, zamykając album.

- Po prostu stwierdzam fakty.

Wprowadziłam się do Jonathana pół roku temu. Musiałam zmienić przyzwyczajenia. Kiedy zauważyłam, że moja szczoteczka do zębów rozpląszczyła się nieporządnie, kupiłam sobie nową, turkusową, żeby pasowała do wyłożonej białymi i niebieskimi kafelkami łazienki Jonathana. Zamiast wpychać bezładnie bieliznę do szuflady, zaczęłam składać majtki. Teraz

byliśmy prawdziwą parą i dowodziliśmy tego, zapraszając znajomych na kolację.

Znajomi Jonathana byli głównie jego kolegami z pracy; mówili o swoich tarasach na dachu i o tym, jak cudownie byłoby mieć szopę. Zawsze wychodzili przed dwudziestą trzecią. Wolałam Billy'ego, który zjawiał się z kilkugodzinnym spóźnieniem, przesiąknięty atmosferą pubu. Wszyscy wtedy milkli. Metro było dla Billy'ego prawdziwym wyzwaniem. Za każdym razem tłumaczył swoje spóźnienie tym, że zasnął w pociągu i zaliczył całą trasę Circle Line. Czasami nawet zdarzało mu się budzić w Barnet lub Ongar, gdzie obserwował maleńkie żabki na peronie. Ale kiedy sięgnął do kieszeni, gdzie powinna być żaba, znalazł tylko tytoń, który wysypał się z kapciucha.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze byłam normalna, mogłabym siedzieć do późnej nocy z kimś takim jak Billy i rozmawiać o głupotach. Jonathana jednak coś takiego irytowało i kolano skakało mu niecierpliwie. Rzucił Billy'emu koc, a na mnie patrzył wymownie: pora spać. Rano znajdowałam spoconego Billy'ego na sofie, zasmradzającego nasze minimalistyczne wnętrza swoim oddechem.

Zwykle jednak spotykaliśmy się z ludźmi z pracy. Po serze i filigranowych porcjach selera Jonathan puszczał w obieg swój album. Wszyscy zgadzali się, że wprowadziliśmy niesamowite zmiany, zupełnie zapominając, że jestem najświeższym dodatkiem, który się niedawno wprowadził razem ze swoim rosnącym brzuchem. Jednego wieczoru, kiedy goście już sobie poszli, zapytałam Jonathana:

- Mieszkałeś już kiedyś z kimś?

Jonathan, nie odrywając się od polerowania kieliszków do wina, odparł, że tak. Przez parę tygodni na sofie przemieszkiwał Billy, w następstwie katastrofalnego romansu ze stewardesą. Kiedy Billy, próbując zapalić papierosa od kuchenki gazowej, podpalił sobie grzywkę i kuchnia wypełniła się wstrętnymi oparami, Jonathan zasugerował, że może już czas wrócić do domu i spróbować naprawić związek.

- Możesz sobie wyobrazić, jak potwornie śmierdzą palone włosy? - zapytał.

- Chodziło mi o to, czy mieszkałeś ze swoimi dziewczynami. Środkowym palcem ustawił kieliszek w prawidłowej pozycji.

- Nie było takiej - powiedział.

- Co? Żadnej na poważnie? Żadnej, z którą chciałbyś mieć dziecko?

- Żadnej wyjątkowej.

Patrzyłam na niego, jak wyciera powierzchnie, które wcześniej spryskał dettoksem, i żałowałam, że nie mogę cofnąć moich głupich pytań.

Kiedy postanowisz wyjść z noworodkiem na spacer, według *Opieki nad niemowlęciem*:

1. *Zacznij od krótkich wycieczek po okolicy. Jeśli coś się wydarzy, będziesz mogła szybko wrócić do domu.*

2. *Kieruj się na otwarte przestrzenie, unikaj zatłoczonych ulic.*

3. *Zabierz pieluchy, nawilżane chusteczki, krem ochronny, wkładki laktacyjne, smoczek, butelkę, jeśli jest taka potrzeba, książkę lub czasopismo, dodatkowy kocyk, jeśli jest chłodno, kapelusz przeciwsłoneczny, jeśli jest gorąco, i zapasowe ubranko, na wypadek gdyby przemokła pieluszka.*

4. *Zachowaj spokój.*

Jonathan idzie do pracy. Uśmiecha się zachęcająco, kiedy wychodzi do samochodu. Ja zostaję sama z dzieckiem, do którego nie dołączono instrukcji obsługi. Zabieram się do rozdziału poradnika zatytułowanego „Co robić z niemowlęciem w ciągu dnia”.

Też mi rozdział. Dwutygodniowe ludzkie niemowlę może tylko jeść i spać. Nie potrafi utrzymać grzechotki ani wycinać ciasteczek w kształcie serca. Nawet nie ma jeszcze imienia. Propozycje Jonathana (David, Anthony, Martin) wydają się za poważne dla kogoś o wzroście pół metra. Eliza zrobiła listę modnych imion: Milo, Dylan, Spike. Pary poznane w szkole rodzenia były zwolennikami niemodnych (a zarazem ironicznym) imion, które przywoływały na myśl osoby na tyle wiekowe, żeby pamiętać drugą wojnę światową: Fred, Walter, Stanley. Zadzwoiła moja matka z pomysłem:



- A może Colin?

Mnie się podoba Benjamin. To uniwersalne imię, dobrze się nosi, bez względu na wielkość właściciela. Mały teraz śpi, a kocyk łagodnie unosi się i opada. Upewniwszy się, że nie spadnie z sofy na wypolerowane deski podłogi, wychodzę na paluszkach do łazienki.

Sięgam po czopki przeciw hemoroidom. Aplikuję sobie jeden i idę na inspekcję do kuchni, szukając jakiegoś zajęcia. Kolendra jest źle ustawiona względem innych ziół. Coś jest nie tak: czuję jakiś cierpki zapach. W kuchni nigdy tak nie śmierdziało, kiedy był obecny Jonathan. Jest w pracy od niecałej godziny, w mieszkaniu już coś cuchnie. Zanim wróci, cały dom może się już rozpaść.

Jonathan posprzątał w lodówce i przeniósł jajka z tekturowego opakowania do dołków w drzwiczkach. Nic złego tam się nie dzieje. Nie może to też być pielucha: brudne pieluchy szybko pakuję w worki o brzoskwiniowym zapachu i wyrzucam do śmietnika na zewnątrz. Jonathan wprawdzie kupił specjalny kosz na zużyte pieluchy, ale nie mogę go rozpracować - skomplikowane urządzenie. Smród się nasila, kiedy skręcam w prawo: jest kwaśny i powoduje mdłości. Może to ja tak śmierdzieć. Ale nie widzę żadnej plamy, żadnego śladu, żeby coś się rozlało. Matki, które siedzą w domu, spędzają dni wolne od gości na ustawianiu słoików z ziołami i dostają obsesji na temat niezidentyfikowanych zapachów.

Dzwonię do Jonathana, żeby go poinformować, że wychodzimy z domu.

- Dobry pomysł - mówi. W tle dzwonią telefony, słychać paplaninę jego kolegów. Najwyraźniej świetnie się bawią.

- Nie sądzę, żeby miało padać - mówię mu.

- Tak, ale na wszelki wypadek weź przeciwdeszczową pokrywę na wózek.

-I komórkę.

- Upewnij się, że jest naładowana. Przepraszam, Nina... -Przerywa mu zuchwały, kobiecy głos; może wołają go na zebranie, ale bardziej prawdopodobne, że chodzi o zaimprovizowane przyjęcie biurowe. - Potrzebują mnie. Spokojnie, będzie dobrze.

Wypycham na dwór wózek, który składa się jak nosidełko i jest wyposażony w zbyt wiele gałek oraz dźwigni, a także podręczną torbę; przy okazji odłupuję z drzwi kawał czarnej farby. W stronę parku zmierza spacerkiem gromadka matek, trzymając szelki z dyndającymi maluchami. Gdyby była tu Eliza, wskazałaby najbardziej odpicowaną, szepcząc: „Co za widok!”. Nazwałaby ją „mamuśka w skórzanych spodniach”. Zapoznałam się z tym wyrażeniem, czytając zabawną stronkę, którą Eliza redaguje do swojego pisma o modzie: złośliwe uwagi na temat strojów gwiazd. Kiedyś sama pomagałam Elizie je wymyślać. Robiliśmy notatki w zamszowym lilio- wym notatniku Elizy, popijając drinki przed Dog and Trumpet, ale to było całe wieki temu, kiedy jeszcze bywałam w klubach.

- Wie pani, że słońce może spalić dziecku twarz w ciągu paru sekund? - Starsza kobieta z podwójnym podbródkiem usadza się z lekkim sapaniem obok mnie na parkowej ławce. – Skóra dziecka jest niezwykle wrażliwa - beszta mnie. - Nie ma pani parasolki od słońca?

Słońce ledwo świeci. Ale zaniepokojenie tej kobiety, która ma na sobie gruby tweedowy płaszcz, sprawia, że zaczynam wątpić w swoją zdolność prawidłowego ocenienia temperatury. Nadal czuję też kwaśny smród, co oznacza, że przywlokłam go tu ze sobą.

Kobieta zagląda do wózka. Upewniwszy się, że skóra Bena nie pokryła się pęcherzami, ścisła mu policzek, czym go natychmiast budzi. Mały wykrzywia dolną wargę, a jego krzyki, choć nie tak niepokojące jak w mieszkaniu, są na tyle głośne, żebym zrozumiała, że czas coś przekąsić.

W swojej głupocie włożyłam sukienkę zapinaną na plecach. Mam dwa wyjścia: wystawić pierś przez dekolt, co biorąc pod uwagę fakt, że obie piersi są maksymalnie napompowane, ściągnie uwagę wagarujących nastolatków, a może nawet policji; mogę też zadrzeć całą sukienkę do góry i siedzieć nago, w samych figach i z oponą zrolowanego materiału wokół szyi.

Sięgam do torby z niezbędnikiem niemowlęcia i wyciągam butelkę.

- Moje dzieci były karmione piersią - mówi kobieta. - Cała dziewiątka. Jedno zmarło. - Wpatruje się we mnie małymi, zamglonymi oczami.

- To jego pierwsza butelka w życiu - wyjaśniam. - Tylko dodatkowe wsparcie.

- Szybciej odzyska pani figurę, karmiąc piersią. Z mlekiem spłynie z pani cały tłuszcz.

W *Opiece nad niemowlęciem* ostrzegają przed trudnościami, jakie mogą się pojawić przy przechodzeniu z piersi na karmienie sztuczne, ale Benowi aż wychodzą na wierzch oczy z zadowolenia na widok plastikowej butelki i łapczywie zasysa smoczek. Ścieżką zmierza w naszą stronę kobieta o miedzianych włosach; przy każdym kroku podskakuje jej naszyjnik. Poznaje ją - to Martha, moja konsultantka od karmienia piersią.

- Tak myślałam, że to ty - mówi. - Świetnie wyglądasz. Chyba nieźle sobie radzisz, prawda?

- Dziękuję - odpowiadam. -I czuję się świetnie.

- No proszę, już na spacerze. To osiągnięcie samo w sobie.

Jestem dość dumna z siebie, że zdobyłam się na tę żmudną wycieczkę z mieszkania do parku, mijając potencjalne zagrożenia, takie jak bar ze zdrową żywnością czy sklep papierniczy.

- Więc jak się miewa... - zaczyna Martha.

- Benjamin. Ben. Miewa się świetnie.

Ale Martha już mnie nie słucha. Zobaczyła butelkę. Mały pomrukuje z aprobatą po każdym łyku, a ja sobie wtedy uświadamiam, że istnieje marna szansa, żeby odrzucić butelkę na rzecz naturalnego mleka z piersi.

Może po prostu nie jestem do tego stworzona.

Eliza ma piękną szyję. Długą jak świeca i gładką jak wosk. Eliza naciera ją specjalnym kremem z minerałami z Morza Martwego. Za jednym razem kupuje dwa wielkie słoje: jeden do domu, drugi do szuflady biurka w pracy.

Eliza jest stylistką mody w czasopiśmie. Zdaje się, że ma dwie misje do spełnienia: namawianie czytelników do wydania kilkuset funtów na prosty szary sweterek i wyjazdy na egzotyczne plenery, w pogoni za odpowiednim światłem. Większość sesji zdjęciowych Elizy wymaga podróży do bardziej słonecznego kraju. Czasami wyjeżdża też do jakiegoś lodowato zimnego kraju i zmusza modelki do spacerowania wśród śniegów w sandałkach na niebezpiecznych obcasach. Najwyraźniej światło w parkach wokół jej biura nie jest dość dobre.

Podczas tych zagranicznych wojaży głównym zadaniem Elizy jest dodawanie otuchy modelkom narzekającym na upał lub zimno czy też przekupywanie miejscowych, żeby stali obok nich na planie, dodając lokalnego kolorytu. Kiedy Ben drzemie, a ja rozważam, czy wypucować jeszcze raz płytę grzejną z nierdzewnej stali, którą Jonathan wcześniej wypolerował, urozmaicam sobie czas, przywołując w myślach Elizę krzyczącą: „Dajcie tu tych Hopi!”, na co grupka wkurzonych miejscowych wchodzi gromadnie na plan, zastanawiając się, dlaczego chuda, skrzywiona dziewczyna nosi w górach wyszywaną paciorkami, kremową suknię wieczorową.

Zanim urodziłam Bena, pracowałam w piśmie „Lucky”. Jego marne strony wypełniali „prawdziwi” ludzie (a nie wychudzone wieszaki), którzy opowiadali straszne historie z prawdziwego życia: przykładowo, wracasz z bingo, a twój dom jest doszczętnie spalony. Chase, mój naczelny, lubił nagle zwroty akcji: byłoby idealnie, gdyby kobieta od spalonego domu wygrzebała z dna torebki wygrany los na loterię, który szczęśliwym trafem zabrała ze sobą na bingo. Nazywał tego typu historie „zwycięstwem nad tragedią”. Mówił, że dają ludziom nadzieję - niezależnie od tego, jak podły był początek dnia, tobie też może przydarzyć się coś fantastycznego.

Chase jest kłamcą. „Lucky” dobrze się sprzedaje, bo po jego lekturze myślisz sobie, że może twoje życie nie jest wcale takie złe. Przynajmniej nie jesteś prześladowana za miłość ani nikt cię nie zmusza do mieszkania w kurniku. A potem nalewasz sobie filiżankę herbaty i oddajesz zadumie, bo choć mąż porzucił cię dla dziewiętnastoletniej niani, a w toalecie coś złowróźnie bulgocze, zawsze mogłoby być jeszcze gorzej. Mogłabyś znaleźć się w „Lucky”.

Po pięciu dniach kursowania z Benem pomiędzy mieszkaniem i parkiem mam wreszcie gościa. Pod nasze mieszkanie zajeżdża taksówka. Eliza wypina zgrabny tyłek, kiedy nachyla się, żeby zapłacić kierowcy.

- Dostanę rachunek? - pyta. - Proszę wbić piętnaście funtów, dobrze?

Eliza przywiozła prezent dla Bena: czarnego aksamitnego misia, pozbawionego jakiegokolwiek wyrazu twarzy, jak też wszelkich stymulujących dziecko ozdóbek, pomijając wstążkę z nadrukiem Louis VUITTON związaną ciasno wokół jego szyi. Miś pachnie mydłem kwiatowym. Podejrzewam, że to niechciany prezent od jakiegoś PR-owca, który Eliza od wieków przechowywała w szufladzie biurka.

- Dzięki - mówię. - Spodoba mu się.

Ben leży na plecach pod jaskrawym plastikowym ustrojstwem zwanym stojaczkiem z zabawkami. Jonathan na jego widok się skrzywił, narzekał, że jego prymitywne kolory i dudniące dźwięki gryzą się z naszym utrzymanym w waniliowym odcieniu salonem. Jednak stojaczek okazał się dobrym nabytkiem. Ben potrafi wpatrywać się bez końca w podskakujące plastikowe kulki. Kładę obok niego misia od Elizy. Po brodzie Bena cieknie ślina.

- Dobrze się czujesz? - pyta Eliza. - Tak.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczami. Na rzęsach ma starą ma-scarę.

-Na pewno wszystko w porządku? - pyta łagodniejszym tonem. - Wydajesz się...

- Po prostu trzeba się do tego przyzwyczaić.

Opada na sofę, opierając stopy w turkusowych butach na wysokim obcasie o zamszowy puf. Buty wyglądają na zmaltretowane.

- Powinnam zaliczyć kilka spotkań - wzdycha - ale musiałam się z tobą zobaczyć. Przez telefon wydałaś mi się przybita.

Wiem, na czym polegają te spotkania: na snuciu się po biurach PR-owców od mody, żeby dobrać pasek bądź naszyjnik. Podczas wyjątkowo załatanego dnia mogłaby zaliczyć modelowanie Włosów suszarką czy wybrać długą, rozszerzaną spódnicę na zdjęcia.

- Pewnie byłam zmęczona - mówię, starając się, żeby nie brzmiało to przygnębiająco. - Po prostu czuję się trochę wypompowana, to wszystko.

- Za dużo czasu spędzasz w domu. Mieć czas w ciągu dnia to dość dziwne uczucie, nie? Dookoła są ludzie, ale tylko krążą bez celu. To straszne.

Bardzo bym chciała, żeby zadzwonił telefon albo wpadł ktoś ze spóźnionymi gratulacjami i bukietem.

- Kiedy jesteś zajęta w pracy - ciągnie Eliza - nie myślisz o ludziach, którzy mają całe dni wolne i, chodzą po sklepach, przycinają żywopłoty...

- Nie przycinam żywopłotu - odparowuję. - Jonathan się nim zajmuje.

- Więc co robisz całymi dniami?

- Spotykam się z ludźmi. Zawieram nowe znajomości.

- Chodzi ci o te poranki przy kawie, tego typu rzeczy? Właściwie to zaliczyłam tylko jedno podobne spotkanie, na

którym serwowano gorące napoje. Ponieważ ciągle siedziałam w domu, martwiłam się, że mogę stracić umiejętność prowadzenia rozmowy z dorosłymi. Ben miał sześć tygodni, ale ja czułam się tak, jakbym nie rozmawiała z nikim dorosłym - pomijając Jonathana - od kilku dziesięcioleci. Kiedy Jonathan wracał do domu, gaworzyłam do niego przez chwilę, dopóki nie uciekał do łazienki. Nawet Eliza starała się, żeby nasze rozmowy telefoniczne były krótkie, i często ziewała.

Byłam zaskoczona, że podobało mi się na tym poranku przy kawie. Nawijałam jak nakręcona, co wymaga skomplikowanych umiejętności, żeby nie stracić oddechu, aż anemiczna kobieta, z którą rozmawiałam, powiedziała, że musi zajrzeć do synka, choć malec leżał sobie podparty poduszkami, radośnie oblizując własną brodę.

- To mi dobrze robi - mówię stanowczo Elizie. - Muszę spotykać się z innymi rodzicami.

Eliza podnosi pismo Jonathana o wystroju wnętrz i przerzuca błyszczące strony. Pismo nazywa się „InHouse”. Eliza uważnie się przygląda betonowemu budynkowi trzymającemu się niepewnie klifu.

- Musisz wrócić do prawdziwego świata - mówi.

- To jest prawdziwy świat.



- Wiem. To jest to, co robią matki. Ale pomyślałam, że możesz mieć ochotę na coś innego.

-To znaczy?

- Potrzebne jest nam niemowlę do zdjęć - mówi, spoglądając szybko na Bena. - Za dwa tygodnie. Nie masz żadnych planów, co?

- Muszę sprawdzić - odpowiadam, wpatrując się w jej stopy. Obcasy wy-  
żłobiły małe kwadratowe wgłębienia w zamieszonym pufie.

- Nie martw się. Nie będzie musiał nic robić. Będzie po prostu rekwizy-  
tem.

- Nie masz nikogo, kto dostarcza dzieci do zdjęć? Jakichś agencji dzie-  
cięcych modeli?

Eliza potakuje lekceważąco.

- Za dużo słodczy. Usteczka jak pączki róży, duże oczy. Banalne, praw-  
da? Szukam dziecka z charakterem.

Ben przestał wpatrywać się w dyndające kulki i patrzy wilkiem na Elizę.  
Wtedy chyba po raz pierwszy zauważam, że ma ciemne, ponętne rzęsy.

- Chcesz powiedzieć, że jest brzydki?

- Nie, jest niezwykły. Słodki, ale w taki charakterystyczny sposób. Nie  
jest podobny do żadnego z was.

Ben rozchyła usta w zapowiedzi uśmiechu. Zastanawiam się, czy to  
prawdziwy uśmiech, czy tylko grymas. A może za chwilę Ben napełni pie-  
luszkę i ta mina to wyraz koncentracji.

Ale usta unoszą się w kącikach. Drżący półuśmiech czai się niepewnie,  
tak jakby za moment miał rozkwitnąć. Chcę powiedzieć Elizie, że to jego  
pierwszy uśmiech, coś absolutnie niesamowitego, o czym nawet nie wspo-  
minają w *Opiece nad niemowlęciem*.

- Honorarium trzysta funtów - oświadcza Eliza. - Przyślę taksówkę, żebyś  
nie musiała taszczyć sama tego całego majdanu, który ze sobą ciągniesz. I  
dostaniesz lunch.

- Co konkretnie? - Zaczęłam wypełniać sobie długie, wolne od towarzy-  
stwa dorosłych dni małymi przekąskami: jakiś plasterek szynki, garść kor-  
nisonów. Żadnych talerzy czy sztucców.

- Zdrowa żywność. Pieczona papryka, zapiekany łosoś. Serek kozi w cieście, psychota.

Uśmiech Bena znika. Mały skupia się na swoim stojaczku z zabawkami, przeglądając się w rozhuśtanym lusterku rodem z klatki papużki falistej.

Sprzedany, za serek kozi w cieście.

Zanim poznałam Jonathana, zawierałam znajomości z facetami w sposób o wiele bardziej przypadkowy. Ranalda poznałam na dole Dog and Trumpet. Wendy, nasza ciężarna redaktorka od kultury, urządziła imprezę, żeby uczcić swoje odejście z szarego biurowego życia. Tańczyła, wielkim brzuchem ocierając się o zażenowanego gońca. Przez cienką białą tunikę widać było jej sterczący pepek.

Nikt już nie urządzał imprez w domu. Wszelkie spędy odbywały się w piwnicach pubów; korzystano z nich ze trzy razy do roku, zalatywały wilgocią oraz środkami dezynfekującymi. Menedżer usiłował stworzyć odświętną atmosferę, podłączając grzejnik. W tych podziemiach nie spotyka się nikogo obiecującego.

Ranald zawędrował w podziemia, bo źle skręcił w drodze do toalety. Roztaczał aurę świeżości, nawet kiedy dziobał podstarzałą mieszankę baka-liową Bombay Mix. Muzyka była tak głośna, że nie mogłam zrozumieć, co mówi. Wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w jego poruszające się usta. Zęby miał białe jak korektor Tipp-Ex.

Muzyka ucichła.

- W przyszły weekend wybieram się na biwak! - krzyknął. -Chceszjechać?!

- Co?! Pod namiot?! - ryknęłam w odpowiedzi. Roześmiał się.

- Nigdy tego nie próbowałaś, co? Wy, ludzie mediów, jesteście rozko-chani w ekstrawaganckich hotelach.

Wendy pociągnęła macha z papierosa młodego dziennikarza. Na dnie mojego kieliszka był kamień.

Ponieważ Ranald był niezwykle atrakcyjny - tak uznałam pod gazem, ale faktycznie mógłby pozować do wysyłkowych katalogów z ciuchami - po-

wiedziałam, że wolę spać pod namiotem niż w jakimkolwiek hotelu. W następną sobotę wyruszyliśmy o ósmej rano do North Devon i przed lunchem byliśmy na farmie jego wujka. Ograniczyłam się tylko do jednej rzeczy z zakresu pielęgnacji skóry: koloryzującego kremu nawilżającego, który jednocześnie chronił przed słońcem. Obadałam jego wyrzeźbione ciało pod ponurym zielonym nylonem, a on mnie zbeształ za zbyt wielki entuzjazm. Obudziliśmy się, kiedy w namiot zaczął dudnić deszcz. Ranald zmusił mnie, żebym się umyła w potoku szarym mydłem. Spiorunował mnie wzrokiem, kiedy potem wklepałam krem nawilżający. Od tego momentu był coraz bardziej rozdrażniony, zarzucał mi, że w ogóle nie pomagam. Kiedy rozebraliśmy namiot, nakrzyczał na mnie, że zgubiłam maleńką, ściaganą sznurkiem torbę, do której mieliśmy wepchać ogromną hałdę szleszczącego nylonu.

- Nie zgubiłam - tłumaczyłam mu. - Włożyłam do środka pulower i użyłam w charakterze poduszki.

Obrócił się na pięcie i - chyba żeby odreagować - cisnął we mnie śledziem. Śledź przeleciał obok mojego policzka i wylądował w wysokiej trawie. Szukanie zabrało nam dwadzieścia pięć minut.

Droga powrotna upłynęła w milczeniu. Przed moim mieszkaniem nawet nie zgasił silnika.

- Dzięki za piękny weekend - powiedziałam. Zadzwoiłam do niego wieczorem i oznajmiłam, że nie nadaję się obecnie do związku.

- W porządku - powiedział. Czekałam, aż doda coś jeszcze, jak na przykład: „Fajnie było, co?” albo „Świetna z ciebie babka, Nina”.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytałam.

Ranald ziewnął. Przypomniałam sobie, że wcale mnie nie wybrał, nawet nie byłam dla niego atrakcyjna. Po prostu szukał toalety i zapuścił się za daleko na dół.

Nie mogę spać, bo wielkimi krokami zbliża się przerażająca sesja zdjęciowa. Zadzwoię do Elizy i powiem, że zmieniłam zdanie; nie myślałam jasno, kiedy się zgadzałam. Niedobór snu: sprawia, że mówisz „tak” zupeł-

nie przypadkowo. Zanim urodziłam Bena, uważałam sen za proces nudny, ale niezbędny do regeneracji komórek. Nie czekałam z niecierpliwością na chwilę, kiedy będę mogła położyć się do łóżka, a rano nie zaczynałam natychmiast obliczać, ile czasu będę musiała wytrzymać na nogach, zanim znowu się położę.

Teraz jednak myślę o spaniu bez przerwy. W moich fantazjach nie dogadza mi tabun nieznanomych facetów, ale po prostu leżę sobie z zamkniętymi oczami. Obrazka dopełniają związane ze snem części garderoby: bawełniana koszula nocna, flanelowa pidżama. Nawet skarpetki. W tych fantazjach leżę sobie na plecach w poprzek materaca, z rozrzuconymi rękami, zajmując maksimum miejsca. Nie ma miejsca na faceta ani nawet na dziecko.

Ben funkcjonuje według odwróconego schematu: w ciągu dnia jest senny, po zmroku się ożywia. *Ludzie nie zostali stworzeni do spania w nocy, ostrzegają w Opiece nad niemowlęciem. Noc to najbezpieczniejsza pora na polowanie. Powinniśmy wyjść z domu, szukać pożywienia.* Akurat to się chyba zgadza, bo w przybliżeniu co dwie godziny pomiędzy dziesiątą wieczorem a świtem Ben otwiera szeroko oczy i ma minę osobnika, który by wolał przeczesywać podszycie leśne, niż słodko spać pod niebieskim kocikiem w króliczki.

Bywają takie noce, że właściwie nie ma sensu w ogóle kłaść się do łóżka. Mam już objawy chronicznego niedoboru snu: letarg, huśtawka nastrojów, niezdarność, zawroty głowy, nadwrażliwość skóry, tendencja do tracenia perspektywy, ogólnie sobie nie radzę i mam tymczasowe zaniki pamięci, a także inne dolegliwości, których nie pamiętam. Tak dużo myślę o spaniu, że w moim mózgu brakuje miejsca na inne sprawy. Z ledwością potrafię się ubrać i zapominam o staniku, który wiele godzin później odnajduje się na chromowanym haczyku, gdzie powinna wisieć rękawica kuchenna. Podczas spaceru po parku jakimś cudem gubię klucz od drzwi frontowych i muszę wzywać Jonathana z pracy.

Ważę się przy naszej furtce, starając się nie zwracać na siebie uwagi opryskliwej pary z drugiej strony ulicy, oznaczonej groźnymi nalepkami TEREN DZIAŁANIA STRAŻY SĄSIEDZKIEJ. Żeby sprawiać przyjazne wraże-

nie, nucę kołysankę, choć Ben twardo śpi. W końcu na naszą ulicę wtacza się samochód, z którego wyskakuje Jonathan, mój wybawca, z przygotowanym kluczem, żeby go wetknąć do zamka.

Ponieważ wyglądało na to, że mój intelektualny potencjał jest w rozsypce, Jonathan awansował na patrona czuwającego nad tym, żeby wszystko zostało zrobione. Patrzyłam, jak odmierza mleko do butelki Bena, jednocześnie mieszając zdolnymi, ojcowskimi rękami sos z bazylią do świeżego linguine, zakupionego w przerwie na lunch.

- Nie jestem w stanie robić tego co ty - mówię mu.

- Świetnie sobie radzisz - odpowiada. - Jestem z ciebie dumny.

Eliza każe mi się wyluzować odnośnie do sesji zdjęciowej Bena i nie wbijać go w strój marynarzyka, jak zrobiłyby co poniektóre napalone na karierę w show-biznesie matki.

- Nie rób niczego specjalnego - instruuje mnie. - Włóż mu takie zapinane ubranko z nogawkami.

- Pajacyk.

- I nie przejmuj się jego włosami. Zajmiemy się tym na planie.

Kiedy ściagam Benowi mokrą po nocy pieluchę, rozważam opcję, żeby w ogóle się tam nie pojawić. Stało się coś strasznego: nagły wypadek. Ben ma wysypkę. Nie będzie się nadawał, prawda? Nie z ropiejącymi krostkami. A może jakiś domowy kataklizm? Zostałam zaatakowana przez pojemnik na zużyte pieluchy. Od robota kuchennego oderwały się noże i poszatkowały mi rękę. Muszę coś wymyślić. Zgodziłam się tylko ze względu na samolubne pragnienie, żeby wyjść z domu i mieć podtykane pod nos przekąski. Kuszące, zgadza się, ale za jaką cenę? Jeśli ktoś zbliży się do Bena z lakierem do włosów albo groźną pincetą do brwi, wyjdziemy stamtąd. Dobro dziecka to dla mnie sprawa nadrzędna. Jestem matką.

Kiedy mały wierzga na łóżku, zachwycony swoją nagością, wyciągam maleńkie ubranka. Jest oczywiste, że nie mogę go ubrać w nic wydzierganego przez Constance. Asortyment obejmuje sweterki z falbaniastymi kołnierzykami, w których głowa Bena wygląda, jakby wyskakiwała z tortu, i wyjściowe pulowerki, choć minie jeszcze wiele lat, zanim Ben pójdzie do

teatru. Mogłabym rozważyć jedną z prostszych propozycji Constance, ale wszystkie mają marszczenia albo nierówne oczka, które wyglądają, jakby były dziergane na widelcach, a nie drutach.

Wkładam mu zwykle białe śpiochy. Wpatruje się we mnie, najwyraźniej uważając mnie za istotę nadzwyczajną. Czasami się zastanawiam, dlaczego tak bardzo mnie lubi.

Rozlega się dzwonek. Taksówkarz umyślnie zjawił się wcześniej, żeby zastać mnie nieubraną. W pośpiechu rozważam naciągnięcie wierzchnich ubrań na szlafrok. Ale co będzie, jeśli zjawię się w studio z dyndającym z tyłu sztruksem, powiewającym jak ogon? Eliza się zmartwi, że mój stan się pogorszył i przeszłam od zwykłego przygnębienia do etapu, w którym nie jestem w stanie się ubrać. A od tej fazy już tylko niewielki kroczek do noszenia stanika na wierzchu płaszcza.

Znowu dzwoni dzwonek; sygnał powtarza się wielokrotnie, jakby dzwonkiem zabawiało się jakieś dziecko. Śpiewny głos woła:

-Niiina! To my! Wróciliśmy!

Otwieram drzwi. W powietrzu unosi się trójkołowy rowerek, którego zardzewiała rama jest upstrzona czerwonymi i niebieskimi plamkami. Do kierownicy przymocowany jest postrzępionym sznurkiem wiklinowy koszyk.

- Zapomniałaś, że mieliśmy przyjechać - mówi tata.

- Oczywiście, że nie zapomniałam.

- Pokaż go nam - mówi mama, wymijając mnie chwiejnie. - Ile on już ma? Trzy tygodnie?

- Dwa miesiące.

- Boże! - mówi tata. - Jak to możliwe? - Stawia rowerek na podłodze, kierując go w stronę Bena.

- Dzięki, jest świetny.

- Nie wiedzieliśmy, co ci dać - mówi mama. - Pomyśleliśmy, że już wszystko masz.

Żeby zachować stosowny dystans pomiędzy sobą a Benem -zapewne w celu zminimalizowania ryzyka poproszenia o potrzymanie go na rękach -



mama usadza się na zamszowym pufie. Ma na sobie postrzępioną, cytrynową spódnicę, którą gładzi chudymi palcami.

- Jest podobny do ciebie - mówi. - Zupełnie jak ty, kiedy byłeś w jego wieku.

Czasami zdarza się coś, co mi przypomina, że jestem rezultatem okropnego aktu, w którym brali udział moi rodzice. Mimo to gałęzie naszego drzewa genealogicznego wydają się błędnie połączone. Może i łączy mnie linia z mamą, ale z pewnością tylko dlatego że komuś omsknęła się ręka z długopisem. Wspólne korzenie odnajduję z tatą - mamy takie same ciężkie nosy, mocną budowę ciała i opadamy ciężko na krzesło z rozłożonymi nogami. Szczupłe nogi mamy są ciasno złączone. Upięła swoje gęste włosy kilkoma nieładnymi brązowymi spinkami, które można kupić w drogerii po piętnaście pensów za kilkaset sztuk.

- Jak było we Francji? - pytam.

- W sprawie domu nic się nie zmieniło, oczywiście - mówi tata. - Wilgoć wkrada się do sypialni od tyłu. Okropny zapach.

Mama parska, próbując zasłonić śmiech poźółkłymi palcami. - Kupiliśmy camembert, no wiesz, z pleśnią i tak dalej, i kiedy odkroiłam kawałek, okazało się - drżą jej filigranowe ramiona - że w środku jest pełno maleńkich białych ryjkowców.

- Myślałam, że miałaś nie jeść sera - przypominam jej. Mama chodzi do Ashleya, alternatywnego terapeuty o dość podejrzaną przeszłość. Poradził jej, by pozbyła się z diety glutenu, nabiału i cytrusów. Po każdej wizycie u niego mama wraca do domu z nakrapianymi tabletkami, ogromnymi, jakby były przeznaczone dla koni. Przykleja te końskie tabletki sobie do czoła taśmą klejącą. Ashley mówi, że to na zatory w mózgu. Martwi się o jej głowę.

- Jakbym nie mogła skubnąć sobie camemberta we Francji... - mówi obruszona.

- Nie uważacie, że powinniście sprzedać ten dom? - sugeruję. - To tylko kłopot.

- O nie - mówi tata. - W końcu wszystko się zrobi.

Kilka lat temu, kiedy rodzice w wakacje podróżowali po wschodniej Francji, zauważyli walącą się konstrukcję na krańcu zarośniętego trawnika. Każdy rozsądny dorosły człowiek szybko pojechałby dalej, do Dijon i zameldował w przytulnym hotelu. Mama zmusiła tatę do wykonania brawurowego zwrotu, by zobaczyć, że z bliska dom jest równie okropny.

Angielscy właściciele zaprosili ich do środka. Zamierzali przekształcić paskudną rudere w lukratywny letni domek do wynajęcia, ale w końcu minął im pijacki stan zamroczenia i postanowili szybko wracać do swojego miejskiego domu z centralnym ogrzewaniem w Holland Park. Moja matka stwierdziła, że tak miało być. Umknęło jej uwagi, że dom znajduje się tuż przy porośniętej trawą skarpie, więc zawsze będzie przesiąknięty wilgocią, o ile ktoś nie zrówna tego pagórka z ziemią.

Ale to nie martwi moich rodziców. Rozpadająca się rudera dostarcza wygodnego pretekstu, żeby jeździć tam i z powrotem do Burgundii, tylko po to, żeby stwierdzić, że stos dachówek, coraz bardziej porośnięty mchem, dalej nie ułożył się w nowy dach.

- Ale za to ogród wygląda wspaniale - dodaje tata. - Przywieźliśmy ci trochę rozmarynu. Zostawiliśmy go w samochodzie, Kate?

- Uhm - mruczy mama, głęboko oddychając. Podejrzewam, że chce jej się papierosa.

Ashley nie wie, że ona pali. Nie może zrozumieć, dlaczego zatory nie znikają ani co sprawia, że jego wahadełko obraca się niepokojąco odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, kiedy wymachuje nim nad jej płucami.

- Wskoczę na chwilę do ogrodu - mówi mama.

- Mamo, przepraszam, powinnam o tym pamiętać i dać wam znać, ale to nie jest najlepszy moment, żeby...

Ben cicho popiskuje.

- Boże. Cześć! - mówi tata.

- Chciałbyś go potrzymać?

- Och, no nie wiem.

- Chciałabyś go przytulić, mamo?

Ale mama już jest przy drzwiach; grzebie w swojej torbie na ramię z frędzlami w poszukiwaniu zapalniczki. Ben płacze piskliwie.

- Często tak robi? - pyta tata. Zagłębia się w fotelu, usiłując przeniknąć przez miękką skórę do miejsca, w którym są tylko sprężyny i wypełnienie, i żadnych płaczących niemowlaków.

Przez otwarte drzwi frontowe wpełza dym.

- Jest tu jakiś facet! - krzyczy mama. - Ciągłe powtarza „Lavender Hill”. Wygląda na okropnie zdenerwowanego.

Przypominam sobie, że ciągle jestem w szlafroku. Zostawiam Bena tacie na kolanach i pędzę do sypialni.

- Długo tam będziesz? - pyta ojciec błagalnie.

- Przełóż go przez ramię i pochodź trochę.

- Ten facet mówi, że miał ciebie zabrać o wpół do jedenastej! - krzyczy mama. - Czego on chce?

Wytaczam się z sypialni, wrzucając do torby rzeczy, które są niezbędne Benowi do przeżycia.

- Przykro mi, tato, ale jesteśmy umówieni z Elizą na zdjęcia.

- Co takiego? - pyta mama, czubkiem buta gasząc papierosa na progu.

Ben wierci się w ramionach taty, w końcu wygina się w sztywny łuk.

- Daj, wezmę go. - Biorę małego, pozwalając mu na kilka sekund fałszywej nadziei, że przyszła pora na przytulanki, po czym wsadzam go do fotelika samochodowego. - To do magazynu Elizy - mówię przez ramię. - Potrzebne jest im dziecko, jako... jako... - Przypinam fotelik Bena do siedzenia taksówki. Obok siada tata.

- Coś w rodzaju rekwizytu? - podpowiada mama i wciska się na siedzenie z przodu. Czuć od niej dym tytoniowy.

Taksówka zatrzymuje się z grzechotem na brukowanej ulicy przesiąkniętej smrodem znad kanału. Rodzice wyskakują z samochodu.

- Aha - mówi tata. - A więc to tutaj fotografowie robią zdjęcia. Nigdy bym nie pomyślał.

Poznałam dużo fotografów, ale nie takich, którzy, pracują dla czasopism z górnej półki. Kiedy „prawdziwa” osoba miała robione zdjęcie do „Lucy”, dzwonił do kogoś z lokalnej gazety. Mieliśmy swojego człowieka w „Cherrow and Spalding Advertiser”, może nie był do końca odrażający, lecz sprawiał wrażenie, że ze wszystkiego potrafi wyciągnąć jakiś profit. Poznałam jednego z tych fotografów, gdy przeprowadzałam wywiad z pewną kobietą z Hull, która urodziła dziecko, nie zdejmując legginsów. Nie wiedziała, że jest w ciąży.

Fotograf skrzywił się, kiedy zatkała swojemu ryczącemu dziecku buzię butelką.

- Tragiczne, co? - szepnął. Miał lśniąca, owalną twarz jak oliwka.

Nasza gospodyni zdjęła folię z talerza z kanapkami z tartym żółtym serem i postawiła je na najmniejszym z zestawu trzech stolików, wsuwanych jeden pod drugi.

- Zatrzymujecie się na noc w Hull? - zapytała.

- Boże, nie - westchnął fotograf. - Następnym pociągiem wracam do Leeds. Mam bilety na tournée A-ha.

Dla niego było to bardziej tragiczne niż donoszenie ciąży w błogiej nieświadomości.

Mama inhaluje się papierosem, zanim na nowo jest zmuszona wejść do zamkniętego pomieszczenia. Recepcjonistka zerka na nas znad zabałaganionego biurka. Jej atramentowe włosy są zebrane w sterczące kitki tanimi ozdobnymi gumkami do włosów. Obok oblepionego naklejkami telefonu leży piórnik z Gonkiem.

- Na zdjęcia? - chrypi, a jej kruczoczarne brwi unoszą się w górę.

- Ja nie. Przyszłam...

- Chodzi mi o dziecko. Na zdjęcia, tak?

Potakuję, mając nadzieję, że zdaje sobie sprawę, że zostaliśmy do tego zmuszeni. Jej wzrok przemieszcza się w lewo - to znak, że powinnam przejść przez zmalretowane drzwi wahadłowe. Nacieram na nie tyłkiem i z zamachem wnoszę fotelik samochodowy Bena do ogromnego, zimnego studio; za plecami czuję ciężki oddech moich rodziców.

Stan fryzury Elizy sugeruje, że zdjęcia nie idą zbyt gładko. Włosy opadły jej bezwładnie wokół twarzy, przytłoczone niepokojem.

- Greg jest zdenerwowany - szepcze. - Nie wchodź mu w drogę, dopóki nie będzie gotowy.

- To nie jest to, czego chciałem! - krzyczy fotograf. - Nie o takim kolorze rozmawialiśmy!

- Myślałem, że chciałeś niebieski - mówi chłopak o zapadniętej twarzy, trzymając wałek do farby.

- Powiedziałem turkusowy. Rozcieńczony, rozmyty, delikatny turkusowy.

Z wałka asystenta farba kapie na podłogę.

- Pomalował zatoczkę na zły kolor - syczy Eliza. - Greg nie jest zadowolony. Jest okropnie wymagający i właśnie dlatego jest taki dobry. - Eliza trzyma żelazko i cienką sukienkę w bladym odcieniu homara. Sprawy nie wyglądają dobrze na froncie kolorów.

- Co to ta zatoczka? - pytam.

- Zatoczka nieskończoności. Ta łukowata ściana. Powinna być niebieska.

- Przecież jest niebieska - protestuje asystent. Ma guzkowate łokcie, a w zielonych oczach widać rozczarowanie życiem. Przez rozchlapaną farbę zbliża się piesek i wyciąga w górę szyję, żeby powąchać jego krocze. Chłopak cofa się, najwyraźniej nie ma dość autorytetu, żeby odpędzić zwierzę.

Greg zaczyna tłumaczyć łagodniejszym tonem:

- Powiedziałem, że chodzi o blade odcień, Dale. Prawie pastelowy. Jak ostatnio.

- Jest blade.

- Tak, owszem, jest blade, ale chciałem, żeby był naprawdę intensywny, do cholery!

Łysiejący mężczyzna, który niesie tacę z rozmokłymi ciastkami, zatrzymuje się, żeby spojrzeć na zatoczkę, zapewne mając własną wizję na ten temat.

- Chciałem, żeby to było w cholernym odcieniu ostróżki! - ryczy Greg.

Ben natychmiast otwiera szeroko oczy i wykrzywia twarz, która przybiera coraz głębszy, subtelny, ale jednocześnie cholernie intensywny odcień fuksji.

Nie zdawałam sobie sprawy, ile potrzeba osób, żeby zrobić zdjęcie dziewczynie w opadającej bezwładnie sukience na ramionach.

- Chcieli błyszczące usta - opowiada specjalistka od makijażu w garderobie wypełnionej różnymi osobami, pracowicie strzepującymi wyroby z dzianiny. - Powiedziałam, że nic z tego. Nie bawię się w takie rzeczy. Jeśli chcecie mieć błyszczące usta, wynajęliście absolutnie nieodpowiednią osobę.

- Koszmar - zgadza się fryzjer. Ma trójkątne baczki i wczesuje coś podobnego do śluzu z nosa - być może surowicę - w marmoladowe włosy modelki. - Starasz się tylko wykazać kreatywnością i chcesz mieć coś do powiedzenia.

Kilka kobiet z niedowagą mruczy życzliwie, okazując swoją dezaprobatę, i stara się wykonać niecierpiące zwłoki zadanie, polegające na ułożeniu naszyjników na zagraconym stole w idealne owale. Niewykluczone, że to asystentki Elizy: specjalistka od butów czy szefowa dodatków.

Ben miauczy nieśmiało ze swojego fotelika.

- Twoje? - pyta fryzjer. - Musi być uroczo mieć dziecko.

- Och, i tak jest.

- Aha. Tak czy inaczej, myślałem, czy może roztrzepać mu włosy, żeby sprawiały naturalne wrażenie, i tak utrwalić, co o tym myślisz?

- Myślę, że Ben jest na to za mały - mówię.

Moi rodzice usadowili się na sofie w kształcie litery L. Mama zwinęła się na czarnej skórze, wtulając się w jej marszczenia, jakby to było gniazdo. Zabawia się leżącymi na nieporządnym stosie kartami modelek, z których każda zawiera ujęcie głowy dziewczyny z przodu i najróżniejsze pozy na odwrocie. Może tu palić bez ograniczeń i wypuszcza tak Szybko dym, jak-



by uczyła się gwizdać. Dale przynosi moim rodzicom kawę w giętkich plastikowych kubkach.

- Mamo - mówię. - Trzeba nakarmić Bena.

- Och. Możliwe, że mam w torbie trochę cukierków.

- On nie je cukierków. Ma swoje mleko. Muszę je podgrzać. -Chciałam ją poprosić o odszukanie kuchni, kiedy ja będę zabawiać Bena, ale postanawiam nie korzystać z jej pomocy. Może zapędzić się na dwór i rzucić jego butelkę do kanaru albo, jeśli uda się jej zlokalizować źródło gorącej wody, podgrzeje butelkę do takiej temperatury, że Ben poparzy sobie przełyk. Czasami zastanawiam się, jakim cudem przeżyłam dzieciństwo bez poparzenia czy jakiegoś innego straszliwego wypadku. Idę z Benem do recepcji, żeby zapytać, gdzie mogę podgrzać butelkę.

- Słucham? - dziwi się dziewczyna, poprawiając swoje kitki.

- Mleko dla dziecka.

Krzywi się, jakbym poprosiła ją o wyciśnięcie mleka z jej własnych, sterujących w górę piersi.

- Hm, nie wiem. Może potrzymaj butelkę pod suszarką do rąk?

- To nie... - zaczynam, ale ona już wróciła do pilnych porządków w swoim piórniku z Gonkiem.

Niosę Bena, teraz już zrozpaczonego, do garderoby. W popielniczkę są wetknięte cztery zapalone papierosy. Tu musi być jakaś kuchnia. Co z kuszącymi przekąskami, o których mówiła Eliza? Tace zjedzeniem pojawiają się na moment, po czym łysiejący mężczyzna szybko je wynosi do innego studia.

- Biedne dziecko - mówi modelka. - Co mu jest?

- Może go coś boli - podpowiada specjalistka od makijażu. -Może ma infekcję ucha, niemowlakom chyba się to zdarza? Nie sączy się ropa?

Biorę Bena na ramię i delikatnie kołyszę.

- Faj, zwymiotował - mówi modelka.

Redaktor naczelna cała w kolczykach wyciera mój sweter kłębkami waty, zostawiając pasmo białych kłaczek. Przy każdym wdechu brzuch Bena jest zasysany mocno do środka. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby niemowlę doświadczyło implozji z czystego żalu.

- Jest tu jakiś czajnik? - pytam z desperacją.

Modelka pije czarną kawę przez słomkę, żeby nie zniszczyć warstwy szminki, i wskazuje róg stołu. Najwyższa kapłanka od wyrobów pończoszniczych próbuje - bez powodzenia - wetknąć wtyczkę czajnika do gniazdka.

Pies skowycze, drapiąc betonową podłogę. Greg głośniejszą nastawia muzykę. Choć czajnik został włączony, raczej nic się nie dzieje. Żeby zatkać Benowi usta - oczekując, że natychmiast odrzuci takie rozwiązanie - wciskam mu do buzi butelkę. Pociąga na próbę, krzywi się z obrzydzenia, ale potem stwierdza, że zimne mleko jest lepsze niż żadne.

- Zaczynamy imprezę - mówi Greg. Tańczy, a jego ręce podskakują jak dętki na wodzie. - Gdzie moja modelka? Fern, jesteś gotowa?

Fern wychodzi z garderoby, uśmiechając się słabo.

- Myślałam, że będzie jeszcze facet. Czekaliśmy na jakiegoś faceta, prawda?

- Tu jest - mówi Greg, wskazując na Bena.

- Chodziło mi o dorosłego faceta.

- Nasz model się nie zjawił - wyjaśnia Eliza. - Gra w zespole, w ogóle nie jest zainteresowany pozowaniem. Właściwie to mieliśmy wielkie szczęście, że udało się nam z nim umówić.

Jak dla mnie to dziwne pojmowanie szczęścia, skoro ten facet nie raczył się pojawić. No ale przynajmniej zgodził się wziąć udział w tych zdjęciach. Wygląda na to, że Eliza jest wdzięczna i za to.

- Poczekajmy jeszcze pół godziny - mówi. - Pomysł jest taki, że ma być dziewczyna, facet i dziecko. Lekkie wyuzdanie.

- Wyuzdanie? - pytam. To słowo nie padło, kiedy Eliza po raz pierwszy wspomniała o zdjęciach.

- Pomysł jest taki, że są odstrojeni i odurzeni, ale mają wszystkiego dosyć, bo utknęli w domu z dzieckiem.

- Mogli załatwić opiekunkę - stwierdzam.

- Nie traktuj tego dosłownie. Chodzi po prostu o taki stan. -I co Ben ma mieć na sobie na czas tego wyuzdania?

- Jego ubranie jest trochę niemodne. Tylko pieluchę, tak myślę. Nie chcemy, żeby zasikał sukienkę. Rozbierz go, kiedy będziemy czekać na naszego modela...

- Bierzemy się do roboty - mówi Greg. - Nie zamierzam czekać na tego dupka.

Dale, który drepce obok mnie, młóci szczękami ciasto.

- Ten facet nie jest właściwie modelem - wyjaśnia - ale oni wszyscy tak mówią, wiesz? Masz fajnego dzieciaka.

- Dlaczego tak mówią? - pytam.

Dale wzrusza ramionami. Może chodzi o to, że jest coś wstydliwego w zarabianiu na życie tylko swoim wyglądem, który nie jest twoją zasługą. Kod genetyczny został ci przekazany przez rodziców, na dobrą sprawę więc twoje zarobki powinny zostać przekazane prosto twojej mamie i tacie. Może dlatego modelki i modele chętnie powtarzają, że nie jest to ich główne zajęcie. Nie da się tak zrobić z macierzyństwem - nie da się udawać, że to twoje dorywcze zajęcie. Dziecko na pewno wie, kto jest jego matką. Nie możesz zachowywać się jak zwykła opiekunka, która się zmyje, ściskając w garści dwie dychy, kiedy prawdziwa mama razem z tatą wróca chwiejnym krokiem z pubu.

Fern stoi wyczekująco przed niebieskim tłem, z odpowiednio ułożonymi rękami na przyjęcie dziecka.

- Mamusiu - mówi Greg, pstrykając palcami. - Jesteśmy gotowi.

Zostałam uniwersalną mamusią, pozbawioną imienia, a jak się nad tym zastanowić, również obiecane koziego serka w cieście.

- Teraz śpi.

- Jak długo będzie spał?

- Godzinę, może dłużej. Zwykle zasypia przed południem po butelce, choć czasami trzeba go najpierw pobujać w wózku, a potem...

- Mamusiu, to jest plan zdjęciowy. Jesteśmy gotowi.

Choć akceptuje się sytuację, że dorosły facet w ogóle nie zjawia się w pracy, ośmiotygodniowe niemowlę nie może sobie pospać w czasie na spa-

nie. Podaję Bena Fern. Mały na moment otwiera oczy, najwyraźniej zadowolony ze swojej zastępczej matki.

- Tak jest do kitu - mówi Eliza. - Potrzebujemy faceta. Weźmy kogoś w zastępstwie, jakiegoś dowolnego faceta, żeby Greg mógł sobie uzmysłwić, o co w tym wszystkim chodzi.

- A o co chodzi? - mamrocze mama, rozrzucając popiół na kartę jakiejś modelki.

- Może ten stary grubas? - proponuje Dale.

- Pozwoli pan? - pyta Eliza mego ojca. - Tylko na chwilę.

Prowadzi tatę przez studio, jakby był wózkiem z supermarketu, w dodatku z zepsutym kółkiem, i ustawia go obok Fern. Tata mruży oczy w świetle reflektorów. Ma na sobie stare sztruksy z wytartymi kolanami. W zestawieniu z Fern wygląda na sto trzy lata.

- No i dobrze - mówi Eliza. Tata uśmiecha się niepewnie.

- Całkiem nieźle - zgadza się Greg. - Przysuń się trochę bliżej do niej, tatuśku.

- Super, że wygląda tak nieswojo - szepcze Eliza.

Aż się we mnie gotuje. Ben zapadł się w ramiona Fern i zaczynają mu się zamykać powieki.

- Mamusiu - rozkazuje Greg. - Zrób coś, żeby dziecko nie spało.

Klaszczę w ręce. Powieki Bena drżą, a potem stanowczo się zamykają.

- Śpiewaj - komenderuje Greg. Ale co? *Twinkle, Twinkle* nie jest wystarczająco pobudzające. *Stary Macdonald* zwykle siedzi ci w głowie jeszcze przez kilka tygodni, jeśli nie zachowasz ostrożności, ale odchrząkuję i zaczynam:

*Stary Macdonald farmę miał, ija ija o.*

*I na tej farmie miał on...*

Przez moją głowę przelatuje całe podwórko: koguciki, prosiaki i kucyki, które chóralnie pieją, kwiczą i parszczą. Co wybrać? Nie mogę się zdecydować.

dować, nie po czterech godzinach snu. Będę musiała porozmawiać z Jonathanem o zafundowaniu sobie nocy w hotelu.

- Mamusiu? - mówi Greg. - Jesteś z nami?

Piesek ujada. Z odległego kąta dobiega drżący głos Dale'a:

*I na tej farmie miał on psa, ija ija o.*

*Hau, hau tu, wrr, wrr tam,*

*Tutaj wycie, tam warczenie,*

*wszędzie słycać ujadanie.*

*Stary Macdonald farmę miał, Ija ija o.*

Ben się wzdryga. Błyska gałka oczna, uśmiech przebudzenia.

- Przysuń się teraz bliżej, tatuśku - komenderuje Greg. - Oprzyj się na niej. Obejmij ramieniem w pasie. Spójrz na nią. Spójrz na mnie.

Oczy taty obracają się na wszystkie strony, jakby sterowane dżojstikiem. Ben uśmiecha się do obiektywu, jakby to była wybrzuszona, pełna mleka pierś. Tata wpatruje się w mamę, błagając o pomoc.

- Zrelaksuj się, tatuśku - namawia Greg. - Wyobraź sobie, że jesteś marionetką, która uwolniła się od sznurków.

Tacie trzęsą się kolana. Postarzał się przy Fern, zupełnie opadł z sił. Drzwi studia otwierają się na oścież. Model pojawił się w samą porę, żeby zrobić zdjęcia z Benem. Wiem, że to ten model, bo ma ze sobą portfolio i gitarę.

Tata jest tak wyczerpany, że muszę pomóc mu zapakować się do taksówki. Kolana strzelają mu denerwująco. Mama kurczowo trzyma serek kozi w cieście, owinięty w zatłuszczoną serwetkę. Dale przypina pasem fotelik z Benem do tylnego siedzenia.

- Bardzo mi się podobało, jak śpiewałeś - mówię mu. - Świetnie szczerkasz. Lubisz psy?

- Nie znoszę - odpowiada.

Zamierzam powiedzieć Jonathanowi o zdjęciach, kiedy tylko wraca do domu, ale on chyba nie ma ochoty słuchać.

- Minimalizm umarł - cytuje sucho „InHouse”. - Ludzie zwariowali na punkcie ekscentrycznych kwiecistych motywów po tylu latach dobrego gustu. Czas kupić perkal.

- Jestem pewna, że do tego nie dojdzie - zapewniam go. -Ktoś to zwyczajnie wymyślił.

Kładzie magazyn na wypolerowanej podłodze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Płacą im za to, żeby lać wodę. Sama robiłam coś takiego przez dziesięć lat.

Pociąga łyżek wina. Przezrok z kawałkiem, od kiedy jesteśmy razem, linia włosów przesunęła mu się do tyłu. Zauważam tę różnicę tylko wtedy, kiedy patrzę na zdjęcie, które przysłał na moje ogłoszenie. Wyglądał na miłego człowieka, którego nic nie rusza.

- Dlaczego mieliby zmyślać, skoro jest tyle prawdziwych rzeczy, o których można pisać? — pyta.

- Prawda nie jest wystarczająco porywająca. - Gdzie ja to słyszałam? Od Chase'a, mojego dawnego naczelnego. Oddałam mu kawałek o pewnej kobiecie, która żyła wyłącznie na rumie i lodach z rodzinami. Byłam z tej historii wyjątkowo dumna -zawierała ten zasadniczy czynnik „dzięki Bogu, to nie ja” - i tanim kosztem, tylko za pudełko lodów, plus wafelki, zdołałam dotrzeć do dobrej strony tej kobiety.

- To za mało - narzekał Chase, kiedy wręczyłam mu artykuł.

- Hm, ja uważam, że to dość ekstremalne. Pomyśl, jak to się odbije na jej jelitach. Trudno to uznać za normalne.

- Nikt z ludzi opisywanych przez „Lucky” nie jest normalny, Nina. Potrzebujemy jakiegoś pieprzyka. Wiem... - Za chwilę miałam się przekonać, dlaczego Chase jest naczelnym najlepiej sprzedającego się w Wielkiej Brytanii tygodnika, a ja tylko skromną reporterką. - Napisz, że budzi się w nocy, czując znajome pragnienie zjedzenia czegoś kremowego i słodkiego... Jej mąż śpi. Ona wie, że źle robi, ale nie może się powstrzymać. Naciąga na nocną koszulę podomkę i wykrada się do... do...



- Do lodówki - podpowiadam.

- Do całodobowego Tesco. To dopiero zdjęcie! Ubrana w kwiecistą podomkę wymyka się z supermarketu z dużym pudłem lodów pod pachą.

Jonathan jednym haustem opróżnia kieliszek.

- Nie mogę uwierzyć, że manipulował ludźmi w ten sposób.

- On tego nie zrobił, tylko ja. Wzięłam nawet ze sobą nylonową podomkę z marszczeniami i tasiemką przy szyi. Powiedziałam, że taką mamy w „Lucky” politykę, żeby zapewnić ubrania.

Jonathan wpatruje się ponuro w „InHouse”.

- Może tak się robiło w twoim piśmie. W tego typu magazynach tak nie robią.

- Oczywiście, że robią. Nie mogą co miesiąc pokazywać mieszkań takich jak twoje. Udają, że wszystko się zmienia, jak moda.

- Nasze - poprawia Jonathan. - Mieszkań jak nasze. - Ma ciężkie powieki. Odstawia kieliszek na podłogę i przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce na sofie. - Chodź tu - mówi, poklepując miejsce obok siebie.

Owijają się wokół mnie i czuję na szyi jego ciepły oddech. Ręka wędruje pod mój T-shirt, błądzi po moich piersiach. I choć Ben nie zbliżał się w te rejony od kilku tygodni, natychmiast w mojej głowie formuje się obraz ust dziecka. Jonathan i ja jeszcze nie zaczęliśmy na nowo ze sobą sypiać. Do tej pory powinniśmy już to zrobić. *Opieka nad niemowlęciem*, gdzie wspinałomyślnie poświęcono półtorej strony dobru rodziców i trzysta siedemdziesiąt siedem wychowywaniu dziecka, twierdzi: *Możecie podjąć na nowo współżycie po badaniu lekarskim, sześć tygodni po porodzie.*

Nie ma powodu, żeby tego nie robić, a przynajmniej spróbować i zobaczyć, jak będzie. Doktor Strickland zapewnił mnie, że moje szwy goją się cudownie, ale mimo to boję się, że na widok nagiego dorosłego faceta wszystko znowu się rozejdzie. Czytałam, że młodzi rodzice powinni *chwycić okazję, nawet gdyby to było w środku nocy. Nieważne, jak bardzo chce się wam spać, dzięki seksowi możecie odbudować więź, jaka łączyła was jako kochanków, i nie będziecie tylko młodymi rodzicami.* Jednak jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby Jonathan był zachwycony taką pokrętną terapią, nawet gdybym miała na to ochotę.

- Jesteś spięta - mówi. Zastanawiam się, ile czasu zajmie jego palcom, żeby pobudzić przeciekające zawory z mlekiem. *Opieka nad niemowlęciem* rozumie rezerwę młodej matki: *Podświadomie możesz obawiać się ponownego zajścia w ciążę. Upewnij się, że możesz ufać swoim metodom antykoncepcji.* Prezerwatywy: strasznie dużo nam z nich przyszło przed rokiem. Druga ręka Jonathana pnie się nieśmiało w górę mojej spódnicy. *Zróbcie sobie nawzajem zmysłowy masaż - radzi poradnik - z aromatycznymi olejkami, jak ylang-ylang i tuberoza. W przełamaniu się może ci pomóc zbadaanie pochwy palcami czy nawet dokładne przyjrzenie się jej za pomocą lustra.* Obecnie wystarczająco mnie przeraża widok mojej twarzy.

- Wszystko w porządku? - pyta Jonathan.

- Dziwnie się czuję.

- Dlaczego?

Chcę powiedzieć: „Od czego mam zacząć?”. Ledwie pamiętam, o co w tym wszystkim chodzi. Jak wyglądał seks, zanim sperma przedostała się przez dziurę w tej beznadziejnej beżowej gumce, moje piersi zamieniły się w balony, a na brzuchu pojawiła się kręta linia? Nie przypominam sobie, żebyśmy robili to często. Nie musieliśmy. Wystarczył raz.

- To nie w porządku, że będziemy w tym samym pomieszczeniu co Ben - mówię. - Może coś zobaczyć.

- Nie zobaczy. Śpi.

- Może się obudzić.

Jonathan prostuje się i w milczeniu kartkuje „InHouse”. Zatrzymuje się na stronie ze wskazówkami odnośnie do pozbywania się z domu gratów: *Nie postrzegaj tego procesu jako wielkiego wyzwania. Będiesz czuć się przytłoczony i nigdy się do tego nie zabierzesz. Działaj metodą drobnych kroczków.*

Później tego samego wieczoru wracam do fragmentu o seksie z poradnika. *Nie ma powodu, żeby się spieszyć z powrotem do seksu obejmującego penetrację. Niezależnie od odczuwanego podniecenia, krocze może być nadal bardzo wrażliwe i obolałe.*

Fakt, że w ogóle wspomniano o kroczu, potwierdza, że młoda matka może lepiej się bawić, usuwając sobie zęby.

## 6

### Wprowadzamy pokarmy stałe

Jonathan przyniósł talerz z dwoma croissantami i kawę. To była miła niespodzianka - obudzić się i mieć łóżko tylko dla siebie. Przez chwilę zmagalam się z sennym koszmarem, w którym zgubiłam Bena w parku razem z moimi kluczami od frontowych drzwi, ale zaraz przeszłam gładko do fantazji z flanelową pidżamą.

- Dzwoniła Eliza - mówi Jonathan. - Mówiła coś o tym, że zdjęcia wyszły świetnie i są dokładnie takie, jakie chciała. Jakie zdjęcia?

Wgryzam się w croissanta, zasysając masło.

- Pewnie chodzi o zdjęcia z Kuby. W zeszłym tygodniu była w Hawanie. Narzekała, że nie może znaleźć zaniedbanego budynku, który by wyglądał dostatecznie kubańsko.

Jonathan się śmieje.

- To zabawne, że się przyjaźnicie. Jesteście takie różne.

- A wiesz, co jest jeszcze dziwniejsze? Właściwie to jesteś w jej typie. Nigdy byś nie pomyślał, co?

- A jaki jest jej typ?

Jak to ująć? Eliza lubi konwencjonalnych mężczyzn. Nic nie podnieca jej bardziej od wypolerowanych czarnych butów, zapinanej na mosiężną sprzączkę aktówki i wieczornej gazety wetkniętej pod pachę. Uwielbia facetów pracujących w banku, ale ma również słabość do prawników, bibliotekarzy, programistów komputerowych (dopóki nie mówią o swojej pracy); właściwie to ma słabość do wszystkich zawodów, których wykonywanie

wiąże się z cichym otoczeniem i poważnymi, dorosłymi ubraniami. Kiedy gdzieś wychodzimy, ogląda się za każdym ciemnoszarym garniturem. Może działa to na nią kojąco po dniu pracy wypełnionym dziwacznymi kolorami.

Niestety tego typu mężczyźni rzadko reagują dobrze na Elizę, która ma słabość do krótkich, obcisłych sukienek wyglądających jak bielizna - zupełnie jakby w trakcie ubierania się rozmyśliła. Coś podobnego spotyka młode matki, tylko na innej płaszczyźnie: zaczynają zdanie i zapominają, co chciały powiedzieć.

- Chcesz powiedzieć, że lubi konwencjonalnych mężczyzn? -pyta Jonathan.

Myślę o krawacıarzach, z którymi Eliza próbuje nawiązać znajomość. Ulatniają się pod pretekstem skorzystania z toalety, po czym zjawiają się z posiłkami w postaci dziewczyn w pastelowych bluzkach. Do sypialni napływają poranne aromaty. Najwyraźniej Jonathan nie marnował czasu. Nie słysząc brzęczenia stojaczka z zabawkami, co sugeruje, że Ben został nakarmiony i ukołyszany do snu.

- Nie jesteś konwencjonalny - mówię.

- Ale noszę garnitury.

- Bo musisz.

- Lubię w nich chodzić. Chodziłbym w nich, nawet gdybym nie musiał.

Tak, wiem o tym. Piątki, kiedy nie trzeba być w krawacie, wprowadzają Jonathana w stan niepokoju. Ewakuuję się z sypialni, kiedy przegląda swoje koszule polo, strzepując je przed wielkim lustrem. Urodził się, żeby chodzić w garniturze. Constance pokazała mi jego zdjęcie z dzieciństwa; pewnie chciała, żebym wiedziała wszystko o jego przeszłości. Na zdjęciu był Jonathan w wieku siedmiu lat, w papierowej koronie na głowie, wciśnięty pomiędzy dwoje tęgich dorosłych. Constance uśmiechała się do zabójczo przystojnego faceta w garniturze - przypuszczalnie ojca Jonathana, choć jego tożsamość nie została potwierdzona, a ja nie chciałam pytać. Jonathan również miał na sobie garnitur i krawat, którego węzeł mocno ścisnął mu szyję.

- Czy to było Boże Narodzenie? - zapytałam niepotrzebnie, ponieważ na pierwszym planie był błyszczący indyk i opakowanie po prezencie gwiazdkowym.

Odkładałam talerz na kolana i poślinionym palcem zbieram okruszki croissanta.

- To, że chodzisz w garniturze, nie oznacza jeszcze, że jesteś... - Moją głowę opuściły wszelkie logiczne myśli.

- Kim jestem? - pyta Jonathan.

- Jesteś świetnym tatą.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Chodzi o to, jak się zajmujesz Benem i ile masz cierpliwości. Dużo więcej niż ja. O to, że on cię kocha.

Jonathan zabiera mój pusty talerz i strzepuje okruszki croissanta z kołdry.

- Wiem, że mnie kocha. To wszystko, co mówi.

Beth i Matthew wybrali restaurację. Zastanawiam się, dlaczego z siedmiu par, z którymi chodziliśmy na zajęcia szkoły rodzenia, utrzymujemy kontakt właśnie z nimi. Biję od nich takie zadowolenie z siebie, że wokół ich głów niemal można dostrzec unoszące się różowawe chmurki. Po urodzeniu Bena Beth zaczęła do mnie dzwonić, dopytując się, czy sobie radzę, a potem przechodziła do szczegółowych opowieści, jakie wszystko jest łatwe. Miała nade mną przewagę: jej córka Maud urodziła się cztery dni przed Benem.

- Wszystko zależy od podejścia - przypominała mi. - Spokojna mama, spokojne dziecko.

Beth była najlepsza w ćwiczeniach relaksacyjnych: oddychała jak miech, zupełnie jakby była gotowa urodzić na macie z morskiej trawy naszej nauczycielki. Jednak mnie bardziej podobała się gruba dziewczyna, która pachniała puree z groszku, nosiła zaplamioną sosem bluzę i pierwszego dnia oświadczyła, że nie mogła zmusić swojego chłopaka do przyjścia. Siedziała oklapnięta z rozłożonymi udami na batikowej poduszce i zapowiadała, że zamierza skorzystać z petydyny, diamorfiny i wszystkich innych do-

stepnych dóbr. Nie widziałam już jej więcej po tych pierwszych zajęciach, więc zapewne i ona nie mogła się zmusić do tego, żeby ponownie przyjść.

- Mamy szczęście - mówi Beth z uśmiechem wyższości; buja się na krześle, zwrócona twarzą do nabrzeża. Jest ubrana w jasną dzinsową sukienkę z bufiastymi rękawkami i kołnierzem obszytym białymi kwiatkami. Na plecach ma plecak z króliczkiem. Wygląda, jakby wyszła z książki Beatrix Potter.

Restauracja jest zapełniona dorosłymi niedzielnymi klientami. Beth rozpina sukienkę i przystawia głowę Maud do białego stanika z haftem angielskim. Dlaczego ze wszystkich możliwych imion właśnie Maud? Już teraz rozprawiają o tym, do jakiej szkoły posłać Maud, biorąc pod uwagę talenty, jakimi na pewno jest obdarzona. Beth uważa, że może być utalentowana muzycznie, sądząc po tym, jak uderzała w klawisze pianina podczas wizyty u babci w Oxfordshire.

- Mały łakomczuszek - oznajmia Beth, właściwie nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

- Tak jak Ben - mówię. - Zaczęliśmy dawać mu stałe pokarmy.

- W wieku trzech miesięcy? Czy to nie za wcześnie?

- Zaproponowała to nasza pielęgniarka środowiskowa. Powiedziała, że odrobina urozmaicenia nie wyrządzi żadnej szkody. -Lubią ją. Ma rzeński akcent z Irlandii Północnej i obgryzła Benowi paznokcie, kiedy nie mogłam znaleźć małych nożyczek.

Beth marszczy brwi, przesuwając dłoń po kolosalnym czole swojego dziecka.

- Maud jest karmiona wyłącznie mlekiem z piersi - mówi. - Niewiarygodne, prawda? Całe to ciało urosło na mleku mamusi, prawda, skarbenku?

-Jedzenie Bena jest wyłącznie domowej roboty - wyrzucam z siebie. - Przecierana marchewka, brokuły i w ogóle najróżniejsze warzywa.

- Boże! - wzdycha Beth. - Skąd bierzesz na to czas?

Jonathan nalewa wszystkim wodę z dzbanka. W swej łaskawości nie wyjaśnia, że jeszcze sienie nauczyłam włączać mikser. To on szykuje jedzenie dla Bena; wydaje się zupełnie zadowolony, spędzając jeden wieczór w ty-



godniu na siekaniu i gotowaniu ha parze ekologicznych płodów rolnych, które potem wrzuca do miksera, pakuje w pojemniki do robienia lodu i specjalnie opisane plastikowe torebki, po czym chowa do zamrażarki. Pomagam mu, robiąc na torebkach napisy z artystycznymi zawijasami: MIESZANKA Z GRUSZKI I JABŁKA.

Beth układa Maud na swoich kolanach i z wprawą poklepuje ją po plecach, aż małej grzecznie się odbija. Śpiące dziecko ładuje w foteliku samochodowym.

- Wiecie, myślimy o kolejnym dziecku - mówi Beth.

- Właściwie to nie tak, że się jakoś specjalnie staramy, ale nie, żebyśmy się w ogóle nie starali. Prawda, Matthew?

Matthew i Jonathan byli pogrążeni w rozmowie; omawiali przeznaczenie wszystkich budynków po drugiej stronie rzeki.

- Zobaczymy - chichocze Matthew. - To jak, wiemy już, co zamawiamy?

Nieprzyzwyczajona dojadania poza domem wpatruję się w menu, które przedstawia zbyt wiele możliwości wyboru i wprawia mnie w zakłopotanie terminami, takimi jak „tagine” czy „coulis”.

- A ty, Nina? - ćwierka Beth.

- Nie mogę się zdecydować. Może wezmę żabnicę, ale kurczak w koprze też brzmi smakowicie.

- Chodziło mi o to, czy chcesz kolejne dziecko? Zasysam powietrze. Moje usta wydają się pozbawione jakiegokolwiek formy.

- Nie wiemy, prawda, Jonathan? Jeszcze nie do końca radzimy sobie z jednym. Prawda, Jonathan?

- Tak - mówi, wsadzając nos w menu.

- Denerwujące jest to, że zawsze są tylko dwa czy trzy dania dla wegetarian - zrzędzi Matthew. - Wciskają ci zapiekanekę warzywną i nigdy nie poinformują, co właściwie w niej jest.

- Mogliśmy pójść do restauracji wegetariańskiej - stwierdzam.

- Biorę łososia, ale bez tego sosu pieprzowego - mówi Beth.

- A ty nie jesteś wegetarianką? - Jestem, ale jem ryby.

- I kurczaka - dodaje Matthew.

Beth uśmiecha się i składa kocyk Maud w zgrabny prostokąt.

- To niesamowite, że dziecko dziedziczy najlepsze cechy obojga rodziców - mówi.

Spoglądam na nią. Tłusta cera, która nie doszła do siebie po okresie dojrzewania. Cienkie warkoczyki do ramion. Matthew z kolei ma szczwane usta.

- Wszyscy mówią, że Maud powinna być dziecięcą modelką-dodaje Beth.

- Mnie się to wcale nie podoba, a wam? Małe dziewczynki w lokach. Natrętne matki, które chcą mieć swój udział w sławie.

- To dopiero głupota, co? - Matthew obraca w dłoni kieliszek z winem, inhalując się zapachem.

Wgryzam siew marynowaną oliwkę z rozmarynem.

- Czyż nie są najlepsi? - pyta Beth. - Sami robią marynaty. Ciągłe tu przychodzimy, prawda, Matthew? Maud wzorowo się zachowuje w restauracjach.

Zastanawiam się, czy nie jest to odpowiedni moment, żeby oznajmić, że Ben został zaciągnięty przez swoją żadną sławy matkę do studia, gdzie powietrze było aż ciężkie od dymu papierosowego. Mogłabym dodać, że był rozebrany tylko do pieluszki w przypominającym pieczarę, nieogrzewanym pomieszczeniu, nakarmiony na siłę zimnym mlekiem i tarmoszony na rękach przez obcych, którzy ledwie sobie radzą z czajnikiem. Ciekawe, jak by to zostało przyjęte.

- Czy Ben ma już zarysowaną osobowość? - pyta Beth. Mam ochotę powiedzieć chętnie, że kiedy Ben się obudzi,

zadziwi ją swoim repertuarem żonglerskich trików, ale mamrocze tylko:

- Lubi swój stojaczek z zabawkami.

-Mówisz o jednym z tych krzykliwych, plastikowych wynalazków? Maud ma tylko drewniane zabawki. Czy mówiłam, że potrafi już trzymać kredkę? Naturalnie chłopcy rozwijają się wolniej. Miną całe lata, zanim będzie potrafił usiedzieć spokojnie, łącząc kolejne kropki w książeczce.

Rozważam, czy nie przewrócić kopniakiem stołu razem z błyszczącymi, szklanymi i porcelanowymi naczyniami z czarnym pieprzem i morską solą, ale zapewne by to zwalili na moje hormony.

Ben ma otwarte oczy. Sięgam w dół, żeby wziąć go z fotelika. Mały zaczyna płakać i wyrzuca z siebie całą zawartość żołądka na swoje ubranko i biały obrus.

- O Boże! - mówi Beth, odchylając się do tyłu.

Po torsjach następuje wycie o takiej mocy, że chyba wszyscy w restauracji odwracają się w naszą stronę, zlewając w jedną, gigantyczną, przeżuwaną twarz, i modlą się, żeby natychmiast usunięto to odrażające niemowlę i jego wymiociny.

Przyciskam Bena do piersi, nie zważając na to, że częściowo przetrawiony przecier z brzoskwiń wsiąka mi w koszulkę.

- Musimy iść! - krzyczę.

-Tak, oczywiście - mówi Jonathan. Podrywa się z krzesła, odstawiając pojemnik z pieprzem, i rzuca na stół kilka dziesięciofuntowych banknotów, choć zjedliśmy zaledwie po cztery oliwki.

Rozpalony policzek Bena jest przy mojej twarzy. Podtrzymuję mu główkę, jak robią prawdziwe matki. Wygina się do tyłu, nie chce być na rękach, nie chce też, żeby go położyć. Kiedy pospiesznie zbieramy jego rzeczy i wychodzimy, słyszę, jak Beth mówi do Matthew:

- To wszystko przez te stałe pokarmy, którymi go karmią.

W domu Ben znowu wymiotuje, bryzgając na podłogę zupowatym płynem.

- Bardzo jest rozpalony? - pyta Jonathan.

- Cholernie.

- Chodziło mi o to, jaką ma temperaturę.

Nawet jeśli mamy termometr, nie wiem, gdzie go szukać.

- Szafka w łazience - syczy Jonathan. - Taki mały, biały przedmiot w przezroczystym opakowaniu.

- Nie dam rady tego zrobić - bełkoczę, wracając z termometrem. Ben zawodzi już ciszej. Łka nieśmiało przy szyi Jonathana.

- Czego nie dasz rady zrobić?

- Włożyć mu tego w pupę.

- Boże, Nina, to nie jest podwórzowe zwierzę. Przyłóż mu termometr do czoła.

Ben wtula się w pierś Jonathana. Płacz wzmagą się na nowo, przeradzając się w rujnujący nerwy skrzek, który nie chce ustać, choć Jonathan spaceruje z małym po salonie i pokazuje dwa psy zaangażowane w lubieżny akt na chodniku.

- Przynieś calpol - krzyczy.

- Gdzie mamy...

- W kuchennej szafce po prawej, nad przyprawami, obok filtrów do kawy.

Pędzę do kuchni i odkrywam z podziwem, że Jonathan zorganizował apteczkę pierwszej pomocy - plastry, savlton, bandaże - wszystko porządnie zapakowane w pojemnik wyraźnie opisany: „Apteczka”. Wracam i przystawiam drżącą łyżkę Benowi do warg, spodziewając się, że chciwie połknie jej zawartość. Ale Ben odrzuca głowę do tyłu, najwyraźniej zdegustowany. Próbuję jeszcze raz. Ben rzuca się jak oszalały, łyżka trafia w jego policzek i lepki, różowy płyn leci na mój nadgarstek.

- Przytrzymaj go - mówię, nalewając kolejną porcję. Ben wydziera się jak kot i kopie łyżkę.

- Weźmy go na przejażdżkę - proponuje Jonathan. - To go uspokoi.

- Jedziemy do szpitala.

- Dlaczego? To nie...

- Ma infekcję. - Właśnie: infekcję spowodowaną przez brud i bakterie. Od wdychania dymu papierosowego w studiu Grega. Albo z powodu przebywania w pobliżu cuchnącego kanału, gdzie mieszkają szczury roznoszące mnóstwo paskudnych chorób. Zauważyłam wtedy, że coś kołysze się na wodzie, i założyłam, że to piłka, z której uszło powietrze. Możliwe, że był to gryzoń, od dawna martwy i opuchnięty.

A co z podłogą w studiu, którą drapał i lizał tamten pies, a także załatwiał na nią swoje potrzeby? Oczami wyobraźni widzę zarazki rojące się w żołądku Bena. Jakie straszliwe rzeczy go przez nie czekają? Słyszałam o chorobach spowodowanych przez psie odchody: ślepotą, szaleństwem... Beth

ciągle pisze petycje, żeby wyrzucić psy z chodników i parków, może nawet z całej planety, i nic dziwnego.

A może coś połknął. Jedną ze spinek mamy. Zerwał jej z włosów i zjadł. Nawet by nie zauważyła.

Jonathan pakuje Bena do samochodu.

- Wszystko w porządku - mówi. - Uspokój się już. Spokojnie.

- Czy tak by krzychał, gdyby zjadł coś nieodpowiedniego? - trajkoczę.

- Nie zjadł nic nieodpowiedniego.

- Może jest za mały na miksowane jedzenie. Jego jelita sobie nie radzą.

Czuję się podle, próbując tej taktyki, usiłując zminimalizować podejrzenie, że nasz syn połknął aplikator cienia do powiek lub zakrętkę szminki, które wbiły się mu w ścianę żołądka. Co ja sobie myślałam, fundując dziecku kontakt z ludźmi, którzy martwią się tylko o to, jak wyjdzie zdjęcie?

- Ma coś w brzuchu! - krzyczę, kiedy samochód podskakuje na progach zwalniających. - Będą musieli mu zrobić prześwietlenie. Jak oni to z niego wyciągną?

- Co wyciągną?! - krzyczy Jonathan.

- Cokolwiek to jest. Ten ostry przedmiot. Wyjdzie samo z kupą czy rozkrój ą mu brzuch?

Zapala się czerwone światło.

- On nie ma niczego w brzuchu, Nina. Niczego, co nie powinno tam być.

Wyobrażam sobie wnętrze Bena: maleńki żołądek, śledziona i jelita drżą z wysiłku, żeby wydalić coś zimnego, twardego i błyszczącego.

- Przejrzę jego pieluchy - stwierdzam. - Przejrzę, czy coś tam jest, jak to robią z odchodami sów, żeby znaleźć małe czaszki zwierząt, które zjadły.

- Nina, przestań, proszę - mówi Jonathan. - To pewnie wirus. Może ma rację. Od tamtych zdjęć minęły już ponad cztery tygodnie. Ale to tylko jeszcze zwiększa zagrożenie, ten obiekt na pewno powoli ropieje. Ben warczy jak jakieś elektryczne urządzenie, które za chwilę się zepsuje. Starasz się ignorować te dźwięki i zachowywać normalnie, ale wiesz, że nie jest dobrze; wiesz, że zaraz nastąpią niewytłumaczalne wstrząsy i drgawki, a punktem kulminacyjnym będzie mała eksplozja i okropny smród spaleni-

zny. Potem wzywasz specjalistów, którzy ciężko wzdychają, grzebiąc w brudnych brezentowych torbach na narzędzia i mówią, że istnieją znikome szanse naprawy, a byłyby o wiele większe, gdybyś tylko zadzwoniła godzinę wcześniej. Wcieram łzy w mój T-shirt wierzchem dłoni. Cieknie mi z nosa. Jakim cudem Jonathan jest w tym wszystkim taki dorosły i zorganizowany? Dopiero kiedy w promieniach słońca widzę jego spoconą górną wargą i zauważam, że jedziemy osiemdziesiątką w strefie z ograniczeniem do czterdziestu kilometrów na godzinę, przypominam sobie, że jest zwyčajnym facetem.

7

## Walka z gorączką

Młody mężczyzna z krwawiącym policzkiem pochłonięty jest wściekłą wymianą zdań z automatem z gorącymi napojami.

- To ma być cappuccino?! - krzyczy, ściskając plastikowy brązowy kubek, który niebezpiecznie drży.

Przysiadam na wymodelowanym pomarańczowym siedzeniu. Jonathan tuli Bena, który jest zasmarkany i mokry od łez, ale na szczęście zachowuje się cicho.

- Powiedziałem cappuccino - mówi facet, uderzając płaską dłonią w automat. Płyn w kolorze toffi wylewa się na rękaw jego płaszcza, który wygląda jak przejechany przez traktor. - Cappuccino! - ryczy w przestrzeń. - Strumień pary powinien przelecieć przez mleko, powodując wrzenie i wytworzyć prawdziwą piankę. A tu mamy same siki, które nie są cappuccino. - Kopie maszynę.

- Ostrożnie - ostrzega Jonathan. - Może się pan poparzyć. Facet się odwraca.

- Coś ty za jeden? - warczy. Jonathan spogląda na swój zegarek.

- Pytałem, coś ty za jeden? - powtarza facet.



- Jonathan - odpowiada Jonathan, utkwivszy wzrok w plakacie zachęcającym do karmienia piersią. Kobieta o swobodnie opadających włosach śmieje się z kolegami w kawiarni. Jej dziecko jest zgrabnie wsunięte w top. Żadnych olbrzymich, żylastych piersi czy nabrzmiąłych sutek.

- Fajne dziecko - mówi facet od cappuccino. - Fajna kobieta. Jesteście małżeństwem? Zadbaleś o to, żeby była przyzwoitą kobietą?

- Długo będziemy czekać? - Jonathan pyta recepcjonistkę. Jest zajęta facetem w średnim wieku, który ma na sobie piłkarską koszulkę i krzyczy coś o swoim ścięgnię podkolanowym.

Facet od cappuccino podsuwa mi pod nos kubek z kawą.

- Napij się - proponuje.

- Nie, dzięki.

- Nie dość dobre dla ciebie, co? Znalazła się snobka ze swoim nudnym mężem.

Jonathan kładzie rękę na mojej dłoni. Studiuję plakat przedstawiający metody antykoncepcji: pigułka, wkładka domaciczna, kapturek dopochwo- wy, krążek. Poniżej napisana ręcznie informacja: *PROSZĘ NIE POZWA- LAĆ DZIECIOM BAWIĆ SIĘ AUTOMATEM - GORĄCE NAPOJE.*

- Dobra robota, dziecko jest podobne do matki - gładzi facet od cappuc- cino. - Wiesz, jaką masz twarz, facet? Taką że chce się rzygać, tak, ty, fa- cet, w tym gównianym ubraniu weekendowym.

Jonathan trze rękaw swojej płowej koszuli.

- Przepraszam! - krzyczę. - Mamy małe dziecko. To nagły wypadek.

- Doprawdy? - mówi recepcjonistka, sztywno stukając w klawiaturę.

- Tak. Myślę, że połknął spinkę.

- Tak? - pyta Jonathan. - Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

Pojawia się młody lekarz o mleczej twarzy, najwyraźniej nie ma więcej niż jedenaście lat. Temu dzieciakowi mamy powierzyć usunięcie nieziden- tyfikowanego obiektu z wnętrzości mojego syna? Nie mógł skończyć me- dycyny. Żeby zostać prawdziwym lekarzem, potrzeba co najmniej pięciu lat. Nie zaufałabym mu, nawet gdyby chodziło o przyklejenie plasterka.

W części sali oddzielonej zasłoną Jonathan wymienia objawy, które pojawiły się u Bena. Ben przypatruje się bojaźliwie lekarzowi, świadom tego, że zaraz otworzą mu żołądek.

- Moim zdaniem to zapalenie żołądka i jelit - mówi lekarz. - Temperatura już opada. Trzeba podawać mu schłodzoną, gotowaną wodę.

Ledwo przeszedł mutację. Prawdopodobnie jest prawiczką. Przychodzi taki moment, kiedy zaczynasz zauważać, że jesteś w towarzystwie młodych ludzi, a to oznacza, że już nie jesteś jednym z nich. Używasz takich słów jak „cool” i usiłujesz się z nimi zakumplować, mówiąc: „Masz super...” - po czym milkniesz, bo nie wiesz, jak się nazywa ten konkretny rodzaj spodni.

- To wewnętrzna infekcja - mówi lekarz.

- Co? - warczę.

- Zapalenie żołądka i jelit. Mieliśmy całą falę zachorowań.

- Nie będzie miał prześwietlenia? - wybucham.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiada lekarz. - Ale dobrze państwo zrobili, przyjeżdżając z nim tutaj.

- Chcę, żeby miał zrobione prześwietlenie - protestuję.

- Jest zdenerwowana - mówi Jonathan. - Chodźmy. Kiedy jedziemy do domu, myślę o tym, że wcale nie jest tak źle być starym. Nie musisz włożyć się po zawilgoconych piwnicach pubów, skubiąc zatechłe przekąski, w które zbyt wielu ludzi wtykało palce w drodze powrotnej z ubikacji. Wychowywanie dziecka to jest właśnie to, do czego jesteśmy stworzeni.

Dzięki temu nie bawimy się w głupoty. Zmusza nas, żebyśmy wydorośleli i przygotowywali posiłki składające się z różnych składników.

Jonathan kładzie Bena do łóżeczka. Jest dwudziesta dwanaście.

- Głupio mi - mówię.

- Niepotrzebnie. Wystraszyłaś się. To naturalne.

Jonathan idzie do kuchni, gdzie czeka góra warzyw, z których trzeba zrobić breję z dodatkiem drobno posiekanych ziół z jego nowej skrzynki na oknie. Nie widziałam sensu w babraniu się w kompoście i zajmowaniu baidylastymi roślinami. Co złego w suszu ze słoika? Ale w ciągu kilku tygodni

pojawiły się listki i Jonathan pojawił się z garścią pietruszki, mówiąc, że-  
bym sobie powąchała.

Zakradam się do sypialni. Ben chrapie gardłowo. Facet od cappuccino  
nie miał racji: nie jest podobny do mnie. Nie jest podobny do żadnego z  
nas. Może tak naprawdę wypadł z samolotu.

Odsłuchuję automatyczną sekretarkę. Eliza ma taki głos, jakby wypaliła  
kilka paczek papierosów bez filtra i spała z głową w studziencie ściekowej.

-Gdzie jesteś? - chrypi. - Nigdy nie wychodzisz wieczorem. Słuchaj,  
mamy w pracy górę kosmetyków do makijażu, których nikt nie chce. Kolo-  
ry są trochę śmiałe, ale pomyślałam, że mogą cię trochę ożywić.

- Wszystko w porządku? - dopytuje się Beth. - Szkoda, że nam nie wyszło  
dzisiejsze spotkanie, ale nie martw się, menedżer zachował się naprawdę w  
porządku.

Odtwarza się trzecia wiadomość:

- Halo, Nina? Nie znasz mnie. Jestem Lovely. Z agencji modeli. Słyszeli-  
śmy o twoim synku od Grega Moore'a, tego fotografa. Wygląda na to, że  
mały idealnie by się do nas nadawał. Zadzwoń do mnie, proszę. - Wymie-  
nia najrozmaitsze numery, więc mogę się z nią skontaktować dosłownie o  
każdej porze.

- Kto to jest Greg? A Lovely? - Jonathan stoi w drzwiach do sypialni,  
trzymając wiązkę roślin.

- Nie mam pojęcia. To ktoś od Elizy.

- Chce, żeby Ben był modelem?

Poprawiam Benowi kocyk i sprawdzam czoło: powróciła normalna tem-  
peratura.

- Nie mam pojęcia - mamroczę.

- Ale powiesz jej, że nie jesteśmy zainteresowani?

- Oczywiście. - Moje oczy przywykły do ciemności, widzę policzek: ide-  
alnie okrągły, absolutnie fotogeniczny policzek.

- To wyzysk - dobiega głos Jonathana. - Dzieci przecież nie są w stanie  
wyrazić zgody na ten cały nonsens.

- Wiem.

- Później mogą mieć problemy i potrzebować terapii. -Tak.

Patrzę na Bena oszołomiona. Jak pięknie wygląda, kiedy tak śpi. Nie mogę się powstrzymać i wyobrażam sobie nad jego głową logo: Pampers, a może Cow & Gate.

- Może wybrała zły numer - mówi Jonathan.

- Tak, prawdopodobnie tak.

Idę do salonu. Jonathan wpatruje się w telefon, jakby oczekiwał, że zaraz wykona salto.

- Ale znała twoje imię - mówi.

Niedziela była zaledwie początkiem tego wszystkiego. Ben rzuca się niepokojnie, wypełniając noce eksplozjami wymiotów i bezradnym płaczem. Kopie w barierki łóżeczka niczym niedźwiedź trzymany w niehumanitarnych warunkach i zmuszany do występów przed publicznością. Jego policzki promieniują gniewem i gorącem. Taki sam odcień niezadowolenia przybrała pupa. To zakrawa na okropną pomyłkę w akcie tworzenia - dzieci powinny się rodzić z umiejętnością wyjaśnienia, że nie chodzi o to, że cię nienawidzą, tylko po prostu czują się podle.

Pod moimi oczami pogłębiają się ukośne szare linie. Moje pory się po-  
otwierały i wyglądają jak dziurki w torebce herbaty ekspresowej. Ben zaczął piąstką okładać mnie po twarzy, jakby ta paskudna choroba była moją winą. Każdego ranka, kiedy Jonathan wychodzi do pracy, zaciskam mocno usta, żeby nie błagać go o pozostanie w domu. Jednego dnia, kiedy płacz Bena przewierca mi mózg, nie mogę wymyślić innego sposobu na zaradzenie jego niezadowoleniu jak wezwanie Jonathana z pracy.

- Jest awaria systemu - mówi. - Nie mogę wyjść. Informuję go, że coś podobnego dzieje się w jego własnym domu. Nie mija godzina, jak zjawia się z papierową torbą zawierającą calpol, bo poprzednia partia została rozkopana przez Bena, i pagerem, który brzęczy parę razy, by mi przypomnieć, że powinien być w pracy, ratując system.

Następnego ranka pakuję do torby zapas rzeczy potrzebnych do spędzenia dnia w parku. Na placu zabaw czuć zapach mokrego metalu. Pies obsi-

kuje huśtawkę. Ale przynajmniej Ben zajmie się łabędziami i dzieciakami na zardzewiałych huśtawkach. Jednak nawet skrzypiąca karuzela nie jest w stanie przyciągnąć na długo uwagi Bena. Jego zawodzenie powoduje mnóstwo niechcianych porad - proszek na ząbkowanie, zimna flanela na czoło^ trzeba go trzymać opatulonego w domu, nie w parku, biedne maleństwo - które brzęczą wokół moich uszu, kiedy wracam w pośpiechu do domu, oganiając się od nich jak od much.

Zza ramienia wyrasta mi starsza kobieta; jej głowa z trwałą ondulacją sterczy z zapiętego na guziki płaszcza.

- To ty, która nie karmi piersią - mówi.

Pędzę do domu.

- Jest rozpalony, dlatego płacze - słyszę jej oddalający się głos. - Nie wkładaj mu wełnianych ubrań, kiedy ma gorączkę.

Wyszczierzam do niej zęby; bardzo chcę, żeby sobie poszła. Stoi przy furtce, patrząc na mnie wilkiem.

- Odzyskasz figurę, jeśli będziesz karmić piersią - dodaje, po, czym oddala się w poszukiwaniu innych młodych matek, którym mogłaby doradzić, ściskając swoją torebkę niczym broń.

Przestałam martwić się o moje ciało, nawet o brzuch jak fartuch (tak nazywa go Beth), któremu może pomóc jedynie operacja zwana plastyką powłok brzusznych. Obwisła fałda brzucha wcale nie jest taka zła. Mogę ją zwinąć i wetknąć do majtek. Kiedy Ben chwilowo się uspokaja po zaaplikowaniu butelki, dzwoni telefon. Wiem, że to z jakiegoś biura, bo słyszę w tle wesołą paplaninę dorosłych głosów.

- Nina? - mówi ktoś. - Z tej strony Chase. Pomyślałem, że sprawdzę, czy nadal jesteś wśród żywych.

Wciskam telefon pod brodę, bo Ben zaczyna płakać. Przeciekła mu pielucha i jego pajacyk zabarwił się na pomarańczowy brąz.

- Jak leci? - pytam, usiłując sprawiać przytomne wrażenie.

- Super - odpowiada Chase. - Poszliśmy w górę z nakładem. Przekroczyliśmy sześćset tysięcy. - A więc dzwoni, żeby przechwalać się swoim zwyżkującym nakładem. Słuchawka wbija mi się w ucho, kiedy kładę Bena

na sofie i ściągam z niego śmierdzącą pieluchę. - Zauważyłaś nowe stałe rubryki? - pyta Chase. - Widziałaś ostatnie numery?

- Pobieźnie - kłamię. Po urodzeniu Bena niewiele czytałam. Czasopisma stały się odległymi, zamazanymi plamami krzykliwych kolorów, widywanymi przelotnie za szybami kiosków z gazetami. Beth pożyczyła mi powieść z pastelowym rysunkiem domku na plaży na okładce. Musiałam trzy razy Czytać pierwszy rozdział, bo nie pamiętałam, kim jest George.

- Pomyślałem, że może ci się spodobać - ciągnie Chase. - To nowy pomysł. „Moja operacja”, ze zdjęciami.

- Bardzo odważne - ściemniam.

- Wszyscy tak mówią. Nigdy nie sądziłem, że czytelnicy porobią zdjęcia, nie wspominając już o przesłaniu, ale to zrobili. Przy tym wszystkim, co się tam wyprawia, kiedy z ich ciałami dzieje się Bóg wie co, potrafią dopilnować, żeby na miejscu była ciocia Myra z jednorazowym aparatem.

- Niesamowite - mówię. Trzymam kostki Bena w jednej ręce, drugą energicznie go wycieram. Mam wrażenie, że jego pupa patrzy na mnie wilkiem.

- Zorganizowała to ta nowa dziewczyna, Jess - wyjaśnia Chase. - Zajmuje się reportażami, dopóki nie wrócisz. Jest bardzo zapalona, ale nie potrafi wycisnąć z ludzi wszystkiego, tak jak ty. Kiedy wracasz?

- Nie wiem - mówię. - To zależy od różnych ustaleń.

- Jakich ustaleń? Czy na świecie nie ma nianiek albo żłobków?

- Jeszcze się za niczym nie rozglądałam.

- Słyszałem - ciągnie - o całodobowych hotelach dla dzieci, gdzie je oddajesz, zupełnie jak na wakacjach, i nie musisz się wcale z nimi widywać. Mógłbym podesłać ci jakąś robótkę jako wolnemu strzelcowi?

- Może - mówię, podnosząc Bena i podtrzymując go na biodrze. Mój sweter natychmiast przesiąka ciepłym moczem.

- Dyszysz? - pyta Chase. - Wydajesz się wykończona.

- Mogę do ciebie oddzwonić?

- Jesteś chora? Co to za okropne kocie wrzaski? ~ To tylko dziecko.

- Biedna Nina - mówi. - Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić do pracy?



Nastój Bena nie zdołał się polepszyć do czasu, kiedy zjawiają się Jonathan i Constance. Constance siedzi przycupnięta na sofie, kiedy Jonathan obraca na olbrzymiej patelni płaty ryby. W czasie tego krótkiego czasu jego pager odzywa się dwa razy. Obarczono go odpowiedzialnością za rozwinięcie systemu komputerowego dotyczącego rozliczania tych, którzy są tyle głupi, żeby przystać na prywatny program zdrowotny jego firmy za minimalną opłatą siedem funtów dziewięćdziesiąt pięć pensów miesięcznie (co, jak mi powiedział Jonathan, nie wystarczy nawet na usunięcie drzazgi). Jonathan dostał hojną podwyżkę i ma pod sobą pięcioosobowy zespół. Szef mu powiedział, że musi podwyższyć swoje umiejętności kierownicze i planuje wysłać go razem z grupą podobnych pracowników na kurs szkoleniowy do Bath.

Jonathan rzuca rybę na talerze i przekłada na półmisek gotową sałatę. Jeszcze do niedawna nasza sałatka zawierałaby kuszące dodatki: zblanszowany groszek czy opiekane nasiona sosny.

- Jeśli nie sprawdzisz danych - wyjaśnia koleźce Jonathan - całe to cholerstwo się zawali.

Kładzie swój pager na stole, żeby mógł się na nas gapić. Constance dzwoni w talerzu i pyta:

- Co jest w tej sałacie?

- To nie sałata - mówię jej. - To radicchio.

- To taki rodzaj cykorii - wybucha Jonathan.

Constance posyła mu takie spojrzenie, jakby nastąpił jej na duży palec u nogi, i odsuwa liście radicchio na brzeg talerza.

Akcja z pagerem ciągnie się przez całą noc. Kiedy do sypialni zaczyna wkradać się światło dzienne, Jonathan jest już w pracy. Ben przez jedną trzecią nocy rzucał się ze złością, ale teraz śpi jak mały model reklamujący materac o wspomagających sen właściwościach. Zamiast budzić go i walczyć z jego paskudnym, wywołanym chorobą nastrojem, kusi mnie, żeby wrócić do łóżka i udawać, że zapomniałam o umówionym spotkaniu w Little Lovelies.

Taksówka zajeżdża pod agencją parę minut po dziesiątej. Energiczny, elegancki głos Lovely sprawił, że oczekiwałam olśniewającego biura z oknami od podłogi do sufitu i pracownikami, którzy mają obowiązek się uśmiechać i przesiadywać na aksamitnych sofach. Ale wygląda na to, że czołowa brytyjska agencja modeli dziecięcych rezyduje w zwykłym bliźniaku z łukowatym frontem. Niczym nie odróżnia się od innych przygnębiających budynków przy ulicy, z wyjątkiem niechlujnego, biało-niebieskiego szyldu z napisem wykonanym w stylistyce zaproszenia weselnego: LITTLE LOVELIES.

- Tak? - trąbi jakiś głos przez interkom.

- Przyszłam do Lovely. Jestem umówiona z nią na spotkanie.

Drzwi otwierają się i w mój podbródek wpatruje się przysadzista kobieta. Ma opaloną samoopalaczem twarz i dołki w policzkach. Wygląda jak mandarynka.

- Lovely rozmawia teraz przez telefon - mówi od niechcienia. - Proszę się rozgościć.

Zostawia mnie w holu wielkości stołu jadalnego na składanym drewnianym krześle. W pomieszczeniu czuć zapach farby. Na ścianie wisi trochę przekrzywione, zapakowane w ramkę ze spinaczy zdjęcie oszołomionego dziecka w wełnianym pajacyku, być może wydzierganym przez Constance. Ben wierci mi się niespokojnie na kolanach. Od jego pupy unosi się intensywny zapach. Oczywiście wyszłam z domu bez pieluch i nawilżających chusteczek. Idę obadać pomieszczenie z napisem TOALETA, ale znajduję tylko dozownik zielonych papierowych ręczników.

- Witaj, Nina. - Lovely wyłania się zza drzwi toalety. Ma na sobie morelowy bliźniak, który nadaje jej twarzy wygląd brzoskwini. Jest w odcieniu plastra wodoodpornego. - Cieszę się, że nas znalazłaś - mówi. - Pozwól, że cię zapytam. Wiesz coś o tej branży?

- Niewiele - odpowiadam, idąc za nią z holu do salonu, który wydaje się centrum świata modeli dziecięcych. Trzy kobiety równocześnie prowadzą rozmowy telefoniczne. Pokój jest zdominowany przez ogromne zdjęcia: mała dziewczynka z włosami zebranymi z boku w kitkę wykonuje dygnię-

cie; zadowolony z siebie chłopiec wgryza się łapczywie w loda w czekoladzie.

- Naprawdę? - mówi kobieta mandarynka. - To niepodobne do Nicholasa, żeby robić sobie wolny dzień. - Odkłada słuchawkę. - Nicholas Horley. Ten z reklamy produktów Organica. Chwycił w garść otwartą puszkę przecieru jabłkowego i odciął sobie końcówkę małego paluszka. Najwyraźniej nigdy już nie będzie można zdjąć z tego palca linii papilarnych.

Lovely wzdyga się w udawanym bólu, aż grzechocze lekko jej potrójny sznur pereł.

- Hm, jak to mówią abys miał pracować z cudzymi dziećmi -chichoczę.

- Och, to sama przyjemność - mówi Lovely. - Nasi modele są bardzo profesjonalni.

- Nie tak jak ich rodzice - dodaje kobieta mandarynka.

- Właśnie. - Lovely przygląda mi się pobieżnie, jakby miała ocenić moją grę na pianinie. - Widzisz, to, czy Ben odniesie sukces jako model, czy zostanie gwiazdą nie zależy tylko od jego uroku, ale od ciebie.

- Ode mnie? - chrypię. Ben zaczyna płakać. Unoszę w górę kolana, przyciskając go mocno do brzucha.

- Wszystko zależy od podejścia rodziców - kontynuuje Lovely. - Zwykle matki pojawiają się na planie z dzieckiem w brudnych śpioszkach, bez zapasu pieluch.

Działalność telefoniczna zamiera, kiedy trzy pary oczu kierują się na mnie.

- Matka profesjonalistka przykłada dużą wagę do wyglądu swojego dziecka.

- Naturalnie.

-I do swojego wyglądu też.

Patrzę na moje buty. Nie jest to obuwie profesjonalnej matki. To są buty do parku. Materiał wytarł się na jednym palcu, odsłaniając coś jakby tekturę.

Ben znudził się już bujaniem na kolanach i sięga po splątane kable telefoniczne obok biurka.

-Nie spodziewam się, masz nadzieję, że zbijesz na tym fortunę - mówi Lovely. - Z tego biznesu nie wyciąga się zbyt wielu pieniędzy, no chyba że jest się jednym z nielicznych szczęśliwców.

- Robimy to tylko dla zabawy - twierdzą uparcie.

Lovely rozszerza nozdrza, być może, żeby zainhalować się zużytą pieluchą Bena.

- Pozowanie powinno być zabawą. Zdjęcia wychodzą tylko wtedy, kiedy dziecko dobrze się czuje w studiu. Ale proszę -przebiera perły palcami - nigdy nie spóźniaj się do pracy. Możesz być kwadrans wcześniej, nigdy sekundę za późno.

Kiedy wychodzę na podmiejską ulicę, uświadamiam sobie, że ani nie zamówiłam taksówki, która zabierze nas do domu, ani nie zrobiłam nic z cuchnącą pieluchą mojego syna. Powinnam być na siebie wściekła, może nawet płakać, ale zamiast tego wyobrażam sobie Bena w tamtej reklamie produktów Organica: otwiera usta na żądanie i nie robi nic nieprzewidzianego z zapomnianą puszką. „Organica - słyhać głos. - Czy twoje dziecko nie zasługuje na to co najlepsze?"

Zaczynam iść, wymachując fotelikiem samochodowym Bena jak torebką. Zatrzymuje się czarna taksówka.

- Była pani w tej agencji? - pyta kierowca, kiedy gramolę się do środka. Ma kark brązowy i pomarszczony jak skórka kiełbasy.

- Zgadza się. Little Lovelies.

- Tak myślałem. Jestem pewien, że już gdzieś widziałem pani dziecko. W tej reklamie, gdzie tata gotuje obiad, a dziecko rozwija rolkę z kuchennymi ręcznikami i się w nie zaplątuje? Coś takiego?

Patrzę na bliźniaki o łukowatych frontach. Bulwiaste, pękate domy. Rodzinne domy z tykającymi zegarami i cicho osiadającym kurzem.

- Wygląda słodko w tej reklamie - mówi kierowca.

- Dziękuję - odpowiadam. - Poszło mu całkiem nieźle. Wszyscy mówią, że jest naturalny. - Skrećamy na główną ulicę; bliźniaki ustępują rozklekotanym warzywniakom, w których kapusta więdnie w wyziewach ruchu

ulicznego. Ben gapi się na napis informujący o zakazie palenia w taksówce, wykończony wizytą u Lovely.

- Nie można pragnąć niczego bardziej od ślicznego dziecka - mówi kierowca. - My z żoną staraliśmy się przez prawie dziesięć lat. Przeszliśmy tyle krępujących zabiegów z próbkami.

Na chodniku kobieta w olbrzymim T-shircie z Garfieldem tłucze swojego syna po tyłku. Mały ucieka, a ona wymachując ręką, biegnie za nim do sklepu dla psów oferującego LECZNICZE PŁYNY

DO KĄPIELI PRZECIWPHELNYCH I FOTOGRAFIE TWOJEGO ULUBIENCA WYKONANE PRZEZ PRAWDZIWYCH PROFESJONALISTÓW.

- Zadowoliliśmy się chihuahua - mówi taksówkarz. - Jest jak dziecko, naprawdę. Nie śpi w nocy, ładuje się do łóżka, chodzi za moją żoną do toalety.

W radiu jakaś kobieta właśnie wygrała sto tysięcy funtów i wrzeszczy. Powtarza, że nie może w to uwierzyć. Mówi prowadzącemu program, że to zmieni jej życie. „Przeprowadzimy się w głąb Essex” - opowiada. Prowadzący śmieje się protekcjonalnie.

- Szczęściara - mówi kierowca.

- Wiem, szczęściara ze mnie - potwierdzam.

## 8

### Figura po ciąży

Nie mając żadnych planów na resztę dnia, wracam do domu i odsłuchuję Wiadomość od Jonathana: „Gdzie jesteś? Myślałem, że będziesz w domu. Ciekawe, gdzie możesz być. Pewnie w parku. Zadzwoń do mnie”. Mój głos jest sztucznie ożywiony.

- Musiałam wyjść z domu. - Cóż, akurat to prawda. Później wyjawię mu brakujące szczegóły, ale nie teraz, kiedy wokół niego szczękają zębate pracującego świata. - Chciałeś coś ode mnie?

- Zastanawiałem się, czy mógłbym wyjść po pracy z kolegami? - Jego głos przyspiesza, unosząc się pytająco na końcu. - Wrócę przed dziesiątą. To tylko parę drinków.

- Oczywiście, idź. Ktoś odchodzi?

- Nie, po prostu mam taką potrzebę. Chcę odetchnąć od tego wszystkiego.

Od tego wszystkiego? Ode mnie, od dziecka czy może od przecierów warzywnych? Nigdy nic nie wskazywało na to, żeby mu było źle w domu. Myślałam, że mu się to podoba.

- Będą razem ze mną na tym szkoleniu z zarządzania - dodaje. - Powinieniem ich lepiej poznać. Nawiązać jakąś więź. Może któregoś dnia ty byś gdzieś wyszła z Elizą.

- Nie musisz pytać. Po prostu idź.

Mieszkanie jest wyjątkowo puste i spokojne. Kręcę się po salonie, wycieram kciukiem kurz z pokręta od kaloryfera. Beth, samozwańcza szefowa poranków przy kawie, zawsze jest zaangażowana w jakieś drobne prace domowe, kiedy do niej dzwonię: czyści poduszeczkę na igły, wyciera kable telefoniczne, marynuje oliwki na wzór tych z restauracji na nabrzeżu. Wymienia szczegółowo czynności, a ja ku własnemu zdziwieniu odpowiadam, że właśnie usuwam wapienny osad z muszli klozetowej. Zaczęłam mówić jednym tchem, tak jak ona. Mój dawny głos zniknął. Kiedy Beth mówi, że lubi, kiedy Maudie ją budzi („Jak mogłabym narzekać, skoro dzięki temu mogę spędzić więcej czasu z Maudie?”), przyznaję, że wyprawa o trzeciej nad ranem do kuchni również dla mnie jest wielką atrakcją. Muszę z tym skończyć, zanim sama zacznę nosić plecaczek z królikiem.

Zabrałam Bena na basen, żeby uciec od pokręteł kaloryfera. Szatnia buczy od rozmów dziewczyn o kościstych łokciach, które rozprawiają nonszalancko o chłopakach noszących imiona Giles czy Eddie.



- On jest taki niedojrzały - jęczy chuda dziewczyna z podkrążonymi oczami.

- Tak, chodzi o to, że trzeba dorosnąć. Zebrać się do kupy. On cię stresuje - oznajmia jej identyczna przyjaciółka.

Czym te dziewczyny mogą się stresować? Może testami wielokrotnego wyboru? Podwieczorek podaje im przed telewizor mamusia, którą pogardzają. Mogą nosić obcisłe spodenki i nikt nie dostaje na ten widok torsji.

- Co myślisz o Gilesie? - pyta ta z podkrążonymi oczami, nakładając tusz do rzęs; układa przy tym usta jak ryba.

- Gej - wzdycha jej przyjaciółka.

Gapią się z szeroko rozdziawioną buzią, może nawet kapie mi ślina. Odwracam się i kładę Bena na brzuchu w kojcu. Podnosi się na rękach, rozglądając się wokół z zaciekawieniem. Problem z tym basenem jest taki, że podczas podnoszenia jego standardu ktoś przy władzy zdecydował, żeby dać sobie spokój z oddzielnymi przebieralniami i wybrał nowoczesne i oszczędne rozwiązanie w postaci szatni damsko-męskiej. Teraz wokół szwendają się faceci, wycierają ręcznikiem włosy, drapią się po klatkach, zapinają spodnie. Wszędzie są ich mokre pośladki, owłosione plecy i zaczerwienione, sterczące brzuchy. Mnóstwo wilgotnej męskiej skóry. Wyzwanie polega na tym, żeby przebrać się w kostium kąpielowy bez wystawiania się na widok facetów, a jednocześnie nie zostawić Bena bez opieki w kojcu.

Dziewczyna pokrywa swoje cienie pod oczami fluidem. Wyciska go ze złotej tuby na pędzelek. Wynaleziono nowy kosmetyk, a ja o tym nie wiedziałam. - Przepraszam - mówię, wystraszając ją. - Mogłabyś zwrócić uwagę na mojego synka, kiedy będę się przebierać?

- Och, jaki słodki chłopczyk! - zachwyca się. - Uwielbiam dzieci. Śmiało, nic mu nie będzie.

Pędzę do wydzielonej kabiny i ściągam za jednym zamachem T-shirt razem ze swetrem, nawet go do końca nie rozpinając. Najwyższy guzik odrywa się i przetacza przez szczelinę. Klękam na płytkach, zapominając, że mam na sobie džinsy, które natychmiast są mokre po kolana. Guzik leży na podłodze sąsiedniej kabiny, w zasięgu mojej ręki. Nie powinno to być aż

tak istotne, ale mój mięciutki różowy sweter jest jedyną częścią garderoby, która jak dotąd uniknęła kontaktu z wymiocinami Bena. Cudownym trafem jego ciemnoróżowy odcień sprawia, że nie wyglądam aż tak trupio. Z kolei jego miękkość daje natychmiastowe wrażenie, że jego posiadaczka jest zdrowa na ciele i umyśle, rozkoszowała się ośmioma godzinami niezmaconego snu i z pewnością zaspokaja swój szeroki repertuar seksualnych zachcianek nawet w dzień powszedni.

Bez tego górnego guzika już nigdy nie będzie taki sam.

Wsuwam dłoń pod ściankę kabiny. Guzik osiadł w kałuży. Moje palce układają się w kształt szczypiec, ale kiedy już mam go schwycić, jakaś ogromna stopa miażdży moją dłoń.

- Co jest? - mówi właściciel stopy.

- Usiłuję podnieść guzik. Chwila ciszy.

- Tu niczego nie ma.

- Jest. Guzik.

- Ja nic nie widzę.

- Jest mały. Z macicy perłowej. Obok dużego palca twojej lewej stopy.

Przyglądam się przez szparę pod ścianką kabiny, kiedy do stopy, ogromnej, z długimi, guzkowatymi palcami, porośniętej czarnymi włosami, dołącza dłoń, która delikatnie wydobywa guzik z kałuży.

W szatni dziewczyna, która już zlikwidowała cienie pod oczami, huśta Bena przed lustrem. Ben ćwierka z zachwytem za każdym razem, kiedy widzi swoje odbicie.

Z kabiny wyłania się wysoki facet w obcisłych kąpielówkach i przygląda się mojemu rozwleczonemu matczynemu kostiumowi. Moje piersi są obwisłe jak sflaczałe balony.

- Proszę, guzik - mówi Ranald.

Rozpoznał mnie? Minęło półtora roku od czasu naszej wyprawy na biwak.

- Dzięki - odpowiadam. - Nie pamiętasz mnie, co?

- Skądś cię znam - mówi ostrożnie.

- Biwak - przypominam mu. - U twojego wujka w Devon. Trochę się posprzeczaaliśmy.

Pod jego lewym okiem pojawia się tik.

- Wyglądasz inaczej - mówi.

- Tak. Urodziłam dziecko.

Twarz mu się zapada. Mocno zbudowana dziewczyna w srebrnym kostiumie kąpielowym z wycięciami po bokach idzie od pryszniców.

- Cześć - mówi do moich piersi.

- Gabs - mówi Ranald - to jest moja dawna znajoma. Ostre sutki sterczą dumnie pod jej kostiumem. Ranald ma chyba jakieś problemy z oddychaniem.

- To jest Gabrielle - dyszy. - Gabs, to jest... Nancy.

Ekspedientka przypatruje się brudnej spacerówce i towarzyszącej jej zużytej matce - próbujemy sforsować wejście. Eliza patrzy z zainteresowaniem, jak taranuję zdobione szklane drzwi.

- Może pani uważać? Ta szyba dużo kosztuje - mówi sprzedawczyni.

Zastanawiam się, jak by to było pracować w takim miejscu. Oczywiście, trzeba by bardzo dbać o wygląd, zaczynając rutynowe zabiegi pielęgnacyjne cery już o piątej trzydzieści rano. Ale pomijając oszałamiający wygląd i zielenienie na twarzy, kiedy ktoś o wadze powyżej czterdziestu pięciu kilogramów usiłuje wejść do twojego sklepu, nie wydaje się, żeby było tu coś więcej do roboty.

- W czym mogę pomóc? - pyta, najwyraźniej zakładając, że wdarłam się tu przez pomyłkę, tak naprawdę szukając sklepu spółdzielczego.

- Tylko się rozglądam.

Eliza przebiera szarozielone ubrania zwisające z wieszaków. Ciuchy są brzydkie, ale pachną kosztownie.

- Witaj, Cindy - mówi.

- Och, skarbie, nie zauważyłam cię. Szukasz czegoś specjalnego?

-Dla mojej przyjaciółki. Jest matką-wyjaśnia niepotrzebnie, ponieważ spacerówka opanowała wnętrze sklepu niczym podnośnik widłowy.

- To miłe - mówi Cindy, jakby miała mdłości.

- Potrzebuje czegoś, dzięki czemu poczuje się lepiej. Prawda, Nina?

Cindy uśmiecha się dzielnie, jakby czekał ją zastrzyk.

- Pamiętaj, że mam kartę rabatową - syczy Eliza. Sprawdzam metkę na pajęczynowatym czarnym swetrze. - Wcale tego nie chcesz - beszta mnie Eliza. - Nigdy nie kupujesz sobie niczego przyzwoitego i nie zaczniesz teraz od niemodnego swetra.

Cindy udaje, że poprawia szarą jedwabną sukienkę na wieszaku.

- Kiedyś wyglądałaś naprawdę świetnie - dodaje Eliza. - Nie ma powodu, żebyś chodziła w legginsach tylko dlatego, że zostałam mamą.

- Nie mam żadnych legginsów - protestuję, ale jest już za późno. Jej uszczypliwość pobudza moje kanaliki łzowe do działania. Oglądam kremową jedwabną sukienkę wykończoną sprawiającą antyczne wrażenie koronką.

- Tego też nie chcesz. - Eliza pociąga nosem. - Musisz być wyjątkowo-szczupła, żeby nosić kremowy kolor. Nawet ja bym się nie mogła na to zdecydować.

- Mogłabyś - mówi Cindy. - Wyglądasz świetnie, jesteś opalona. Wyjeżdżałaś gdzieś?

- Na Mauritius - mówi Eliza. Opowiedziała mi szczegółowo o swojej ostatniej podróży: niewykonalne zadanie sfotografowania dziewięciu różnych bikini w trzy dni zostawiło niewiele czasu na wypróbowanie przyjemności oferowanych przez ośrodki plażowe, choć udało jej się przeżyć ciekawy masaż, obejmujący umieszczanie gorących kamieni na jej nagim tyłku.

- To, to i to - mówi, porywając najróżniejsze ciuchy w różnych odcieniach mułu.

- Nie lubię płowego koloru.

- To nie jest żaden płowy, tylko szara żółć. I nie wiesz, czy nie lubisz, bo nigdy w nim nie chodziłaś. - Natychmiast wyobrażam sobie Elizę jako matkę: „Jak możesz mówić, że nie lubisz anchois? Nigdy nie próbowałaś”.

- Nie mogę kupić sobie czegoś żywego?

- Wyszła z wprawy - informuje Eliza sprzedawczynię. - Zadzwoiła do mnie z kawiarni cała spanikowana i powiedziała, że chce iść na zakupy, ale sama sobie nie poradzi. Powiedziała, że nie jest w stanie podjąć decyzji. Była rozstrojona, bo odpadł jej guzik od swetra.

Nie zauważyła cienkiej wilgotnej smużki płynącej w dół mojego policzka. Zaciskam mocno powieki, próbując zassać łzy z powrotem. Eliza trzyma przed sobą długą, wąską, czarną jak węgiel sukienkę. Wygląda jak komin okrętu.

Ben otwiera oczy i ziewa, patrząc na wieszak ze spódnicami. Przetykam ślinę, wydając z siebie skrzeczący, żabi odgłos.

- Dobrze się czujesz? - pyta Eliza.

Cindy macha kremową sukienką, jakby usiłowała usunąć najmniejszą komórkę naskórka, jaki mogłam na niej zostawić.

- Nie wiem. Po prostu czuję się strasznie głupio. - Teraz drżą mi usta, a łzy mieszają się ze smarkami. Mażę się w sklepie, gdzie rajstopy kosztują więcej od mojego różowego swetra.

- Och, skarbie! - Eliza przyciąga mnie do piersi. Jej wyszywany cekinami top drapie mnie po twarzy. Wąskie ramiona oplatają moje plecy. - Czy ona może tu usiąść? - pyta Eliza, jakbym była staruszką, której się pogorszyło.

- Och, biedactwo! - Cindy zauważa moją mokrą twarz. Prowadzi mnie do słabo oświetlonego pomieszczenia na tyłach. Zostaję usadzona na brązowym skórzanym fotelu.

Obie wpatrują się we mnie.

- Masz depresję? - pyta Eliza.

- Nie, nie o to chodzi.

- Dużo kobiet to przechodzi. Dostają świra i płaczą przez cały czas. Zrzucają swoje dzieci ze schodów.

- Nie zamierzam zrobić nic podobnego.

Ale Eliza ma rację: matki jako gatunek są szczególnie zakręcone. Nie ma mowy, żeby moją matkę można było uznać za normalną. Kiedy chodziłam do szkoły średniej, zawsze podczas wywiadówek kręciłam się niespokojnie

po domu, modląc się, by nie zaprosiła syna nauczycielki od francuskiego, żeby się ze mną pobawił.

Pracując w „Lucky”, przeprowadzałam wywiad z jedną kobietą, która osiem tygodni po porodzie zaczęła spotykać się z nastolatkiem, bo była pod wrażeniem tego, jak w powietrzu obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni na swojej deskorolce. On zajął do wózka i podziwiał jej dziecko. Trzy tygodnie później kręciła się pod jego szkołą ubrana w liliowe haftowane sztruksy i satynowy top bez ramiączek. Powiedziała mi: „Nie obchodzi mnie, co ludzie myślą. Ja kocham jego, on kocha mnie. Jedyne problem polega na tym, że kiedy przychodzą jego kumple, pijają nam cały alkohol”.

Ta kobieta nie jest wcale szczególnym przypadkiem. Matki mogą popaść w obłąd w każdej chwili. Przez całe dziesięciolecia spokojnie namawiają małych ludzi, żeby dokończyli swoje paluszki rybne i zapytali: „Czy mogę odejść od stołu?”, a pewnego dnia po prostu odchodzą, nie zostawiając żadnej wiadomości; nawet nie umyją wcześniej patelni.

- Ty drżysz - mówi Eliza.

- Mój mózg przestał pracować. Nie potrafię podejmować decyzji. Nawet jeśli chodzi o zupełne głupoty: iść do łazienki teraz czy jeszcze chwilę po-trzymać? Nie wiem, co ze sobą zrobić.

- Może powinnaś pójść do jakiegoś specjalisty?

Na myśl przychodzi mi Ashley i jego końskie piguły.

- Co się dzieje, że jesteś w takim stanie? - pyta Eliza. - Myślałam, że sobie radzisz. Wydawało mi się, że podoba ci się ten zabawny świat niepracującej matki.

Mówię jej, że po tym, jak zostałam upokorzona w przebieralni na basenie, próbowałam uspokoić się za pomocą gorącego napoju. W miejscu sta-rego, przyjaznego przybytku, gdzie przez cały dzień serwowano pięcio-składnikowe śniadania, pojawił się nowy bar. Dziesiątki nieznanego rodzaju kawy rozlewa się w szklane filiżanki z chromowanymi uchwytyami i kubki wielkości nocnika, posypane lub nie wiórkami białej czekolady, okruszkami piernika czy zaprawione jakimś rodzajem waniliowego syropu. Wpatrywałam się w tablicę, zastanawiając się, czy piernikowe okruszki będą pływać na powierzchni, czy opadną na dno jak rozmoczone herbatniki.



Menu falowało mi przed oczami wypisanymi kredą słowami i rysunkami parujących filiżanek.

- Kawę na wynos - powiedziałam nieśmiało.

- Jaka? - zapytała wymalowana dziewczyna.

- Nie wiem.

- Hm, a może się pani zdecydować? Mamy duży ruch. Wyszłam z kawiarni z pustymi rękami.

- Chyba nie zadzwoniłaś do mnie, bo nie mogłaś wybrać kawy - mówi Eliza.

- Nie, zadzwoniłam z powodu Ranalda. Pamiętasz Ranalda, tego od biwaku? Nazwał mnie Nancy.

Cindy podaje mi porcelanową filiżankę z niezidentyfikowaną ziołową herbata, w której ciągle tkwi torebka, cieknąc na czerwono.

- Potrzebujesz czegoś specjalnego - mówi Eliza. - Czegoś, co by ci przypomniało, że nadal jesteś kobietą.

Cindy trzyma Bena na rękach, który patrzy na nią, intensywnie mrugając oczami i zastanawia się, dlaczego jego matka nigdy nie wygląda tak dobrze jak ona. Cindy zdejmuje z wieszaka czarną wąską sukienkę.

- Przymierz to. Zajmę się małym.

Patrzę na nią- smukła kobieta w wyprasowanych ciuchach i zadowolone niemowlę. Matka i dziecko prosto z okładki czasopisma.

Wraca do sklepu razem z Benem. Zdejmuję wierzchnie ubrania i wciągam sukienkę, nie spodziewając się absolutnie niczego: rozciągliwa czarna rurka ze skąpymi ramiączkami.

Układa się z wielkim wdziękiem, stwarzając wrażenie, że nigdy nawet nie widziałam oddziału położniczego.

- Buty - rozkazuje Eliza.

Cindy zjawia się ponownie z sandałami, które wyglądają jak płatanina gałązek lukrecji.

- Gdzie ja to będę nosić?

- Gdziekolwiek - mówi Eliza. - Przydadzą ci się, kiedy wrócisz do pracy. Teraz ludzie wkładają do pracy dosłownie wszystko.

Wydaje się, jakbym nie pracowała od tak dawna, że utknęłam na etapie praktycznego biurowego obuwia i ogromnych, klekoczących komputerów. Redakcja „Lucky” była utrzymana w tak ponurym odcieniu beżu, że byłam wdzięczna za te wszystkie wywiady ukazujące triumf ponad tragedią i zawsze chętnie odwiedzałam kobiety w ich domach.

- Wróciła dawna Nina - rozplywa się Eliza. Patrzę na moje odbicie i próbuję poprawić ramiona. Wilgotne oczy i zsunięte na bok grube ramiączka stanika. Może nie wyglądam do końca jak bogini, ale znacznie lepiej niż kobieta, która wdarła się tu przez zdobione szklane drzwi.

I muszę przyznać, że mi się to nawet podoba.

Jest dwudziesta druga trzydzieści. Jonathan nie wrócił ze swojego wypadu na drinka ani nie zatelefonował z informacją, kiedy będzie w domu. Opieram się pragnieniu, żeby zadzwonić do niego na komórkę. Niby czemu nie miałby się gdzieś zabawić do późna? Potrzebuje oddechu. Jak wszyscy. Nawet Beth wychodzi od czasu do czasu ze swoimi kumpelami od poranków przy kawie, żeby ubolewać nad stanem parków we wschodnim Londynie i wieszać psy na matkach, które dają swoim pociechom gazowane napoje. Moglibyśmy gdzieś wyjść z Jonathanem. Włożyłabym sukienkę, a on przez cały wieczór wpatrywałby się we mnie z zabawną miną. Ale jak do tej pory nie wykazywał pragnienia, żeby gdzieś wychodzić wieczorami - aż do dzisiaj, naturalnie, kiedy to prawdopodobnie krąży rozbawiony od pubu do pubu, otoczony tabunami koleżanek.

Kwadrans przed północą ćwiczę moje przemówienie: „Jak widzisz, kupiłam coś, żeby być dla ciebie bardziej atrakcyjna, ale najwyraźniej zjechałam na sam dół twojej listy priorytetów”. Do dwunastej piętnaście przemowa zostaje przerobiona na krótki komunikat: „Pieprz się”. Jestem ciekawa, jak by zareagował na wiązaną przekleństw. Nigdy nie słyszałam, żeby Jonathan porządnie przeklinał. Od czasu do czasu tylko wyrywało mu się „o kurwa”, kiedy był już rano spóźniony i nie mógł zapiąć mankietów. Ale później przeproszał za ten wybuch, psując efekt.

O pierwszej dwadzieścia sześć Ben budzi się na karmienie. To mało istotne, że tulę go do siebie w sukience kosztującej więcej niż nasz nowy sprzęt stereo, z którego i tak nigdy nie korzystamy, bo Jonathan nie lubi muzyki, nawet klasycznej. Kiedy Ben sapie przyssany do butelki, zapisuję sobie w pamięci, by poinformować Jonathana, że wyprowadzam się do Elizy i czy mógłby w wolnej chwili przywieźć moje rzeczy? Hm, dużo nie posiadam. Moje rzeczy okazały się nagle jakieś takie wyświechtane w zetknięciu z eleganckim mieszkaniem Jonathana. Jaki pożytek byłby z moich zniszczonych książek w miękkich okładkach czy książek kucharskich подарowanych mi przez matkę, kiedy opuszczałam dom, choć nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przygotowała jakikolwiek posiłek z przepisu? Jedna z nich zawierała rozdział o koszmarnych konstrukcjach składających się z fantazyjnie powycinanych owoców ozdobionych kremową masą. Jonathan marszczył brwi, sugerując, żebyśmy podeszli do tej sprawy racjonalnie i podrzucili wszystkie niepotrzebne rzeczy do fundacji Sue Ryder. Mój czarny album ze zdjęciami, prezent od Elizy, do którego powkładała nasze zdjęcia z Korfu, musiał trafić do pudła razem z tą książką kucharską o kremach, bo później już go nie widziałam.

Nadal mam moje ubrania, oczywiście: ubiory sprzed ciąży, które teraz są już niemodne i wyglądają na lekko znoszone, lecz nie są na tyle stare, żeby uchodzić za ekscentryczny styl retro. Ale mam nową sukienkę. Wygląda jeszcze lepiej w mglistej poświacie nocnej lampki. Podobam się sobie, nawet jeśli Jonathan ma to gdzieś. Nie ma sensu udawać. To koniec.

Kiedy na zewnątrz słychać warkot taksówki, powtarzam bezgłośnie: „Wszystko skończone. Próbowaliśmy, naprawdę się staraliśmy, ale nie wyszło. Możesz się widywać z Benem tak często, jak tylko będziesz chciał. Zabierać go do parku, jak to robią weekendowi tatusiowie. Jestem pewna, że nie skrzywi muto psychiki, jeśli rozstaniemy się, gdy jest mały. Nie musimy robić sobie nieprzyjemności. Jesteśmy rozsądnymi ludźmi, prawda?”

Z taksówki wylania się jakaś postać i kręci się przy naszej furtce. Włamywacz, który wyczuł samotną kobietę z dzieckiem. Przez judasz obserwuję jak facet grzebie w kieszeniach, szukając czegoś - łomu? noża? - a potem zatacza się na emaliowaną donicę z lawendą.

Otwieram drzwi.

- Cześć - mówi Jonathan.

- Gdzie byłeś?

Prześlizguje się obok mnie, sztucznie wyprostowany, jakby miał na głowie książki.

- Włożyłaś sukienkę - mówi.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Podoba mi się.

- Przez ciebie dostawałam obłądu.

- Mogę się bliżej przyjrzeć tej sukience? Podoba mi się, jak układa się tu, z przodu.

Odsuwam się od niego.

- Nie myśl, że się wściekam, bo się dobrze bawiłeś. Nie chodzi o to...

- Wyglądasz sexy.

- Dlaczego dopuściłeś do tego, żebym tak się martwiła? Nie wiesz, jak to jest, siedzieć tu i czekać.

- Podobasz mi się.

- Naprawdę?

- Nie możemy pójść po prostu do łóżka?

Zamierzam mu powiedzieć, że nie, nie możemy, bo my tego nie robimy - jasne, pójdziemy do łóżka, ale nie w tym sensie - ale on już zatoczył się do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Ze środka dobiega łomot, jakby coś ciężkiego spadło na wyłożoną kafelkami podłogę. Próbuję otworzyć drzwi. Bezskutecznie.

- Jonathan, proszę, wpuść mnie.

Jonathan przesuwa się na tyle, żebym mogła przecisnąć się przez szparę. Z przekrzywionym krawatem leży na podłodze.

Kucam obok niego, by mu pomóc wstać, ale wygina się do tyłu w łuk, jak dzieci, kiedy nie chcą, żeby je wziąć na ręce.

- Co jest? - pytam.

Jego wzrok jest utkwiony w miejscu, gdzie niebieskie kafelki łączą się z kremowymi. Uspokajające kolory. Jego ulubione.

- Za dużo wypilem - mówi do kafelków.  
- Przyniosę ci wody.  
- Nina! - woła za mną. - To nie w porządku, prawda? Leży z policzkiem przyciśniętym do sedesu. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że płacze, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, i nie strużka łez, ale fontanna wydzielin sączy się z jego piegowatego podbródka na idealnie wyprasowany, ale niechlujnie wysmarowany paluchami kołnierzyk koszuli.

9

## Grupa wsparcia

Jonathan przesypia uprzejme pikanie podróznego budzika i nie reaguje na kilka przypomnień, że świat pracy niecierpliwie na niego czeka. Podejrzewam, że jest to pierwszy przypadek, kiedy Jonathan nie pojawił się w firmie.

- Mam zadzwonić w twoim imieniu? - pytam. W odpowiedzi wydobywa się nieśmiały pomruk.

- Co mam im powiedzieć?

Przerzuca się z pleców na brzuch, wilgotne włosy przylegają mu do głowy.

- Że jestem chory - jęczy.

- Po prostu chory?

- Albo że się zatrąłem.

- Okay. Wiem - mówię, wyciągając rękę, żeby poklepać wilgotną głowę, ale rezygnuję i wychodzę do telefonu. - Powiem im, że zatrąłeś się owocami morza.

Wybieram numer i zaczynam:

- Tu Nina... - Nie cierpią tej sytuacji. Nie wiem, jak się przedstawić, bo nie jesteśmy po ślubie. Żona to wyraźna nieścisłość, dziewczyna brzmi zbyt niepoważnie, wzięwszy pod uwagę, że jesteśmy współwłaścicielami robota kuchennego, partnerka z kolei przywodzi na myśl prowadzenie wspólnych interesów i nikomu nie przyszłoby do głowy, że ma to coś wspólnego z

seksem (którego nie ma, ale mimo wszystko). - Dzwonię w imieniu Jonathana - mówię. - Nie spał całą noc z powodu zatrucia.

Kolega Jonathana chichocze i pyta:

- Owoce morza?

- Właśnie.

Idę do sypialni zdać relację, że dopuściłam się niezłego oszustwa, ale Jonathan jest nieprzytomny. Pokój śmierdzi jak podłoga w pubie. Czuć odór starego, trawionego alkoholu. Mam problemy z otwarciem przesuwanego pionowo okna, które opada na dół, przycinając mi palce. Klinuję okno butem Jonathana.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Wchodzi Beth. Jej chude warkocze są związane kraciatą wstążką, a Maud jest przywiązana do jej biodra jakąś delikatną chustą. Beth cmoka mnie w policzek. Z bliska pachnie wypiekami. Zapomniałam, że dzisiaj wyprawiam poranek przy kawie dla dowodzonej przez Beth bandy młodych matek, a co za tym idzie, nie przygotowałam imponującego zestawu smakołyków domowego wypieku, co jest tradycją tego typu spotkań.

Wplątałam się w te poranki przy kawie przez przypadek, za sprawą Beth, która wzięła mnie pod swoje skrzydła jeszcze na zajęciach szkoły rodzenia.

- Potrzebujesz przyjaciół - oznajmiła, kiedy zostałyśmy matkami i stało się jasne, że wie więcej ode mnie.

„Grupa wsparcia” - tak to nazwała. Grupa kobiet, które wiedzą, przez co przechodzisz. Moje nazwisko zostało szybko dodane do listy młodych matek, które nawiązywały nowe przyjaźnie, rozmawiając o wystroju sypialni dziecka i gojeniu blizn po cesarskim cięciu. Wymieniano się radami. W ciągu kilku tygodni zawiązały się wątłe więzy porozumienia. Nie miałam do czynienia z tyloma nieznanymi twarzami, od kiedy w wieku czterech lat poszłam do przedszkola.

Zaraz po Beth zjawia się Phoebe, coś przeżuając, zapewne śniadanie. Phoebe ma kanciastą szczękę i szczególne upodobanie do nakładania na twarz różu. Wygląda na to, że karmi swoje starsze dziecko wyłącznie chrupkim pieczywem i surówkami, zapominając zupełnie o czekoladowych ciasteczkach z orzechami, co wydaje mi się niesprawiedliwe wobec dzie-



ciaka. Nic dziwnego, że unosi się wokół niego aura rozczarowania, jakby czegoś mu brakowało, zapewne czekolady.

Beth spotkała Phoebe w warsztacie malarskim. Słowo „warsztat” sugeruje mały zakład produkcyjny, ale w tym przypadku chodzi o to, że sadza się niemowlaki i trochę starsze dzieci na plastikowych podkładkach i pozwala się im wyrazić swoją kreatywność za pomocą pędzli i farbek wodnych. Beth oprawiła dzieło Maud w ogromną ramę, która zawisała nad ich tradycyjnym kominkiem. Za każdym razem, kiedy tam jestem, czuję się zobligowana, żeby powiedzieć coś inteligentnego na temat kolorów:

- Ach, ale ten fiolet łączy się z czerwienią! To zestawienie zieleni z liliowym!

Grzebię w kredensie w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, co można by uznać za domowej roboty. Kobieta o poprzecinanych niebieskimi żyłkami powiekach i spalonych słońcem ramionach mówi, że jej mąż chce się przeprowadzić na wieś.

- Dlaczego? - pyta Beth. - Fajnie jest zrobić sobie wypad na wieś, ale żeby tam mieszkać... Co będziesz robiła przez cały dzień?

- Już mu to mówiłam - odpowiada kobieta. - Wyjaśniłam mu, że nie mogę żyć w odległości większej niż dziesięć kilometrów od Hobbs.

Rzucam na ławę talerz artystycznie rozłożonych (ale zakupionych w sklepie, co do tego nie ma wątpliwości) owsianych ciasteczek.

- Na wsi nic nie ma - ciągnie Beth. - Właśnie wróciliśmy z Somerset. Wszyscy byli przyjaźni, w wesoły, prosty sposób, jak to na wsi, ale jeśli chcesz kupić rzeżuchę czy mieć wybór jeśli chodzi o sałatę, możesz zapomnieć. Tak więc byłam tam uziemiona i musiałam wymyślić coś z najwyklejszą sałatą.

- Kawy? - pytam. Przybyły cztery kolejne kobiety. Mówią w despotyczny sposób, a usta im się nie zamykają. Ich dzieci leżą na pledzie, gdzie zgromadziłam kolekcję ekologicznych -przynajmniej taką mam nadzieję - zabawek wyprodukowanych z odnawialnych surowców, rozwijających koordynację ręki i oka. Szybko się uczę. Żadnego wciskania dziecku dwudziestego pierwszego wieku wyszarganej książeczki.

Ben obserwuje swoich towarzyszy zabaw ze strachem. Kolejna nowo przybyła wyjmując swoje dziecko z nosidełka na piersi. Poznałam ją u Beth, ale nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. Nawiązałam zbyt wiele nowych znajomości, żeby wszystko dokładnie pamiętać, doliczając do tego jeszcze imiona dzieci. To jest najtrudniejsze. Jeśli dziecko nie ma jakiejś charakterystycznej cechy - gęstej czupryny, odstających uszu - z trudem odróżniam jedno od drugiego. W takiej gromadzie jak ta jest to praktycznie niemożliwe. Często pytam: „Jak teraz Jacob sypia?”, żeby się dowiedzieć: „Joshua przesypia pełne sześć godzin, dziękuję”.

Imię tej kobiety zaczyna się na J, może K, wiem tylko tyle. Zajmuje się produkcją filcu, co polega na wcieraniu wełny w stare firanki, a uzyskaną materię rozwiesza się potem na sznurze do bielizny. Obecnie pracuje nad ogromną draperią, którą chce ozdobić ścianę stołówki w podstawówce. Beth powiedziała mi, że krąży po śmietnikach, wygrzebując porzucone rzeczy - uchwyty od komody, skrawki rozkładającej się tapicerki - żeby przyczepić je do filcu.

- Jak ci idzie z filcem? - pytam.

- To znaczy? - Sięga po ciastko, ale kiedy orientuje się, co leży na talerzu, szybko cofa rękę.

- Chodzi mi o to, co przygotowujesz do szkoły - mówię niepewnie.

Drapie się po swoim silnym przedramieniu, wydając z siebie zgrzytliwy odgłos.

- To instalacja. -Kończysz już?

Jej dziecko, złośliwy, okrągły chłopiec o imieniu Ernie, a może Alfred, zaczyna płakać. Ciągłe stojąc, przytula go do piersi.

- Nigdy nie będzie skończona - prostuje. - To praca, która ciągle się rozwija. Na tyryri polega cały pomysł. Dzieci będą ciągle dodawać coś nowego, przyczepiać znalezione przedmioty i tak będzie przez całe lata, właściwie bez końca, więc instalacja stale się rozwija.

- Chciałabym to zobaczyć, kiedy będzie skończone - mówię. - To znaczy nieskończone.

W salonie jest duszno i gorąco, może z powodu wielu kręcących się tu dorosłych, a może żar ten promieniuje od Jonathana, który poci się w sy-

pialni. Beth i Kobieta Filc dyskutują o swojej akcji CWOK - Chodniki Wolne od Kupy. Beth naciska na Zarząd Parków, żeby wybudować toaletę dla psów, co wyobrażam sobie jako barak z malutką ubikacją w środku, ale okazuje się, że chodzi o specjalny ogrodzony teren.

Kobieta Filc proponuje, że porobi ulotki, które będzie się wciskać do rąk przyważonym właścicielom psów właśnie oddających stolec. Ona i Beth siedzą pochylone nad notatnikiem, debatując nad treścią ulotki:

- Widziano, jak twój pies zanieczyszcza teren publiczny -zaczyna Beth. - Prosimy o podniesienie nieczystości i wrzucenie do pojemnika na psie odchody.

- Za mało dosadne - stwierdza Kobieta Filc. - Napisz: Koniec ze świntuszeniem. Właściciele psów muszą sprzątać po swoich psach albo zostaną ukarani grzywną...

- Nie możemy karać ich grzywną - mówi Beth. - Nie jesteśmy z policji.

Nagle rozlega się straszne zawodzenie Maud, zupełnie jakby coś ją ugryzło. Beth zabierają do kuchni, pokazując nasze zapasy makaronu.

- Zobacz - uspokaja małą. - Tagliatelle. Penne. Spagety. Maud skrzeczy z gniewem. Synek Phoebe, który ma jakieś

dwa, trzy lata (jeszcze nie potrafię dobrze oceniać wieku starszych dzieci), grzebie w szufladzie z niebezpiecznymi przyrządami kuchennymi.

- Nie zabezpieczyłaś szuflad? - pyta Beth.

- Nie ma takiej potrzeby. Minie jeszcze parę miesięcy, zanim Ben zacznie raczkować.

- Nie próbuje? Wiem, że ma dopiero cztery miesiące, ale Maud też, a ona aż się pali, żeby trochę się poruszać. Nasza pielęgniarka środowiskowa nie mogła uwierzyć, jak bardzo jest rozwinięta. No, ale dużo z nią pracujemy.

Zerkam do salonu, gdzie Ben ssie ucho czarnego, pozbawionego wyrazu misia od Elizy.

- Może przydałyby mu się bardziej stymulujące zabawki -zauważa Beth.

Dzieciak Phoebe wyciąga z kieszeni w ogrodniczkach miniaturowy samochódzik i wali nim w drzwiczki naszego piekarnika z nierdzewnej stali. Nie jestem pewna, co mówi etykieta na temat besztania cudzego dziecka.

- Nie rób tak - mamrocze.

Maud, niewzruszona naszą kolekcją makaronu, wierci się na rękach Beth.

- Masz może ryżowe wafle, żeby mogła sobie poskubać? -pyta. Namierzam otwartą paczkę wafli w kolorze złamanej bieli i mam nadzieję, że Beth nie zauważy, że są trochę pomięte. Dzieciak Phoebe otwiera drzwi piekarnika i wkłada samochodzik do środka.

- To piekarnik - wyjaśniam mu. - Parzy.

Kręci gałkami, próbując odkręcić wszystkich pięć palników i nas zagażować. Jest dwadzieścia siedem po dziesiątej. Oprócz Beth, która odmawia trucia się świeżo zaparzoną przez mnie napitkiem i pije jedynie przegotowaną wodę, wszystkie raczymy się kawą. I to się właśnie nazywa poraniem przy kawie. Gdyby Eliza pomiędzy jednym a drugim spotkaniem, na których wybiera spódnicę, postanowiła wpaść, zamierzam jej powiedzieć, że te kobiety naszły mnie bez żadnego uprzedzenia, wdarły się do środka i wstawiły wodę na kawę. To niemal prawda. Nie są moimi przyjaciółkami. Łączy nas jedynie styl życia -wycieranie pupki i butelki z mlekiem, no i łaknienie towarzystwa dorosłych.

- Nina, mogę cię o coś zapytać? - zaczyna Beth. Dzisiaj jej cera wydaje się wyjątkowo tłusta. Czoło i grzywka zlewają się w jedną plamę masła. Wygląda kołnierz w stylu Piotrusia Pana swojej cukierkowo różowej bluzki.

-Wal.

- Czy Jonathan jest romantyczny?

- To zależy, co masz na myśli. Jest troskliwy - mówię, a potem przypominam sobie zeszłą noc i dodaję: - przeważnie.

Beth odłamuje kawałek gumowego ryżowego wafła.

- Matthew nie jest. Kiedyś był. W przerwie na lunch spontanicznie kupował mi prezenty. Drobiazgi, których nigdy byś nie kupiła sobie sama - perfumy, koronkową bielizną z tymi dyn-dołkami, do których przyczepia się pończochy - po prostu żebym wiedziała, że nadal myśli o mnie jak o ko-chance, wiesz?

- Wiem - kłamię. Jonathan i ja obeszliliśmy fazą milutkich prezencików. Jego jedynym prezentem bez specjalnej okazji była przebiegła sperma, która zbombardowała moje jajeczko. Ale przynajmniej to było spontaniczne.

- Czy masz czasami wrażenie, że im nie zależy? - pyta Beth.

- Jakim im?

- Naszym facetom. Naszym drugim połówkom.

- Teraz jest inaczej - mówię, tak jakbym znała się na związkach. - Jest mniej czasu na...

- Nie musisz mi o tym mówić. - Beth pociąga nosem.

- Czy powinien się palić gaz? - pyta Kobieta Filc. Wyłączam palniki.

Phoebe daje po głowie swojemu dzieciakowi, który wyciągnął butelkę wina ze stojaka.

- Możesz uszkodzić mu w ten sposób głowę - udziela jej reprimendy Beth. - Uczysz go, że wolno bić. Wysyłasz sygnał, że fizyczna przemoc jest w porządku.

Zanim Phoebe ucieknie się do poważniejszej przemocy, dopadam Beth przy pojemniku na pieluchy.

- Myślałam, że u was wszystko w porządku - mówię. - Ciągłe gdzieś wychodzicie, prawda? I dopiero co wyjechaliście na wieś. Ja i Jonathan nigdy nie robimy niczego takiego.

- Co? Somerset? - śmieje się. - Niezapomniany weekend. Domek, który zarezerwował, był okropny, więc przenieśliśmy się do hotelu, przyjaznego dziecku, z różnymi udogodnieniami. Zjeżdżamy do hotelu i jest pięknie.

- Więc co się stało?

- Kładziemy Maud do łóżeczka, ślicznego łóżeczka z pikowaną kołderką i schodzimy na kolację, ale elektroniczna niania nie odbiera sygnału. Idę z powrotem do sypialni i powtarzam do nadajnika „Halo? Halo?“, ale Matthew oczywiście mnie nie słyszy.

- Zjedliście kolację w łóżku? - pytam.

- Nie, w małym, paskudnym pokoju konferencyjnym z błyszczącą tablicą do pisania. Tylko ja, on i trzeszczący odbiornik elektronicznej niani. I wiesz co? - Drży jej głos. - Przez cały posiłek nie zamieniliśmy ani jednego słowa.

- To dobrze - zauważa Kobieta Filc. - Zawsze patrzę podejrzliwie na pary, które nawijają bez końca, próbując udowodnić, że nadal świetnie się rozumieją. Siedzieliście sobie w milczeniu, byliście razem, brzmi idealnie.

- Nie byliśmy razem - odparowuje Beth. - Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Nie mamy już ze sobą o czym rozmawiać, pomijając: „Mówiłam ci, że zepsuł się okap?” czy „Pamiętaj, żeby wyrzucić śmieci”.

Teraz Beth krzyczy. Myślałam się, uważając poranki przy kawie za nużące spotkania dla samotnych. Dzieją się tu różne rzeczy, trzeba tylko poczekać.

- Jak minęła reszta weekendu? - pytam.

- Ostatecznie wylądowaliśmy w wiejskim pubie. Końska uprząż, jak to na wsi, rolnicy z wielkimi rękami.

- I co? Było lepiej?

- Tak, dopóki nie włączyli telewizora. Matthew nigdy nie lubił telewizji. Nie mieliśmy nawet telewizora zanim przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Teraz co wieczór mnie ucisza, bo siedzi wpatrzony w jakiś głupi quiz. No więc tamtego wieczoru siedzimy sobie w pubie, ale ponieważ nie jest zainteresowany żadną normalną rozmową, wychodzę, a on biegnie za mną. I oczywiście - kończy donośnym głosem - po powrocie do pokoju musisz stawić czoło jeszcze jakiejś głupiej opiekunce do dzieci i stosowi jej czasopism dla nastolotów.

- To okropne - mówi Kobieta Filc.

- Może powinniście zrobić sobie przerwę - sugeruję.

- Jak ten wyjazd do Somerset?

- Hm, wygląda na to, że masz za dużo na głowie. Może potrzebujesz dodatkowej pomocy.

- Zgadza się. Z dzieckiem jest inaczej niż z pracą, prawda? Jesteś na dyżurze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bez przerwy. Bo nawet kiedy śpi, ty przygotowujesz kolejny posiłek, sterylizujesz zabawki i pierzesz pieluchy z tetry.

- Och, używasz pieluch z tetry? - pyta Kobieta Filc. - Próbowałam. Myślałam, że będzie nawet łatwiej niż z jednorazówkami, bo nie leżysz w środku nocy, zamartwiając się o przepelnione wysypiska śmieci.

- Wiem - mówi Beth. - Gdyby ułożyć obok siebie wszystkie brudne jednorazówki, to chyba opasałyby całą kulę ziemską.



- No cóż, przykro mi z tego powodu - mówi Kobieta Filc. - Ale czyja mam czas, żeby to cholerstwo gotować, a potem jeszcze rozwieszać na sznurze?

- To tak jak z twoim filcem - stwierdzam. Patrzy na mnie trochę nieprzytomnie.

- Filcu się nie gotuje. Wyrzuciłam pieluchy z tetry. Dzięki temu mniej się denerwuję i jestem lepszą matką. Więc właściwie dzięki temu, że używam jednorazówek, nasza planeta jest bardziej przyjaznym miejscem.

- Przynajmniej prowadzisz recykling w swojej pracy - mówi Beth. - Nikt nie jest doskonały. Jedna osoba nie da rady ze wszystkim. Dlatego też postanowiliśmy, że weźmiemy au pair.

Dwupiętrowy dom Beth i Matthew jest tak wychuchany, że błyszczy nawet bardziej od naszego mieszkania. Właściwie to zauważyłam, że u nas standard się obniżył. Błaty są zasłane okruszkami, a Jonathan odszedł od zwyczaju ładowania naczyń do zmywarki bezpośrednio po każdym posiłku.

- Czy ta au pair jest konieczna? - pytam Beth.

- To nie tak, że „konieczna”. Przyda się trochę wsparcia. Nie mogę robić wszystkiego sama.

- A co na to Matthew?

- Nic. Załatwiłam w agencji, żeby przysłali mi siedem dziewczyn - słodkich, zagranicznych dziewczyn, które są szczęśliwe, mając szansę pożyć w cywilizowanym kraju - i muszę po prostu wybrać jedną z nich.

- Skąd one są?

- Z jakiegoś zapomnianego kraju we wschodniej Europie, gdzie jest okropnie zimno i ludzie nie mają pieniędzy.

- Czyli nic o tym Matthew nie mówiłaś?

- I tak by go to nie obeszło. Tak czy inaczej, wszystko zostanie załatwione, zanim zdąży wtrącić swoje trzy grosze.

- Nie powinno się mieć tajemnic przed swoim partnerem - beszta ją Kobieta Filc. - Straciecie poczucie bliskości, intymności.

- Właśnie - mówię.

- Dobrze ci mówić - denerwuje się Beth. - Ty nie ukrywałabyś niczego przed Jonathanem. Wszystko ci się układa, siedzisz sobie w uroczym różo-

wym sweterku - tak przy okazji, odpadł ci guzik - w pięknym mieszkaniu i robisz sama jedzenie dla dziecka.

- To niesamowite - mówi Phoebe, powstrzymując synka przed przejechaniem dłonią po naszej tarce do sera. - Przecierasz je ręcznie przez sitko czy korzystasz z miksera?

Dolewam jej kawy do kubka, zadowolona, że zadałam sobie trud zmielenia tej dobrej kawy Jonathana. Przez ogólny zgiełk przebija się krzyk kobiety o poprzecinanych żyłkami powiekach.

- Nina, twój telefon dzwoni! Mam odebrać?

- Tak, dziękuję.

- Nie wiem, kto dzwoni... Nie do końca zrozumiałam, o co chodzi.

Porywam telefon i uciekam do holu.

- Boże, wygląda na to, że dużo się u ciebie dzieje - mówi Lovely. - Zrobiłaś imprezę?

- Wpadło kilka znajomych.

- Och, wy mamusie i te wasze towarzyskie nasiadówki. - Słysząc delikatne grzechotanie, jakby pereł. Wyobrażam sobie, że ubrana jest na brzoskwińskie. - Słuchaj, jest casting do reklamówki. Ben byłby idealny, ale nie ma dużo czasu. Casting jest dzisiaj, o piętnastej trzydzieści. Dasz radę?

Podchodzi do mnie niepewnie Kobieta Filc, w jej oczach czai się zakłopotanie.

- Przepraszam, Nina - przerywa mi rozmowę - ale muszę skorzystać z łazienki. Coś siedzi tam od Wieków i wydaje takie okropne warczące dźwięki. Macie jakieś zwierzę?

## Płakanie i pocieszanie

Kiedy już wszystkie uczestniczki poranku przy kawie porozchodziły się na rozmaite warsztaty, dostrzegam swoje odbicie w łazienkowym lustrze i przypominają mi się słowa Lovely: matka musi wyglądać nienagannie. Mam spocone pachy pod moim różowym swetrem, a między zębami utknęły drobinki owsianego ciastka.

Jonathan wegetuje w wannie z bezwładnie rozchyłonymi ustami.

- Jak się czujesz? - pytam.

- A jak wyglądam?

Minęło dużo czasu, od kiedy widziałam Jonathana nago. Ma delikatne, lekko kobiece ramiona i porośniętą jasnym meszkiem klatkę piersiową. Choć nie ćwiczy, jest w niezłej formie. A przede wszystkim nie ma obwisłego brzucha.

- Nie wyglądasz wcale aż tak źle - mówię. Współczuj mu. Tylko dlatego że nie miałam okazji do picia, od ponad roku nie miałam kaca. Kiedyś odrażające poimprezowe poranki, pustka w żołądku i uczucie ogólnego zatrucia, ochota na jajka, kołdra i ciemność, to było dla mnie coś zupełnie normalnego.

Zastanawiam się, czy pójść kupić mu miksturę z mleka i ostu, o której Beth mówiła mi, że jest dobra na wątrobę. Jej wątroba nie potrzebuje oczyszczania - Beth pije tylko na Boże Narodzenie, a nawet wtedy tylko rozwodnione wino. Podejrzewam, że po prostu podoba jej się, jak zdrowo to brzmi.

Eliza zna się o wiele lepiej na specyfikach antykacowych. W beznadziejne poranki grzebie w Internecie i wypróbowała różne zalecenia, jak bulion wołowy z dodatkiem wódki, a ma nadzieję namierzyć rzadkie, ale najwyraźniej skuteczne lekarstwo z suszonego penisu byka. Stwierdzam, że nie będę o tym wspominać Jonathanowi.

- Czujesz się na tyle dobrze, żeby popilnować Bena? Chciałabym wziąć prysznic i się przebrać.

- Włóż go do fotelika samochodowego. Nic mu nie będzie.  
- Potem z nim wyjdę, więc będziesz mógł się w spokoju kurować przez resztę dnia.

Oczekuję, że mi podziękuje. Ale on mówi tylko: - Okay.

Umawiam się z Elizą, w związku z czym zostaje mi niewielki margines czasu, żeby wyrobić się na piętnastą trzydzieści na ten casting. Ale chcę coś zrobić z włosami. Eliza tak sobie poustawiała spotkania z PR-rowcami, żeby w międzyczasie zabawić się w opiekunkę do dziecka, kiedy mnie będą robić porządek z głową. To był jej pomysł.

- Jesteś to sobie winna - powiedziała. - Fryzura mówi światu, co się dzieje w twoim wnętrzu. Chcesz wysłać komunikat: „Jestem pewna siebie. Wszystko mam pod kontrolą. Życie jest cudowne”.

- Teraz moje włosy są w stanie jedynie zabezpieczyć: „Uczesz nas”.

Eliza czeka przed salonem fryzjerskim. Ma na sobie kremową sukienkę do kolan, a w uszach świetne srebrne koła. Obawiam się o te kolczyki. Ben zaczął chwytac dyndające obiekty, zmuszając mnie do rezygnacji z wszelkich ozdób.

- Co będziesz z nim robić? - pytam. Jej uśmiech sztywnieje.

- Jak to, co będę z nim robić?

- No co zamierzasz robić w ciągu tej godziny?

- Godziny? - prychnęła. - Aż tyle czasu to zajmie?

- Powiedziałabym, że co najmniej tyle. Ile trwa, kiedy robią ci włosy?

Eliza odzyskuje równowagę i mówi:

- Mogłabym zabrać go do biura, ale miałam nadzieję, że będzie spać.

- Dopiero co spał przez dwie godziny. Na razie więcej nie będzie.

- Och, myślałam, że niemowlaki dużo śpią. Wziąć go do galerii? Może go to zrelaksuje.

- Brzmi nieźle. - Zerkam do środka salonu fryzjerskiego. Jakaś kobieta ma masaż głowy. Karmelowy aromat wymyka się na zewnątrz za każdym razem, kiedy otwierają się drzwi. - Przynajmniej jest tam na czym przewinąć - dodaje. - Masz, będziesz tego potrzebować.

Eliza patrzy na torbę z rzeczami Bena, najwyraźniej załując, że nie wróciła do pracy na rozmowy z agentami modelek. Torba jest wielkości poduszki, ozdobiona szlaczkiem z fioletowymi konikami na biegunach.

- Czy jest ryzyko, że... że zrobi coś o tej porze dnia? - pyta wysokim głosem.

- Raczej nie. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Jestem pewna, że nie zrobi - mówi Eliza stanowczo.

Fryzjer ma jakieś dziewiętnaście lat i paradyje z fryzurą w stylu lat sześćdziesiątych - włosy zakręcają mu się przy uszach i na szyi. Jest najwyraźniej zbulwersowany, że musi zająć się mną zamiast młodą, przyjemną dla oka istotą, która siedzi zgrabnie obok mnie, i dlatego postanowił się nie odzywać.

Dla mnie tym lepiej. Od kiedy urodziłam Bena, straciłam umiejętność porozumiewania się z młodymi ludźmi. Może to uboczny efekt życia z Jonathanem. Któregoś wieczoru włączył przez pomyłkę *Top of the Pops*. Na wysokich stołkach siedzieli chłopcy z boysbandu, zawodząc drżącymi głosami, przesadnie rozemocjonowani.

- Oni to lubią? - zapytał. -Kto?

- Młodzi ludzie.

Spojrzałam na niego z ukosa. Miał trzydzieści pięć lat i zachowywał się, jakby nigdy nie był młodszy. Chłopcy, którzy pałętają się po naszej ulicy, działają mu na nerwy. Któregoś wieczoru ogromny nastolatek usadził tyłek na masce naszego samochodu. Jonathan zauważył, jak się na niej buja, i poprosił, żeby się usunął. Chłopak roześmiał się i splunął na ulicę. Następnego ranka odkryliśmy w naszych donicach z lawendą powtykane butelki po cydrze.

Czy taki kiedyś stanie się Ben? Pewnie będzie mną gardzić. I tak przekrocze najpierw trzydziestkę, a potem czterdziestkę, zamartwiając się, co pociecha może włożyć sobie do buzi albo nosa, a ostateczną nagrodą będzie hormonalna bestia, która patrzy na mnie z fascynacją i obrzydzeniem, jakby się przyglądała patroszonej rybie.

- Byłaś gdzieś ostatnio? - pyta fryzjer.

- Och, nie robiłam niczego wyjątkowego. Mam dziecko, więc jest trochę trudno.

- Ja bym sobie nie dał rady. Nie chcę mieć dziecka co najmniej do trzydziestki.

- Słusznie - mówię do lustra. - Ja też bym nie była gotowa w twoim wieku.

Uśmiecha się sztucznie, tnąc moje włosy z zawrotną szybkością; pewnie chce się mnie jak najszybciej pozbyć, żeby móc wyczarować coś niesamowitego tej młodej dziewczynie.

- Co dzisiaj robisz? - pyta znudzonym głosem.

- Zabieram mojego syna na casting do reklamówki. Trochę się w to bawimy, może już go gdzieś widziałeś.

- Naprawdę? - ożywia się fryzjer. - W czym grał?

- W całej masie rzeczy. Ciągłe ma jakieś zdjęcia. Jest przy tym dużo zachodu, ale przynajmniej nie siedzę w domu.

- I bardzo dobrze - mówi fryzjer. - Czasami pracuję jako model. Takie dodatkowe zajęcie, jeśli przyjdzie mi ochota. Naprawdę jestem aktorem. - Ciągnie za końcówki moich włosów i pryska lakierem. - Podoba ci się? - pyta. Widzę jego pierwszy prawdziwy uśmiech.

- Tak - odpowiadam, rumieniąc się.

Ben, moja nowa fantazyjna fryzura i ja zjawiamy się w czteropiętrowym budynku trzydzieści siedem minut po piętnastej, siedem minut po czasie. Kiedy z Benem na rękach usiłuję złożyć spacerówkę, dzwoni moja komórka. Nasz numer domowy. Nie mogę powiedzieć Jonathanowi, gdzie jesteśmy, kiedy jego wątroba jest w takim stanie.

Casting odbywa się na najwyższym piętrze, gdzie kłębi się zgraja dorosłych, a dzieci bawią się na macie na podłodze w stosie klocków Duplo. Dostaję formularz od kobiety o wyglądzie zmęczonej i wypełniam go, wpisując szczegóły dotyczące Bena, takie jak imię, wiek, wymiary i nazwę agencji. Miejsce na „szczególne uzdolnienia” zostawiam puste.

- Typowe - mówi kobieta w ciężkiej aksamitnej sukience i dobranym do niej sflaczałym berecie. Dotyka wilgotną chusteczką czoła swojej córki. -



Możesz w to uwierzyć? - ciągnie. - Przez cały tydzień wszystko było idealnie, a dzisiaj przewraca się i uderza czołem w chodnik.

- Nie wygląda najgorzej - pocieszam ją.

- Owszem, wygląda. Z rany jeszcze się sączy. Mogłabym powybierać żwirek, ale boję się, że to jeszcze pogorszy sprawę.

- Chyba nie chcesz, żeby zrobiło się zakażenie - mówi inna matka. - Rana się rozjątrzy i gotowe zakażenie krwi.

Dziewczynka ze żwirkiem w głowie ma na sobie sukienkę z zabudowaną szyją z tej samej tkaniny co jej matka. Umieszczam Bena wśród niemowlaków i otwieram magazyn Elizy na stronie z moim synem, Fern w łososiowej sukience i modelem, który tak naprawdę nie jest modelem.

- Ojejku - mówi kobieta w berecie. - Ale ponure, co? Raven robi więcej reklamówek.

Raven bawi się wstążką przy szyi swojej sukienki. Nie wygląda na podkcytowaną perspektywą wystąpienia w reklamie. Ma wilgotne końcówki włosów. Bierze kosmyk włosów do buzi i zaczyna ssać.

- Nie rób tak, Raven - mówi jej matka.

- Długo czekacie? - pytam.

- Dwadzieścia minut. Niedługo powinna wejść. Najpierw oglądają starsze dzieci, potem mniejsze, a na końcu niemowlaki. Możesz posiedzieć tu jeszcze parę godzin.

Zastanawiam się, czy Jonathan ciągle moczy się w wannie i kiedy może zacząć się martwić.

- Chciałabyś zobaczyć portfolio Raven? - pyta kobieta. Nie chcę odmawiać.

- Proszę - mówi kobieta, podając mi grubą teczkę nafaszerowaną wycinkami z prasy. Każdy wycinek został starannie naklejony na białą kartkę formatu A4, opatrzony datą i opisami w stylu: „Stepowanie” czy „Raven wykonuje salto”.

- Boże - wzdycham. - Raven ma dużo pracy.

- Jest rozchwytywana. Towarzystwo jej to dla mnie oczywiście praca na pełny etat.

- Nie męczy cię to?

Potrząsa głową, aż jej beret niebezpiecznie się trzęsie.

- Wkładamy wszystko w fundusz powierniczy dla Raven. A ty odkładasz na konto pieniądze zarobione przez twoje dziecko, dopóki nie będzie starsze?

- Oczywiście - mówię szybko.

- Raven! - Kobieta o wyglądzie zmęczonej woła duet w aksamitnych sukienkach. Raven maszeruje sztywno przez tłum dorosłych i ich pociech do drzwi, na których widnieje napis TRWA

PRZESŁUCHANIE. PROSZĘ NIE WCHODZIĆ, DOPÓKI NIE ZAWOŁAMY. Z JEDNYM DZIECKIEM WCHODZI TYLKO JEDEN OPIEKUN.

Pod wieczór Ben jest już zmęczony zabawą Duplo, a ja zakładam, że o nas zapomniano. Powinniśmy się tu jeszcze pokręcić, dopóki nie pojawi się dozorca, żeby pogasić światła? Zabieram Bena do przebieralni dla dzieci i ściągam pieluchę, którą Eliza zapięła mu tak ciasno, że na biodrach odgniotły się czerwone ślady. Wrzucam pieluchę z łomotem do kosza. Ben ma już serdecznie dość castingu i zastanawiam się, czy po prostu nie umknąć do windy, a po powrocie do domu powiedzieć Jonathanowi, że byliśmy na zakupach. Takie małe kłamstewko się nie liczy.

- Ben? - mówi zmęczona kobieta. - Wołaliśmy cię, mamusiu. Możesz go przynieść, bardzo proszę.

Mały na przejście do ciemniejszego pomieszczenia reaguje schowaniem głowy w moim swetrze.

- Cześć, Ben - mówi chłopak niewiele starszy od mojego fryzjera. - Jak się dzisiaj miewamy?

Ben przytula się mocniej do mojej piersi.

- Nieśmiały, co? - mówi chłopak, spoglądając na swój zegarek.

- To jego pierwszy casting - wyjaśniam - ale brał udział w zdjęciach dla mojej przyjaciółki. - Otwieram magazyn Elizy.

- To będzie znacznie bardziej optymistyczne - mówi chłopak. - Chcemy zebrać bandę dzieciaków w różnym wieku. Będą wygłupiać się w brodziku, bawiąc reklamowanymi produktami.

- Jakimi produktami?

- Little Squirts. Szampony, płyny do kąpieli, odżywki do włosów.  
- Odżywki do włosów? Dla niemowląt?  
- Nowy produkt niszowy. Wszystkie dzieci gwiazd ich używają. Włosy są po nich błyszczące, łatwiej się rozczesują. Czy możesz posadzić Bena na tym kocyku?

- Nie potrafi siedzieć. Ma dopiero cztery miesiące. Jedyne, co potrafi, to leżeć na brzuchu i trochę się unosić.

- Może jest trochę za mały. W tej reklamówce ma być woda. Ale poćwicz z nim trochę. Będzie się pluskać w wodzie z innymi niemowlakami i świetnie się bawić.

Kładę Bena na podłogę. Jego twarz opada na kocyk.

- Możesz go trochę rozruszać? - pyta chłopak. - Chcemy pokazać czystą esencję zabawy. Właśnie o to chodzi z produktami Little Squirts.

Ben unosi chwiejnie głowę. Jego czerwona twarz pojawia się przelotnie na monitorze, ale potem słabną mu ręce i pada gwałtownie na kocyk.

- Może będzie szczęśliwszy, widząc ciebie w pobliżu - sugeruje chłopak.

Kucam obok Bena, z nadzieją że mój tyłek nie pojawi się na monitorze, wypełniając cały ekran.

- Ben? - mówię łagodnie. - Możesz uśmiechnąć się do pana? Zaczyna się od małego, przestraszonego kaszlnięcia, które przeradza się w desperackie parskanie. Przerzucam go przez ramię.

- Boże, czy on się dławi? - pyta chłopak.

- To pod wpływem emocji. Zakrztusił się własnymi smarkami.

- Nie martw się - wzdycha. - Każdy czasem musi zrobić sobie wolne.

Trzymam pewnie Bena pod jedną pachą, próbując szarpnięciem rozłożyć spacerówkę, ale udaje mi się jedynie przywalić kółkami w chodnik. Policzki Bena płoną czerwienią. Jest sztywny jak deska, kiedy wciskam go do wózka. Ulicę przecinają dwie niemal identycznie ubrane panie, kierując się w naszą stronę.

- Jak poszło? - pyta matka.

- W porządku - mamroczę - choć nigdy nie wiadomo, czego oni tak naprawdę szukają, prawda?

Patrzy spod zmarszczonych brwi na pokrytą plamami twarz Bena.

- Wygląda na zdenerwowanego. Powinnaś go zabrać prosto do domu. Nigdy nie zmuszam Raven do castingu, jeśli nie jest w nastroju.

- A dzisiaj była w nastroju?

- O tak - rozpromienia się. - Oczarowała ich. Nie przeszkadzało im nawet jej czoło. Ale jak sama powiedziałaś, nigdy nic nie wiadomo. Dlatego to wszystko jest takie ekscytujące. Prawda, Raven?

Raven ssie pomarańczowego lizaka wodnego.

- Mamusiu - kwili, wtulając się w głębokie, aksamitne fałdy sukienki matki.

Wygląda na to, że Jonathan zupełnie już ozdrowiał. Siedzi w kucki na podłodze w kuchni, spryskując wnętrze piekarnika aerozolem, który mógłby być opatrzony ostrzeżeniem: SILNIE TOKSYCZNE. RYZYKO POWAŻNEGO USZKODZENIA WZROKU.

- Powinieneś odpoczywać - mówię.

- Czuję się lepiej, robiąc coś pożytecznego. Co porabialiście?

- Spacerowaliśmy. Po prostu chciałam, żebyś miał trochę spokoju.

- Masz nową fryzurę.

- A, tak. Naszła mnie taka ochota - mówię mu, rozbierając Bena do podkoszulka.

- Wygląda na zdenerwowanego.

- Zezłościł się u fryzjera - mówię, zmierzając do sypialni po czysty podkoszulek, choć wcale nie jest mu potrzebny.

- Nina! - woła za mną Jonathan.

Otwieram szuflady pełne skarpetek, czapeczek i pajacyków, ale nigdzie nie ma podkoszulków. Jonathan idzie za mną do sypialni, ciągle trzymając pojemnik ze środkiem czyszczącym. Zastanawiam się, jak by zareagował, gdybym mu powiedziała prawdę. Ciekawe, czy na mnie psiknie tym aerozolem.

- Czego szukasz? - pyta.

- Gdzie trzymamy podkoszulki Bena?

Otwiera szafę i wyciąga podkoszulek z oddzielnej półki z podkoszulkami.

- Muszą ci coś powiedzieć - mówi. Uśmiecham się do niego nijako.

- Świetna fryzura.

- Dzięki.

Patrzy na mnie z ciekawością, jakby zamierzał mnie narysować.

- Podoba mi się, jak ci się tak wywijają włosy. Sprawia to, że wyglądasz trochę... bezczelnie.

- Nie uważasz, że ta fryzura jest trochę za młodzieżowa dla mnie?

- Nie. Ale faktycznie, wyglądasz inaczej.

- W jakim sensie inaczej?

- Wyglądasz bardziej jak... jak przed urodzeniem Bena. -Robi krok w moją stronę. Instynkt mi podpowiada, żeby się odsunąć, na wypadek gdyby miał za dużo zobaczyć z bliska: na przykład bujdem w moich oczach, które całe popołudnie śledziły casting. Ale za plecami mam szafę. Jestem uwięziona przez szwedzką, samodzielnie składaną konstrukcję.

- Lepiej sprawdźmy, co z Benem - mówię szybko.

- Jest przypięty do fotelika. Nigdzie nie pójdzie.

- A jeśli będzie płakać? - Teraz czuję na twarzy gorący oddech Jonathana. Smakuje miętą i pachnie świeżością kąpieli. Nadal ściska ten środek czyszczący. Moje nogi zaplatają się leniwie wokół jego. I nie dzieje się nic strasznego. Z mojego wnętrza nie wydobywają się żadne klekoczące dźwięki. Nadal działam.

Beth przemyka po swojej kuchni, wrzucając posiekane daktyle do dużej miski od miksera; piecze ciasto. Od jej wybuchu podczas tamtego poranku przy kawie minęły trzy tygodnie.

Jest jakaś bardziej żwawa. Jej czoło nie jest takie tłuste, nawet warkoczki są jakby weselsze.

- Jonathan chce, żebyśmy się pobrali - mówię jej. Wsuwa formę z ciastem do piekarnika.

- A ty tego chcesz? - pyta.

- Nie widzę powodu, żeby tego nie robić. Nie będziemy robić żadnej wielkiej pompy. I przynajmniej będę wiedziała, jak go nazywać.

Beth uśmiecha się lekko. Myśli, że poznałam Jonathana przez wspólnych znajomych na jakimś przyjęciu. Nie chcę, by uznała, że byłam rozwiązła, zdesperowana czy głupia na tyle, żeby umawiać się na randkę z nieznanym. Jonathan został poinstruowany, by nie wspominać o ogłoszeniu, gdybyśmy jeszcze kiedykolwiek umówili się na wspólne wyjście z Beth i Matthew (mało prawdopodobne po tym incydencie z wymiotami).

Przysiadam na stylizowanym na wiejskie krzesło, które zostało wyślizgane prawie do połysku przez wiele tyłków. Beth uwielbia stylizację na wiejską kuchnię: emaliowe dzbanki z ostróżkami, koszyk na owoce wyłożony kraciastą serwetą. W jednej, z szuflad ozdobionych wymalowanymi od szablonu kaczkami z żółtymi dziobami powinien być fartuch.

- Kiedy jesteście małżeństwem - ciągnę dalej - wiesz, na czym stoisz. Czujesz się bardziej pewnie.

- Nie chcę wiedzieć, na czym stoję - mówi Beth. - Chcę gdzieś wyjść i przeżyć zupełne zaskoczenie, żeby wszystko zostało zaplanowane i zorganizowane bez mojego udziału. Hej, Beth! - woła, naśladując Matthew. - Nie zwracaj sobie dziś głowy gotowaniem. Odłóż tę łyżkę, skarbie. Wyciągnij swoje wyjściowe buty, te z cienkimi paseczkami na kostkach. Idziemy do wspaniałego lokalu.

Wkłada ciasto do piekarnika. Ciekawe, kiedy się tego nauczę; kiedy zamienię się w matkę, która namiętnie piecze. Za pięć lat jako członkini komitetu rodzicielskiego będę zobowiązana dostarczać blachy orzechowego ciasta i biszkopty, żeby zebrać fundusze na podstawowe wyposażenie



szkolne. Do tego czasu tak się porobi w szkołach, że jeden zeszyt z ćwiczeniami będzie przypadać na siedmioro dzieci. Już sobie wyobrażam, jak naukowa kariera mojego syna zależy wyłącznie od mojej umiejętności wydobycia z piekarnika czegoś, za co ktoś może zechcieć zapłacić pięćdziesiąt pensów.

- Dlaczego go gdzieś nie wyciągniesz? - proponuję. - Zajmę się Maud.

- Mamy opiekunkę. Możemy wychodzić, kiedy tylko chcemy. Ale konieczność proponowania mu tego psuje cały...

- Kto się opiekuje Maud?

- Ta au pair, oczywiście.

- Czyli znalazłaś jakąś dziewczynę ze wschodniej Europy? Beth śmieje się.

- Nie całkiem. Rosie to urocza dziewczyna z Kent. Chodziła do postępowej szkoły, chodziła na lekcje, tylko kiedy miała ochotę.

- A jak nie chodziła?

Beth wzrusza ramionami, wycierając kuchenny stół pomarańczową gąbką w kształcie złotej rybki.

- Pewnie przesiadywała na trawce pod drzewami. Każdy miał swój kawałek ogródka. Chciałam się upewnić, że Maudie będzie często na świeżym powietrzu, bo ja i spacerowanie to niezbyt fortunne połączenie.

- Czyli mogłaby zabrać się do waszego ogrodu? - pytam.

- Cóż, nie chciałabym jej o to prosić. Nie zostało to zawarte w umowie o pracę. Ale mam nadzieję, że wykopie ten stary krzak czerwonych porzeczek. Matthew tego nie robi. Kiedyś zajmował się ogrodem, ale teraz to już przeszłość. Ma telewizor. Spójrz tylko, jak wygląda trawnik.

Z kuchennego okna rozciąga się widok na ogród Beth, otoczony ze wszystkich stron wysokim na prawie dwa metry, pokrytym kreozotem ogrodzeniem. Beth wniosła je, żeby zapewnić sobie prywatność, kiedy będzie ćwiczyć jogę na trawniku. Zbudowali też drewniany taras, czego Beth niebawem pożałowała. To wina Matthew, powiedziała mi, bo nie przejmował się tym, jak zmizerniała od karmienia piersią aż wychudły jej palce, a

skóra zaczęła luźno wisieć na przegubach (najwidoczniej tu widać najbardziej, kiedy człowiek traci wagę). I zsunął się jej pierścionek, ten z diamentem z Liberty. Wpadł w szparę pomiędzy deskami. Wszystko będzie musiało zostać zdemontowane. Nie ze względów sentymentalnych - choć to był jej zaręczynowy pierścionek, zakupiony, kiedy Matthew potrafił ją jeszcze zaskoczyć - ale dlatego że nie może znieść myśli, że wprowadzi się jakaś inna para, uzna drewniany taras za relikwiarz ubiegłego wieku, zlikwiduje go i dostrzeże w ziemi błysk złota.

- Gdzie jest Maud? - pytam.

- Na górze, bawi się z Rosie. Od pierwszego dnia musisz ustalić reguły. Rosie wie, że nie może krążyć po domu, kiedy przychodzą do mnie znajomi. A co do jedzenia, może częstować się z puszek z ciasteczkami, ale z drugiej strony nie chcę otworzyć kredensu i stwierdzić, że zniknęły wszystkie czekoladowe herbatniki.

Z góry płynie piosenka, śpiewana słodkim, młodym głosem. Maud śmieje się głośno. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby to dziecko się śmiało. Może Rosie puszcza taśmę z nagraniem chichotem dzieci, żeby Maud rozweselić.

Beth ustawia na kuchennym stole dwa nakrycia. Z rozmachem ściąga ściereczkę z ogromnego półmiska z sałatką. Orzechy wśród lśniących liści i papryka z grilla.

- Chyba lepiej się czujesz - mówię - skoro zawracasz sobie głowę opiekaniem nasion sosny i tak dalej.

- Och, to dzieło Rosie. Jesteś to sobie winna, postaraj się p au pair. - Zamierza nalać nam soku grejpfrutowego, ale przyniosłam wino i chcę się napić. - Ale tylko łyżeczek - mówi. Chcę zaproponować, żeby i Rosie nalać kieliszek, ale zakładam, że będzie jadła później, dojadając resztki w pokoju dziecięcym z Maud.

Na oddziale położniczym była przyczepiona do drzwi toalety następująca informacja:

Pamiętajcie, panie, kiedy siusiamy, zwieracze zaciskamy i strumień moczu trzymamy. Mocny zacisk, przetrzymanie i mięśnie miednicy będą działać jak malowanie.

Wydawało się, że to całe zaciskanie i powstrzymywanie to strata czasu, kiedy jeszcze było nad czym pracować. Teraz żałuję, że się nie zmobilizowałam. Ciągłe oddaję mocz, zupełnie jak mysz, ale upodobanie Beth do zabezpieczających bramek na schodach jest wystarczającym powodem, żeby ociągać się z udaniem do toalety. Wiercę się na kuchennym krześle i zwlekam tak długo, aż istnieje ryzyko, że puszczą mi zawory, zanim usiądę na sedesie. Na szczęście udaje mi się dotrzeć do ubikacji na czas. Co za ulga.

Znajduję Rosie i Maud dwa piętra wyżej. Rosie uśmiecha się szeroko zza swobodnie opadających na jej twarz brązowych loków. Ta świeża, żywa dziewczyna, obsypana idealną liczbą piegów, bardziej pasuje do podróży szybką koleją TGV przez Francję niż przebierania drewnianych koralików liczydła na górze londyńskiego domu Beth.

- Dzięki za lunch - mówię.

- Nie ma sprawy. Zawsze do usług. - Ma na sobie džinsy, biały podkoszulek i zero stanika. Cera, która łatwo przystosowuje się do słońca - zapomnijmy o scenariuszu z płynem kała-minowym. Maud wydyma policzki - jej twarz nie ma żadnego wyrazu. Rzadko widuje się bardziej nieatrakcyjne dziecko. Wciśnięta w filigranową letnią sukieneczkę z kraciastego madrasu wygląda jak transwestyta. - Prawda, że urocza? - mówi Rosie. - I jaka mądra. Nie mogę uwierzyć, ile ona potrafi.

Maud wpycha do ust zaciśniętą piastkę.

- Jesteś prosto po szkole? - pytam, starając się nie unosić głosu i nie ćwierkać, jak wtedy, kiedy zwracam się do dziecka.

- Pracuję od kilku lat - mówi Rosie. - Byłam kelnerką, trochę bawiłam się w modelkę, pozowałam do szkiców z natury. Okropnie marzłam. To było w takim paskudnym centrum edukacji dla dorosłych. Dwie godziny ciągnęły się jak cały tydzień.

- To musiało być okropne.

- W ostatniej pracy tańczyłam. To było lepsze.

- Co to był za taniec? - pytam.

- Erotyczny. Świetne pieniądze, ale godziny pracy - daj spokój. Nie można robić bez przerwy całymi miesiącami. Jesteś wykończona. Przychodzi chwila, kiedy trzeba dać sobie spokój. Więc pomyślałam, że w zamian spróbuję tego.

Włącza magnetofon.

*Pajaczek Incy Wincy  
Wspiął się do rynny,  
Ale spłynął deszcz  
I biednego pajaczka wyplukał.*

Kto to śpiewa? Po trzech latach szkoły teatralnej ludzie wyśpiewują piosenki dziecięce z taką precyzją i przejęciem, że niemal wylatują plomby.

- Taniec erotyczny? - powtarzam.

- W jakimś okropnym klubie pełnym starych, napalonych facetów? - szczerka Beth zza mojego ramienia.

Rosie unosi wzrok; ma zaczerwienione policzki.

- Nie tylko faceci tam przychodzą. Kobiety też. Wielu mężczyzn przeprowadza swoje dziewczyny, żeby się razem zabawić.

Beth oddycha głęboko, jakby lekarz osłuchiwał jej płuca.

- Może Matthew cię zabierze - drażnię się z nią. - Będiesz miała swój wieczór. Narzekałaś, że nigdy cię nie zaskakuje.

- Nie wydaje mi się. - Ściągnę na jej szyi tak nabrzmiały, jakby miały zaraz popękać.

- To nie to, co myślisz - mówi Rosie. - Dziewczyna tańczy i koniec. Żadnego dotykania.

- A co wkładałaś na siebie do tego tańca? - dopytuje się Beth. Rosie sadza sobie Maud na kolano i całuje ją w wątle włoski.

- Nic. Ale jak tańczysz na rurze, to musisz mieć na sobie figi. Co do tego są surowe reguły.

Beth zabiera Maud z kolan Rosie. Dziecko zaczyna głośno płakać w ramach protestu, wrywając się do swojej nowej najlepszej przyjaciółki.

- Dokąd idziemy? - pytam, podążając za Beth, która schodzi ciężkim krokiem na dół. Choć jest gorąco, opatula Maud w grubą, robioną na drutach kurtkę, pasiastą jak lody włoskie, do tego różowy kapelusik przeciwsłoneczny, który zapina hałaśliwie na zatrask wśród kilku podbródków Maud.

- Wychodzimy na spacer - oznajmia.

- To niepodobne do ciebie - mówię. - Żeby tak się palić do wyjścia.

Beth wpycha lewą stopę Maud do bucika z baraniej skóry.

- Jest mi duszno. Właściwie to mam mdłości.

- Może przez wino - sugeruję. - Nie jesteś przyzwyczajona do alkoholu. Picie w ciągu dnia to nie jest dobry pomysł. Gdybym sobie za często pociągała, czułabym się ospała całe popołudnie. Uwielbiam wino.

Nie powinnam była tego mówić. Na tym właśnie polega problem z ekipą od poranków przy kawie. Czasami zapominasz, że tak naprawdę wcale się nie znacie, wasza znajomość opiera się na debatach w stylu pieluchy z tetry kontra jednorazówki i zbiorowym wstępie do psych odchodów.

Beth próbuje włożyć rękę Maud do jednopalczastej rękawiczki w tęczowe paski.

- To nie przez wino - mówi, kiedy Maud strząsa rękawiczkę-Jak byś się czuła, wiedząc, że ktoś, kogo zatrudniłaś, komu powierzyłaś swój największy skarb, ochoczo tańczył zupełnie nagi przed mężczyznami? - Wciska małą do spacerówki i agresywnie ją przypina. Maud ryczy na cały głos. - Nie jestem świętoszką, wiesz przecież. Ale mogła mnie uprzedzić, zamiast zwałać to na mnie tak zniecka.

- Nie pytałaś - stwierdzam.

- A o co miałam ją zapytać? Witaj, skarbie, proszę siadaj. A teraz powiedz mi, czy jest coś, co powinnam wiedzieć o twojej przeszłości? - Beth błyska na moment maniakałnym uśmiechem.

-Wydaje się urocza. Nie pozwól, żeby to wszystko popsuło. -Dlaczego biorę stronę osoby, z którą rozmawiałam niecałe pięć minut?

- Jest prostytutką- syczy Beth. - Naprawdę wierzysz, że tylko wiła się na rurze? Jeśli są gotowe robić coś takiego, zrobią wszystko dla pieniędzy.

Rosie schodzi na dół lekkim krokiem.

- Nie można się spotykać z facetami prywatnie. Gdybym zrobiła coś takiego, klub mógłby stracić koncesję.

Spoglądam ukradkiem na jej ciało, na jej jasnobrązowy brzuch, który odsłania się, kiedy sięga po wiszącą na wieszaku w holu torbę z rzeczami Maud. Mała na widok opiekunki przestaje ryczeć.

- Wezmę kocyk i trochę zabawek, żeby Maud mogła pobawić się na słoneczku - mówi Rosie.

Wychodzimy z domu, czemu towarzyszą sączące się słabo z pokoju dziecięcego słowa piosenki *Polly wstawiła czajniczek*.

Na placu zabaw Beth siada na ławce. Zanim urodziłam Bena,; nie mogłam pojąć sensu istnienia miejskich parków. Te zielone placyki były interesujące jedynie dla rottweilerów i ich właścicieli z grubymi karkami. No i niepracujących ludzi toczących przed sobą spacerówki.

Park Beth w hierarchii zielonych miejsc miasta stoi jeszcze niżej od naszego.

- Mądrze zrobiliśmy, kupując tu dom - wyznała pewnego razu. Zupełnie jakbym słyszała Jonathana. Nikt już nie kupował mieszkań, tam gdzie tak naprawdę chciał mieszkać; zakup musiał być sprytną inwestycją. - To wkrótce będzie modna dzielnica - twierdziła Beth. - Patrz, ile sklepów z upominkami. Widzisz te świeczniki z kutego żelaza i etniczne bajerki?

Przechodząc tędy, możesz dać się zwieść bezużytecznym sklepikom sprzedającym świece zbyt drogie, żeby je palić, ale gdziekolwiek jesteś, wygląd parku powie ci, jak tam naprawdę jest. Beth stara się nie zauważać leżących w trawie pustych butelek z nalepką Bacardi Breezer. Kiedy mężczyzna w połyskliwym dresie pozwala swojemu chartowi angielskiemu załatwić się na trawnik, nie ma na tyle pary, żeby coś mu powiedzieć, czy chociaż wcisnąć do ręki ulotkę akcji CWOK.

Rosie leży na kocu z naszymi dziećmi.

- Czy mogę ją trochę rozebrać? - pyta. - Upiecze się w tym wszystkim.

- Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej - odpowiada z rezerwą Beth.

To musi być trudne: dwie dorosłe kobiety, zajmujące się zasadniczo tym samym, zmuszone do wzajemnej uprzejmości. Zastanawiałam się, jak by to



było, gdybym miała pod swoim dachem inną kobietę, zwłaszcza tak miłą dla oka jak Rosie, która wyłania się z łazienki o siódmej rano, pachnąca i wilgotna po prysznicu.

Beth wczepia swoje chropowate dłonie we włosy. Kiedy cofa palce, jej warkoczyki sterczą na boki jak skrzydła ptaka.

- Powinnyśmy były zabrać filtr przeciwsłoneczny - mówię, żeby oderwać jej myśli od tańca erotycznego.

Beth pociera swędzące palce. Ma egzemę. Powiedziała mi kiedyś, że na jej skórze wyskakują pęcherzyki, kiedy tylko czuje, że jej ciało nie działa, tak jak powinno. Tak jakby jej skóra odrzucała ciało i chciała się od niego uwolnić.

- Nina - mówi nagle Beth - widzisz ten koc? - Maud leży na plecach i radośnie wierzga, okładając kocyk grzechotką. - Ja go zrobiłam - mówi.

- Jesteś niesamowita. Ja nie miałabym cierpliwości.

- Zaczęłam go robić zaraz po tym, jak zaszłam w ciążę. Dokładniej, zaraz po tym, jak lekarz potwierdził, że jestem w ciąży. Staraliśmy się o dziecko przez ponad dwa lata. Tyle prób... Wtedy nasze życie intymne stało się zupełnie mechaniczne. Jak tankowanie samochodu. W nieodpowiednim momencie w ogóle nie byłam zainteresowana seksem. Wydawało się to stratą czasu. A potem, kiedy już zaszłam w ciążę, zaczęłam pracować nad tym kocykiem. Pracowałam, dopóki nie zaczęły się bóle porodowe. Ten kocyk był dla mnie jak talizman, sprawiał, że dziecko było bardziej realne.

Beth nigdy wcześniej nie dzieliła się tak osobistymi sprawami. Nie wiem, co z tym zrobić.

- Sto sześćdziesiąt cztery żółte kwadraty - ciągnie. - Myślisz, że dlatego Matthew się ode mnie oddalił?

- To piękny koc - mówię bezradnie.

- Kto by sobie zawracał czymś takim głowę, skoro można kupić taki koc, w dodatku pewnie lepiej wykonany. Musiałam wyrzucić połowę kwadratów, bo były beznadziejne, naprawdę żałosne. Wiesz, co się dzieje z mózgiem, kiedy jesteś w ciąży? Jak człowiek zatracą perspektywę? Miałam obsesję na punkcie tego cholernego koca. - Przesuwa obrączkę wzdłuż pokrytego pęcherzykami palca.

- Pytałaś Matthew, czy coś jest nie tak?

- Nie ma możliwości normalnie porozmawiać teraz, kiedy jest z nami Rosie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Beth wpatruje się przed siebie ze splecionymi ciasno na kolanach dłońmi. Rosie wyciąga swoje szczupłe, opalone nogi. Beth gwałtownie przykłada dłoń do ust.

- Co się stało? - pytam.

- Ciasto. Ciągle jest w piekarniku.

Włosy Chase'a ekstrawagancko sterczą w górę, a ich objętość została uwydatniona jakąś pianką.

-Och, dziewczyno! - wykrzykuje, wpadając do recepcji. Zapomniałam już, że mój były naczelny porusza się jak niedźwiedź i zajmuje mnóstwo miejsca. - Brakuje nam ciebie - oświadcza. - Tam, gdzie powinna być Nina, jest tylko pustka w jej kształcie. - Robi krok w tył, oceniając mój wygląd. Mam na sobie szary zakiet, który leży na mnie sztywno jak tektura. Spacerów-ka burzy aurę mojego profesjonalizmu. Ben ssie po kolei wszystkie palce, zafascynowany jasnymi światłami i twarzą Chase'a, która przypomina piłkę plażową.

Polubiłam Chase'a od razu. Pierwszego dnia pracy w „Lucky” usiadłam cichutko przy biurku, żeby schować się za komputerem. Koledzy plotkowali o sławach, o których nigdy nie słyszałam, i modnych restauracjach, w których nigdy nie byłam. Czulałam się zbyt nowa, jak buty, które ocierają piety. Nagle przy moim biurku pojawił się Chase, facet przypominający balon na gorące powietrze.

- Chodź, umiemy sobie u mnie pogawędkę - powiedział, prowadząc mnie do swojego oddzielnego szybą gabinetu. - Nie będzie ci przeszkadzało, że zapalę? Próbuję rzucić. Używałem tego - poruszył biały, plastikowy substytut papierosa - ale czułem się jak przygłup. Równie dobrze można ssać długopis.

Szklany gabinet szybko wypełnił się szarymi chmurami dymu.

- Zrobisz wywiad - oznajmił. - Gołębiarka z Bethnal Green. Świrnięta. Karmi ptaki, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Sąsiedzi, policja, nakazy

sądowe. Ale ona nie rezygnuje. Robi dla ptaków ciastka z płatków kukurydzianych zlepionych jakimś okropieństwem... sam nie wiem, jakimś rodzajem tłuszczu. Idź tam i nie zapomnij włączyć magnetofonu.

Teraz idę za Chase'em do jego gabinetu, czując się tak bardzo nie na miejscu, jak pierwszego dnia pracy. Spacerówka klekocze niczym jakieś niesprawne urządzenie rolnicze. Czy Chase zapali, choć jest ze mną Ben? Co mówiła Beth na temat biernego palenia? Równie dobrze możesz podać swojemu dziecku papierosa - po co pośrednik? Słowa Chase'a szybują w różnych kierunkach:

- Chciałbym, żebyś zabrała się do... Przyjdziesz, żeby to rozwiązać...

Pędzę za nim, zahaczając o krzesło nieznamym kobiecie. Baba patrzy na mnie z góry, widzę tylko jej dziurki w nosie.

-Weź ten wózek do środka - mówi Chase, włączając do swojego gabinetu. Ma popielniczkę w kształcie Australii. W niej są dwa niedopałki, z jednego jeszcze unosi się dym. Z trudem wstawiam spacerówkę w pustą miejscę obok sięgającego sufitu regału, zastawionego segregatorami z informacjami na temat konkurencyjnych pism. Na przeciwległej ścianie są zaprezentowane najnowsze okładki „Lucky”. Na każdej modelka pokazuje zęby w uśmiechu (reguły Chase'a: szeroki uśmiech, błyszczące usta, prosty top w niewymyślnym kolorze, choć czasami zezwala na róż), prawie niewidocznym zza nagłówek i co najmniej siedemnastu wykrzykników. W celu zwiększenia sprzedaży do niektórych okładek są przyklejone gratisowe upominki, jak saszetka gorącej czekolady czy paczka z nasionami bratka. Już od samego patrzenia człowieka zaczyna boleć głowa.

- Zakładam, że chcesz wrócić do redakcji - mówi Chase. - Nie możesz wiecznie siedzieć z założonymi rękami.

- Cóż, Jonathan dba o to, żeby to wszystko się jakoś kręciło, jeśli chodzi o pieniądze. Nie śpieszy mi się do pracy. - Jonathan i ja nigdy nie rozmawialiśmy na temat mojej dalszej kariery. Bankomat zawsze wypłaca żadaną ilość dyszek. Oczywiście ja nie mam na swoim koncie nic - właściwie to nawet jeszcze mniej, po tym jak kupiłam tę śmieszna sukienkę i sandały.

- Spodoba ci się, co teraz robimy - ciągnie Chase. - Triumf ponad tragedią to już przeszłość. Definitywny koniec. Wszystkie cholerne magazyny

uganiają się za tą samą babą, która ukryła męża w wynajętym garażu w Bradford. Ci ludzie chcą, żeby im płacić, możesz uwierzyć? Nie chodzi o parę funtów tu i tam, w ramach zachęty. Mowa o setkach funtów.

Zapomniałam, jak szybko Chase wyrzuca z siebie słowa, jak szybko wszystko się dzieje poza dziecięcym światem: ludzie krążą od monitora do monitora, telefony brzęczą, domagając się zainteresowania, zupełnie jak głodne dzieci, a smukła dziewczyna ze zmarszczonym czołem wali w klawiaturę (moją klawiaturę).

- Inne tygodniki - nawija dalej Chase - są tak zdesperowane, że zmyślają różne historie. Kobieta, która niby wyszła za bigamistę... było nawet jej zdjęcie z walizką w drzwiach frontowych. No cóż, wszyscy wiedzą, że jest asystentką w ich redakcji. Cała historia jest zmyślona, kompletna fikcja. Kiedyś była u mnie na rozmowie o pracę.

- To jaką masz teraz koncepcję? - pytam.

- Chodź i sama zobacz.

Wyjmuję Bena ze spacerówki i sprawdzam, czy jest w stanie fotogenicznym. Wygląda na to, że w sześć miesięcy zmienili się wszyscy pracownicy „Lucky”. Nikt nie pędzi do nas, żeby wziąć Bena na ręce. Czuję się jak praktykantka, której trzeba pokazać, jak się obsługuje telefon. Na kłapie mojego zakietu widnieje tłusta plama. Przyciskam do niej dłoń, jakbym sprawdzała bicie serca.

- Chcemy pokazać ciepło i serdeczność - mówi Chase, wskazując rozkładówkę na ekranie. Dwie kobiety ściskają się nerwowo. Nagłówek głosi: **POZBYŁYŚMY SIĘ TEGO KLAMLIWEGO SZCZURA I TERAZ JESTEŚMY NAJLEPSZYMI PRZYJACIÓŁKAMI.** - I wprowadzamy nową stałą pozycję - ciągnie Chase. - Nazywa się *Mój Sekret*, to roboczy tytuł. Zwykła kobieta wyjawia coś nieoczekiwanego na temat swojej przeszłości.

- Super - zachwycam się, jakby nie swoim głosem.

- Mogłabyś się tym zająć? Jeden dzień w tygodniu. Możesz pracować tutaj, będziesz zadowolona, wyrwiesz się z domu. Chyba że chcesz w domu, dam ci laptopa.

- Mam komputer.

- To w czym problem?

- Nie mam opiekunki do dziecka - mamroczę.

- Coś takiego możesz zrobić przez sen.

Chcę powiedzieć: „Jaki sen?”, ale mówię tylko zdenerwowana, że coś wymyślę, i opuszczam gabinet, obiecując dostarczyć pierwszą historię z cyklu *Mój Sekret* za dwa tygodnie. Oczywiście nie uda mi się nikogo znaleźć. Zapomniałam, jak się robi wywiady. Zastanawiam się, co Chase robi z pustym miejscem przeznaczonym na mój artykuł. Co się stało z superdziennikarką Niną? Zapomniała, jak działa komputer. Czy właśnie tak poród działa na mózg?

- Źle ją osądziłem - westchnie Chase. - Myślałem, że sobie poradzi. - A potem poprosi Jess, moją zastępczynię, żeby wypełniła pustą stronę olbrzymią krzyżówką.

Godzinę przed planowym powrotem Jonathana do domu studiuje książkę telefoniczną a dokładnie - strony ze żłobkami. Łobuziaki, Psotniki, Małe Urwisy. Wszystkie te nazwy sugerują że dzieci są miłymi, pełnymi życia istotami, a nie prawdziwym wrzodem na tyłku, jak dzieciak Phoebe z samochodzikiem i fascynacją gazem. Dzwonię do Łobuziaków i dowiaduję się, że czas oczekiwania wynosi niemal rok, czyli powinnam zapisać Bena, kiedy był jeszcze wielkości pomarańczy, popierając to pokaznym wpisowym. W Psotnikach zziajana dziewczyna rzezi:

- Czy może zadzwonić pani później? Sama tu wszystkim zarządzam.

Właśnie zamierzam sprawdzić Małe Urwisy, kiedy dzwoni telefon.

- Dobra robota - mówi Lovely. - Chcą Bena. -Kto?

- Little Squirts, do reklamy płynów do kąpieli. W przyszły czwartek.

- Przecież płakał - protestuję. - Był okropny.

- Może właśnie tego chcieli. To naturalne, prawda? Dzieci płaczą. Nie są robotami. Tak czy inaczej, notuj. - Rzuca adres, który zapisuję na dłoni, a potem dodaje: - To robótka z klasą Nina. Tatuś będzie z niego dumny!

Jonathan zaciął się przy goleniu. Zakleił ranę skrawkiem papieru toaletowego, który Ben próbuje zerwać, kiedy Jonathan daje mu buziaka na pożegnanie.

- Jesteś cały zakrwawiony - zauważam.

- Spóźnię się - mówi. - Budzik nie zadzwonił. Majstrowałaś przy nim?

- Coś ty! Nie wiń mnie za swoje spóźnienie.

Wkłada ciemnoniebieską marynarkę. Garnitur do biura, zaprojektowany bynajmniej nie dla przyjemności.

- To ważne, Nina, żeby być punktualnym. Zwłaszcza dzisiaj. Będziesz musiała temu sprostać, śpieszyć się jak ja, jeśli wrócisz do pracy... kiedy wrócisz do pracy. - Sznuruje swoje lśniące czarne buty, zmazując jakąś smugę poślinionym palcem.

- Co masz na myśli, mówiąc „kiedy”?

- Chodzi mi o te numery żłobków przy telefonie. Chcesz oddać Bena obcym. Nawet o tym nie rozmawialiśmy.

- Nikomu go nie oddaję. Chase zaproponował, żebym się zajęła nową rubryką, ale wystarczy jeden dzień w tygodniu.

- Zawsze mówiłaś, że Ben cię potrzebuje w domu.

Tak mówiłam? Nie jestem pewna, czy w to wierzę. Jeśli się nad tym zastanowić, bardziej logiczne jest oddanie dziecka do żłobka, gdzie zajmą się nim dorosłe, kompetentne osoby, które będą wiedziały, jak zapobiec zachłystnięciu dzięki oczyszczeniu małych ust palcem, i potrafią konstruować pojazdy z nakrętek od kartonów z mlekiem. Ludzie, którzy zawodowo zajmują się dziećmi.

- Spójrz na Beth - ciągnie Jonathan. - Jest szczęśliwa. Maud jest dla niej najważniejsza. Nie ma mowy, żeby ktoś obcy się nią zajmował.

- Ben jest dla mnie najważniejszy - protestuję. - A Beth ma au pair. Przez większość czasu nie ma zupełnie nic do roboty.



Jonathan rzuca okiem na zegarek. Unika kontaktu wzrokowego, jakbym była akwizytorką, która wciska mu ściereczki do kurzu, przez co jest spóźniony.

- Nie mam czasu, żeby teraz o tym dyskutować - mówi.

- Sam zacząłeś. - Dostrzegam zapisany na mojej dłoni adres i chowam ją w zgięciu łokcia.

- Jeśli jesteś niezadowolona, może byłoby dobrze o tym porozmawiać.

- Jestem zadowolona - krzyczę, ale on już wypada z łoskotem przez drzwi frontowe w swoim poważnym garniturze, z czarną, zapinaną na zamek torbą, zawierającą luźne ubrania i jego balsam z wyciągiem z aloesu. Dopiero wtedy przypominam sobie, że Jonathan jedzie do Bath, żeby uczyć się, jak nawiązywać lepszy kontakt z bliźnimi, i nie będzie go trzy dni. Chcę za nim pójść, przeprosić i wybełkotać coś o reklamówce Little Squirts, ale jego już nie ma.

Nie denerwuję się z powodu pierwszej poważnej pracy Bena. Jak dla mnie, może siedzieć jak Budda, grzebiąc sobie paluszkami w pępku, ponieważ ta debiutancka reklama będzie zarazem ostatnią w jego karierze. Jak tylko zrobi swoje i popłuska się w płynie do kąpieli Little Squirt (o zapachu malinowym i właściwościach zmiękczających skórę, zupełnie jakby dzieci same z siebie miały skórę jak jaszczurka), zadzwoniło Lovely i powiem jej, że w ogóle nie jestem zainteresowana udziałem Bena w reklamach.

Nie wiem, czy w ogóle lubię tę kobietę. Agenci modeli dziecięcych powinni się dziećmi interesować i z chęcią słuchać o kamieniach milowych w ich rozwoju. Ale kiedy powiedziałam jej o nowych siekaczach Bena, którymi wgryza się w zamszowy pokrowiec na poduszkę, powiedziała:

- Coś takiego. Jeśli masz długopis w pogotowiu, Nina, zapisuj. Sektor B, Henrietta Wharf, początek o dziesiątej trzydzięci. Nie spóźnij się, bo Marcus nie będzie chciał z niego więcej skorzystać.

To słowo: skorzystać.

- Kto to jest Marcus? - zapytałam.

- Reżyser. Poznaliście się chyba na castingu? - powiedziała z wyolbrzymionym zdumieniem, jakbym powinna znać wszystkie osobistości świata

reklamy. A potem nagle odłożyła słuchawkę, zostawiając mnie samą sobie z niezadanymi pytaniami: Co powinnam zabrać? Jak mam się zachowywać przy tych ważnych ludziach?

Życie bez Jonathana jest kompletnie nieuporządkowane. Siedzę do zbyt późna, płacząc się po mieszkaniu w czarnej sukience i niebezpiecznych wysokich obcasach, fantazjując, jak chodzę po zmierzchu na mieście. Wydymam wargi przed lustrem w łazience, nawet próbuję do siebie zagadywać. Z lustra patrzy na mnie surowa, zgorzkniała twarz. Nikt nie dzwoni, żeby sprawdzić, jak sobie radzi samotna matka. Rozważam, czy nie wstąpić do jakiejś grupy wsparcia. Dzwoni stary kumpel Jonathana, Billy, ale tylko po to, żeby pochwalić się, że wylądował na końcowym przystanku Northern Line i spędzie noc na nagrobku.

- Pobieramy się - mówię mu.

-Super! Zaczę przygotowywać sobie mowę. -Nie mówię mu, że Jonathan rozważa, czy poprosić Matthew; by był jego drużbą, choć znają się tylko ze szkoły rodzenia. Nie wydaje mi się, żeby Matthew się do tego nadawał. A co do Billy'ego, Jonathan zastanawia się, czy w ogóle go zaprosić.

Zdjęcia do reklamówki Little Squirts nie dają mi spokoju. Budzę się o dziwnych porach - o 5.56 martwię się, że jestem spóźniona, szukam na oślep budzika, który spada z nocnej szafki, potracając karafkę z wodą, zatykaną przez Jonathana szklanym korkiem, żeby do środka nie przemyciły się zarazki. Kiedy Jonathan w końcu dzwoni, mówi, że mój głos dochodzi jakby z oddali i pyta, dlaczego trzymam słuchawkę z daleka od ust. Wcale tak nie jest. Mówię takim głosem, jakby w moim gardle była jakaś gula. Rozmawiamy ze sobą jak obcy.

- Jak się miewasz?

- Dobrze. A co u ciebie? Nie podoba mu się zbyt na tym kursie. Zespół dostał zadanie, żeby wykopać staw w centrum pomocy młodzieży. Zamysł był taki, żeby wykopać go wspólnymi siłami, zgrywając się jako zespół, ale Jonathan usłyszał, że nie musi zaraz chwycić łopaty, tylko niech skoczy do sklepu po ciastka.

- Nie jestem pewien - mówi - czy potrafię być graczem zespołowym.

Jonathan wraca z kasetą wideo, na której zostały zarejestrowane postępy przy pracy nad stawem. Jego koledzy uśmiechają się szeroko do kamery, wymachują łopatomi, wymazani błotem. Jonathan stoi z boku i jest czysty. Ostatniej nocy przed nagraniem Little Squirts uświadamiam sobie, że Jonathan odprowadza mnie do łóżka.

- Lunatykujesz - mówi. - Znalazłem cię przy szafie, grzebałaś w ubraniach i mówiłaś coś, że niebieski wełniany sweterek Bena się nie nadaje.

- Odwracam poduszkę, zatapiając się w jej chłodniejszą stronę.

- Do czego się nie nadaje? - pyta Jonathan.

- Nie wiem. To tylko mi się śniło.

- Może złapałaś jakiegoś wirusa. Jadłaś porządnie, kiedy mnie nie było? W lodówce prawie nic nie ma. I jakoś ciężko oddychasz.

- Mam dużo na głowie.

Jonathan głaszcze mnie po policzku. Mam wrażenie, że jego palec to pajak.

- Chodzi o ślub? To nic wielkiego, Nina. Obiecuj, że przestaniesz się martwić.

- Obiecuję - mówię, słysząc, jak oddycham ze świstem.

Głowa Marcusa wystaje z pomiętej koszuli, która łopocze nad dzinsami tak workowatymi, że zmieściłoby się w nich siedmioro obecnych dzieci. Wygląda, jakby miał na sobie ciuchy należące do kogoś większego i lepiej zbudowanego. Choć jest reżyserem i przypuszczalnie szefem produkcji, do nikogo się nie odzywa. A już na pewno nie do rodziców ani do dzieci. Usiłuję nawiązać z nim kontakt wzrokowy i pomachać w ramach podziękowania za zaangażowanie Bena do reklamy, ale on tylko patrzy poirytowany, jakby przyłapał mnie na majstrowaniu przy jego samochodzie.

Z zewnątrz budynek ten sprawiał wrażenie jednej wielkiej, pozbawionej okien bryły. Przez piętnaście minut krążyłam żałośnie wokół niego, żeby znaleźć wejście. Za to w środku wszystko błyszczy intensywnością barwników spożywczych. Ze sztucznej trawy wystają żonkile, falujące w podmu-

chach maszyny do produkcji wiatru. Wtopione w wyblakłą sofę siedzą bezwładnie maluchy, zupełnie jakby nie miały kręgosłupów. Na ekranie telewizora, z wyciszonym dźwiękiem, pingwin Pingu drepcze po udawanym lodzie.

Po drugiej stronie budynku dwóch rozczochranych facetów skacze po sztucznej trawie, wyrównując wybrzuszenia. Okrągły, nadmuchiwany basen napęnia wodą kobieta o kościstym tyłku, z połączonym łańcuszkowatym paskiem na biodrach. W miejscu przeznaczonym dla modeli i ich rodziców - same matki, oprócz jednego, ojca sztywniaka, który zacięcie kartkuje „Daily Mirror”; wszyscy są zupełnie na luzie, jakby ich dzieci występowały w reklamówkach siedem dni w tygodniu. Szybko dochodzę do wniosku, że to kwestia przyzwyczajenia; po pewnym czasie człowieka zaczyna to nudzić.

- Jesteśmy tu tylko dlatego, że znamy Marcusa - chwali się kobieta z wielką złotą grzywą potarganą przez wiatr, jakby przyjechała na galopującym koniu. - Jest ojcem chrzestnym Oscara. Oscar nie należy nawet do żadnej agencji. Chcieli go zwerbować do Tots i Pepperpots, ale nie zamierzam wpuszczać się w ten nonsens z zawodowstwem.

- Nie, nie mamy na to czasu - mówi Hinduska. Zręcznie wyciera pupę swojego syna na podkładce i zwija zabrudzoną pieluchę w małą paczuszkę. - Jeśli to dla niego dobra zabawa, wszystko w porządku. Ale córka mojej znajomej pozowała do jakiegoś czasopisma. Coś o napadach złości. Fotograf całymi godzinami trzymał je na deszczu, drażnił się z małą, nawet zabrał jej ukochanego misia.

- Jakby próbował wywołać napad złości? - Kobieta o złotej grzywie marszczy brwi.

- Dokładnie, choć on tego tak nie nazywał. Mówił, że potrzebny mu wyrazisty moment.

- Matka Raven przybywa ostatnia. Jest spocona. Włosy ma niestarannie zebrane z tyłu głowy; jej fryzura przypomina krzak.

- Porozmawiamy o tym później - mówi. Mała, potykając się, idzie za nią, holowana za mankiet. Samotny ojciec przesuwają się w moją stronę, robiąc

miejsce na sofie dla spóźnialskich. Matka Raven ma na sobie kolejną ak-samitną kreację, tym razem w odcieniu zaschłej krwi.

Szkrab jedynego tatusia chce siedzieć z twarzą przyciśniętą do telewizora i zaczyna płakać, kiedy ojciec mówi mu, że nie wolno. Rzucam facetowi współczujące spojrzenie - już tak mam, jeśli chodzi o samotnych ojców. Matki zachwycają się facetami, którzy opiekują się swoimi dziećmi. Sama też tak robię, rozpluwając się nad tatusiem bujającym swoje dziecko na huśtawce: „Jak sobie pan z tym wszystkim radzi?”. Wystarczy, że facet zmieni pieluchę - pamiętał, by zabrać pampersy i nawilżające chusteczki! - żeby kobiety zgotowały spontaniczny aplauz i przypięły order Supertaty do jego usmarowanej smarkami koszulki. Matka może przetrwać wędrówkę po supermarkecie ze wściekłym potomstwem, które ściąga puszkę i otwiera pudełko z płatkami, żeby zdobyć gratisowe płyty CD, i nikt z mijających ją ludzi nie powie: „Świetnie sobie pani radzi”. Jeżeli w ogóle ją zauważą, jedynie rzucą okiem na jej spuchnięte kostki i postanowią w duchu stosować podwójne zabezpieczenie (spirała plus wyjątkowo wytrzymałe prezerwatywy).

Kobieta o wychudzonych biodrach zakręca wąż i nalewa do basenu różowy płyn.

- Witam, mamusie. I tatusia - mówi, wyrastając nad nami. - Jestem Jackie i dzisiaj będę się wami zajmować. - Uwagę samotnego ojca raptownie przykuwa pasek świeżej, zdobytej na solarium opalenizny pomiędzy jej topem i dżinsami. - Teraz, jeśli możecie trochę poczekać, będziemy filmować sam basen. Woda jest ciepła, ale nie chcemy, żeby dzieciaki siedziały w niej dłużej niż to konieczne.

- Chcę pochodzić w baseniku - mówi Raven.

- Na wszystko przyjdzie czas - mówi energicznie Jackie. - Wszyscy zadowoleni?

- Chcę do wody - grzmi Raven.

Jackie szczyrzy zęby i wraca do basenu. Wyciąga z torby kilka lalek wielkości dziecka. Z pewnością będą unosić się w wodzie na plecach albo twarzą w dół (nie jest to wyjątkowo radosny wizerunek, do którego dąży Little Squirts), ale w jakiś magiczny sposób lalki ustawiają się od razu na

powierzchni w prawidłowej pozycji; mają pusty wzrok jak zabawki z horrorów, które budzą się do życia wraz z wybiciem północy i schodzą chwiejnie schodami na dół.

- Chcę taką lalkę - mówi Raven.

- Zobacz, kochanie, Pingu - wzdycha jej matka.

- Chcę taką lalkę z dużą głową.

- Ona jest mokra, kochanie. Zmoczy twoją śliczną sukienkę. Raven zaciśka usta. Jej matka szpera w tajemnej, ukrytej wśród

aksamitu kieszeni i wyciąga rurkę dropsów. Raven rozdziera złotą folię, rozsypując dropsy, które odbijają się od betonowej podłogi. Przez chwilę współczuję tej kobiecie w ponurym aksamicie, która nie ma nic innego do roboty, tylko ciąga swoje dziecko z jednego castingu na drugi i szyje stroje z wykrojów. Potem uświadamiam sobie, że aż tak bardzo się od niej nie różnię, z wyjątkiem tego, że trzydzieści lat wcześniej jej pierwsze ściegi krzyżkowe były bez wątpienia bardziej udane niż moje. Jackie kładzie na stoliku sześć par ochronnych majtek.

- Gdybyście mogli je włożyć - mówi - unikniemy małych kupek w basenie.

- Nie wiem, czy na mnie pasują - odpowiadam. Uśmiecha się z uprzejmym grymasem i zwraca się do matki

Raven.

- Raven sfilmujemy na końcu. Będzie sama w basenie, w tym ślicznym różowym kostiumie. Zrobisz to dla mnie, Raven? -Raven wpatruje się zgarbiona w Pingu i wkłada dropsy do buzi. Nie wygląda na to, żeby je ssała czy łykała. Zastanawiam się, ile jest w stanie ich wepchnąć do ust, nim zaczną wypadać.

Ben wierci się podekscytowany, kiedy wkładam jego nóżki w majtki ochronne. W basenie huśta się lekko na wodzie, unoszony przez nadmuchowaną kaczkę. Eksperymentalnie przebiera palcami wodę. Kiedy dołączają do niego inne niemowlaki, zaczyna szczypać dziób kaczki. Niesamowite jest to, że w tym ogromnym basenie, pełnym obcych dzieci, zachowuje się zupełnie tak, jakby był we własnej wannie.



Na ekranie pojawiają się po kolei wszystkie dzieci z wyjątkiem Bena. Mój syn marszczy w skupieniu brwi, ciągnąc żółty plastik, aż w końcu jakaś część jego małego mózgu przypomina mu, że nie jest tu, żeby taplać się w ciepłej wodzie, tylko ma pracować. Unosi głowę, ma szeroko otwarte oczy i uśmiech, jakby ta niezgrabna kamera, przesuwająca się powoli w jego stronę po torze, była ogromną, wypełnioną mlekiem piersią.

- Och! - wzdycha kobieta ze złotą grzywą. Twarz Bena wypełnia cały ekran, reklamując nie tylko płyn Little Squirts, ale samo rodzicielstwo: Spójrz, co możesz osiągnąć, jeśli podejdziesz do tego z głową. A nawet jeśli tego nie zrobisz. Jedna mała wpadka, i oto rezultat.

Ben mruga do kamery. Samotny ojciec odkłada gazetę. Przez chwilę panuje cisza, a potem rozlegają się brawa.

- Fantastycznie - mówi Jackie, wyciągając Bena z wody i owijając go żółtym ręcznikiem z kapturem. - Trzymasz na swoich rękach małą gwiazdę.

Cała ta szczęśliwa scena minęła tak szybko, że nawet Jonathan nie mógłby narzekać. Powiem mu o tym dziś wieczorem. Zjemy kolację, napijemy się wina, a potem powiem coś w stylu: „Jonathan, nie byłam z tobą do końca szczerą. Ben i ja... my byliśmy...” Przez chwilę będzie zdenerwowany i powie, że chodzi mu o moje kłamstwa, a nie o sam udział Bena w reklamie. Czy nie mogłam mu o tym powiedzieć? Czy naprawdę myślałam, że wścieknę się z powodu takiej błaźniny? Ale zrozumie, że tylko chciałam jakiejś odmiany, jakiegoś wytchnienia od Beth i jej zasypanej mąką kuchni. Uściskam go, czując ulgę, że nie mam już więcej przed nim tajemnic. Pójdziemy do łóżka, a on wdrapie się na mnie i po wszystkim zejdzie, tak jak to robi obecnie, jakby to była jedna z pozycji na liście, którą trzeba zrealizować:

Warzywa z bazaru Opona od wózka Obrączki Seks

A potem będziemy planować ślub. Nic wystawnego, coś w rodzaju stołu szwedzkiego plus wino. Tak naprawdę to jesteśmy już małżeństwem. Mamy małżeński robot kuchenny i małżeński seks. Równie dobrze moglibyśmy być ze sobą od paru dziesięcioleci. Co do udziału Bena w reklamówkach, Jonathan wyrazi na to zgodę, jeśli dzięki temu będę szczęśliwa. Na-

stępnym razem - bo na pewno będzie następny raz - może nawet pójdzie tam z nami.

- Co zrobiłaś? - chrypi Eliza.

- Ben nakręcił reklamówkę - powtarzam urywanym głosem, kiedy tak-sówka podskakuje na zwalniających progach. - Marcus powiedział, że jest gwiazdą. Bardzo naturalny. Niedługo Ben nie będzie wstawał ze swojego łóżeczka za mniej niż dziesięć tysięcy funciaków.

Eliza śmieje się złośliwie.

- Nie sądziłam, że posuniesz się aż tak daleko. Wzięłam Bena do tych zdjęć tylko po to, żeby wyciągnąć cię z domu.

Nie spodziewałam się takiej reakcji. Zakładałam raczej, że Eliza, patrząca pogardliwie na matki, które siedzą w domu, będzie zadowolona, że liźnęłam trochę wielkiego świata, nawet jeśli tylko dzięki olśniewającej aparycji mojego syna.

- To raptem jedna mała reklama - mówię wzburzona. - Pewnie puszcza ją tylko w Japonii.

- Co? W publicznej telewizji japońskiej?

- Nie wiem. Zapomniałam zapytać.

Ben przypięty do fotelika śpi sobie w mgiełce syntetycznego malinowego aromatu. Teraz zaczęłam się martwić. Co będzie, jeśli ta sprawa z reklamami wymknie się spod kontroli? Jeśli zaczną domagać się gwiazdorskiego traktowania, odrzucając zwyczajne jedzenie? Mogą przychodzić mu do głowy najbardziej szalone pomysły. Może nawet zażądać nowej matki.

- A co Jonathan o tym myśli? - pyta Eliza.

- On nic nie wie.

- No właśnie. - Prycha triumfalnie. - Wiesz dobrze, jak zareaguje. Ile Ben za to dostaje?

- Niedużo - mówię. Tak naprawdę to nie wiem ile. Nie pytałam. Nie wydaje mi się to aż takie istotne.

- Powinnaś się dowiedzieć - ciągnie Eliza. - To może być wyzysk dzieci. Nie podpisywałaś umowy?

Otwieram żółte pudełko, które leży na moich kolanach: jest przyozdobione różowymi zawijasami i zawiera cały asortyment produktów Little Squirts. Prezent w ramach podziękowania.

Raven odmówiła wejścia do basenu. Włożyła kostium kąpielowy, ale usmarowała cały przód rozpuszczonymi dropsami. One nie dostały pudełka z upominkami.

- Nie robię tego dla pieniędzy - mówię nieprzekonująco.

- W takim razie po co to robisz?

Głaszczę butelkę z szamponem: odżywcza mieszanka kiwi i papai, „ponieważ troszczymy się o twoje dziecko tak ja ty”.

- Nie dla pieniędzy - powtarzam.

Jonathan zjawia się koło dziewiątej, roztaczając zapach starego wina. Pił z Billym. Ich wspólne wyjścia zwykle dochodzą do skutku po tym, jak Jonathan już trzy razy odwoła spotkanie, a po wszystkim jest wyczerpany podejmowanymi z wielkim wysiłkiem próbami zniechęcenia swojego najstarszego kumpla. Jest to zjawisko odwrotne do procesu zaskarbienia sobie czyjejs przyjaźni. Dzieje się tak, kiedy ktoś zbyt mocno cię lubi i potrzebuje.

- Nie wiem, po co nalega na te pijackie spotkania starych kumpli - mówi Jonathan, rozwieszając swoją zmoczoną przez deszcz marynarkę na krześle. - Nigdy nie byłem niczym kumplem od picia. Wolałbym być w domu z tobą. - Pada na łóżko jak zużyta poduszka.

- Jadłeś? - pytam. Potrzęsa przecząco głową.

- Mogłabyś coś upichcić?

To mnie zbija z tropu. Ja nie pichcę, Jonathan to robi. Żyję na przekąskach, a oprócz tego jem wszystko to, co ugotuje Jonathan. Nie myślę o przyrządzaniu posiłków.

- Może - mówi ostrożnie - mogłabyś powoli zacząć coś robić w ciągu dnia.

- Co takiego? - pytam.

- Jedzenie - mówi, spoglądając na mnie ostro. - No wiesz, przyrządzać posiłki. Skoro jesteś przez cały dzień w domu. - Zdejmuje spodnie, składa w

kant i wiesz na wieszaku. - Chodzi mi tylko o to, że mogłabyś zrobić jakiś sos do makaronu, jeśli będziesz miała w ciągu dnia trochę wolnego czasu.

Pociera czoło, jakby chciał wygładzić zmarszczki. Od kiedy awansował na kierownika zespołu, jego ubrania zrobiły się luźne, a policzki wklęsłe. Zaczął przynosić do domu gotowe jedzenie, które sobie potem dziobie. Jednego wieczoru, zamiast przygotować świeżą kompozycję - powiedzmy sałatkę z figami i szynką parmeńską - włożył do mikrofalówki gotową zapiekankę, z której pod wpływem ciepła sączyła się margaryna.

- Chcesz powiedzieć, że mam mnóstwo czasu? - wyrzucam z siebie. - Długie, puste dni, w ciągu których mogłabym pitrasić wymyślne sosy i je zamrażać?

Jonathan powoli rozpiną swoją białą koszulę, po czym wrzuca ją do wiklinowego kosza na bieliznę. Wzrusza ramionami w szarej cętkowanej koszulce, która na nim wisi.

- Wiem, że jesteś zajęta - mówi spokojnie. - Dzwoniłem przez cały dzień, twoja komórka była wciąż wyłączona. Nie chcę mieć cię cały czas na oku, Nina, ale byłoby miło wiedzieć, gdzie jesteś.

- Po co dzwoniłeś? - pytam ostrożnie.

- Zastanawiałem się, czy udało ci się załatwić sprawę z Foksem. To znaczy, czy są w stanie zapewnić szwedzki stół z gotowanym we wrzątku łososiem w charakterze głównego dania. No wiesz, na nasze wesele.

- Zapomniałam. Zajmę się tym jutro.

Spogląda na mnie przelotnie, po czym wychodzi do salonu i zaczyna łąskotać Bena po brzuszku.

- Czas ucieka - przypomina mi.

- Przecież zostały jeszcze trzy miesiące.

Ben nie odpowiada na podejmowane przez Jonathana zabiegi wyrwania go z malinowego letargu. Nasz syn leży rozciągnięty, z głową przechyloną na jedną stronę, wyczerpany po ciężkim dniu pracy.

- Tak, ale ludzie planują swoje wesele całymi latami. Jest wiele spraw, które trzeba przemyśleć.

Bardzo bym chciała, żeby odczepił się od gołego brzuszka Bena; boję się, że wyczuje owocowy zapach lub blask sławy. Ale oczywiście dla Jonathana to ten sam Ben.

- Myślałam, że nie będziemy robić ze ślubu wielkiej sprawy -mówię do siebie, zapisując na kuchennej tablicy z bieżącymi sprawami ZADZWONIĆ DO FOKSA, CO jeszcze parę razy podkreślam.

Oficjalnie odpowiadając za przygotowywanie posiłków dla rodziny, stwierdzam, że nie ma potrzeby, żebym co wieczór gotowała coś od zera czy w ogóle przygotowywała coś na ciepło. Nowe delikatesy, które powstały w miejscu dawnego, straszego gabinetu dentystycznego, gdzie człowiek nie miałby nawet ochoty otworzyć buzi, nie wspominając już o tym, żeby ktoś w niej grzebał, są odpowiedzią na nasze kulinarne problemy. Personel składa się z wesołych typów w stylu studentów szkoły teatralnej, którzy mają wydatne zęby i fartuchy w biało-granatowe paski. Kupuję szynkę, salami, gotowe sałatki i przyprószone mąką bochenki chleba, które ważą chyba z pół tony. Z pewnością jeśli skomponuję wszystkie główne grupy pokarmowe -proteiny, węglowodany, do tego trochę zieleniny - nic straszego się nie stanie z naszymi kośćmi czy wzrokiem. I nie będę musiała gotować, tylko coś tam wykombinuję.

To działa. Podany pod nos posiłek to dla Jonathana taka nowość, że gdybym należała do skautów, dostałabym kilka tysięcy punktów.

- Świetne salami - mówi, zając moją pierwszą propozycję. - Cudowna sałatka, Nina. Czy to roszonek?

Potakuję, po czym dodaję, że od tej pory będziemy zaopatrywać się w delikatesach. Będziemy żyć prosto, jak Włosi czy Francuzi, z tymi ich ogromnymi rodzinami i sypiącymi żartami babciami, gdzie wszyscy gromadzą się przy ogromnych, kuchennych stołach. Możemy nawet pić wino w ciągu dnia.

- Zabawne, że wspomniałaś o dużych rodzinach - mówi Jonathan. - Co prawda nie ma z tym pośpiechu, bo twój biologiczny zegar nie przestanie zaraz tykać, ale pomyślałem sobie...

Kawałek salami utknął mi w gardle. Może powinnam była usunąć tę zewnętrzną warstwę? A tak w ogóle, to z czego to jest? Ze świńskiego jelita czy niestrawnego plastiku?

- Ben nie może być jedynakiem - ciągnie Jonathan. - Ani ja, ani ty nie mamy rodzeństwa. No i zobacz, jak się porobiło.

Spogląda znad swojego talerza, uśmiechając się z nadzieją. Wyszarpuje skórę od salami spomiędzy przednich zębów.

- Świetnie sobie radzimy - mówię dzielnie.

Po trzech tygodniach kuchni rodem z delikatesów Jonathan proponuje, żebyśmy rozszerzyli nasz repertuar. Manewruje uważnie spacerówką wśród tłumu kupujących, którzy wylegli na bazar w sobotni poranek, przepaszając za każdym razem, kiedy otrze się o czyjąś goleń czy kostkę. Większość stoisk oferuje ręcznie barwione spodnie, szerokie, wiązane spódnice w stylu sari oraz inne etniczne ubiory, żeby zasugerować, że twój paszport lubi częste wycieczki. Większość kupujących jest na kacu i ma siłę jedynie przrzucać stojaki z porysowanymi płytami winylowymi. I jeść. Wydaje się, że prawie wszyscy coś wsuwają. Chłopak o zaczerwienionych oczach pogryza piętę, a hummus ścieka mu na bućki Bena z miękkiej skórki. Ewakuujemy się w stronę spokojnych ulic z szeregowymi domami, choć udało nam się kupić jedynie papierową torbę rzodkiewek.

Zbyt daleko od domu Ben zaczyna płakać.

- Zatrzymajmy się, żeby dać mu butelkę - proponuję. Jonathan przypatruje się kępie trawy ogrodzonej przez wymizerowane krzewy różane i wyszczerbione czarne barierki.

- Tutaj? - pyta. - Nie jest tu zbyt...

Ben wyje, wyrażając w ten sposób potrzebę spożycia płynnej przekąski. Zatrzymujemy się na żelaznej ławce z napisem: JEŚLI CHCESZ ZROBIĆ TO Z MELISSĄ, ZADZWOŃ. .. Numer został zabazgrany czarnym markerem. Jonathan opiekuńczo obejmuje mnie ramieniem. Mały placzyk zabaw jest porośnięty trawą tylko pod drabinką w kształcie łódki widać prostokąt popękane-go betonu, co gwarantuje poważne uszkodzenie głowy w razie upadku.

- Chciałabyś gdzieś pojechać? - pyta Jonathan.

Patrzę na obstawione lobeliami balkony dwupoziomowych mieszkań.



- Wracajmy do domu. Pielucha Bena już śmierdzi, a zapomniałam zabrać zapasową.

- Nie, pytałem o naszą podróż poślubną. Powinniśmy niedługo coś zarezerwować. Masz jakiś pomysł?

To dziwne, że zostaliśmy rodzicami, a jeszcze nigdzie razem nie wyjeżdżaliśmy. Nie mieliśmy czasu na wakacje czy chociaż wypad na wieś, jak Beth i Matthew. Wyjechali na ten weekend. Tylko we dwoje. Do Somerset. Czas dla nich, jak powiedziała

Beth; istotny dla utrzymania bliskości. Niechętnie odstawiła Maud od piersi. Przez kilka pierwszych dni miała piersi jak beton, a kiedy brała prysznic, razem z wodą spływało mleko, znikając w odpływie. „Co za strata! - lamentowała. - Ale warto było..Odzyskuję swój biust. Tak w ogóle, i zapewne nie jest to zbieg okoliczności, Matthew znowu jest zainteresowany seksem, jakby sobie przypominał, że jestem kobietą”. Po osuszeniu butelki Ben przysypia na kolanach Jonathana.

- Gdzie jest ciepło w grudniu? - pytam. Karaiby. Tak, Karaiby. Białe piasek. Bikini. Nie, może nie bikini. Srebrny, jednoczęściowy kostium z wyciętymi bokami. Będę musiała popracować nad tymi bokami. Dam sobie spokój z ćwiczeniami na dno miednicy. Będę robić brzuszki. Zaczę od dziesięciu dziennie, a potem dojdę do dwunastu, może trzynastu.

Uświadamiam sobie, że nie mam pojęcia, jakie Jonathan lubi kraje. Nie mogę go sobie wyobrazić w kąpielówkach. To ja zabieram Bena na basen; nadal dzielnie chodzimy tam raz w tygodniu pomimo upokorzenia, jakie zafundował mi Ranald. No i słońce! Skóra Jonathana nie nadaje się na słońce. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyjeżdżał na wakacje. Nigdy nie pokazywał mi żadnych zdjęć ani nie opowiadał o podróżach.

- Gdzie jeździłeś, kiedy byłeś dzieckiem? - pytam.

- Do Szkocji - odpowiada. - Co roku. Na farmę typu *bedand breakfast*. Przez lata właściciele zaprzyjaźnili się ze mną i z mamą. Przesyłałi kartki na Boże Narodzenie. Kiedy przyjeżdżaliśmy odpowiednio wcześnie, zabierali mnie na pola i karmiłem jagnięta z butelki. Mama patrzyła zza ogrodzenia, bojąc się, że mnie pogryzą. Mieli tam szafę z grami - ciągnie. - Clu-

edo, Pułapka na myszy i jeszcze taką jedną, która polega na wyciąganiu pa-tyczków z dziurek, w wyniku czego opadają kulki.

Wyobrażam sobie, że Jonathan i Constance zgadzali się co do tego, że deszczowa pogoda jest bez znaczenia, zawsze mieli szafę ze wszystkimi grami, tak jak je zostawili. Nic dziwnego, że moja obecność jest dla niej uciążliwa. Kiedy zawsze jest się tylko we dwójkę, nowa osoba przeszkadza. Może rodzina funkcjonuje lepiej i szczęśliwiej, jeśli jest mała.

- Czy ktoś jeszcze jeździł na te wakacje? - pytam.

Jonathan osusza ciekący nos Bena bawełnianą chusteczką z monogramem, którą zawsze nosi w kieszeni. W wyniku tego zabiegu Ben natychmiast się budzi i wierci zdenerwowany, uchylając przed wielką ręką.

- A kto miał jeździć? - pyta Jonathan.

- No cóż, twój tata.

- Mama mówiła na ten temat jedynie tyle, że ktoś był. Oczywiście, że ktoś był. Ale sienie kontaktowali. To była jej wersja Nigdy nie myślałem o tym, żeby pytać ją o coś więcej.

A ja chcę go zapytać o coś więcej, żeby wszystko wiedzieć. Dlaczego udzielił mi takich maksymalnie szczątkowych informacji? Może to po prostu wszystko, co ma na ten temat do po wiedzenia.

- Zastanawiam się, czy jeszcze żyją- mówi. - To małżeństwo z farmy, państwo Brodies.

- Możesz sprawdzić. Czy twoja mama ma jeszcze ich numer?

- Pojedźmy tam - proponuje. Zastanawiam się, czy to żart, Eliza jest w Meksyku. Wymyśliła, że modelka ma nurkować w prawie przezroczystych sukienkach, całość będzie sfotografowana pod wodą. - Chciałbym ci to wszystko pokazać - dodaj Jonathan. - Ben byłby zachwycony. Karmienie jagniąt i tak dalej.

- W grudniu nie będzie jagniąt - mówię. Jest mi niedobrze.,

- Mama się ucieszy - ciągnie. Zaraz zwymiotuję. - To znaczy mama się ucieszy, jeśli my tam pojedziemy.

Odczuwam taką ulgę, że mówię: - No to jedźmy.

Jonathan całuje mnie z niespodziewaną siłą. Ben wyje, zaniepokojony tym publicznym okazywaniem uczuć.

- Kerplunk - mówi Jonathan. - Tak się nazywa gra z patykami. Ciekawe, czy ciągle jest w tej szafie.

## 13

### Babcia jedna i druga

Jako stylistka mody, Eliza bardzo przejmuję się moim strojem do ślubu i w trosce o mnie ukradła sześć ostatnich numerów magazynu „Confetti”. Redakcja tego pisma mieści się piętro wyżej nad jej redakcją, zawłaszczając najlepsze widoki.

- Zniewieściale nieroby - stwierdza Eliza. - Ile może być pracy, jeśli wydaje się cztery numery na rok? Co powinniśmy poruszyć tym razem? Och, wiem! Suknie ślubne. Podróże poślubne. Filigranowe buciki. Może jakaś psychozabawa: czy jest z niego materiał na męża, czy może to tylko podstępny szczur?

Zostawiłam Bena w domu z Jonathanem. To mój pierwszy wieczór poza domem od czasu porodu. Leżę na brzuchu u Elizy na dywanie, który ma taki kolor (mieszanka jesiennej rdzy i żółci), że człowiek mógłby na niego zwymiotować, może nawet pożegnać się z życiem, a i tak wszystko by się wtopiło w ten wzór. Płacze się przy nas kot Elizy, przypatrując mi się podejrzliwie.

*Droga Natalie!* - napisała Penny z Droitwitch do działu z poradami „Confetti”. - *Powinnam wypisać nazwiska poszczególnych gości w zaproszeniach czy wystarczy, że umieszczę ich nazwiska na kopertach?*

Najwyraźniej Penny nie wychodzi zbyt często z domu. Zastanawiam się, ile czasu zajmie jej przyszłemu mężowi, zanim odkryje, że straszliwie po-

mylił się w jej ocenie i zacznie ciągle wyjeżdżać na konferencje z noclegiem.

*Droga Natalie!*

*Pragnę nadać osobisty charakter wstążce od mojego bukietu i wzięłam w tym celu lekcje kaligrafii. Jakiego rodzaju pisaka powinnam użyć?*

*Chloe, Saffron Walden*

*Droga Chloe!*

*Odradzałabym pisanie czegokolwiek na wstążce, bo napis może zejść i poplamić ręce, zwłaszcza jeśli się spocą w towarzyszącym temu dniu zdenierwowaniu. Na szczęście, istnieje kilka firm wysyłkowych, które z chęcią zrobią na wstążce nadruk z zamówionym przez ciebie na tę okazję napisem.*

*Droga Natalie!*

*Pomóż! Moje druhnny będą niosły bukietiki z różowych róż, ale co powinni nieść chłopcy?*

*Sally, Dumfries*

*Droga Sally!*

*Ślusznie zakładasz, że chłopcy nie będą chcieli nieść kwiatów. Co wiesz na satynowe poduszeczki z obrączkami? Są lekkie i łatwo je trzymać, idealne, by ich małe rączki miały czym się zająć.*

Zastanawiam się, co robiliby mali chłopcy z rączkami, gdyby nie mieli maleńkich poduszczek. „Będziesz musiała uważać - ostrzegła mnie Beth - kiedy Ben będzie dość duży, żeby zacząć badać intymne części swojego ciała. Chłopcy zawsze tam sobie gmerają - wzdrygnęła się. - Nie można tego ignorować”. – Powiedziała jeszcze, że to równie dobry powód jak każdy inny, by trzymać pociechę w pieluchach jak najdłużej. Uniemożliwić dostęp.

- Raczej nie chcesz nic zbyt dopasowanego - mówi Eliza kładąc się obok mnie na dywanie. - Nie czułabyś się dobrze chodząc przez cały dzień z wciągniętym brzuchem.

Jedynym źródłem światła jest lampka wysięgnikowa, która rzuca kremowy owal na nakrapiany stół z laminatu. Meble Elizy wyglądają, jakby zostały przyniesione ze śmietnika: chwiejne półki łączące się pod kątem prostym, który nie jest do końca prosty, zarzucone są ogromnymi stosami przykurzonych magazynów. Powietrze jest nasiąknięte wyraźnym, uderzającym do głowy zapachem; gdzieś w tym mieszkaniu coś złego dzieje się w misce z owocami.

- Nie chcesz przecież myśleć o swoim brzuchu - ciągnie Eli za, przyglądając się zdjęciu przeraźliwej sukni ślubnej, która wygląda, jakby została zrobiona z ozdobnych serwetek. - Potrzebne ci coś luźnego, ale nie namiotowego, coś, co możesz włożyć i więcej o tym nie myśleć.

- Masz rację - mówię. - Myślałam o budrysówce.

Wzdycha, rozkładając strony wydarte z „Confetti”. Nowoczesna panna młoda: elegancja i prostota, eleganckie wykończenie w postaci koronki przy szyi i na ramionach.

- Co myślisz o odsłoniętych rękach? - burczy Eliza.

Nie jestem pewna, co w ogóle myślę o czymkolwiek. „Confetti” z tymi delikatnymi welonami i tiulowymi sakiewkami z migdałami w cukrze - wszystko to sprawia, że czuję się jak gigantyczna prychająca krowa. Dziewczyna w koronkowej sukience wcale nie wygląda, jakby wychodziła za mąż. Przede wszystkim jest zbyt młoda: gdyby rozpuścić te zebrane u góry włosy z ich lakierową skorupą, wyglądałaby zupełnie jak uczennica, jak jedna z tych dziewczyn z przebieralni na basenie; wszystkie miały wystające obojczyki i chude, dyndające ręce, użyteczne do oganiania się od niechcianego zainteresowania chłopców.

Nie, nie jesteś opanowana, jeśli niedługo masz wyjść za mąż. Na szyi masz wysypkę. Zastanawiam się, czy eleganckie koronki są w stanie odwrócić uwagę od dekoltu z wysypką.

Eliza wstaje z trzaskiem kolan. Idzie do kuchni w poszukiwaniu chleba, żeby zrobić tost; nie widziałam jej nigdy jedzącej nic innego, pomijając

kostki cukru. Wydaje się zawiedziona. Może nie podchodzę do tego wszystkiego wystarczająco poważnie. Salon jest przesiąknięty wonią gnijącego owocu, zupełnie jakby tym oddychał. Czuję się jak w środku płuca.

Kartkuję „Confetti”. Jest tyle istotnych spraw, o których nigdy nie myślałam: samochody, plan rozmieszczenia gości przy stole, kolejność przemówień.

- Nie ma chleba! - woła Eliza z kuchni. - Chcesz ginu z tonikiem?

Miałam już okazję się przekonać, co Eliza przez to rozumie: prawie ćwiartka gordona, symbolicznie skropiona ciepłym tonikiem. Żadnej cytryny ani lodu. Wraca z dwiema szklankami ozdobionymi złotymi paskami i gałązkami kwiatów. Kiedyś je kolekcjonowała. Zbierała też talerze w kształcie liści sałaty, wymyślne wachlarze, asymetryczne kapelusze, które zawsze wyglądały jak trochę wgniecione. Ale zanim uda jej się zgromadzić odpowiednią ilość, aby można było zbiór nazwać kolekcją, Elizę przestaje to interesować.

- Poznałam kogoś - oznajmia, sadowiac się ze skrzyżowanymi nogami obok mnie. Chciwie ciągnie gin ze szklanki.

- Dlaczego nic nie mówiłaś? Kto to jest? Śmieje się, bagatelizując sprawę.

- Pewnie już po wszystkim. No i to trochę krępujące. Jest dużo młodszy. A ja mam już tyle lat, żeby to wiedzieć.

Nie mam pojęcia, ile naprawdę Eliza ma lat. Parę lat temu świętowała swoje trzydzieste urodziny na łodzi, której pokład został przyozdobiony indyjskimi tkaninami, i rozlegało się pobrzękiwanie cytry; *louche chic*, jak określiła to z francuska Eliza. Kolejnego roku odbyło się skromniejsze przyjęcie w małym, urządzonym w jasnym drewnie barze, gdzie kelnerzy podawali maleńkie porcje ryby z frytkami w papierowych rożkach; Eliza twierdziła, że to są jej prawdziwe trzydzieste urodziny. Teraz dziobie strup na swojej nodze; wygląda na to, że ten strup nigdy się nie zagoi.

- Nie może być aż tak młody - stwierdzam.

- Cóż, ma dwadzieścia cztery lata, więc to nedorzeczne. No, dalej, przyłóż mi.



Śmieję się, próbując gin językiem. Nie smakuje mi, jest za ciepły i za mocny.

- To Dale - mówi. - Pamiętasz asystenta Grega? Spotkaliście się wtedy na planie. Nie spodziewam się, że coś z tego będzie. Wiesz, chodzi tylko o seks.

- Kiedy to się stało?

- Podczas podróży do Meksyku. To była katastrofa. Modelki celowo spaliły się na słońcu. Najwyraźniej nie słyszały o kremie z filtrem. Tak więc nie mogliśmy ich fotografować. Musiała przylecieć inna, której samolot utknął na siedem godzin w Houston. Dostała zatrucia pokarmowego po bułce z kurczakiem, którą zjadła na lotnisku.

- Nie wiedziałam, że modelki jedzą - mówię.

Dzięki jakiejś sztuczce z otwartym gardłem Eliza jednym haustem wychyla zawartość szklanki.

- W tym rzecz. Wybierają nadzienie, zostawiając pieczywo. No i właśnie to jest niebezpieczne. Tak więc nie mieliśmy nic do roboty, jak tylko się zaprawić, dopóki jej nie minęło. Wiesz, jest całkiem zabawny.

Kiedy Eliza jest taka, nieporządna i zapuszczona, przypominam sobie, dlaczego tak ją lubię. Niebieski lakier do paznokci jest podpryskiwany na czubkach, nogi porasta szczecina.

- Mogę go przyprowadzić na twój ślub? - pyta nagle. - Nie jako mojego chłopaka - to jeszcze embrion, na litość boską, ale chcę po prostu... no wiesz, być z kimś. Na ślubach czuję się ważna.

Nie byłam świadoma, że na moim ślubie, czy w ogóle jakimkolwiek ślubie, Eliza może doświadczać takich uczuć. Myślałam, że będzie zachwycona, mając okazję, żeby się odstroić.

- Oczywiście, że możesz - mówię jej. - Pod warunkiem że Dale nie będzie czekać.

„Confetti” leży otwarte na stronie z butami. Te różowe, wyszyte koraliakami nie mogą być ludzkimi butami. To są jakieś eksponaty z muzeum albo należą do lalki. Wyobrażam sobie, że gdybym spróbowała się w nie wbić, te wysadzane paciorkami buciki by się rozpadły.

- Świetne buty - mówi Eliza. - Ale nie nadają się na twoje szerokie stopy.

Śpię tej nocy w pokoju gościnnym Elizy, na nadmuchiwanym łóżku, któremu nie dały rady jej płuca, dlatego jest tylko częściowo napompowane. Kiedy leżę na boku, moje biodro wgniata się w podłogę. Ze zniszczonej komody wystają hałdy splątanej bielizny; pewnie te wszystkie majtki próbują uciec z mieszkania Elizy do jakiegoś uporządkowanego domu, gdzie będą ładnie poskładane i traktowane z szacunkiem.

Na wieszakach w oknach dyndają przezroczyście sukienki, przez które widać zamglone światło uliczne. Eliza wynajmuje to mieszkanie od ponad dziesięciu lat, bo zapalała gorącym uczuciem do jego dziwacznej, liliowej łazienki. Nie zwracała sobie głowy negocjacjami co do usunięcia porzuconej lodówki ze schodów. Przez kilka lat przeciskała się obok niej, objając się o chromowaną rączkę. Aż pewnego dnia lodówka zniknęła. Do mieszkania niżej wprowadzili się nowi ludzie; wraz z nimi w mieszkaniu pojawiły się ozdobne rzeźbione meble, zbyt wiele dzieciaków, no: i pewnie lodówka. Dzieciaki okupują schody, bawiąc się w wymyślne zabawy: przebierają się w stroje czarownic i ujeżdżają mopy, przy czym w ogóle nie uważają na sąsiadów. Ale Eliza nie zamierza się nigdzie ruszać. Jej mieszkanie osiągnęło ten komfortowy punkt, kiedy nie może już być bardziej brudne, co więcej, może nawet rozpocząć się proces samooczyszczający<sup>^</sup> tak jak w przypadku włosów, kiedy długo ich nie myjesz. Nie robią się coraz brudniejsze. A może po prostu przestaje się to zauważać.

Słyszę, jak Eliza gasi światła, po czym rozlega się jakieś grzmotnięcie - Eliza przywaliła w coś swoim kościstym ciałem. Tu gdzie leżę, zapach sfermentowanych owoców jest jeszcze bardziej intensywny. Badam wyszczerbioną miskę z komody. Leżą tu jakieś niebieskawe, pokryte mészkiem kulki, które kiedyś pewnie były mandarynkami. Mój żołądek burczy, przypominając o obiecany toście, który nigdy się nie zmaterializował. Nadal czuję smak ginu. Wiercę się na łóżku, marząc o tym, żeby wreszcie zasnąć. Zastanawiam się, czy z otwartej szuflady wypadną staniki Elizy i mnie uduszą.

- Nina? Wybacz, że niepokoję cię w sobotni poranek. - Taksówka jedzie ze stukotem główną ulicą łączącą moją dzielnicę z Elizy. - Tu Lovely - słyszę energiczny głos. - Ben ma kolejną rezerwację, już w przyszłym tygodniu. Chcę sprawdzić, czy będzie osiągalny.

Ledwie się obudziłam i umieram z głodu. Kiedy wychodziłam, Eliza ciągle była pogrążona w półśnie i mamrotała coś o croissancie z tyłu lodówki. Zerknęłam tam, ale znalazłam tylko butelkę z jakąś mętną cieczą służącą do detoksykacji.

- Nie mówiłaś mi - pieje Lovely - jaką furorę zrobił Ben w tej reklamówce Little Squirts. Marcus - znasz Marcusa - powiedział, że nigdy nie widział tak naturalnego dziecka. Powiedział też, że obudził się do życia przed kamerą. Kto by pomyślał patrząc na niego, co? - Jej entuzjazm buzuje w telefonie jak lemoniada. - Tak więc Marcus chce go wziąć do kolejnej reklamy. Nie musicie już nawet iść na casting. To będzie w piątek. Zakładam, że ci pasuje. Będzie jeździł w wózku po supermarkecie. Marcus chce się upewnić, że Ben potrafi siedzieć.

- Prawie - mówię. - Jest trochę chwiejny, ale jeśli...

-I wszystko jest okay, kiedy wozisz go po supermarkecie, co? Jest do tego przyzwyczajony, prawda?

Taksówka zatrzymuje się przed naszym mieszkaniem. W naszej sypialni są zasunięte zasłony. Czuję się niechlujnie we wczorajszym ubraniu, a we włosach wyczuwam zapach sfermentowanych owoców.

- Ben nigdy nie był w supermarkecie - wyznaję. - Wszystkie zakupy robimy w delikatesach, bo tak jest łatwiej...

- Ale piątek pasuje, tak? - przerywa mi. - Tak się cieszę. Mam przecucie - a nigdy nie mówię tego rodzicom - że Ben będzie pracował i pracował. Ale to wymaga oddania. Będziesz potrzebować pełnego wsparcia swojego partnera.

Kierowca niecierpliwie bębni w kierownicę. Mogłabym wrócić od Elizy pieszo, ale byłam zbyt wyczerpana po nocy spędzonej na nadmuchiwym łóżku. Do rana zupełnie uszło z niego powietrze.

Trzepoczą zasłony w sypialni. Jonathan trzyma Bena w oknie i macha do mnie.

- Oczywiście - mówię Lovely. - Chyba nie mógłby mnie już bardziej wspierać.

Zjawiamy się u Constance tuż po czternastej, choć mogłaby to być dowolna pora dnia lub nocy. Constance nie odsłania zasłon -zapewne żeby nie zaglądali do środka włamywacze. Pokój jest skąpany w brązie i pachnie herbatnikami. Jonathan lubi myśleć, że wpadamy do Constance co dwa tygodnie, ale w rzeczywistości te wizyty są o wiele rzadsze. Podejrzewam, że w jego mózgu jest przegródka o nazwie Poczucie Winy Wobec Matki, gdzie za każdym razem, kiedy wychodzimy do niej, odhacza w myślach ptaszka. Naprawdę, po każdej wizycie jest niezwykle zadowolony.

Salon Constance wypełniają stare rupiecie w postaci zestawu wypoczynkowego, a wszystkie poziome powierzchnie są obstawione szklanymi ozdóbkami. Z gzymsu kominka gapią się grupka pasterek i kilka porcelanowych ptaków drapieżnych (naturalnych rozmiarów). Oparcia sofy są przykryte pomarańczowymi szydełkowymi pokrowcami, jakby kontakt ze skórą mógłby je nieodwracalnie uszkodzić.

- Nie musisz nas karmić - mówi z obawą Jonathan. - Już jedliśmy. Wystarczy filiżanka herbaty. - Mówi tak przy każdej wizycie, zapewne by uniknąć dostarczenia organizmowi czegokolwiek bardziej ryzykownego od herbatnika. Boi się jej jedzenia. Większość zapasów Constance jest znacznie starsza od naszego dziecka. Na słoiku z ziołem angielskim znajduje się etykieta o nieznanym mi stylistyce, pudełko podkładów biszkoptowych zostało nabyte chyba jeszcze w erze, kiedy panowała moda na poncho. W lodówce czają się różne dziwne resztki: półmisek z jedną twardą brzoskwinia, niewykorzystane żółtko jajka, jakiś gęsty szary tłuszcz w filiżance z chińskiej porcelany. Kiedy Constance idzie do łazienki, Jonathan pędzi do kuchni, robi szybki wymiach ze spizarki i chowa skonfiskowaną żywność na dnie plastikowego kosza na śmieci.

- Zwykle nie wpuszczam obcych - opowiada Jonathanowi Constance - ale to była taka miła, młoda para. Elegancko ubrani. Bardzo przyzwoici i uprzejmi jak na młodych.

- Co to za ludzie? - pyta Jonathan.

- Nie należymy do tego samego Kościoła - ciągnie Constance - ale co mi szkodzi posłuchać tak dobrze wychowanego mężczyzny.

- Jakiego Kościoła? - pyta zirytowany Jonathan. Constance idzie do kuchni. Wchodzi na chybota drabinkę,

żeby zdjąć reklamówkę ziemniaków z półki nad zlewem.

- Zejdź z tego - mówi Jonathan. - Trzymaj jedzenie na tyle nisko, żebyś mogła dosięgnąć. O co chodzi z tym Kościołem?

- Chyba są świadkami Jehowy, tak mi się zdaje. Nie mówili. Zostawili kolorową gazetkę. Powiedzieli, że nie chcą pieniędzy, ale znasz mnie. Zawsze płacę za siebie, więc dałam im pięć funtów.

- Co takiego?! - prychnął Jonathan.

- Przyjdą w przyszłym tygodniu. Miło jest mieć towarzystwo.

Ben kręci mi się na kolanach; ma ochotę zapoznać się z pasterkami. Kij jednej z nich wygląda na wyjątkowo kruchy. Kładę go przed kominkiem, na dywaniku z wysokim włosiem, które eksperymentalnie zasysa. Constance patrzy na mnie przez zmrużone powieki, jak na płamę.

- Hm - mówi. - Lepiej pójde sprawdzic, co z mięsem.

- Mówiłem ci, mam, że nie chcemy lunchu! - woła za nią Jonathan. Kiedy nie ma jej w pokoju, mam ochotę syknąć: „Dlaczego ona mnie tak traktuje? Czy jest aż tak strasznie zawiedziona wyborem swojego syna?”. Ale nie znam go na tyle dobrze. Znam go na tyle dobrze, żeby mieć z nim dziecko, ale nie na tyle, żeby powiedzieć coś odrobinę kontrowersyjnego o jego matce. Przyglądam się porcelanowemu sokołowi, który patrzy na mnie podejrzliwie.

Constance wraca z trzema talerzami wypełnionymi ciemnym mięsem z sosem i szarymi ziemniakami. Stawia je na owalnym stole.

- Zasmażki? - pyta Jonathana.

- Nie, dziękuję - mamrocze. - Tak jest bardzo dobrze. Stoi nad nami wyczekująco, patrząc, jak piłujemy mięso.

- Nie usiądziesz? - pyta Jonathan.

Constance przysiadła na krześle o zapadającym się musztardowym siedzeniu. Może Jonathan ma rację; żeby uważać z jej jedzeniem. Jest zatrute.

A przynajmniej moje. Constance patrzy wilkiem na mój talerz; sprawdza, czy zjadłam już ten kawałek ze strychniną.

- Mamo, posłuchaj dobrej wiadomości - oświadcza Jonathan. Wygląda na to, że ma drobny problem z tym mięsem. Jego szczęki poruszają się, ale nic z tego nie wynika. - Ustaliliśmy datę - mówi, przełykając w pośpiechu. Constance odrywa wzrok od mojego talerza i przygląda się smutno swojemu. Włosy opadają bezwładnymi pasmami na jej policzki. - Datę ślubu - dodaje Jonathan.

Constance zanurza widelec w sosie.

- Ci ludzie wrócą, mówiłam ci? Zdaje się, że w poniedziałek. Nie przekonają mnie, dałam im to jasno do zrozumienia. Ale lubię mieć gości. - Spogląda na mnie, zastanawiając się, czemu się jeszcze nie przewróciłam, roztrzaskując czaszkę o palenisko.

W przeciwieństwie do Constance, moja matka bardzo chciała, żebym poznała kogoś. Kogokolwiek, tak właściwie. Spraszała do domu chłopaków. To był zupełny obciach, bo zapraszała na przykład synów moich nauczycieli, a nawet jednego kolesia, który nie wyglądał na całkiem zdrowego - włożył się po naszej ulicy z przyciśniętym do ucha radiem i mówił do siebie. Podgrzewała dla nich jedzenie, przykładowo mrożonki. To była jeszcze era sprzed Ashleya, kiedy nie przyszłoby jej do głowy, by przyklejać sobie końskie tabletki do skroni. Wtedy kupowała tanie żółte ciastka i wszystko, nawet jogurt, posypywała cukrem, który wżerał się w moje zęby. Zanim zaczęłam szkołę średnią, miałam już jedenaście plomb.

Kiedy przychodzili chłopcy, ubierała się zbyt skąpo (a może zawsze tak robiła, tylko zauważałam to jedynie wtedy, kiedy mieliśmy gości). Przez cienką spódniczkę prześwitywały uda, a pod wyblakłą nylonową bluzką widać było poszarzały stanik. Przypominała mi tym o chłopięcych fantazjach, w których mają na nosie okulary rentgenowskie, dzięki czemu widzą przez ubrania kobiet.

- Twoja mama ma niezłe nogi - powiedział chłopak od radia, lekko spocyny na czole.

Nie przebywałam z tymi chłopakami w jednym pokoju. Gość kręcił się trochę po mojej sypialni, nie znajdując tam nic interesującego oprócz pu-



dełka po butach z zasuszonymi pisakami i spirografem. Ja siedziałam w dodatkowym pokoju, schowana pod porzuconymi deskami do prasowania i krzesłami o zmatowiałych chromowanych nogach. W końcu mama dała sobie spokój i przestała ich zapraszać. Mówiła, że jestem nietowarzyska. Miała rację; nie chciałam, żeby ktoś przychodził do naszego domu. Poznałam pilnego studenta z Glasgow, który miał problemy z cerą i kochał opasłe książki, ale nie zaprosiłam go do domu. Zabrał mnie na tył kortów tenisowych, gdzie wilgotne paprocie ocierały nam nogi. Całowaliśmy się, a potem wyciągnął penis i zaczął go wściekle trzepać. Jego oczy zrobiły się szkliste. Martwiłam się, że mogą mu popękać naczynia krwionośne.

- Nie masz nic przeciwko, że sobie zrobię dobrze? - zapytał w trakcie.

Jonathan jest w swoim zwykłym nastroju po wizycie u Constance. (Odwiedzić Matkę: ptaszek!)

- Musi wychodzić z domu - mówi, odrywając wzrok od drogi, żeby sprawdzić, czy go słucham. - Te domy były nowe, kiedy się tu wprowadziła. Ludzie przycinali żywopłoty, rozmawiali ze sobą. A teraz spójrz tylko. Nic dziwnego, że nie odsuwa zasłon.

- Nie ma jakichś dziennych klubów seniora, turniejów wista, nic w tym stylu? - podpowiadam.

- Powinna się przeprowadzić. Potrzebuje towarzystwa innych ludzi. Musimy coś zrobić.

Wyobrażam sobie Constance mieszkającą z nami, jak łosko-cze naszymi patelniami i przygotowuje swoje mięso, i postanawiam nie iść tym tropem.

- Nie wyglądała na zadowoloną z powodu naszego ślubu - mówię ostrożnie.

Jonathan się śmieje.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby mama była zadowolona, niezależnie od tego, kim byłaby moja wybranka.

Dlaczego dorosłe kobiety nie chcą przerwać pępowiny łączącej je z dziećmi? Czy tak samo będę postępować z Benem, patrzeć złowrogo na jego dziewczyny, odstraszać je swoją kuchnią? Beth mi mówiła, że jej matka płakała przez tydzień, stała latając z pokoju do pokoju i spryskując siebie

twarz zimną wodą, kiedy dowiedziała się o jej zaręczynach z Matthew. No cóż, mogę to zrozumieć. Ale nie mogę sobie wyobrazić, żebym miała być tak zdenerwowana jak po jakimś włamaniu, kiedy Ben będzie opuszczać dom.

Moim rodzicom ledwie drgnęła powieka, kiedy się wyprowadzałam. Sami mnie odwieźli. Po drodze utknęliśmy na M25 i moja matka wymachiwała mapą, mówiąc:

- Tu nie ma zaznaczonych poszczególnych ulic. Będziemy bez końca jeździć w kółko.

Tata odbił na przypadkowym skrzyżowaniu i krążyliśmy po wschodnim Londynie, pięć razy mijając Muzeum Dzieciństwa. Policjant patrzył na nas podejrzliwie. Za każdym razem mama wołała:

- Wesoly ten budynek. Co to takiego?

końcu tata zatrzymał się przed rudera, na dole której mieścił się klub o nazwie Jingles. Dostałam pracę polegającą na czytaniu niezamówionych historii przysyłanych do kobiecego magazynu. Większość była nieczytelnie spisana rozlewającym się zielonym długopisem. Mój nowy szef powiedział mi o wolnym mieszkaniu, którego właścicielem był jego znajomy. Ściany salonu były pokryte czarnym lakierem, a całe mieszkanie śmierdziało jak studzienka ściekowa.

- Nieźle wygląda - stwierdziła mama. - Niedługo tu sobie odświeżysz.

Tata wniósł załadowane moimi gratami skrzynki ze spożywczego. Wydawało się, że ma zamiar mnie uściskać, ale tego nie zrobił. - Będziemy jechać - oznajmił. - Musimy coś zjeść, za nim wszystko pozamykają.

Jonathan wciska klakson, kiedy przed nami pojawia się rowerzysta.

-Powinniśmy poznać mamę z twoimi rodzicami - mówi. - Należy mi się urlop. Może wezmę wolne w piątek i zrobimy grilla?

Piątek: dziewczyna podróż Bena wózkami po supermarkecie.

- Piątek to nie jest dobry pomysł - mówię.

Patrzy na mnie zaskoczony, że mogę mieć jakieś wcześniejsze zobowiązania.

- Znajome od poranków przy kawie - paplam. – Pluszowe misie i piknik w parku, o ile będzie ładna pogoda.

Poklepuje mnie po kolanie.

- Cieszę się, że zorganizowałaś sobie życie, Nina. Martwiłeś się, że możesz się nie... przystosować. - Jego ręka leży teraz na moim udzie; usiłuję się odprężyć, ale nie mogę. Moja bujda odbija się echem po samochodzie. Jestem ciekawa, czy on też to słyszy. - W takim razie trzeba będzie grilla przelożyć. Ale musimy to zrobić szybko. Powinni się najpierw poznać, zanim posadzimy ich razem w urzędzie stanu cywilnego.

Drzę na samą myśl o tym, jak moja matka będzie się zachowywać przy Constance. W obecności obcych mama cofa się do swych lat dzieciennych, bawi się spinkami, niczego dobrze nie słyszy. Będzie narzekać, że jej żołądek nie może stawić grillowanego przez Jonathana jedzenia. Kiedy jedzenie stało się tak problematyczne?

Jonathan zatrzymuje się na żółtym świetle, choć mógłby jeszcze przemknąć. Kiedy zapala się zielone, nie możemy ruszyć.

Biały transit zablokował skrzyżowanie. Ryk klaksonu. Ben budzi się z drzemki; nie jest zachwycony, że został uwięziony w samochodzie.

- Musimy się stąd wynieść - mówi Jonathan. - Cały ten ruch uliczny, przemoc... spójrz tylko na ulicę mamy.

- Nie mieszkamy na ulicy twojej mamy.

- Powinniśmy się wyprowadzić. Dlaczego nie? Nic nas tu nie trzyma.

- Tu są Beth i Matthew - mówię zdesperowana.

- Nadal będziemy się z nimi widywać, zapraszać do nas. Są dobrymi przyjaciółmi. Nie zerwą z nami kontaktu tylko dlatego, że będziemy mieszkać na wsi.

To dzieje się za szybko. W jednej chwili Jonathan denerwuje się z powodu ruchu na drodze, a w następnej zaszywamy się w drewnianym domku o niskim suficie, przygotowując posłania dla Beth i Matthew.

- Ale mnie się podoba tu, gdzie mieszkamy - protestuję. Naprawdę tak jest. Zaskoczyłam samą siebie, lecz przyzwyczałam się do mieszkania Jonathana. Pierwszy szok, że mieszkam w czystym otoczeniu już minął. Na-

wet kupiłam trochę różnych pierdołek z tych bezużytecznych sklepów niedaleko Beth, żeby zaznaczyć swoje terytorium: ramka do zdjęć, świecznik.

- To mieszkanie jest za małe - mówi Jonathan. - Ben nie może wiecznie mieszkać w naszym pokoju. Będzie nam potrzebna jeszcze jedna sypialnia. Nawet dwie, kiedy dojdzie jeszcze jedno dziecko.

- Moglibyśmy skorzystać z twojego gabinetu - mówię niespokojnie.

- Może, przez chwilę, dopóki dzieci będą małe. Ale nie ma sensu, żebyśmy tu siedzieli. Nigdy nie wychodzimy. Nie chcemy. Gdybyśmy mieszkali na wsi, mielibyśmy wszystko: przestrzeń, spokój, większy ogród - całe hektary tylko dla nas.

Kręci mi się w głowie, może po tym sosie Constance, który ciągle zalega w moim żołądku. Z transita wyłania się mężczyzna w pomazanym farbą kombinezonie. Czuje ogólną wrogość i odwraca się, zaglądając w okno pasażera żółtego beetle. Zupełnie jakby zostało to ukartowane przez Jonathana, żeby pokazać mi całe okropieństwo miejskiego życia, z beetle wyskakuje chudy facet w wiszącym garniturze i uderza kierowcę transita w twarz.

- Widzisz? - mówi Jonathan. - To nie jest odpowiednie miejsce, żeby wychowywać naszego syna.

W końcu tłok się rozładowuje i ruszamy. Ben się żałośnie wykrzywia. Jonathan milczy. Może ma rację: życie na wsi byłoby o wiele spokojniejsze, niemal niezmiennie. Żadnych awantur w korkach. Osiągnęlibyśmy wiek średni, nawet tego nie zauważając. Jonathan nosiłby swetry zapinane na brązowe guziki i zbudowałby szopę, żeby mieć się gdzie schować. Ja chodziłabym na spotkania Women's Institute i do kościoła, choć nie pamiętam żadnej przypowieści biblijnej oprócz tej o kobiecie, która zamieniła się w słup soli. Smażyłabym marmoladę. Kuchnia pachniałaby pomarańczami i cukrem. Niektórzy ludzie marzą o takim życiu. Chase, mój dawny szef, ma w Surrey dom z czerwonej cegły. Tylko że on nie mieszka w tym domu. Jeździ tam na weekendy. Żeby się zabawić.

- Wyobraź sobie, że mamy całe hektary ziemi - mówi Jonathan. - Pomyśl, co moglibyśmy z nimi robić.

Ziemia? Go, u licha, chciałabym robić z całymi hektarami ziemi?

Beth wygląda, jakby miała zwymiotować, kiedy mówię jej o operacji Dżicz.

- Nie możesz mieszkać na wsi - mówi, zasuważąc spacerówką po bruku, aż trzęsą się pulchne policzki Maud. - Wierz mi, byłam uwięziona w okropnej, małej wiosce do osiemnastego roku życia. Nie mogłam się doczekać, kiedy stamtąd wyjadę. Nasi sąsiedzi nigdy nie zdjęli plastikowego pokrowca z sofy. Z tego typu ludźmi ma się tam do czynienia.

Toczymy wózki z naszymi dziećmi po miejskiej farmie. Jaki jest sens jej istnienia? To nieprawdziwa farma. Nad tobą górują wieżowce i suszące się pranie. Owszem, są zwierzęta, ale te owce wiedzą, że są tu tylko po to, żeby maltretowały je niezdarne ośmiolatki. Nie chcą być szturchane czy poklepywane. Mają tak dosyć uśmiechających się przebiegle twarzyczek z policzkami okrągłymi od chupa-chupsów, że nawet nie starają się o jagnięta. Nigdy nie widziałam młodego zwierzęcia na miejskiej farmie. Kiedy przyszłyśmy, Beth zauważyła rozmazany napis: ZWIERZĘCY ŻŁOBEK.. UMYJCIE RĘCE BEZPOŚREDNIO PO GŁASKANIU. Ruszyła do tego walącego się kamiennego budynku, z nadzieją na ujrzanie małego króliczka, ale znalazła tylko dwie dziewczyny z zapadniętymi policzkami, które paliły wspólnego papierosa.

Wyprawa na miejską farmę to pomysł Beth. Miała wyrzuty sumienia, że mało zajmuje się Maud, od kiedy pojawiła się Rosie. Jeśli można Rosie coś zarzucić, to tylko to, że jest aż za wydajna. Pupa Maud jest wytarta w tej samej chwili, kiedy zostaje namierzony podejrzany zapach; Beth zdąży tylko bezradnie machnąć pieluszką. Nic dziwnego, że zaczęła wypełniać sobie czas zbędnymi czynnościami: robi własne lody truskawkowe i wypieka

wymyślne bochenki chleba z suszonymi pomidorami w środku. Ledwie można poruszać się po jej kuchni, bo cała jest zastawiona błyszczącymi białymi urządzeniami i wszędzie walają się splątane kable.

Na kamiennym podwórku kręci się kilka kur, nerwowo dziobiąc porzucone papierki po słodczykach.

- Nie przeprowadzamy się - mówię Beth. - To tylko zachcianka Jonathana. Pewnie ma to związek ze ślubem. Jest tym bardzo przejęty: ciągle sprawdza, czy wszystko załatwiłam. Przyjęcie będzie w Foksie. Załatwiliśmy już formalności z urzędem stanu cywilnego. Teraz Jonathan się martwi, jak przewieziemy wszystkich z urzędu do Foksa.

Beth nie odpowiada. Często zachowuje się, jakby była w jakimś równoległym świecie; może rozmyśla, jaki upiec następnym razem chleb.

- No i jeszcze sprawa z jego garniturem - ciągnę. - Wrócił od krawca i okazało się, że jedna kieszeń jest zaszyta.

Beth kieruje spacerówkę Maud w stronę owczarka, który leży zwinięty na bruku. Pies liże krwawiącą ranę na tylnej łapie, a kiedy unosi się niepewnie, Maud piszczy ze strachem.

- Nie daj się zwieść pozorom - ostrzega Beth. - Latem wieś wygląda cudownie. Róże, powojniki, kapryfolium okalające drzwi. Dajesz się zwieść i zaczynasz myśleć, że mogłabyś tam mieszkać. Wyobrażasz sobie, jak prowadzisz loterie na festynach.

Już to sobie zaczynam wyobrażać.

- Kijanki w słoikach - ciągnie Beth. - Dzieci dorastają ze zdartymi kolanami od wspinania się po drzewach. Ale jesteś uwięziona. Na wsi wszyscy są szaleni, a ty nie możesz od nich uciec. W naszej wsi umarł jednej stukniętej kobiecie corgi. Włożyła martwego psa do suszarki na bieliznę, żeby przywrócić go do życia.

- Nadal tam jest? - pytam, wyczuwając historię, która by się nadawała do „Lucky”. Beth odpowiada prychnięciem i na nowe zawiązuje pod brodą Maud sznureczki dzianego kapelusza.

Zatrzymujemy się na poletku, gdzie nieszczęsna krowa kręć głową, oganiając się od much.



- To tylko nerwy przed ślubem - mówię do krowy. Beth opiera się o płot z wystającymi drzazgami.

- A jak ty się czujesz w związku z tym ślubem? Wszystko okay? - pyta. Krowa oddała się, ukazując swój pokąsany przez insekty za dek.

- Boję się - mówię.

- To naturalne. Ale chyba on jest dla ciebie odpowiedni, praw da? Taki zaangażowany tatuś. Świetnie sobie razem radzicie. -Chcę jej powiedzieć, że naprawdę sobie radzimy: wszyscy s; ubrani, obuci, nikt nie chodzi głodny. - Jesteście zespołem -mówi, ściskając mnie.

Wyczerpałyśmy już wszystkie atrakcje farmy. Dzieci rzucaj i się żałośnie w swoich wózkach, nawet kiedy pokazujemy im zarośnięty chwastami staw z samotną kaczką krzyżówką. Były by szczęśliwsze w domu, siedząc przed pralką.

Chcę już stąd iść, uciec od podwórkowego smrodu, ale Beth zaplanowała piknik. Jest za zimno, żeby jeść na dworze. Miałam nadzieję, że kupimy frytki w drodze do domu.

Znajdujemy kawałek gołej ziemi, gdzie kiedyś może i była trawa, i rozkładamy zrobiony na szydełku pled Beth.

- Ben jeszcze nie raczkuje? - pyta Beth, otwierając pojemniki z kuskusem i ziemniaczaną sałatką z ziołami.

- Nie jest zainteresowany. Próbowałam trzymać przed nim zabawkę - tak pisali w *Opiece nad niemowlęciem* - ale to mi się wydaje głupie, zupełnie jakbym wymachiwała marchewką osiołkowi przed nosem. Constance twierdzi, że tak właściwie Jonathan wcale nie raczkował. Siedział spokojnie na dywanie aż do pierwszych urodzin, potem wszedł w tę fazę ciągnięcia pupy po podłodze i zasuwiał w ten sposób, odpychając się jedną ręką.

- Miejmy nadzieję, że z Benem będzie inaczej. - Beth marszczy brwi, podając Maud kawałek pity.

Muszę przestać umawiać się na te spotkania. Chase miał rację: powinnam wrócić do pracy. Zatrudnić nianię. Te kobiety specjalnie się szkoliły do tej pracy i dlatego są w tym takie dobre. Jedynym treningiem oferowanym prawdziwym matkom jest oglądanie fotogenicznych dzieci w filmach; dzieci te nigdy nie zwracają obiadu ani nie bawią się kurkami od gazu. Na-

wet Kobieta Filc ma teraz nianię. Wykończyło ją zabieranie swojego irytującego bachora do szkoły, gdzie głośno wyrażał swoją dezaprobatę dla niedokończonych draperii. Powiem Jonathanowi, że zmęczyło mnie już matkowanie na pełny etat i wracam do mojej starej pracy w „Lucky”. Jeśli Chase mnie weźmie. Pierwsza historia z cyklu *Mój Sekret* powinna ukazać się za trzy dni. A ja nie mam nikogo, z kim mogłabym przeprowadzić wywiad. Mogłabym zrobić go ze sobą:

*Tata małego Bena myśli, że jego syn spędza dni na zwykłych zajęciach niemowlaka: zabawa na huśtawkach, wizyty u przyjaciół. Tylko mama Bena wie o drugim życiu ich dziecka. „To zaczęło się dla zabawy - mówi Nina. - Wiedziałam, że Jonathan by tego nie zaaprobował. Problem w tym, że w grudniu bierzemy ślub. Może powiem mu w trakcie miesiąca miodowego, kiedy będziemy grać w Kerplunk...”*

- W przyszłym tygodniu o tej porze już mnie nie będzie -oznajmia Beth, skubiąc swoją piłę.

Gapię się na nią. Czy jej i Matthew nie zaczęło się lepiej ukła-<sup>J</sup> dać, od kiedy mają Rosie do pomocy przy Maud i jej pupie?

- Nie patrz tak na mnie - chichocze Beth. - Jadę do mamy do Oxfordshire. Będą jej kłaść solidną podłogę dębową. Musi; wszystko spakować i wynieść. Mama zbiera szklane zwierzęta i robi im specjalną oprawę. Ma makietę lasu i miniaturowe zoo. Z porostów robi żywopłoty. Wszystkie ozdoby trzeba będzie owinać podwójną warstwą bibuły.

Teraz już rozumiem, dlaczego Beth nosi plecak z królikiem.

- Maud nie jedzie z tobą? - pytam. Beth krzywi się.

- Nie mogę pozwolić, żeby wdychała tyle kurzu. Rosie się nią zajmie. Wyjeżdżam tylko na dwa, trzy dni. No i oczywiście wieczorami będzie w domu Matthew. Ma uczulenie na moją matkę. Jest przekonany, że jej celem jest wmuszenie w niego mięsa. -Wyobrażam sobie starszą panią podsuwającą wychudzonemu Matthew parującą głowę dzika. - To taka gra - ciągnie Beth. -Jest wiele sposobów na zaaplikowanie mu mięsa. Jak na przykład jej warzywny rosół. Je go sobie uszczęśliwiony, dopóki nie dociera do dna,

gdzie znajduje się jakaś przypominająca kostkę u ręki chrząstka. A mama mówi: „O rety. Zupełnie nie wiem, jak to się tam znalazło”.

Ben wyciąga kawałek pity z ust i odkłada delikatnie na kocyk. Otwiera usta, z których ścieka na brodę gęsta kremowa wydzielina. Ben, w charakterze recyklingu, bierze ściekającą breję w palce i zadowolony ponownie pakuje do buzi.

Beth jest najwyraźniej zaszokowana piknikowymi manierami mojego syna. Bydło z miejskiej farmy muczy ze smutkiem. Beth rzuca okiem na Maud, żeby sprawdzić, czy nie nabrała podobnie, okropnych nawyków. Ale Maud nie ma. Jej dziany kapelusik leży na kocu, lecz brakuje w nim głowy dziecka. Beth zrywa się na równe nogi, aż podskakują jej cienkie warkoczyki.

- Maud! - krzyczy z desperacją.

Podrywam się, przeszukuję teren, na ile mogę, jednocześnie nie tracąc Bena z oczu, choć z racji tego, że nie raczkuje, raczej nie oddaliłby się zbyt daleko, ciągnąc po ziemi pupę. Za to Maud, która doskonale się rozwija, mogła ruszyć na zwiedzanie labiryntu ścieżek na farmie albo do metra, żeby gwałtownie runąć głową w dół z ruchomych schodów. Może też być w drodze do Covent Garden na zakupy.

- Podwórko! - krzyczę, wracając biegiem po Bena, po czym pędzę na wybrukowany placyk.

Beth gna za mną, grzmocąc mocnymi, sznurowanymi butami o kamienie.

- Moja córeczka! - krzyczy, przechodząc w szloch. Wpada do budynku dla małych zwierząt, a kiedy pojawia się z powrotem, mówi, że dziewczynki, które paliły papierosa, tylko patrzyły na nią tępym wzrokiem. Nie wiedzą co to takiego w ogóle jest dziecko? Gapi się na rannego psa, jakby mógł coś wiedzieć. Pies ziewa, ukazując czarne dziąsła. Młoda kobieta z nastroszonymi włosami i tatuażem w postaci drutu kolczastego oplatającego jej przedramię zamiata podwórko i udaje, że jest głucha. - Zgubiłam dziecko! - krzyczy Beth.

Kobieta podpira się szczotką.

- W jakim wieku? - pyta obojętnie.

- Siedem miesięcy.

- Och, niemowlę. Nie mogło odejść zbyt daleko.

- Ona szybko raczkuje - tłumaczy Beth. - Powinna ją pani zobaczyć. Jest naprawdę niesamowita, zważywszy na...

- Zostawiła ją pani bez opieki? - pyta kobieta.

- Oczywiście, że nie. Zrobiliśmy sobie piknik. Siedziała tuż obok mnie.

- A pomyślała pani o stawie? - pyta kobieta.

- Staw? O Boże... - Oczy Beth zachodzą łzami.

A potem dostrzegam kaczkę, która płynie sobie leniwie zygzakiem, i Maud siedzącą po pas w wodzie. Bawi się garścią wodorostów, których zamulone pasma przeciekają jej między palcami. Spogląda w górę.

- Co ty wyrabiasz! - krzyczy Beth, podchodząc chwiejnie na brzeg. - Twoje najlepsze spodnie. I te okropne wodorosty we włosach. Wyjmij ją Nina. Jesteś w starym ubraniu. Nie, weź mój telefon. Jest w mojej torbie na kocu. Weź mój telefon i zadzwoń do domu. Powiedz Rosie, żeby tu przyszła ze świeżymi ubraniami, ręcznikami i jakimś silnym środkiem dezynfekującym.

- Może najpierw wyciągnijmy ją ze stawu? Przemarznie tutaj.

Ale wygląda na to, że Maud jest zadowolona. Wącha trzymane w rączkach wodorosty i wystawia język, żeby polizać ciemnozielone pasmo. Nie zwraca uwagi na matkę, tylko patrzy na mnie i śmieje się, aż jej ramiona skaczą z radości. Słyszę ją jeszcze wtedy, kiedy wracam do koca; zaśmiewa się całą buzią.

W parę chwil po przybyciu Rosie Maud jest już starannie oczyszczona i ubrana.

- Co to jest? - pyta Beth.

- Ogrodniczki - odpowiada Rosie. - Matthew właśnie przyniósł je do domu. Powiedział, że teraz, kiedy raczkuje, potrzebuje mocniejszych spodni.

Beth marszczy brwi, posyłając Rosie ostre spojrzenie.

- Już jest w domu? Dopiero po trzeciej. Dlaczego nie jest w pracy?

Rosie wzrusza ramionami. Przygląda się paznokciom Maud. po czym grzebie w torbie, którą ze sobą przyniosła, i wyjmuje nożyczki do paznokci

z różowymi uszami. - Alarm bombowy, Ewakuowali cały budynek. Przyjechałby, żeby pomóc, ale bał się, że może tylko przeszkadzać.

Beth upycha pojemniki z piknikowym jedzeniem do torby i zdejmuje trawę z kolan.

- Alarm bombowy - mruczy pod nosem.

Idę razem z Rosie; obie energicznie popychamy spacerówki Beth guzdrze się z tyłu, burcząc do komórki:

- Tak. Owszem. Więc...? Jasne... Naprawdę?... Boże... Nie Czuję się świetnie.

Kiedy oglądam się na nią, szczerzy do mnie zęby w uśmiechu rozciągając usta od ucha do ucha, żeby udowodnić, że czuje się naprawdę świetnie.

Matthew jest w ogródku za domem, gdzie bez przekonania grabi liście. Najwyraźniej nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Napadły go trzy kobiety z dwójką dzieci, a przecież miał plan uprzątnięcia liści.

- Wszystko w porządku z przygotowaniem do ślubu? - pyta mnie.

- W porządku - zaczynam - choć robi się trochę...

Idzie do domu, Beth za nim. Krażą po kuchni i wzajemnie na siebie krzyczą. My dwie zostajemy z dziećmi. Rosie daje im wagoniki kolejki do puszczania po torze.

- Jesteś naprawdę świetna - mówię. - Zawsze wiesz, jak się dzieckiem zająć.

- Z Maud jest łatwo - mówi. - Ale potrzebuje towarzystwa do zabawy. Nie ma zbyt wielu- dzieci, które mogłabym zaprosić. Beth, no wiesz - zerka w stronę kuchni, gdzie Beth wali dłonią w zlew - jest dość wymagająca, jeśli chodzi o ludzi. Z tobą jest inaczej. Może chciałabyś zostawić Bena na trochę? Mogłabym się nim zająć przez popołudnie.

To mi byłoby bardzo na rękę. Termin oddania *Mojego Sekretu* jest tuż-tuż.

- Zrobiłabyś to? - pytam. - Mogłabym zająć się tym zleceniem, które dostałam. Kończy mi się termin i nawet nie znalazłam jeszcze nikogo do wywiadu.

Rosie siedzi po turecku, montując tory.

- A kogo dokładnie szukasz?

- Kogoś, kto ma jakiś sekret. Kogoś, kto chce się podzielić pikantnymi szczegółami i mieć swoje zdjęcie w „Lucky”.

- Ekscytujące - mówi.

Chcę jej powiedzieć, że wcale nie, choć kiedyś podobał mi się świat „Lucky”. Prosta sprawa. Grzebałam w lokalnych gazetach w poszukiwaniu dziwnych historii, a potem namierzałam kobietę, która musiała się przenieść, bo jej sąsiedzi sprzeciwiali się śmiałym malowidłom, jakimi ozdobiła swój dom. Mówiła, że to sztuka, ekspresja zmysłowości. Sąsiedzi nazwali ją dziwką i wybielili jej malowidła w tej samej chwili, kiedy odjechał meblowóz.

- Jaki sekret? - pyta Rosie.

- Jakikolwiek - mówię zdesperowana.

- Na przykład, że ktoś parał się tańcem erotycznym?

Od kuchennego okna napływają ostre słowa, słychać też jakiś łoskot - może to maszynka do pieczenia chleba. Mam nadzieję, że nic się nie zepsuło. Maud nie może jeść kupnego chleba.

- Zrobiłabyś to? - pytam. Potakuje.

- Nie wstydzę się niczego, co robiłam. Mogłabym ucałować usta na tej ślicznej twarzy.

Wózek z supermarketu zyskał aprobatę Bena. Toczony w nim wzdłuż przejść zachowuje się tak, jakby często towarzyszył swojej matce w zakupach składników potrzebnych do wypieków. Pcha go Norrie, wiecznie młoda modelka w stylu tych z okładek „Lucky”, ale bez przytwierdzonej do twarzy saszetki z gorącą czekoladą. Ma mdłe, jasne włosy i rześki uśmiech białych zębów, który sugeruje, że nigdy nie piła kawy ani nie paliła papierosów.

Reklama jest kręcona w prawdziwym supermarkecie z błakającymi się między regałami statystami. Ale to nie jest prawdziwe. Nie ma żadnego zawodzącego na podłodze malucha, któremu nie wolno wziąć sera w plasterkach. Podstawiona dziewczyna z kasy jest nienaturalnie wesoła. Marcus



błyska zaciśniętymi zębami. Wygląda na to, że jestem nową najlepszą przyjaciółką reżysera. Przynosi mi kawę i całuje mojego syna w czoło.

- Ben to prawdziwe odkrycie - zachwyca się. - Bardzo dobrze reaguje. Rzadko spotyka się dziecko, które tak dobrze czuje się na planie zdjęciowym.

- Nie jest taki zły - mówię; jestem już zblazowana jak ci rodzice, których spotkałam przy okazji reklamówki Little Squirts.

Marcus zije na mnie kwaśnym, kawowym oddechem i mówi:

- Jesteś profesjonalistką, Nina. Nie wiem, jak ci dziękować. Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Wracamy do domu, gdzie zastaję pilną wiadomość, żeby zadzwonić do Lovely. Jako profesjonalistka, natychmiast do niej oddzwoniam.

- Mam coś dla Bena. Reklama wody mineralnej - oznajmia. - Pomysł jest taki, że na dziecko splywa kaskada wody niczym krople deszczu. Będzie musiał zaliczyć casting, bo trzeba zobaczyć, jak reaguje na wodę, ale to czysta formalność.

- Dlaczego? - pytam głupio.

- Reżyser widział reklamę Little Squirts. Ben to jest właśnie to, czego chce. Powinniśmy pójść razem na lunch, Nina. Czy twój partner mógłby iść z nami? Chciałabym zaplanować karierę Bena, upewnić się, że będzie w tym przez długi czas.

- Zróbmy to - mówię.

*Rosie Lyall wygląda jak typowa beztroska dwudziestolatka. Kiedy jest w pracy i radośnie bawi się z siedmiomiesięcznym dzieckiem, które ma pod opieką, nikt by nie zgadł, że do niedawna zajmowała się czymś zupełnie innym...*

Robienie z niej osoby niemoralnej wydaje mi się nie w porządku.

- Wykorzystaj ten sekret - namawiał mnie Chase. - Naświetl kontrast pomiędzy jej porządnym życiem z tą wymuskaną należąca do klasy średniej rodziną a brudnym podziemiem klubów z tańcem erotycznym...

*Rosie unosi drapieżne oczy. Jest zagubiona w swoim własnym świecie. Czuje, że jest sexy, że ma władzę...*

Wpatruję się w monitor. Słowa się ociągają. Kasuję przecinek tu, kropkę tam. Jestem rozproszona. Wyłączam komputer, po czym na nowo włączam i kursorem robię małe kropkowane kwadraty. Idę do kuchni zrobić kanapkę z salami, którą zjadam na schodkach pod domem, obliczając, że mam pięćdziesiąt siedem minut do czasu, kiedy Rosie odda mi mojego syna.

- Potrzebne nam łóżeczko podróżne - mówi Jonathan. - Na podróż poślubną.

- Ale oni tam mają łóżeczko - mówię mu. - Sprawdziłam. Na farmie Netherall w szkockim Kircudbrightshire nie było państwa Brodies. Odebrała pani Jackson. Nie przypomiwała sobie żadnych państwa Brodies i miałam wrażenie, że niezbyt chętnie robi nam tygodniową rezerwację. Ostatecznie przyznała, że owszem, zapewniają nocleg i śniadanie, ale będziemy musieli codziennie zwalniać pokój od wpół do dziesiątej do siedemnastej. Sprawiała wrażenie despotycznej i jednocześnie znekanej. Postanowiłam, że nie będę pytać, czy program rozrywkowy obejmuje gry z szafy.

- Wolałbym, żeby spał we własnym łóżeczku, a nie w jakimś starociu z wystającymi drzazgami i mokrym materacem - mówi Jonathan. Jakoś nie brzmi to, jak byśmy jechali na miesiąc miodowy.

W pochmurny sobotni poranek jedziemy na Oxford Street, żeby zakupić podróżne łóżeczko. A raczej mieliśmy jechać na Oxford Street, bo Jonathan kieruje samochód w złą stronę. Jest duszno i parno. Nadciąga burza. Jedziemy przez niekończący się ciąg domów szeregowych, aż wyjeżdżamy na autostradę, a potem znowu z niej zjeżdżamy, a tam nie ma już nic, tylko pola i senne krowy; czasem spośród błoni wyłania się jakaś wieś.

Postanawiam, że nie zapytam, dokąd jedziemy. Co prawda istnieje niska możliwość, że Jonathan odkrył właśnie tutaj, w Krainie Marmolady, jakiegoś dostawcę akcesoriów dziecięcych, który oferuje je ze znaczną zniżką choć szczerze mówiąc, jakoś w te wątpię. Jonathan nuci pod nosem, jakby kupił mi prezent i nie mógł się doczekać, kiedy go otworzę.

- Co to? Jakaś tajemnicza podróż? - pytam w końcu. Droczy się ze mną przez chwilę spojrzeniem, które mówi

„Spodoba ci się”. A ja zgaduję, o co chodzi, nawet zanim zatrzymuje się przed pubem o nazwie Turkey i odpina Bena z jego samochodowego fotelika. Trzyma go jedną ręką drugą wyciąg z bagażnika spacerówkę, którą sprawnie rozkłada.

- Chcę ci coś pokazać - mówi, przypinając Bena i poprawiając sznurówki swoich jasnoniebieskich butów.

- Nie mógłbyś dojeżdżać z tak daleka - stwierdzam. Jonathan mijają idealne domki z czerwonej cegły.

- Już to sobie wyliczyłem. Nie zajęłoby mi to więcej niż godzinę. Spodobałoby mi się. Mogłbym czytać w pociągu, nawet nauczyć się nowego języka.

- Po co, skoro i tak nie wyjeżdżasz za granicę? - pytam. Mijamy kościół, który spogląda na nas ponuro witrażami. Będ

musiała tu chodzić w niedziele, a nawet nie jestem ochrzczona

- To gdzieś tutaj - duma Jonathan, sprawdzając nazwę ulicy Ulica Wisteriowa. Witaj, marmolado!

Tutaj domy stoją daleko od siebie, odgródzone kamiennymi murami. Gdzieś mruży radio, słychać ptasi śpiew; w mieście nie zauważasz nieobecności ptaków. Mogłabym zaprzyjaźnić się z ptakami jak szalona gołębiarka z mojego artykułu - kruszyć chleb na dopasowane do wielkości dzioba kawałeczki i zachęcać moich opierzonych przyjaciół, żeby zanieczyścili wieś swoimi odchodami.

Jonathan zatrzymuje się nagle przy ładnym domu z czterema identycznymi oknami i lśniąco czerwonymi drzwiami, jak z dziecięcego obrazka. Otwiera furtkę. Na pomalowanym na biało stopniu stoją donice z terakoty. Do drewnianego słupa z karmnikiem jest przymocowana wywieszka: NA SPRZEDAŻ. OGLĄDANIE

TYLKO PO WCZEŚNIEJSZYM UMÓWIENIU SIĘ.

- No i co myślisz? - pyta.

Myślę: Jest idealny. Myślę: Nie chcę go.

- Widzisz? - mówi Jonathan. - Brak ci słów. Fantastyczny, prawda? Wygląda nawet lepiej niż na folderze pośrednika handlu nieruchomościami. Zdjęcie nie oddało uroku tego domu.

- Jaki pośrednik handlu nieruchomościami?

- Canning and Walker. Dzwonili z ofertami ze swoich regionalnych biur. Nie chciałem rozpalać w tobie nadziei, dopóki nie pojawi się coś odpowiedniego. - Ścisną moją dłoń. - Chodźmy się rozejrzeć - mówi łagodnie.

- Nie możemy tak po prostu wtargnąć. Trzeba się najpierw umówić.

Jonathan spogląda na zegarek.

- Gary powinien tu być lada moment. Oprowadzi nas. Domowników nie ma. Gary mówi, że to jest właśnie to, czego szukam, czego my szukamy.

Przy furtce pojawia się człowiek, który wie, czego potrzebują inni ludzie. Ma piękną opaleniznę i mocno potrząsa moją ręką.

- Urocze dziecko- mówi.

Ben wpatruje się w niego cierpko, jakby żuł limonkę. Niosę go do holu z drewnianą podłogą, gdzie pod ścianą stoją porządnie ustawione w parach kalosze, wszystkie skierowane noskami w prawą stronę. Kalosze dorosłych są zielone, a dzieci srebrne, ozdobione chmurkami. Troje dzieci, w różnym wieku. Duża rodzina. Duży dom rodzinny.

- W kuchni się po prostu zakochasz! - Gary rozplywa się z zachwytem, zakładając, że to będzie moje królestwo, bo Jonathan będzie doglądać ogórków w szklarni.

W kuchni jest wyłożona cętkowanymi płytkami podłoga i błyszczące czerwone szafki. Do kredensu są przyklejane rysunki dzieci. Jeden przedstawia mamusią - szeroko uśmiechniętą kobietą z długimi czarnymi włosami i pajęczymi rzęsami. Inny jest zatytułowany „Nowy samochód tatusia”, auto wygląda jak minibus.

Jonathan ma rację. Ten dom jest idealny. Porządnie utrzymany, pachnie czystością, a gratów jest w sam raz, by mieć pewność, że mieszka tu prawdziwa rodzina. Rodzina, która dobrze funkcjonuje. Klocki lego są złożone w kufrze, który kupili na aukcji. Mama o pajęczych rzęsach pakuje dzieciom pudełka z lunchem już wieczorem, a jedzą same dobre rzeczy: świeże warzywa wymyte w wielkim zlewie. Co robi tata? Jest notariuszem.

Spodobałby się Elizie. Ale nie byłaby równie zachwycona kuchnią. Nie rozumiem, do czego w kuchence służy aż tyle drzwiczek.

- Mnóstwo miejsca do zagospodarowania - mówi Gary, prowadząc nas do salonu. - Tego ludzie potrzebują, zakładając rodzinę.

Dobry Boże! Ile jeszcze dzieci mam wydać na świat? Czy będę stale w ciąży, poklepując się po moim tęgim brzuchu na festynowym stoisku ze słojami pełnymi cukierków?

- Pozwólcie, że pokażę wam górę - mówi Gary. Dorośli mają największą sypialnię. Wszystko jest białe, nawet deski na podłodze. Wyszywana kapa jest nawet bielsza od bieli. Jeśli ci ludzie uprawiają seks, jest to czysty seks.

- Spokojnie, prawda? - mówi Gary, uśmiechając się zaciśniętymi ustami. - I wszystkie pokoje są takie jasne. Po prostu miejsce, w którym człowiek chce się budzić w niedzielny poranek.

- Ile lat ma ten dom? - pyta Jonathan.

- Koniec dziewiętnastego wieku. Rzadko można znaleźć tego typu dom tej wielkości. Ta wieś cieszy się dużą popularnością. Miejscowa podstawa znajduje się na samym szczycie klasyfikacji w skali całego hrabstwa.

Ben usiłuje wcisnąć palec wskazujący w szczelinę między białymi deskami. Jonathan cały czas spogląda na mnie ukradkiem, sprawdzając, jak reaguję.

- Mam dużo spraw do załatwienia - mówi Gary, prowadząc nas do pokoi dzieci. Na wszystkich drzwiach znajdują się tabliczki: pokój Eddiego, pokój Sophie, pokój Marthy. Dzieci, które nie mają w szkole problemów i siedzą przy prostym kuchennym stole, mżoląc się nad pracą domową, przy miłym pomrukiwaniu radia.,

- Rozejrzyjcie się teraz sami - mówi Gary. - Poczujcie to miejsce.

Jonathan niesie Bena do salonu, gdzie sadza go na okrągłym dywaniku w etniczne wzory.

- Więc...? - pyta wyczekująco.

- Więc - powtarzam.

- Uważam, że powinniśmy złożyć swoją ofertę.

- Zastanówmy się nad tym.

- Mogłabyś do niego zadzwonić w tygodniu? Dał ci swoją wizytówkę, prawda?

Grzebię w swojej torbie, gdzie nastąpił wyciek z butelki Bena. Wizytówka Gary'ego rozmokła, ale nadal jest czytelna. Nie Gary, tylko Garie. Co za kreatywna pisownia. Nie mogłabym kupić od kogoś o imieniu Garie szczoteczki do zębów, a co dopiero domu.

Mówimy, że będziemy w kontakcie. Garie bierze Bena za rękę i gaworzy:

- Pa, pa, kolego.

Ben zalewa się łzami. Niebo chmurzy się, zmieniając kolor. Rozlegają się burkliwe grzmoty, kiedy zaczyna padać. Opuszczamy dom w pośpiechu, przeciskając, się obok fotela w holu; jest duży, najwyraźniej przeznaczony do innego pomieszczenia, pękaty, obity burgundowym sztruksem; jest to fotel, w którym człowiek nigdy nie będzie czuć się komfortowo. I jest nowy. Wiem, bo ciągle jest w plastikowej folii.

Eliza dzwoni z informacją, że właśnie znalazła idealną suknię ślubną.

- Dopiero go poznałaś - naśmiewam się z niej. - Jest za młody na takie zobowiązania.

- Nie chodzi o mnie i Dale'a, głupia! Suknia jest dla ciebie. Niebieska w takim delikatnym odcieniu... nie bardzo wiem, jak go określić.

- Jak ostróżka? - podpowiadam.

- Jak kacze jajo z domieszką szarości. Nic specjalnego na wieszaku, ale jest ślicznie skrojona i nie będzie podkreślać twojego... no wiesz.

- Za ile? - pytam.

- No właśnie. Możesz ją mieć za darmo. To próbka wypożyczona od babki od PR. Mogę ją przetrzymać przez kilka tygodni, udając, że ją zgubiliśmy. A ty będziesz miała ją na sobie tylko przez jeden dzień. Może nawet godzin. Nikt się nie dowie.

Wychodzić za mąż w cudzej sukience? To nie w porządku, choć nie wiem dlaczego. To tylko sukienka. Tylko jeden dzień. Nic wielkiego, jak



mówi Jonathan, choć byłby szczęśliwszy, gdybym zadzwoniła do kwiaciarni, żeby załatwić sprawę z dekoracjami na stół.

- Znalazłam też sukienkę dla siebie - mówi Eliza, teraz bardziej podekscytowana. - Jest śliwkowa, rozszerzana. Jedynym problemem są buty.

- Martensy? - podpowiadam. - Nadal je robią w bordowym kolorze?

Ignoruje mnie, wyszczekując polecenie, że mam do niej przyjść na przymiarę tej sukienki w kolorze kaczego jaja.

- Cieszę się na to wesele - mówi.

Jadę do Beth, żeby Rosie mogła przeczytać wywiad do „Lucky”. Byłam bardzo ostrożna ze słowami, nie chcąc jej obrazić. Rezultat jest nijaki i szczerze mówiąc, wieje nudą. Chase będzie mi kazał napisać go od nowa.

Może Rosie ma przyjaciółkę, z którą mogłabym zrobić wywiad do następnej historii z cyklu *Mój Sekret*. Zapomniałam, jak szybko upływa tydzień: w chwili, kiedy oddam jedną historię, powinnam zajmować się już kolejną. Może Garie ujawni coś ze swojej przeszłości, jeśli kupimy ten nieszczęsny dom w Watton nad jakąś rzeką? Oto jak bardzo jestem zdesperowana. Właściwie to chętnie zapłaciłabym komuś, żeby przejął ode mnie prowadzenie rubryki *Mój Sekret*. Chcę być kelnerką albo bibliotekarką, mieć spokojne przerwy na lunch i wychodzić z pracy o czasie. Żadne pilne terminy nie będą mi wisieć nad głową.

Cieszę się, że Beth nadal jest u swojej matki. Nie będzie zadowolona, że przeprowadziłam wywiad z jej au pair. Beth myśli o Rosie jak o swojej własności: jeszcze jeden zbędny gadżet, który przydaje się w kuchni. Naciśkam dzwonek. Rosie jest pewnie w pokoju zabaw na górze i ma włączoną kasetę z piosenkami dla dzieci. Walę w drzwi. Może jest w ogrodzie? Naciśkam na klamkę; drzwi otwierają się ciężko.

- Rosie! - wołam.

W salonie cicho gra muzyka. Coś dżezującego, niezmiernie cichego w żadnym szczególnym kierunku. W tym domu zwykle nie słucha się muzyki. Beth ma trzy płyty CD: Phil Collins, Nina Simone i składanka piosenek o miłości z zarysem całującej się pary na okładce.

- Rosie! - krzyczę do góry. - Tu Nina. Przyniosłam artykuł.

Z holu czuć chłodny podmuch. Otwarte są tylne drzwi. Zmierzam do ogrodu, wyobrażając sobie, że Rosie grabi resztę liści, kiedy Maud śpi sobie w słońcu. Ale Maud jest w kuchni, w kojcu. Chrapie gardłowo. W otwartej dłoni leży drewniana grzechotka. Szeroka klatka piersiowa unosi się i opada powoli. Pielucha jest wypełniona do granic możliwości. Maud ma na sobie poplamiony podkoszulek; chyba rozprysnął się sos pomidorowy.

Na kuchennej półce, poniżej książek kucharskich Beth, stoją trofea Matthew. Zdobył je w golfie i biegach długodystansowych. Mąż z dużymi osiągnięciami, dobry we wszystkim. Gotów przejąć opiekę nad dzieckiem, kiedy jego żona jest na wsi, gdzie pakuje w serwetki szklane zwierzęta.

Sprawdzam w holu, czy Ben nadal śpi, potem wyglądam przez kuchenne okno. Nie jest tak błyszczące jak zwykle. Ogród wygląda na zaniedbany. Beth mówiła, że dawniej Matthew kopał grządki i sadił byliny. Potem przestał się tym zupełnie przejmować, chyba że Beth długo suszyła mu o to głowę. Matthew zwał za to winę na Maud. Maud rosła, tak samo jak chwasty. W sierpniu Matthew zabrał się do koszenia trawnika, ale zrezygnował po jednym okrążeniu.

W końcu ogrodu urosła wyższa trawa, bo żadna kosiarka nie dotarła tam przez cały rok. Tam jest Rosie, tyłem do domu. Unosi się w górę i opada, ze zrolowaną w pasie sukienką. Trawa jest tak wysoka, że na początku go nie dostrzegam. Ale potem już go widzę; leży na wznak, ściskając mocno dłońmi jej biodra, zaledwie parę metrów od tarasu, pod który wpadł zareczynowy pierścionek Beth. Mathew leży na wydzierganym przez nią pleddie, składającym się ze stu sześćdziesięciu czterech kwadratów.

Jestem już na rogu ulicy Beth, kiedy uświadamiam sobie, że nie mam ze sobą szarej koperty w formacie A4, która zawierała historię Rosie do *Mojego Sekretu*. Nie ma jej w torbie z rzeczami Bena, zwisającej z rączek spacerówki. Nie została zwinięta i wepchnięta do kieszeni dżinsów. Gdzieś ją położyłam. Może jest w kuchni Beth, obok nowego, stylizowanego na lata pięćdziesiąte miksera, idealnego do robienia koktajli owocowych, o ile prawidłowo zakręcisz pokrywę, czego Beth nie zrobiła za pierwszym razem i poszatkowane truskawki rozbryzgnęły się po ścianach.

Teraz zastanawiam się, czy w ogóle zamknęłam frontowe drzwi, chcąc jak najszybciej stamtąd uciec. Będą kusząco uchylone, zapraszając włamywaczy, zanim Marchew i Rosie dokończą swoje zajęcia w ogrodzie.

Mogłabym wrócić i wyjaśnić: „Przyszłam, żeby przynieść ci artykuł - o patrz, tu jest, ale ze mnie idiotka! - ale ciebie nie było. Grała muzyka. Może gdzieś wyskoczyłaś i zapomniałaś wyłączyć”. Nie wspomnę o Maud w kojcu. Spała. Mogłam jej w ogóle nie zauważyć. Powiem: „Szukałam cię wszędzie. I nic. Żywej duszy. Nic nie widziałam”.

Do tej pory powinni skończyć. Z Rosie na górze, jej jędrnymi udami dwudziestolatki, nie będzie się długo ociagać. Okaże entuzjazm wcześniej niewidziany w tym ogrodzie. Zmierzwia trawę, żeby zlikwidować wygnieciony placek. Dwie zaczerwienione twarze sprawdzają, czy Maud ciągle śpi. Dobrze. Potem wrócą do zwykłych zajęć taty i au pair. Matthew może wypolerować swoje trofea. Ona przygotowuje Maud podwieczorek. Kiedy zadzwoni Beth, Rosie podniesie słuchawkę. „Wszystko w porządku - powie swoim głosem miłej dziewczyny z Kent. - Tak, oczywiście, Maud za tobą tęskni. Wszyscy tęsknimy”. Myślę o Beth: uwięziona na wsi, owija bibułką szklane króliczki, odliczając minuty, kiedy wróci do domu.

Nie powiem jej. Nie jesteśmy na tyle blisko; to nie należy do moich obowiązków. Ale ona się dowie. Będą nieostrożni. Pędzę do domu w takim tempie, że aż spacerówka podskakuje na wybojach chodnika. Mam nadzieję, że szara koperta rozpadnie się na miliony cząsteczek i rozproszy się po kuchni Beth jak mąka.

Jonathan zjawia się z rozpalonymi policzkami; niesie przed sobą dwie wypchane reklamówki. Wygląda to, jakby ścisnął dwa ogromne jądra.

- Co to jest? - pytam, kiedy wyładowuje różne warzywa liściaste, wstępnie umyte i zapakowane w celofanowe saszetki. Polistyrenowa tacka z dwudziestoma czterema udkami kurczaka ląduje z plaskiem na blacie.

- To jeszcze nie wszystko - mówi Jonathan, chwytając oddech. - Jutro rano przyniosę resztę, zacznę robić zalewy, a o drugiej rozpalę grilla. Zgodnie z prognozami jutro będzie pogoda, sprawdziłem.

Przypominam sobie: spotkanie rodzinne. Moi rodzice i Constance, którzy mają się nawzajem poznać przed naszym ślubem, żeby wyglądało to, jakby nasze rodziny znały się od dziesięcioleci.

- Myślałaś o tamtym domu? - pyta Jonathan, ustawiając butelki z olejem rzędem od koloru beżowego do omszałej zieleni.

Nie mogę myśleć. Nadal widzę ciemne loki Rosie podskakujące na jej ramionach.

- Musimy podjąć decyzję - mówi Jonathan. - Dzwonił do mnie Garie. Powiedziałem mu, że byliśmy zachwyceni tym domem. Ostrzegł mnie, że w tym tygodniu będą oglądać go trzy inne pary.

Czy byliśmy zachwyceni tym domem? Nie było w nim nic, co by mogło się nie podobać. Nie można udawać, że zadbane dom jest szkaradny.

- Oczywiście, że tak mówi - tłumaczę Jonathanowi. - Znałeś kiedyś pośrednika handlu nieruchomościami, który by mówił prawdę? Chce nas pobudzić do działania, zgarnąć swoją prowizję. Tam może być cała masa pułapek - dach, wilgoć, rynny...

- Czy według ciebie tam było czuć wilgoć? - pyta, wpychając puste torby do uchwytu na reklamówki (biały plastikowy pojemnik z dziurami, żeby łatwiej było usuwać torebki, przyczepiony we wnętrzu szafki w holu. Klasyyczny model, jak mówi Jonathan).

- Poczekajmy do ślubu - sugeruję.

- Wtedy tego domu już nie będzie.

Wyobrażam sobie przestrzeń w miejscu, gdzie kiedyś był dom. Rodzina miłośników kaloszy stoi na bosaka przy furtce, wpatrując się w pusty kwadrat ziemi.

- Poszłam dziś do Beth i Matthew - wyrzucam z siebie. Jonathan wydycha niecierpliwie powietrze.

- Próbowałem złapać Matthew w pracy. Zdaje się, że powinienem zaliczyć jakiś wieczór kawalerski, a przynajmniej wyjść na piwo. Ale wyskoczył do bankomatu i już nie wrócił. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jonathan wybrał Matthew na drużbę. Żaden z niego drużba. Nie tak jak Billy, który przynajmniej interesuje się przygotowaniem do ślubu. Zaproponował, żeby urządzić wieczór kawalerski na torze psich wyścigów albo w klubie naśladowców Elvisa. Na ceremonii chce zagrać kawałek, który sam napisał. Co niepokojące, kupił akordeon.

Nie rozpakowawszy zakupów, Jonathan wyciera czoło rękawem marynarki. Dlaczego sienie rozbierze, skoro jest już w domu? Zdejmuję mu marynarkę z ramion. Koszulę ma wilgotną. Całuje mnie niepewnie, jakbym mogła ugryźć. Słyszę, jak Ben pełźnie po kuchennej podłodze. Ręce Jonathana są na moich plecach, twarzy i włosach. Ben kwili, pewnie przestraszony, że rodzice zaraz udadzą się do sypialni i zapomną o jego istnieniu. Dzieci nie lubią kiedy dorośli okazują sobie uczucia. Nie znoszą tego przyciskania ust do siebie, kiedy się o nich zapomina. Jonathan prowadzi mnie do holu. Teraz całuje mnie już bardziej, śmiało. Stoję oparta o szafkę, tę z pojemnikiem na torebki.

Z kuchni dobiega płacz. Ben jest teraz przestraszony i myśli. Zrobią to. Zrobią dziecko. Wstrętną siostrę, która będzie leżeć pod stojakiem z zabawkami - moim stojakiem - i zgarnie najlepsze fuchy w reklamówkach.

Wycie staje się głośniejsze. -Nic mu nie będzie - szepcze Jonathan. - To tylko chwila. - Słysząc chrząkanie, kiedy nasz syn przemieszcza się z kuchni do holu. Z całą pewnością raczkuje, a nie odpycha się na pupie. Jego dolna warga wystaje jak półka.

- Muszę ci coś powiedzieć - oświadczam. Ktoś natarczywie ciągnie moją kostkę. Ben korzysta z obu rąk, w daremnej próbie podciągnięcia się na

mojej nodze. - Matthew nie był w pracy -mówię ostrożnie. - Był w domu. W ogrodzie. Poszłam tam i zobaczyłam...

- Najwyższy czas. Widziałaś, w jakim stanie jest ich trawnik? Wydali tyle pieniędzy - taras, te wielkie ceramiczne donice -i zostawili to wszystko, żeby zarosło.

W tym momencie muszę uciec do kuchni i schować głowę w lodówce.

Niezwykłe małe stopy Constance są zapakowane w żółtobrunatne sznurowane buty. Moja przyszła teściowa ma na sobie ciemnobrązowy sweter zapięty pod samą szyję i plisowaną spódnicę, którą skubie. Chce pomóc i próbuje wtargnąć do kuchni, ale Jonathan jej tam nie dopuszcza.

- Odpocznij, mamó - nalega. - Porozmawiaj z Niną. Constance mruży oczy w ostrym październikowym słońcu. Jest

uwięziona na podwórku ze swoją udawaną synową i Benem na kolanach. Ben patrzy na nią, jakby właśnie wyszła z rakiety kosmicznej. Jonathan przynosi dwa kieliszki wina. Constance potrząsa przecząco głową i prosi gestem, żeby odstawił jej kieliszek na płytę chodnikową. Nie jest w nastroju do rozmowy. Wpatrujemy się w ceglany mur ogradzający nasz ogródek od tyłu, jakby oczekując, że za chwilę zostanie na nim wyświetlony najnowszy film.

Moi rodzice się spóźniają. A może zapomnieli. Kiedy dzwoniłam z zaproszeniem, matka chyba miała problem z przypomnieniem sobie, kim jestem.

- Pomyśleliśmy, że powinniście poznać Constance - powiedziałam - skoro będziecie siedzieć obok siebie w urzędzie stanu cywilnego.

- Constance? - zapytała z oddali, jakby trzymała słuchawkę na długość ramienia.

- Matkę Jonathaną - uściśliłam, spodziewając się, że zaraz powie: „Jonathan? A kto dzwoni?”. Ale w samą porę powiedziała:

- Och! Oczywiście, że przyjedziemy. Bardzo byśmy chcieli zobaczyć... dziecko. - Pewnie zapomniała i jego imienia.

Zjawiają się, kiedy kurczak powinien już ładnie skwierczeć, wypełniając podwórko kuszącym zapachem, ale żar nie jest jeszcze dość gorący. Jona-



than szturcha węgle widelcem na długim trzonku: typowe zachowanie grillowe, pozwalające mężczyznom na uniknięcie różnych sytuacji rodzinnych. Constance pociera butem o but i drży. Obejmuje Bena, ale równie dobrze mógłby być dzbankiem do herbaty, bo trudno mówić o jakiejś interakcji pomiędzy nimi.

Jonathan polewa węgle rozpałką w płynie, próbując zwiększyć żar. Mama głośno pociąga nosem. Oczywiście ma ochotę na papierosa. Nie ma problemu, skoro jesteśmy w ogrodzie. Zastanawia się: Czy nikomu nie będzie przeszkadzać? Gdzie powinna usiąść, żeby dym nie leciał Constance w twarz? Sięga do torby, skąd wyciąga paczkę i zapala. Constance przenosi swoje wodniste oczy na moją matkę, potem patrzy z powrotem na mur.

Tata kręci się koło Jonathana przy grillu.

- Nie sposób dobrze przypiec do samego środka, prawda? - mówi. - Myślisz, że do tej pory musi już być gotowe, wgrzasz się, a środek jest jeszcze krwisty.

Przy słowie „krwisty” Constance patrzy na mojego tatę piorunującym wzrokiem.

- Nie mów tak, Jack - hamuje go moja matka. - Jonathan bardzo się stara. - Zwraca się do Constance. - Prawdziwy z niego skarb, skoro zajmuje się gotowaniem, prawda? Nina mówi, że to jego królestwo. Ona jedynie kupuje gotowe produkty w delikatesach i rzuca je na talerz. - Kończy swoją wypowiedź lekkim śmiechem.

Constance krzywi się; nie potrzebuje żadnych dodatkowych dowodów, jest przekonana, że nie będę najlepszą żoną.

- Co będzie do jedzenia na weselu, Nina? - pyta moja matka.

- Tylko szwedzki stół. Łosoś, owoce morza, jakieś sałatki.

- Kiedy jesteśmy we Francji, odżywiamy się bardzo prosto, prawda, Jack? Mamy tam domek - mama wyjaśnia Constance.

Teraz Constance postrzega moich rodziców jako snobów, może nawet pomniejszych arystokratów, którzy mają niepotrzebne domy rozsiane po całej Europie. Nie żeby moja matka wyglądała dostojnie - ma na sobie wyblakłą sukienkę ze wzorkiem w bluszcz, która wygląda, jakby miała się rozpaść w następnym praniu; mogłaby ją już wyrzucić.

- Cieszy się pani na wesele? - pyta; jest już zmęczona próbami zaprzyjaźnienia się z Constance.

Constance przypatruje się pomiętemu kołnierzykowi mamy i mówi:

- Słucham?

- Pytałam o wesele. Czy...

- Nigdy nie byłam na weselu - warczy Constance.

- Pomijając własne - żartuje mama.

Choć oczy Constance są niepozornie szare, promieniuje z nich wielka siła.

- Nigdy nie byłam na weselu. Ojciec Jonathana i ja nie byliśmy małżeństwem. Jonathan - teraz mówi głośniej - odwieziesz mnie do domu, zanim zrobi się późno? Nie lubię, jak prowadzisz, kiedy jest ciemno.

- To jest Londyn, mamó - mówi Jonathan, przyglądając się tłacemu udku kurczaka. - Tu nigdy nie jest do końca ciemno.

- Przykro mi to słyszeć - mówi do Constance mama. Jonathan rzuca kurczaka na talerze, zapominając o podaniu

sałatki, która jest w szklanej misie w kuchni, i wlewa wino do gardła, jakby je płukał. Mama przygląda się zawartości swojego talerza.

- Wygląda wspaniale - mówi - ale może zjem później; Ashley martwi się antybiotykami w kurczakach.

- To ekologiczne kurczaki - mówi Jonathan.

- Robi się późno - mamrocze Constance. - Jonathan, jedźmy już?

*Poniedziałek- Reklama wody mineralnej. Zabrać białe śpioszki i zabawki.*

*Wtorek: Oddać Mój Sekret. Z kim przeprowadzić wywiad?*

*Środa: Zamówić wino i tort na wesele, zapłacić Foksowi, sprawdzić, kto potwierdził, że zjawi się na ślubie. Załatwić transport z urzędu stanu cywilnego do Foksa.*

*Reklamówka AA. Początek 15? Pojechać do Elizy, przymierzyć sukienkę.*

*Czwartek: Casting do reklamy świątecznej. 14? Zapytać Lovely.*

*Piątek: Urodziny Jonathana. Sprawdzić, czy Beth zajmie się Benem.*

- Poradzili sobie - mówi Beth - ale zawsze to inaczej, jak zrobisz coś osobiście. - Wróciła ze wsi pulchniej szał, z mniej przetłuszczoną cerą. - Tęskniłam za nim, wiesz? - dodaje. - Może właśnie tego nam było trzeba. Krótkich wakacji od siebie. - Przywiozła ze sobą malowane drewniane litery układające się w napis Maudie i dwie złote rybki, które wygrała na festynie. Trafiają do pokoju zabaw. Rosie wyczyści akwarium, bo według Beth rybki zaliczają się do zabawek, a czyszczenie zabawek należy do obowiązków Rosie.

- Zakładam, że nie kupujecie tego domu na wsi? - mówi Beth, wkładając miniaturowy wrak statku do akwarium.

- Odwodzę go od tego, ale prawdopodobnie ten temat wypłynie w piątek wieczorem. Jonathan ma urodziny. Mogłabyś zająć się Benem?

- Nie ma problemu - mówi, choć wydaje się zdenerwowana. Ben jest w końcu chłopcem i już roztrzaskał pokrywkę od jej pojemnika na herbatniki w kształcie misia.

- Około siódmej?

- W porządku — mówi, potem dodaje beztrąsko: - Wiesz, co było najlepszego w moim powrocie? W końcu ściał tę trawę.

Tydzień mija w powodzi nagryzmołonych przypomnień i strachu, żeby się nie spóźnić choć o sekundę. Reklama wody mineralnej jest kręcona na kryształowo białym tle, a z góry są rozpylane małe kropelki. Reżyser to przygnębiony mężczyzna z konkretnym podbródkiem. Porusza się niezręcznie, jak kloc. Ben siedzi na podłodze w stosie czegoś, co wygląda jak folia bąbelkowa. Kiedy zaczyna lecieć woda, spodziewam się, że Ben ucieknie z planu - a przynajmniej szybko poraczkuje w moją stronę - ale on śmieje się i trzepie połyskujące kropelki palcami. Jest jeszcze jedno dziecko, rezerwowe, ale nie ma potrzeby, żeby z niego skorzystać.

- Nie szkodzi, miło było wyrwać się z domu - mówi jego matka. Na jej twarzy maluje się rozczarowanie.

Następny poranek spędzam na przerzucaniu gazet w poszukiwaniu pomysłu na *Mój Sekret*, ale nie mogę nic znaleźć. Pytam Elizę, czy nie opowiedziałaby swojej historii pod tytułem *Mój mały kochanek*, ale ona

tylko parska do słuchawki. „Lucky” to nie jest magazyn w jej stylu; nadaje się jedynie do wyłożenia kociej kuwety. Zastanawiam się, co Chase myśli o historii z tańcem erotycznym. Nie było czasu, żeby dać ją najpierw Rosie do przeczytania. Mogła ją znaleźć, porzuconą gdzieś w kuchni, ale nie słyszałam na ten temat ani słowa. Nie jestem w stanie stanąć z nią twarzą w twarz. I tak jest mi wystarczająco trudno zachowywać się normalnie przy Beth; boję się, że moje pomarszczone ze zmartwienia czoło się wygada: „Widziałam, jak to robią. Zostawili Maud w kojcu w brudnym podkoszulku, całą śmierdzącą”.

Z „Lucky” dzwoni Jess, żeby zapytać, czy mogłabym w tym tygodniu przyjść na rozmowę o szczegółach. Historię z tańcem erotycznym puszcza tak, jak jest, bo nie ma czasu na przeróbki. Mówi piskliwie, jakby prosiła szkolną pielęgniarkę o podpaszkę.

- Zrobiliście zdjęcia? - pytam.

- Wczoraj. Fotograf powiedział, że są bardzo naturalne. Uroczą dziewczyna. Trudno uwierzyć, że mogła robić coś tak tandetnego.

- To taka cicha woda - mówię.

- Dostanę od ciebie dzisiaj materiał na ten tydzień? - chce wiedzieć Jess.

- Jest prawie skończony - mamroczę.

Daję Benowi lunch, a potem krążę z nim po parku, dopóki nie zasypia w wózku. Po powrocie do domu tworzę fikcyjny *Mój Sekret* o kobiecie, która wie, że jej mąż ma romans, ale przymyka na to oko, bo przynajmniej nie zawraca jej głowy seksem. Kiedy kończę, co zbiega się z głośną pobudką Bena, prawie wierzę, że to prawdziwa historia.

Przesyłam ją e-mailem do Jess, wyjaśniając, że owa kobieta nie chciała zgodzić się na zdjęcia. Mogą wykorzystać jakieś zdjęcie z szuflady. Albo zrobić fotkę Jess. Nie obchodzi mnie, co zrobią.

Reklama AA jest kręcona na poboczu autostrady M1. Ben musi jedynie wyglądać fotogenicznie, kiedy z fotelika samochodowego wyjmuje go irlandzki aktor, doświadczony w odgrywaniu troskliwego tatusia. Jest w typie Ranalda, wygląda, jakby mógł postawić namiot w ciągu niecałej minuty. Uśmiecha się tylko w chwili, gdy oddaje mi Bena.

Kiedy Jonathan wraca z pracy, narzeka, że jego zespół wcale się nie zgrał, choć spędzili trzy dni na kopaniu stawu.

- Każdy ciągnie w swoją stronę - mówi. - Będę musiał się z nimi rozmówić. - Ciekawa jestem, jak to może wyglądać. Nie mogę sobie wyobrazić Jonathana, jak apodyktycznie wyraża swoją opinię. - Jak poszło z samochodem? - pyta. Czyżby nas śledził i widział, jak Bena trzyma zastępczy tata? - Powiedziałaś, że zarezerwujesz minibus - dodaje lakonicznie. - Żeby zabrać wszystkich z urzędu stanu cywilnego do Foksa.

- Nie możemy skorzystać z taksówek? - proponuję. - Będzie tylko dwanaście osób. Mogą.

- Zajmę się tym - rzuca Jonathan przez zaciśnięte zęby. Odtwarza nagraną na sekretarkę wiadomość od Elizy, która przypomina mi, że mam być u niej punkt dwudziesta.

Eliza wygląda, jakby ostatnio przeżyła za dużo seksu. Jej mieszkanie się skurczyło. Całkiem jakby odbywała się tu wyprzedaż rzeczy używanych, z tym że przewaliła się już pierwsza fala kupujących, zgarniając najlepsze rzeczy.

Sukienka wisi w oknie gościnnego pokoju; jest niebieskoszara. Z rzemienia zwisa przywieszka PRÓBKA: Do ZWROTU. Mierzę ją, nie zdejmując przywieszki.

- Obróć się - komenderuje Eliza.

Czuję, że moje ciało obwisło. Potrzebuję jakiejś podpórki, jakiegoś rusztowania.

- Z tyłu wygląda w porządku - mówi Eliza.

Poczekalnia castingu świątecznego ozdobiona jest badziewną zieloną lametą, pewnie po to, żeby wprowadzić dzieci w odpowiedni nastrój. Reklama dotyczy katalogu z zabawkami i różnymi dobrami przydatnymi w gospodarstwie domowym: „prosto z katalogu do twoich drzwi”. Jak będę się czuła, jeśli Jonathan mi kupi zestaw trzech rondli ze szklanymi pokrywkami? Beth wściekła się w ostatnie urodziny, kiedy Matthew podarował jej kosz na śmieci. Była wtedy w zaawansowanej ciąży; opowiadała mi o tym na zajęciach szkoły rodzenia. Kosz był przyjemny dla oka, z eleganckim

wzorkiem, a w środku znajdował się moët - trzy butelki. No cóż, Beth nie chciała kosza, a w ciąży nie mogła pić szampana.

Nie myśleliśmy z Jonathanem o Bożym Narodzeniu. Jutro są jego urodziny; mam z tym wystarczająco dużo kłopotu. Pod naszym łóżkiem leżą ukryte dwie paczki: aktówka z kanciastymi brzegami i masywnie wyglądającym zamkiem szyfrowym (choć jego obecna aktówka jest w absolutnie dobrym stanie) i czarna sztruksowa sakiewka z zestawem męskich kosmetyków do trójfazowej pielęgnacji skóry. Dziewczyna ze sklepu mogła pomyśleć, że to prezenty dla mojego taty.

- Denerwujemy się? - pyta kobieta, której dziecko nie chce się uspokoić pomimo lamety i dyndających z sufitu oszronionych gwiazdek.

- Nie, już to wcześniej robiliśmy. Patrzy na Bena, potem na mnie.

- Jesteście z agencji Little Lovelies, prawda? A to jest ten sławny Ben.

Sławny Ben ma garść pełną gwiazdek i minę, która pyta: „Musimy iść na ten casting? Czy oni mnie nie znają?”.

Nie Beth, tylko Rosie zjawia się w piątkowy wieczór.

- Nie masz nic przeciw temu? - pyta, wkładając Bena w jego zapinaną na suwak pidżamkę. - Beth powiedziała, że chce spędzić trochę czasu sam na sam z Matthew. Świetna sukienka.

Pomijając kilka przymiarek, czarna sukienka spędziła zbyt dużo czasu w ciemnościach szafy, zapakowana w bibułę, jak szklane zwierzęta matki Beth. Zalatuje stęchlizną i nie jest tak czarna, jak być powinna. Buty są okropnie niewygodne. Nie jestem przyzwyczajona do tak wyzywającego obuwia.

Jonathan ma na sobie jasnoniebieską koszulę i nijakie czarne spodnie; już bardziej nie potrafi uciec od oficjalnego, biurowego wyglądu. Patrzy na moją sukienkę; chce coś powiedzieć, ale nie przy Rosie. Zostawiamy jej szczegółowe instrukcje, co robić, gdyby Ben nie chciał pójść spać. *Opieka nad niemowlęciem* zaleca „próbne wyjście”, co polega na zostawieniu dziecka z opiekunką, kiedy samemu tak naprawdę się nie wychodzi z domu, ale to wydaje się bezcelowe i krepujące. Co powinni w tym czasie robić rodzice? Kręcić się po kuchni, sącząc wino i udawać, że to bar? Jona-



than pokazuje Rosie, gdzie trzymamy pieluchy, chusteczki nawilżające i calpol, choć Ben został przewinięty i nic nie wskazuje, żeby miał gorączkę. Wykładam wszystkie jego zabawki, pomijając zardzewiały rower od mamy, żeby nie czuł się opuszczony.

- Tu jest numer mojego pagera i komórki, komórki Niny i telefonu do restauracji - mówi Jonathan, podając jej kartkę, na której jest wszystko wypisane drukowanymi literami: DO DZIEWIĄTEJ BRAZIL, POTEM ODEON. 23:15 - KONIEC FILMU. POWINNIŚMY BYĆ W DOMU O 23:45.

- Przyjechała nasza taksówka - mówię, chcąc uciec, zanim Ben zauważy praktycznie gołe stopy swojej matki i zorientuje się, że wychodzę do jakiegoś tajemniczego miejsca, gdzie podają alkohol.

Jonathan gramoli się do taksówki, strzepując z ud jakieś niewidzialne pyłki. Wracam, żeby przypomnieć Rosie, że Ben ma zwyczaj zwracać swoją wieczorną butelkę i domaga się dolewki. Powinna karmić go powoli, robić przerwy, upewnić się, że mu się porządnie odbiło. Ale ona to wszystko wie. Wie o dzieciach więcej ode mnie.

- Podobał mi się ten wywiad - mówi, stojąc z Benem w drzwiach. - Napisałaś wszystko tak, jak mówiłam.

- Cóż, starałam się.

- Chciałam ci tylko podziękować - mówi.

Jonathan nie lubi jadać poza domem, ale Brazil nie jest prawdziwą restauracją: same lekkie przekąski, ale człowiek i tak nie zwraca zbytnio uwagi, co ma na talerzu, bo panuje tam zbyt gorączkowa atmosfera. Stoimy niedaleko drzwi, gdzie jest trochę mniej zadymione, ściskając kieliszki z winem. Jonathan uśmiecha się nerwowo za każdym razem, kiedy ktoś przeciska się obok niego do automatu z papierosami. Jakaś para podnosi się od jednego z zewnętrznych stolików, zostawiając po sobie górę tłustych naczyń, podarte serwetki i popielniczkę wypełnioną po brzegi petami i kapslami od butelek z piwem.

Stolik się chwieje. Jonathan wyjmuję z portfela wizytówkę, składają i wciska pod srebrzystą nogę. Ale stolik nadal chwieje się niebezpiecznie. Kelner przyjmuje zamówienie, nawet na nas nie patrząc. Grupa pięciu

mocno opalonych kobiet przy sąsiednim stoliku wita brawami pojawienie się ogromnego dzbanka z burgundową ciecżą przystrojoną posiekanymi owocami.

Nie jesteśmy przyzwyczajeni do bycia razem bez konieczności zajmowania się Benem. Zastanawiam się, czy opalone dziewczyny zakładają, że jesteśmy na naszej pierwszej randce. Nadal poruszamy się po omacku. Nasze wypowiedzi zaczynają się od „więc”. Oczywiście opalone dziewczyny nie zwracają na nas uwagi - bo niby czemu? Jedna dostaje SMS-a i pokazuje go pozostałym, które piszczą jak szczeniaki. Jonathan ujmuje moją dłoń pod stolikiem i ją ściska.

Za chwilę mu powiem. Poczekam, aż pojawi się jedzenie. Nie chcę, żeby kręcił się przy nas kelner, układając naczynia, kiedy będę uświadamiać Jonathana, że jego syn, wożony wózkiem po supermarkecie, z podłożonym głosem czterdziestopięcioletniego mężczyzny niebawem pojawi się w ogólnokrajowej telewizji. Potrzebujesz spokojnej chwili, żeby wyjaśnić powód, dlaczego jesteś taka wykończona: reklamówka wody mineralnej i AA, casting do świątecznego katalogu, nie wspominając już o rosnącej presji, żeby spreparować kolejną historię z cyklu *Mój Sekret*.

Dziobię małą kałamarnicę i jakąś rybę w mulistym pomidorowym sosie, z ościami, tam gdzie człowiek by się ich nie spodziewał. Układam ości rzędem na talerzu. Opalone dziewczyny krzykiem witają oszałamiająco przystojnego blondyna z teczką pod pachą. Chłopak całuje wszystkie dziewczyny po kolei, ocierając się o ich dekolty.

- Jonathan, muszę ci coś powiedzieć - mówię.

W gardle utknął mi kawałek kałamarnicy. Nie pójdzie dalej. Pewnie w połowie drogi za pomocą przyssawek. Jonathan patrzy na mnie, ściskając widelec. Blondyn figlarnie masuje ramiona najgłośniejszej dziewczyny. Dzbanek jest już pusty. Trzy dziewczyny zapalają papierosy; zaciągają się szybko i płytko.

- Nie wiem, od czego zacząć - mówię dalej, z trudem. Jonathan gwałtownie mruga oczami i odkłada widelec.

- Chodzi o ten dom. Nie jesteś zachwycona tym pomysłem. Nie chcesz się przeprowadzać.

Zjawia się kelner.

- Skończyli państwo? - pyta, patrząc na ledwie tknięte potrawy.

- Tak, dziękujemy - mówi Jonathan.

- Życzą sobie państwo coś jeszcze? - Ładując nasze talerze na tacę z nierdzewnej stali, przygląda się opalonym dziewczynom.

- Nie, dziękujemy - mówię. Głośna dziewczyna przywołuje kelnera, wymachując pustym dzbankiem.

- Tak czy inaczej, ten dom jest już sprzedany. To znaczy, przyjęli czyjąś ofertę. Dzwoniłem do Gariego, żeby to sprawdzić. Będzie nam szukać czegoś bliżej miasta.

O ile bliżej, dokładnie? Albo mieszkasz w mieście, albo nie. Już wolałabym osiąść w Krainie Marmolady, niż mieszkać na niby-wsi, tuż za North Circular.

- Nie chodzi o dom - mówię, zastanawiając się, czy sama wydalę mackę, która jakoś się ruszy, czy będzie musiał mi ją usunąć ten nieletni lekarz ze szpitala.

- Nie chcesz kolejnego dziecka. W porządku. Pewnie jest za wcześnie. Na razie mamy na głowie wesele.

Wygląda na zdruzgotanego. Na szczęście ma zadraśnięcie po goleniu. Obraca w palcach nóżkę kieliszka i ściera z nadgarstka plamkę sosu od klopsików.

Ktoś wchodzący do Brazil zauważa mnie i pędzi w naszą stronę w ogromnej szafirowej sukience, która zwisa od szyi aż po kostki, bez żadnych widocznych szwów czy struktury. Kobieta Filc!

- Nina, przepraszam cię, że się nie odzywałam. Mały miał problemy z płucami. Martwię się, że to przez wilgoć. Zaczęłam robić różne rzeczy z papieru i po całym mieszkaniu porozstawiałam wiadra z papierową miazgą.

- Patrzy wyczekująco na Jonathana.

- To Jonathan, mój narzeczony - chrypię. Nie mogę sobie przypomnieć jej imienia. Czy jej imię zaczyna się na F, czy na H, a może to imię jej dziecka?

Wyciąga rękę, którą Jonathan potrząsa.

- Charlotte - mówi, spoglądając z zakłopotaniem na moją sukienkę, po czym szturmuję Brazyl.

Płacimy i dopijamy wino. Jonathan trzyma mnie za rękę, kiedy wychodzimy. Czuję się za stara na chodzenie za rączkę. Zatrzymujemy się przy wystawie sklepu, w którym sprzedają kuliste lampy i delikatne stoliki do domów, w których nie ma dzieci.

- Chodzi o ślub? - pyta Jonathan. - Nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz.

Wyobrażam sobie Rosie, jak leży zwinięta na naszej skórzanej sofie, skacząc z programu na program, co jakiś czas zaglądając do sypialni, żeby sprawdzić, czy z Benem wszystko w porządku.

- Dziwnie się czuję - mówię. - To nasze pierwsze wyjście od czasu, kiedy urodził się Ben.

Jonathan dotyka nagiej skóry na moich plecach. Opatulam się moim cienkim żakietem.

- Tylko o to chodzi? - pyta.

- Naprawdę chcę wyjść za ciebie - odpowiadam.

Prawie wszyscy widzieli ten film co najmniej pół roku temu, więc sala kinowa jest zapełniona tylko w jednej trzeciej. Nigdy nie byliśmy razem w kinie. Jestem ciekawa, czy Jonathan siedzi przez całe napisy końcowe, aż zapalą się światła, czy od razu pędzi do wyjścia. Obstawiam, że siedzi przez całe napisy. Żadnych hot dogów, popcornu ani gazowanych napojów w kubku ze słomką.

Lecą zwiastuny filmów, o których nigdy nie słyszałam; grają w nich aktorzy, którzy muszą być niezwykle popularni, bo tak się eksponuje ich nazwiska. Powinnam coś o nich wiedzieć, przechowywać w mózgu historie na temat zawiłości ich prywatnego życia. W końcu jestem dziennikarką. Ale gwiazdy to nie moja działka. Moja to wywiady ze zwykłymi ludźmi, którzy robią o wiele dziwniejsze rzeczy od aktorów. A jak to zawiedzie, po prostu zmyślam.

Reklamy. Modelka z kończynami jak gazela, w stylu dziewczyn, z którymi pracuje Eliza. Jest na brzegu morza, popija coś brzoskwiniowego. To

mogłabym być ja w mojej podróży poślubnej (choć mam grubsze nogi), gdyby Jonathan nie był tak bardzo napalony na atrakcje typu *bed and breakfast*. Częstouję go moim popcornem. Odmawia machnięciem ręki.

Wreszcie reklamówka płynów do kąpieli. Zgraja niemowlaków pluska się w nadmuchiwanym basenie. Zbliżenia twarzy: szeroko otwarte oczy z mokrymi rzęsami, gaworzące, bezzębne usta. Teraz całe dziecko, siedzące po pas w wodzie, podtrzymywane przez dmuchaną kaczkę. Maluch wali piąstką w wodę, potem podnosi rączkę do ust i ssie palec. Obraz zastyga w bezruchu. Little Squirts. Ponieważ zależy nam na twoim dziecku równie mocno jak tobie.

Zaczyna się film. Kevin Spacey i amerykańskie przedmieścia. Zdarzy się coś strasznego, wiemy o tym od samego początku. Bardzo seksowna, młodziutka dziewczyna turla się w potpourri. Jest i wkurzony nastolatek, typ buntownika. Jakimś cudem mój popcorn jest jednocześnie słony i słodki. Kawalek, który trzymam w ustach, kurczy się do twardego jądra, ale nie roztopia do końca. Drugi raz tego wieczoru nie mogę przełykać. Ziarno zostaje w moim policzku, twarde jak kamień.

Nie jestem w stanie śledzić fabuły. Kevin Spacey kombinuje coś z dziewczyną od potpourri, ale ja widzę tylko dziecko na nadmuchiwanej kaczce. Malinowy żel do kąpieli. Płyn do kąpieli i szampon na bazie kiwi i papai. Nawet odzywka. Żona Kevina Spacey zakochuje się w pośredniku handlu nieruchomościami, swoim rywalu. Jest jeszcze bardziej wystrzałowy od Gariego i nosi lepsze garnitury. Kiedy wychodzimy, ktoś za naszymi plecami mówi:

- Nic dziwnego, że dostał tyle Oscarów.

Mży. Moja sukienka jakby się skurczyła; ramiączka wpijają mi się w ramiona. W kinie rozpięłam buty, teraz muszę na nowo zapiąć sprzączki. One też się skurczyły. Jonathan zatrzymuje czarną taksówkę. Gramolę się za nim do środka, świadoma swoich kolan i atmosfery dezaprobaty.

- Co myślisz? - pytam z nadzieją.

Jonathan gapi się za okno. Mnóstwo rozbawionych ludzi; dla większości noc się dopiero zaczęła.

- A jak myślisz, co myślę? - mówi.

Rosie leży rozciągnięta na brzuchu na mechatym kremowym dywaniku, jakby się opalała. Czytała „InHouse”: pismo leży otwarte na stronie o współczesnych aranżacjach kwiatowych (nie mieszaj kwiatów - zdecyduj się na jeden rodzaj, przykładowo hiacynty, ułożone w prostym, prostokątnym wazonie).

Jonathan przemyka prosto do sypialni. Naturalna reakcja ojca. Sprawdzić, co z dzieckiem. Nie dlatego że jest wściekły na przyszłą pannę młodą. Nie dlatego że coś się stało. Rosie patrzy za nim w stronę sypialni. - Jak się podobał film? - pyta, zbierając się do wyjścia. Ma na sobie dzinsy i mocno dopasowany czarny sweter. Jej perfumy pachną miodem.

- Świetny - mówię bez przekonania.

- O czym?

Wszystko, co mogę sobie przypomnieć, to ta dziewczyna w pot pourri. Tytuł wyleciał mi z głowy. Pamiętam za to reklamę z dzieckiem. Szeroko uśmiechnięte, ssące palec niemowlę, które teraz mocno śpi, po tym jak zostało prawidłowo nakarmione swoją wieczorną butelką.

- Och, to był taki zakręcony film - mówię.

Chcę, żeby już sobie poszła. Podnosi się; całe wieki zajmuje jej wciągnięcie wytartej dzinsowej kurtki. Po kolei wkłada w rękawy obie ręce - wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Głaszcze swoją opływową szyję, jakby upewniała się, że nie jest tak obwisła jak moja.

- Dzięki za dzisiaj - mówię, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu pieniędzy. Mam całą garść papierków: paragony z delikatesów, wskazówki, jak dojechać na plan reklamówki wody mineralnej, do tego numer fotografa,



którego poleciła Lovely, żeby zrobił Benowi zdjęcia do portfolio. Muszę zrobić te zdjęcia w ciągu najbliższych dwóch tygodni, żeby zdążyć z dodaniem go do katalogu modeli na sezon wiosna - lato.

Znalazłam dwadzieścia siedem pensów. Jonathan ma gotówkę, ale nie wyszedł jeszcze z sypialni. Może się rozbiera. To tak się kończą jego urodziny? Zacznę się do niego przymilać, żeby wszystko naprawić, ale on będzie już spać? Co z prezentami? Rosie uśmiecha się do mnie i mówi:

- To w ramach przysługi. Dobrze się bawiliśmy. Postaw mi kiedyś kawę.

Jonathan napuszcza wodę do wanny. Kurki są odkręcone na cały regulator. Mogłabym udawać, że to nie był Ben. Wszystkie dzieci wyglądają podobnie, zwłaszcza kiedy są nago. Czy Jonathan przeprosi i wymamrocze: „Myślałem... tak przez chwilę... Ale byłem głupi”? Nie, on wie. Kiedy jesteś w pięćdziesięciu procentach odpowiedzialny za kod genetyczny dziecka, masz absolutną pewność, kto wpatruje się w ciebie z prawie ośmiometrowego ekranu.

Jonathan wyciera się w łazience. Słyszę głuchy dźwięk spadającego na podłogę ręcznika kąpielowego. Normalnie wsunąłby go między chromowane kratki podgrzewanego wieszaka na ręczniki. Słysząc kroki w sypialni. Pstryknięcie gaszonej lampki nocnej. Pozwalam mojej czarnej sukience opaść na podłogę salonu. Zrzucam wyzywające buty. Zostawiają na moich stopach odciski ślady; wygląda to, jakbym nadal miała je na sobie, tylko zmieniły kolor na różowy. Kiedy jestem już całkiem pewna, że Jonathan śpi, wsuwam się do łóżka obok niego.

Ben jeszcze sennie obudził, kiedy Jonathan wychodzi do pracy. Jest wcześnie, nie ma jeszcze siódmej. I nie poszedł do pracy. Nie pracuje w soboty; chodzimy wtedy na bazar po warzywa i przygotowujemy jedzenie dla Bena na przyszły tydzień. Ja pomagam przy siekaniu ziół i myciu ostrzy miksera. Jestem w tym coraz lepsza. Cholera, jeśli on ma zamiar tak reagować z powodu jakiejś bzdurnej reklamówki płynu do kąpieli, poradzę sobie sama. Kto robi sam jedzenie dla dziecka? Beth. A raczej Rosie. Nikt inny nie ma czasu ani cierpliwości. Co się stanie, kiedy Ben w końcu zetknie się z kupnym obiadem? Może dostanie szału jak dzieciak, który

nigdy nie jadł niczego słodszeo od herbatnika z mąki razowej i rzuca się na tort urodzinowy, zanim jeszcze zdąży się zapalić na nim świeceki.

Mam ochotę sprawdzić tę teorię. Kiedy Jonathan będzie się dęsać, kupię słoiczki zjedzeniem i napoje zawierające maksimum cukru i mnóstwo aspartanu. Zobaczymy, co na to powie.

Ben kwili, podciągając się na barierkach łóżecka. Przenoszę go do łóżecka. Układa się w miejscu, gdzie powinien być Jonathan. Krzywi się z rozczarowaniem. Żeby odwrócić jego uwagę od nieobecności Jonathana - skąd dzieci wiedzą, że jest sobota i tata powinien być w domu? - energicznie go przewijam i ubieram, jednocześnie śpiewając, żeby pokazać, że wszystko jest w porządku, normalnie i absolutnie fantastycznie.

Siedzi w wysokim krzeselku, nowym nabytku. Ostatnio Jonathan wspomniał, że to może być nasz ostatni tego typu zakup i mieszkanie wkrótce wróci do normalnego stanu.

- Kiedy Ben będzie na tyle duży, żeby siedzieć na normalnym krześle, będziemy mogli to schować. Do następnego razu - dodał.

Nie wspomniałam, że moja matka nabyła chodzik - olbrzymią plastikową oponę na kółkach, którą znalazła na wyprzedaży bagażników samochodowych. Jonathan uważa, że chodziki wyrządzają ogromną szkodę rozwijającym się kończynom dziecka.

W połowie przedpołudnia odkrywam, że Jonathan ma wyłączoną komórkę i nie pojechał do Matthew, żeby omówić z nim jego obowiązki jako drużby.

- Pokłóciliście się? - pyta Beth; w tle słycać brzęk naczyń.

- Drobiazg. Pewnie mówił, że ma coś do załatwienia, tylko nie słycałam.

- Nerwy przed ślubem - uspokaja mnie Beth. - Może na spacer. Ćwiczyć swoją przemowę.

Ale Jonathan nie chadza pieszo dla przyjemności. Poza tym ustaliliśmy, że nie będzie żadnych przemówień. Jonathan zamierza podziękować naszym gościom i sztywnym właścicielom

Foksa oraz powiedzieć parę słów o Benie. Billy nadal nas straszy, że zagra coś na akordeonie. Eliza jest zachwycona, że znalazła sobie odpowiednią ozdobę na głowę, i dzwoniła, by sprawdzić, czy nie mam nic przeciwko

jej diademowi, czy nie będę czuła się przyćmiona. Teraz uważam, że mogłaby przyjść nawet z żyrandolem na głowie.

Urodzinowe prezenty Jonathana nadal leżą pod łóżkiem. Zastanawiam się nad zabraniem Bena na basen, ale nie jestem w stanie stawić czoła skomplikowanym zabiegom w przebieralni. Mogłabym usadzić go w kółku z zabawek i spróbować stworzyć jakieś szczere wyznania do *Mojego Sekretu*, ale zamiast tego wystukuję numer Elizy. Kiedy włącza się jej automatyczna sekretarka, przypominam sobie, że planowo ma wrócić z Nicei dopiero dziś wieczorem. Podróże dla Elizy to chleb powszedni, więc rzadko wspomina, że gdzieś jedzie, ale tą była strasznie podekscytowana, bo jechał też Dale. Zaklepała na zdjęcia Grega, a tak się jakoś składa, że Dale jest jego asystentem. „Tak czy inaczej bym zaangażowała Grega”, uparcie twierdziła.

Dzwoni Lovely, przepraszając, że zawraca mi głowę w sobotę.

- Pojawiła się niesamowita okazja. Środa. Nie macie innych planów? Miał wystąpić Zachary Marshall, ale wsadził rękę do pralki, biedactwo. Pranie było ustawione na dziewięćdziesiąt stopni. Jego matka chciała sprać plamy po sosie ze swojego szlafroka.

Próbuję wykrzesać z siebie współczucie, tak jakbym znała Zachary'ego i przejmowała się jego poparzoną łapką. Ben stuka w stolik przy wysokim krześle gumową łyżką okazując świeże odkryte niezadowolenie, że jego matka rozmawia przez telefon

- Ręka jest spuchnięta i zabandażowana - ciągnie Lovely. - Podesłałam do agencji klipy Little Squirts i z supermarketu i chcą żeby zastąpił go Ben.

Podaję pełną łyżkę Benowi, ale on błyskawicznie zamyka usta. Jego matka nadal rozmawia przez telefon, a to nie jest w porządku.

- To nie tak, że Ben jest tylko rezerwowym - dodaje szybko Lovely. - Nie angażowałam was do tego zlecenia, bo nie chcę go zanadto eksploatować. Ale jeśli jesteście wolni...

- Tak. Jestem wolna - mówię, zapisując czas i miejsce w małym notatniku w linie, który trzymam w kredensie za sztucznym mlekiem. - Co to będzie? - Pytanie to jest już prawie machinalne.

- Czołówka nowego programu śniadaniowego. Twarz Bena będzie nałożona na gotowane jajko.

- Mam nadzieję, że nie będą w niego walić łyżeczką - mówię. W słuchawce brzęczy urywany śmiech.

- Nie martw się. Jestem pewna, że zostanie to zrobione ze smakiem.

Pora lunchu. Mieszkanie skurczyło się już do rozmiarów obscurnego pudełka, w którym trudno oddychać. Jak długo trwa zły humor Jonathana? Nie mam w tym praktyki. Próbuję ponownie dodzwonić się do niego na komórkę, a potem wybieram numer Constance - ale nagle wyobrażam sobie jej twarz, gdy ocenia mnie jako materiał na przyszłą żonę, zadowolona, że coś poszło nie tak. Z trzaskiem odkładam słuchawkę. Ben patrzy na mnie podenerwowany.

- Czy nie jest super? - mówię do niego. - Może pobawimy się klockami? A co powiesz, żebyśmy poturlali się na dywaniku?

Ben zerka na frontowe drzwi.

Wiem, co zrobię. Przygotuję się na powrót Jonathana. Sprawię, żeby było miło. Będę zachowywać się jak żona. Zrobię wcześniej kolację. Książki kucharskie Jonathana stoją starannie ustawione rzędem na kredensie, według wysokości. Wybieram *Łatwe kolacje dla przyjaciół*. Kiedyś kolacje oznaczały dla mnie płatki kukurydziane czy tost z dżemem przed pójściem do łóżka, a nie żadne prawdziwe posiłki. Każdy rozdział jest zatytułowany jednym słowem: „Sery”, „Ziemniaki”, „Warzywa”. Wygląda na to, że nawet najprostsze przepisy wymagają użycia składników, które bym musiała sprowadzać z innego kontynentu, a co najmniej nabyć drogą sprzedażą wysyłkowej.

Przypominam sobie potrawę, którą jadłam z Elizą podczas wakacji na Korfu. Kurczak w alkoholowym sosie, z kawałkami owoców. Chyba był w tym rum. I pomarańcze. Mamy rum Havana Club, który zjawił się w mieszkaniu Jonathana razem z moimi tandetnymi książkami w miękkich okładkach; cudem udało mu się przetrwać czystkę, jaka spotkała mój dobytek. W zamrażarce jest jeszcze kurczak, który został po grillu. Jonathan przecenił apetyty naszych rodziców. Wyjmuję udka, żeby się rozmroziły. Ben wyciąga szyję ze swojego wysokiego krzeselka, zaintrygowany warkotem mikrofalówki.

Może powinnam pociąć te udka na kawałki, tak jak to robi Jonathan. Pozwolić, żeby różne smaki się przeniknęły nawzajem. Chwytam nóż i piłuję udko. Mięso trzyma się kurczowo kości, przytwierdzone jakimiś tłustymi farfocłami. Wbijam się mocniej, cały czas ściskając udko, nagle nóż się ześlizguje i wbija mi się pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

Zmywam krew z kurczaka i próbuję rozerwać mięso szarpnięciem. Z rozcięcia na mojej ręce wypływa jeszcze więcej krwi. W apteczce jest bandaż, ale nie ma nic, czym mogłabym go zamocować. Ben, który do tej pory przyglądał się moim kuchennym popisom z wielkim zainteresowaniem, teraz wydziera się, żeby go wyjąć z wysokiego krzesła.

Podnoszę go, a krew płynie strużką po moim przedramieniu, wsiąkając w jego podkoszulek. Ben płacze z wykrzywioną twarzą. Płacz jest na tyle głośny, żeby przypadkowy przechodzień spojrzał w stronę naszego mieszkania ze współczuciem, jednocześnie przyspieszając kroku. W końcu szloch ustępuje czkawce. Przypominam sobie, że kucharze używają nożyc do drobiu. Ciągle tuląc Bena jedną ręką, wygrzebuję z apteczki nożyczki. Jonathan używał ich, żeby wyrównać Benowi grzywkę. Martwiłam się, że będzie przez to zbyt wymuskany do reklamówki w supermarkecie.

Bandaż mocuję samoprzylepnymi jeżami z książeczki z nalepkami, którą Beth podarowała Benowi. Myślałam, że jest za mały na naklejki, ale Beth powiedziała, że nie, naklejki pomogą mu rozwinąć umiejętności motoryczne. Maud już potrafi oderwać naklejkę z kartonika. Kurczak jest pociachany na niekształtne kawałki i polany rumem. Sádzam Bena z powrotem w jego wysokim krześle, więc może się przyglądać moim sprawnym akcjom z nożem, kiedy tnę banana i pomarańczę. Kiedy otwieram drzwi piekarnika i wsuwam półmisek do środka, macha zachwycony. Tak, jego matka potrafi gotować. Tak właśnie powinno być. Gdyby jeszcze tylko trochę osłabło jej zainteresowanie telefonem, życie byłoby idealne.

Ręka mnie boli, bandaż nasiąka krwią. Co pół godziny sprawdzam kurczaka, ale chyba wcale się nie piecze. Dzwonię do Jonathana. Kiedy Ben dostrzega, że znowu się dopuszczam telefonicznej zbrodni, szarpnie moje dzinsy. Włącza się poczta głosowa Jonathana. Ben głośno ryczy, uniemożliwiając pozostawienie wiadomości.



Jakiś czas później uznaję, że kurczak już się upiekł, choć nadal jest w formie tych dziwnych strąków i wygląda, jakby był surowy. Zastanawiam się, czy rum z owocami nie powinien zgęstnieć, przybierając jakiś bardziej apetyczny kolor. Kawałki banana unoszą się na wierzchu. Pod zlewem znajduję świece i świeczniki z zielonego szkła. Ale jeszcze ich nie zapalam - nie będą migotać na darmo, dopóki Jonathan nie wróci do domu.

Kładę na stole dwa nakrycia, sprawdzam, czy na kieliszkach do wina nie ma żadnych smug. Ben reaguje na podwieczorek ponurą rezygnacją. Nawet w kąpieli nie okazuje zwykłego entuzjazmu. Kładzie rozprostowane dłonie na powierzchni wody, żeby zobaczyć, czy będą się unosić.

Przykręcam piekarnik. Czy takie umiarkowane ciepło sprawi, że bakterie się rozmnożą? Nie chcę, żeby na dodatek Jonathan jeszcze się zatruł. Wyłączam piekarnik, dochodząc do wniosku, że kiedy Jonathan się zjawi, mogę podgrzać moją potrawę na kuchence.

Ben leży w poprzek moich kolan, na dużym łóżku, je z butelki kolację. Kiedy w końcu się ściemnia, zwijam się wokół niego i odpływam w sen, kołysana przez jego równomierny oddech.

Jestem przyzwyczajona do okropnego mieszkania Elizy, ale wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, ile kryje zagrożeń. To pierwsza wizyta Bena. Zabrałam mojego synka w niebezpieczne otoczenie. Lokalizuję następujące zagrożenia: ząbkowany nóż pozostawiony razem z deską do krojenia na sofie (dowód przygotowywanego w pośpiechu śniadania), masywny trójnóg oparty o lodówkę, przycupnięty na taborecie czajnik, w którym ledwo co zagotowała się woda. Eliza wita mnie i moją zabandażowaną rękę uściskiem pachnącym kokosem.

Robi herbatę. Dzieciaki z dołu wydzierają się w holu. Ben bada kabel od chromowanej lampki. Wszędzie są niezabezpieczone gniazdka, mogące zaatakować delikatne ciało mojego syna bilionami woltów. Eliza ma na sobie skrawek czarnego jedwabiu, może to szlafroczek. Na jej ustach widać pozostałości brązowej szminki, która została nałożona przynajmniej dwanaście godzin wcześniej.

- Jak myślisz? - pyta, popijając mocną herbatę.



- Może jest u matki. Nie, nie poszedłby tam. Nie zwierza się jej-  
Eliza dmucha do swojego kubka.

-Musi być ktoś, do kogo mógłby pójść. Nie ma żadnych przy-  
jaciół?

Wzruszam ramionami.

- Jest Matthew i Beth, ale u nich już sprawdzałam. Może Billy, jego  
kumpel ze szkoły.

- Będzie u niego. U kogoś, kto naprawdę go zna.

Mogę sobie wyobrazić reakcję Billy'ego: „Daj spokój, stary, W czym  
problem? Pomyśl, ile dzieciak zgarnie kasy. To śmieszne. Gdzie się podzia-  
ło twoje poczucie humoru?”. Usiłowałyby poprawić Jonathanowi nastrój  
swoją ostatnią przygodą po alkoholu, tak jak wtedy, kiedy zasnął z fajką i  
został zbudzony ze snu przez wściekłego strażaka, który wywalił mu fron-  
towe drzwi. Nie, nie ma go u Billy'ego.

Eliza próbuje bez powodzenia uporządkować pomięte sukien-  
ki rozrzucone na fotelu. Elektryczny kominek jarzy się mdłym; pomarań-  
czowym światłem. Ben raczkuje za sofą wyłania się z nabitą włosami  
szczotką, którą liże.

- Znajdzie się - mówi Eliza. - Takie znikanie to przesada. Sposób zwró-  
cenia na siebie uwagi.

- Powinnaś powiedzieć mu o tym na samym początku. Eliza owija się  
ciaśniej szlafrocikiem.

- Właśnie dlatego się wścieka. Chodzi mu bardziej o kłamstwo, a nie o  
sam fakt, że Ben jest modelem.

- Mogę u ciebie zostać? - pytam nagle.

Eliza patrzy na Bena, który z zachwytem wpatruje się w kominek. Kie-  
dyś, dawno temu, Eliza przeżyła niezapomnianą przygodę. Jej kochanek  
skowyczał na podłodze, jakby w ekstaza Eliza była wzruszona tym entuzja-  
zmem, dopóki nie odkryła, .! duży palec faceta zaklinował się między krat-  
kami kominka.

- To nie potrwa długo - dodają. - Wróci. Po prostu musi się uspokoić.

Kot Elizy stara się niezauważony przejść przez salon, zmierzając do  
spodeczka w holu. Nie jestem miłośniczką kotów, nie znoszę, jak moszczą  
mi się z wystawionymi pazurami na kolanach. Jest to zachowanie, którego

nikt by nie tolerował ze strony innego człowieka, a tu chodzi w dodatku o zwierzątko z cuchnącym rybą oddechem. Zafascynowany Ben podąża za kotem; raczkuje jak torpeda.

Otwierają się drzwi sypialni Elizy. Wychodzi z nich Dale, ubrany w obcisłe pasiaste slipy; cóż za obfitość opalonego męskiego ciała.

- Hej! - mówi. - Tak myślałem, że mamy towarzystwo. - Patrzy na tyłek Bena, który jest uniesiony wysoko, a załatuje jeszcze dalej.

Kot sztywnieje.

- Pójdę się ubrać - mówi Eliza. - Zrób sobie filiżankę herbaty. - Kieruje się do sypialni razem z Dale'em i jego opiętymi cienką warstwą majtek pośladkami.

Karmię Bena na dachu, gdzie nie ma gniazdek ani bulgoczących czajników, grozi tylko najzwyklejszy upadek na chodnik. Ben je ugniecione banana. Okazuje się, że banany są niezwykle poręczne: zgrabnie zapakowane, łatwe do ugniecenia. Zastanawiam się, czy dzieci w ogóle doceniają świeże zioła, które trafiają do ich posiłków. Co dostają w macicy? Stała strużkę czegoś niezidentyfikowanego, dostarczanego przez rurkę ze skóry. Potem się rodzą i okazuje się, że to jest z papają, tamto z mango. Bez przesady.

Podoba mi się na dachu. Człowiek ma wrażenie, że jest na otwartej przestrzeni, z dala od wszystkiego. Parę dziesięcioleci temu ktoś chciał tu zaprowadzić trochę elegancji, ustawiając donice z terakoty, z których teraz sterczą uschnięte kikuty, oraz drewniane korytka wypełnione ziemią i ptasimi odchodami. Nie ma barier. Przez właz wskakuje kot; skrada się w naszym kierunku, wpatrując się chciwie w butelkę Bena. Krąży wokół mnie, jest coraz bliżej. Grzebie, w torbie zjedzeniem, jakie z trudem udało mi się zgromadzić w kuchni Elizy. „Częstuj się, śmiało”, powiedziała szczerze. Znalazłam jabłko w tłustej skórce i jakieś prastare bułeczki. Odłamuję kawałek, a resztę wyrzucam za krawędź dachu. Uderza o ziemię z trzaskiem. Wybieram na komórce numer do pracy Jonathana.

- Nie pracuje w weekendy - informuje mnie głos w średnim wieku. - Kto mówi?

- Jego żona - wyrzucam z siebie.

Z postanowieniem znalezienia czegoś więcej do jedzenia, schodzę niepewnie po chybionych schodach, przyciskając Bena mocno do piersi. I wtedy ich słyszę. Stłumiony chichot docierający z sypialni Elizy. Sporadyczny łomot, boleśnie skrzypiące łóżko. Skrzypienie jest w coraz szybszym tempie, a potem rozlega się jęknięcie, jakie wydajesz z siebie, kiedy uda ci się w końcu zdjąć zakrętkę ze słoika z korniszonami. Wreszcie szept.

- Myślisz, że słyszała?

- Nie. Jest na dachu, karmi dziecko.

- Na długo zostaje?

- Może. Będzie okay. To moja przyjaciółka.

Jeśli zostanę, będę musiała wrócić do domu po łóżeczko -w końcu nie kupiliśmy Benowi podróżnego łóżeczka - albo spać razem z Benem na nadmuchiwany łóżku w gościnnym pokoju Elizy. *Opieka nad niemowlęciem* ostrzega, że łatwo jest zakłócić nawyki dziecka związane ze snem: *Nie szarżuj za mocno na wakacjach w pierwszym roku życia twojego dziecka. Upewnij się, czy twoje tymczasowe otoczenie zapewnia warunki, jakich potrzebujesz. Wyprawa w nieznane może wywołać stres.*

Nie mogę zostać, nawet jeśli wszyscy udajemy, że to zwykły niedzielny poranek, a ja właśnie wpadłam w odwiedziny. Ja nigdzie nie wpadam ot tak sobie. Mój terminarz jest zabazgrały godzinami i adresami castingów i zdjęć, do tego dochodzą terminy oddania artykułu i różne przypomnienia. Jeśli jest się matką, nie ma czasu na wpadanie. Wyhodowałam w sobie awersję do tego zjawiska. Ten jeden raz, kiedy w naszych drzwiach pojawiła się zniecka Kobieta Filc, blokując dostęp światła swoimi masywnymi ramionami, zrobiłam jej kawę z zimną wodą, więc szybko sobie poszła.

Dale pyta, jaką bym chciała gazetę, po czym wraca z całym naręczem papieru gazetowego, ale bez tego, o co prosiłam. Jest ubrany w zatłuszczone džinsy i hipisowską koszulkę z frędzlami przy szyi. Dzieli nas gazetą (dla niego główna część; dla Elizy kolorowy magazyn; dla mnie podróże, pieniądze i gospodarka, i cała reszta, którą nikt inny nie jest zainteresowany). Ben chwytą strony ze sportem. Czytam reportaż o podróżach poślub-

nych: Ośrodek Wypoczynkowy Almond na Bermudach poleca własne, prywatne wybrzeże i dwudziestohektarowy park, jeśli marzycie o spokojnym wypoczynku. Idealne miejsce na zrelaksowanie się po gorączkowych przygotowaniach do ślubu. Oferta skierowana tylko do par.

Dale czyta wiadomości ze świata, unosząc brwi i udając dorosłego. Eliza studiuje artykuł o swetrach. Nikt nie wydaje się zainteresowany jedzeniem, choć Eliza chrupie od czasu do czasu chipsa. Nadal ma na sobie ten szlafroczek z czarnego jedwabiu. Dale pachnie jak spód kołdry nastoletniego chłopca. Na herbacie, którą zrobiłam, zebrały się brązowe szumowiny. Ben śpi na moich kolanach, wykończony suchym powietrzem od elektrycznego kominka.

Nie budzi go dzwonek do drzwi. Eliza otwiera. Jej ściśnięty paskiem szlafroczek poszedł w górę, ukazując cętkowane uda. Jonathan wydaje się jakiś mniejszy. Dale unosi wzrok znad swojej gazety i pozdrawia go uprzejmym skinieniem, jakby właśnie wpadł kolejny przyjaciel. Coś dużo tego wpadania. Eliza usiłuje poprawić szlafroczek, który w efekcie rozpina się z przodu, odsłaniając wysokie bordowe figi.

Poszliśmy na dach, bo nie mieliśmy gdzie pójść.

- Co ci się stało w rękę? - pyta Jonathan.

Bandaż jest brudny i poplamiony krwią, nalepki z jeżami się odklejają.

- Skaleczyłam się nożem - wyjaśniam. Przez chwilę wygląda na tak przeżalonego, jakby mógł się przewrócić z wrażenia. -Przez przypadek - dodaje. Postanawiam zaryzykować. - Czy nie możemy o tym zapomnieć? Za dwa tygodnie bierzemy ślub. Mamy dużo spraw do załatwienia. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to będzie takie skomplikowane?

Jest zmieszany, jakby nieznajoma wariatka oskarżyła go, że wyrzuca śmieci do jej kosza i grozi wezwaniem policji.

- Na przykład zdjęcia - ciągnę. - Nie chcemy żadnego udziwnionego fotoreportażu, ale czy nie powinniśmy zaangażować kogoś, żeby porobił zdjęcia? Na przykład Dale'a. Może przyjsć? Nie ma go na liście gości, między nimi zaczęło się dopiero niedawno kręcić, ale...

Odsuwa się ode mnie. Jesteśmy na dachu, więc nie może odejść zbyt daleko. Idę za nim. Patrzę przez chwilę na inne dachy i zaniedbane ogródki. Daleko w dole dzieci kopią piłkę pod napisem ZAKAZ GRY W PIŁKĘ.

- Co ze zdjęciami? - przypominam mu.

Odwraca się do mnie. Wygląda na zmęczonego i wypranego z emocji.

- Nina - mówi. - Nie mogę się z tobą ożenić. Nawet cię nie znam.

17

## Poróżowanie z dzieckiem

Czy Ben jest chory? w jakim świetle to nas stawia? Coś się stało? Zdasz sobie sprawę, nas stawia jako agencję? Masz obowiązek stawiać się do pracy. To będzie w państwowej telewizji. Wielkie wyróżnienie dla ciebie i dla nas. No nie wiem, Nina. Pytam ją, czego nie wie.

- Nie wiem, czy mogę dłużej reprezentować Bena.

Na końcu promy znajduje się plac zabaw z miękkimi zabawkami. Kobieta z włosami związanymi na czubku głowy w węzeł pokazuje mi pogięte zdjęcia paszportowe swoich dzieci. Nie ma potrzeby, żebym je oglądała, skoro jej dzieci tutaj są: skaczą na miękki walec, na którym się kładą, i próbują turlać; najmłodsze dziecko leży pod spodem i głośno piszczy.

- Przestań, Nathan! - krzyczy ojciec z za pomiętej książki z drutem kolczastym na miękkiej okładce.

- Jedziesz na wakacje z synkiem? - pyta kobieta.

- Tylko na parę dni. Mój mąż nie może wziąć wolnego. Kobieta poprawia swój węzeł burgundowymi paznokciami.

- Szkoda, że nie ma z nim tatusia. Śliczny, mały chłopczyk.

Ben radośnie szpera w baseniku z piłkami. Jonathan nie pochwała tego rodzaju zabaw. Uważa, że żywe kolory za bardzo pobudzają i martwi się gnijącymi wśród piłeczek kanapkami i pieluchami. Raz powiedział, że tego rodzaju rozrywki są dla rodziców, którzy nie potrafią wymyślić nic bardziej konstruktywnego, co mogliby robić ze swoimi dziećmi.

- Może mężowi uda się dojechać do nas później - mówię jej.

- To dobrze. - Przypatruje się Benowi. - Nie jest podobny do ciebie, co? Ma więcej z twojego męża, prawda?

Potwierdzam kiwnięciem głowy.

- Szczęściara - rechocze, łamiąc składającą się z czterech paluszków czekoladkę, żeby rozdać dzieciom. - Jedziemy do Disneylandu pod Paryżem. Już od lat dzieci wierciły mi o to dziurę w brzuchu.

- Oni nie są prawdziwi, to tylko kreskówki - stwierdza żylasta dziewczynka w wyblakłym podkoszulku, zwisająca z łukowatej drabinki.

- Właśnie że są - mówi jej brat. - Grają w reklamach. Chodzą i pozdrawiają ludzi.

- Jak Myszka Miki może być w dwóch miejscach naraz, w Ameryce i Paryżu?

- Tak jak Święty Mikołaj - mówi młodsza dziewczynka z loczkami cherubinka.

- Różnica czasu - mówi chłopiec, pociągając się za krocze, jakby chciał siusiu. - Floryda jest pięć godzin za nami, głupia.

Starsza dziewczynka spada z drabinki. Ma pokryte strupami łokcie i cienkie włosy.

- To karły - oświadcza, podnosząc się z podskokiem. - Poprzebierani mali ludzie.

- Wiem - wścieka się jej brat. - Odpieprz się.

- Przestań, Nathan - mówi ojciec, wtykając nos głębiej w książkę.

Jemy razem lunch przy długim stole, na którym leżą pozostałości po naszych poprzednikach: saszetki z sosem, brudne sztućce i zapomniany przewodnik *Wędrówki po wschodniej Francji*.

Zdjęta litością nade mną, choć sama ma trzy razy więcej dzieci, kobieta mówi, że zamówi mi coś, i wraca z kielbasą, zwiniętą jak błyszczący robak.



Ben, który już przywykł do ograniczonej diety, zadowala się ugniecionym bananem. Kobieta przedstawia się jako Linda i częstuje mnie ostatnim kawałkiem czekolady.

To spokojna przeprawa. Rodzina Lindy sprzecza się, jak długie będą kolejki w Disneylandzie. Najstarsza córka pyta, czy może potrzymać Bena, i cmoka go hałaśliwie po czole, zostawiając różowe ślady.

- To się nie zgadza - warczy do swojego brata, który jest pochylony nad książeczką do malowania, wystawiając w skupieniu język. - Pluto ma opuszczone uszy - marudzi. - Nie sterczą mu w ten sposób.

- On biegnie - burczy chłopiec.

Kiedy Linda wyjaśnia, że uszy zapewne wcale nie stoją, tylko podskakują w biegu, ja podziwiam jej cierpliwość, a tu nagle żołądek podchodzi mi do gardła, usta nabiegają śliną. Nie ma powodu, żeby było mi niedobrze. Morze jest jak bezkresna spokojna kałuża. Może chodzi o zapach paliwa i kuchni, a może to ten kawałek suchej bułeczki Elizy właśnie próbuje mnie opuścić. Zrywam się, zostawiając Bena w ramionach jedenastolatki, i biegnę po porysowanych metalowych schodkach na brzeg promu, gdzie kiełbaska, kawałek czekolady i wypełniające brzuch paskudne poczucie winy wodują w kanale La Manche.

- Weź samochód - nalegał Jonathan - skoro postanowiłaś jechać do tej okropnej rudery twoich rodziców. - Nie powiedział „nie jedź”. Dodał tylko: - Nie masz pojęcia, jak tam dojechać. Naprawdę zamierzasz polegać na tym? - Ścisnął mapę mojego ojca, rozrysowaną markerem na papierowej serwetce. Tam, gdzie przycisnął zbyt mocno, marker pozostawił plamy tuszu.

Na łóżku leżała otwarta walizka. Jonathan bawił się z Benem w salonie; śpiewał mu i generalnie udawał, że jest w dobrym nastroju. Był napięty jak struna. Spojrzał do sypialni, zatrzymując wzrok na walizce.

- Za jakiś czas wrócisz, prawda? - powiedział.

- Po co? - zapytałam lekko. Upychałam skarpetki w rogi walizki, nie patrząc na niego.

- A ślub?

- Myślałam, że został odwołany. Powiedziałeś, że...

- Byłem po prostu wściekły. Przeżyłem wstrząs. A potem zacząłem liczyć te wszystkie kłamstwa. Ile razy ciągałaś go po mieście i...

- Nie pobierzemy się - powiedziałam, zamykając walizkę.

Poszedł za mną do salonu. Zastanawiałam się, czy zabrać zabawki - czego Ben może potrzebować, żeby sienie nudzić. Może sam wyjazd będzie wystarczającą atrakcją. Zmiana otoczenia. Czy nie na tym polega cały sens wyjazdów wakacyjnych?

Jonathan przycupnął na zamszowym pufie, wpatrując się we mnie.

- Jesteś mi tu potrzebna - powiedział.

Podniosłam walizkę, ale wziął ją ode mnie i sam zaniósł do samochodu. Miałam w torebce mapę mojego taty i zastanawiałam się, czy choć trochę oddaje faktyczny układ dróg we wschodniej Francji. Jonathan uśmiechał się dzielnie.

- To tylko śmieszna, nieistotna reklamówka - powiedział, próbując się roześmiać. Pogrzebał w kieszeni, po czym wręczył mi małe granatowe pudełko. W środku był zegarek.

- A to po co? - zapytałam. Zegarek wyglądał na męski. Srebrna tarcza bez cyferek. Poważny zegarek.

- Do odmierzania czasu - powiedział. - Zamierzałem ci go dać tamtego wieczoru, kiedy wyszliśmy. Taki prezent przedślubny.

Prezent przedślubny? Żeby mi podziękować, że za niego wychodzę? Założyłam zegarek na rękę, bo nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

Chciałam go jeszcze o coś zapytać. Ile naliczył kłamstw.

- Baw się dobrze - powiedział, wracając do mieszkania.

Linda zbiera pluszowe zabawki, malowanki i nakręcane plastikowe krokodyle z zatraskiwanymi paszczami, które zagracają cały stół, ale w jakiś cudowny sposób mieszczą się w jej pasiastej jak zebra torbie. Tata maca się po kieszeni dzinsów, gdzie powinny być paszporty.

- Tutaj - mówi Linda, poklepując zewnętrzną kieszeń torby. Sprawdzam nasze paszporty w zamykanej na zamek błyskawiczny przegródce torby. W

moim jest zdjęcie sprzed czterech lat, kiedy jeszcze nie wyglądałam przez to całe macierzyństwo starzej od własnych rodziców. Uśmiecham się szeroko, w świeży, wyczekujący sposób, zupełnie jak jakiś szkrab. Zdjęcie Bena: uśmiech niemowlaka, w miejscu ust czarna dziura, moje dłonie, trzymające go w prawidłowej pozycji w kabinie z automatem. Ubiegałam się o paszport dla Bena odpowiednio wcześniej, żeby zdążyć go odebrać przed naszą podróżą poślubną. Zanim jeszcze zrodził się pomysł z wyjazdem na farmę.

- Udanych wakacji - mówi Linda, prowadząc swoje potomstwo do wnętrza promu, do samochodu. Zatrzymuje się na chwilę i patrzy na mnie. - Poradzisz sobie? Jesteś jakaś zielonkawa.

- Choroba morska - mówię. - Zawsze mnie dopada.

- Biedactwo. Byłoby lepiej, gdybyś pojechała pociągiem pod kanałem.

Nie mogę powiedzieć jej prawdy: pewna, niedorzeczna część mojego, ja" bardzo chciała stać na pokładzie statku, patrząc, jak stary świat kurczy się, aż zupełnie ginie.

- Mamo - mówi cherubinkowa córeczka Lindy - swędzi mnie dupa.

Linda śmieje się i idzie dalej.

- Zabawne - mówi, odwracając się do mnie - ale wiem, że gdzieś już widziałam Bena. Na pewno nigdy wcześniej się nie spotkałyśmy?

Jestem zupełnie nieprzyzwyczajona do jazdy odwrotną stroną drogi i czuję się na rondach, jakby to była moja pierwsza lekcja za kółkiem. Zazwyczaj nie muszę prowadzić. Mój świat jest generalnie na tyle mały, że można go obejść pieszo. Nigdy nie biorę samochodu na castingi - jest potem zbyt duży problem ze znalezieniem miejsca do zaparkowania. Na zdjęcia jesteśmy zabierani, a potem odstawiani do domu samochodami z kremową skórzaną tapicerką i niesłyszalnymi silnikami. Kiedy jestem w takim samochodzie, martwię się, że swym oddechem mogę zanieczyścić to klimatyzowane środowisko.

Patrzę we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, co z Benem. Jest ożywiony, zainteresowany; cieszy się na te zaimprovizowane wakacje. Zupełnie jakby wiedział, że jest we Francji. Początek czegoś nowego.

Samochód pachnie tak świeżo i czysto, jak te eleganckie taksówki, które po mnie przysyłali, choć Jonathan jest jego właścicielem już od paru lat. Czyści go w każdy niedzielny poranek, jeżdżąc po siedzeniach małym, przenośnym odkurzaczem. Ben ma w samochodzie pozwolenie tylko na mleko - żadnych przekąsek.

Po trzech godzinach jazdy mały nie jest w stanie dłużej wytrzymać pustki w brzuszku. Zaczynają się jęki, które robią się coraz bardziej przejmujące, kiedy nie reaguję. Przechyla głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, próbując ugryźć trzymające jego fotelik samochodowy pasy. Włączam kasetę z piosenkami, którą dostałam od Beth. Zadzwoiła do mnie na komórkę, kiedy byłam u Elizy, i uparła się, że przyjdzie. Nie chciałam, żeby się spotkały. Wiecie, jak to jest, kiedy dwie dziedziny twojego życia nie mają ze sobą nic wspólnego. Trybiki się wtedy zacinają.

Beth i Eliza przyglądały się sobie nawzajem przez chwilę, szybko dochodząc do wniosku, że należą do różnych gatunków, w związku z czym nawet sienie trudziły, by nawiązać jakąś rozmowę. Beth uściskała mnie z wielkim żalem i wcisnęła w rękę zawinięty w różową bibułę pakunek. Oprócz kasety była tam jeszcze jednoczęściowa pidżamka dla Bena.

- Ma wełnianą podszewkę, żeby było ciepło - wyjaśniała Beth. - Ty będziesz się nim opiekować, prawda? - Jeszcze raz mnie uścisnęła, mówiąc: - Nie musi tak być.

Kaseta przykuwa uwagę Bena prawie na minutę. Potem jęki rozpoczynają się na nowo i żadna elegancka pani śpiewająca *Raz złapałam żywą rybka* nie przekona Bena, że życie jest piękne. Zatrzymuję się na stacji obsługi i zatykam mu buzię mlekiem, które wypił w połowie na promie, a teraz pięknie fermentuje. Czy mogło zamienić się w ser, a może nawet alkohol? Ale przynajmniej to go uspokoi. Czyż ta kobieta w wielu płaszczach nie radziła mi, żebym dolewała brandy do jego wieczornej butelki?

Kocyk Bena, zwinięty w grubą kielbasę na jego kolanach, podtrzymuje butelkę na odpowiedniej wysokości. Jadę dalej, wyobrażając sobie Jonathana, jak puka w okno od strony pasażera i krzyczy: „To tak go karmisz?! Tak ci radzą w *Opiece nad niemowlęciem*?

*Nigdy nie zostawiaj swojego dziecka z butelką bez nadzoru. Pozbywaj się podgrzanego mleka po upływie godziny. Zawsze sterylizuj butelki i smoczki, dopóki dziecko nie skończy pierwszego roku życia. Nigdy nie zabieraj dziecka do zawilgoconej, walącej się rudery - z dala od jego taty - chyba że chcesz, by się nabawiło problemów z układem oddechowym, a w takim przypadku nie masz prawa do samodzielnej opieki nad tak kruchą istotą ludzką.*

Udaje mi się pokonać Chatillon, ale od tej pory mapa taty mnie zawodzi. Ta wieś, Vanvey, jest zaznaczona, owszem, dom jest obrysowany rozlewającym się kółkiem, ale nie ma żadnej linii łączącej wieś z Chatillon. Zrobiło się ciemno i pada deszcz. Zatrzymuję samochód na poboczu i uważnie studiuję serwetkę.

Ben pomrukuje sennie z tyłu. Butelka wypadła mu z ust i leży pusta na kocu. Zastanawiam się, jak tata mógł zapomnieć o tej ważnej drodze. Kiedy przesłał mi serwetkę razem z kluczem -potężny kawał zardzewiałego metalu - nie załączył do przesyłki żadnych instrukcji, nawet nie napisał „powodzenia”. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ta wieś może być połączona z resztą wschodniej Francji. Wszystko, co mam, to niedokończona mapa i wielki klucz.

Ben mruczy pogrążony w sennych marzeniach, z powrotem w przytulnym świecie swojego łóżeczka, gdzie lodówka jest zapełniona ekologicznymi przysmakami. Dziobię zakupioną na promie kanapkę. Może tak właśnie skończymy: matka i syn w samochodzie. Ludzie mieszkają w samochodach, nawet z dziećmi. Uwięzienie w foteliku może utrudnić mu rozwój motoryczny, ale mały musi wytrzymać, dopóki nie wymyślę czegoś lepszego.

Mija nas samochód; jego sylwetka jest rozmazana smugami deszczu. Zatrzymuje się kilka metrów przed nami. Otwierają się drzwi kierowcy. Zaciśkam zęby. Siedzę zupełnie nieruchomo jak dziecko bawiące się w chowanego, tyle że tu nikt się nie chowa.

Ktoś nachyla się do okna. Odrobinę odsuwam szybę. Do środka zaglądam oczy, których powieki są pokryte czymś błyszczącym, co widać nawet po ciemku. Opuszczam szybę do końca.

- Zgubiliście się? - pyta kobieta, drżąc w czarnej wieczorowej sukni. Na wierzch ma narzucony rozpinany, wyszywany sweterek.

Kiwam głową i pokazuję serwetkę od taty.

- Szukam Vanvey. Tego domu na skraju wsi. - Nie czas na przypomnienie sobie formułek ze szkoły, a zresztą, co pamiętam? *Je voudrais une tasse de café*. Kobieta patrzy na mapę, jeżdżąc językiem po zębach. Gęsta woń jej perfum przenika do samochodu. - Nie wiesz - mówię.

- Wiem - odpowiada. - Możesz pojechać za mną. Jedziemy w tamtą stronę.

- Znasz ten dom? Jest stary i nie ma numeru. Myślę, że jest trochę... zrujnowany.

- Znam ten dom - mówi, spoglądając na Bena ze współczuciem. - Jest w złym stanie, bardzo złym. Może pokażę ci drogę do miłego hotelu?

Po ciemku Vanvey to bezwładna masa kamiennych domów i małego sklepu z zamkniętymi okiennicami; nie mam pojęcia, co w nim mogą sprzedawać, bo nie ma żadnego szyldu. Wkrótce wyjeżdżamy poza wieś. Za niebezpiecznym zakrętem kobieta naciska na klakson. Odbieram to jako sygnał do zjazdu na dróżkę po prawej, na której końcu znajdują się wybrukowany plac i niski budynek. Jest tak ciemno, że nie mogę się zorientować, czy zajechałam od frontu, czy od tyłu, a może jestem przy ja-, kiejs walącej się szopie. Zostawiam śpiącego Bena w samochodzie, sama badam mury w poszukiwaniu drzwi.

Klucz taty wchodzi sztywno do zamka. Drzwi otwierają się ciężko, po czym uderza mnie zapach mokrej ściery. Światło włącza się staromodnym włącznikiem z przesuwaną w dół wajchą. Przekładam jajak najszybciej, jakby to mogło zminimalizować ryzyko spięcia czy porażenia prądem. Niepewnie zwiedzam pierwsze pomieszczenie, które może być kuchnią. Gołe schody wiją się w górę, prowadząc do zawilgoconych pomieszczeń na poddaszu. Zdaje się, że lampa na górze nie działa. Przez zamazane okna przebijają się dość światła księżyca, żeby dostrzec zarys nieposłanego łóżka i szafę



o surowym wyglądzie, której jedno skrzydło jest szeroko otwarte. Zabieram Bena z samochodu, idę po omacku na górę. Nie rozbieram żadnego z nas, tylko przytulam go do siebie pod pomietą, pachnącą mchem narzutą.

Śni mi się, że mam na sobie czerwoną sukienkę, tak opiętą, że lada chwila może się rozedrzeć.

- Gdy ślub w czerwem, śmierć sielankę w ból zamieni - ostrzega Constance. Śmieje się, pokazując zęby - wielkie, żółte jak orzechy ziemne. Idę za nią pomiędzy symetrycznymi klombami, obsadzonymi roślinami o mdłym zapachu. Wchodzę na górę szerokich schodów z piaskowca i dalej przez wyszczerbione, bordowe drzwi. Prosto do wymalowanego na cytrynowo pomieszczenia zalatującego szkółką niedzielą.

Urzędniczka podnosi wzrok, ale nie patrzy na moją twarz, lecz na zbyt obcisłą sukienkę; wie, że boli mnie brzuch od ustawicznego wciągania, żeby wydawać się szczuplejsza. Tłumi uśmiech, jakby brała udział w jakimś psikusie. Dopiero potem zauważam, że przybyli goście: moja matka z włosami częściowo przysłaniającymi wilgotne oczy, z dłonią na ustach, żeby powstrzymać chichot (a może płacz). Beth trzyma na rękach Maud, namawiając ją do chwycenia napompowanej piersi, która zwisa z rozpiętej dzinsowej sukienki. Maud ma na sobie ciężką sukienkę z czarnego aksamitu, podobnie jak Raven, która przycupnęła obok niej, a jej nadąsane usteczka są poplamione wodnym lodem o smaku czarnej porzeczki. Za nimi jest Matthew, ze splecionymi mocno palcami, jak w dziecięcej grze - oto kościół, oto wieża strzelista. Obok niego, w dżinsach i białej koszulce, bez stanika, siedzi Rosie, z pruderyjnie złożonymi dłońmi na kolanach.

Lovely wpada spóźniona, sycząc, że przegapiłam ostateczny termin, żeby załapać się do katalogu modeli na sezon wiosna - lato, po czym wciska się do ławki z przodu, przeznaczonej dla ważnych gości. Moi rodzice i Constance przesuwają się, żeby zrobić jej miejsce. Później pojawiają się jeszcze Ranald i jego dziewczyna w kostiumie kąpielowym, z którego ocieka woda na błyszczący parkiet urzędu stanu cywilnego.

- Jesteśmy już gotowi? - pyta urzędniczka, zerkając na chromowany budzik, który dominuje na skórzanym blacie jej biurka. Bierzmy się do rze-

czy i miejmy to z głowy, myśli. Nie mam dla was całego dnia. W holu czeka piętnaście kolejnych par.

Wstaje, żeby rozpocząć ceremonię, kiedy wpada Eliza z pomalowanymi na czerwono ustami, w skąpej sukni ślubnej wykończony koronką.

- Przepraszam - mówi bezgłośnie, docierając do miejsca przed biurkiem, gdzie stoi Jonathan, który bierze ją za rękę i całuje w taki sposób, jak nigdy nie całował mnie.

Siedzę na drugim końcu pierwszego rzędu, obok ściany, połowa mojego tyłka zwisa z ławki. Constance ściska moją dłoń, wbijając paznokcie w jej wnętrze. Budzik urzędniczeki włącza się z ogłuszającym piskiem.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek nie jest jeszcze w pełni przytomny, a znajduje się w obcym łóżku. Od razu rozważa różne możliwości: pokój gościnny przyjaciółki z gnijącymi mandarynkami? Hotel, którego standard absolutnie nie przystaje do tego, co było zaprezentowane na prospekcie reklamowym? A może pomyłkowy jednonocny romans? Jak mogłaś?! Kim on jest? Co się stało z twoimi ubraniami?

Materac ma konsystencję owsianki. Razem z Benem wsiąknęliśmy w środek. Jego lepka głowa opiera się o moją klatkę piersiową. Coś sztywnego wbija się w moją łopatkę; to sprężyna usiłująca wyrwać się z tego obrzydliwego materaca. Ben wierci się i przesuwają, zbliżając się niebezpiecznie blisko do krawędzi. Wsuwam pod niego obie ręce, żeby przyciągnąć go bliżej. Nie może się teraz obudzić, jeszcze nie, i domagać swoich praw: mleka, podgrzanego do odpowiedniej temperatury (jak? jest tu jakiś czajnik? czy kuchenka działa?), śniadania (chyba nie znowu banan?) i taty (gdzie on jest? co się stało z naszą komórką, rodzinną?).

Jonathan nigdy by nie skończył w takim chaosie. Miałyby ze sobą lodówkę turystyczną z masłem, jogurtem, serem i odpowiednim mlekiem (nie tym gotowym w kartonie, jakie kupiłam w Dover). Teraz byłby już na dole, szorując zlew i doprowadzając różne rzeczy do porządku. Czujęby zapach prawdziwej kawy. Bojler byłby włączony już od paru godzin. Zanim zeszła-bym na dół, opuszczona chałupa moich rodziców byłaby tak lśniąca jak nasze mieszkanie.

Drzę, naciągając narzutę z grubej przedzy bawełnianej, tak że wystają nam tylko twarze. Na buzi Bena maluje się błogość; mały nadal śpi, nie zdając sobie sprawy, jaki po przebudzeniu czeka go horror. Moja twarz, jak się domyślam, jest lekko napięta i z całą pewnością nieumyta; cały czas marszczę brwi, zastanawiając się, co robić, skoro teraz ja dowodzę.

Trzy wiadomości głosowe.

*Nina, tu Jess z „Lucky”. Jest jakiś problem z twoim artykułem? Zaszło jakieś nieporozumienie? Próbowałam złapać cię w domu i wysłałam ci e-mail. W tym tygodniu musimy wypełnić tę stronę układanką. Zadzwoń do mnie. Jesteśmy w lekkiej desperacji.*

*Nina? Rosemary z Foksa. Powiedziałaś, że zadzwonisz, żeby ostatecznie wszystko zatwierdzić. Zakładam, że będzie tylko wino i piwo, żadnych cięższych alkoholi, zgadza się?*

*To ja, chciałem tylko sprawdzić, czy dojechaliście bez problemów.*

Zastanawiam się, jak długo Jonathan będzie czekał, nim zadzwoni do Foksa z wyjaśnieniami. Jak odkręcić wesele? Zadzwoni osobiście, czy zrobi to za niego Matthew, zwolniony druhba?

- Uważałam, że za bardzo się z tym spieszycie. Powinnaś poczekać, aż odzyskasz dawną figurę - powiedziała mama, ha cc ja jej wyjaśniłam, że nie będzie żadnego ślubu. Nigdy. - Ale i tak możesz dostać prezent - dodała. - To urocza lampa. Nie działa, pewnie trzeba by wymienić instalację elektryczną, ale jest śliczna. Możesz na niej wieszać różne rzeczy.

Eliza powiedziała tylko tyle:

- To lepsze od rozwodu.

Może pomyślała przy tym, jakie to szczęście, że suknia była tylko wypożyczona.

Ben budzi się głodny i rozdrażniony. Jego podkoszulek jest mokry w okolicach pieluchy. Przez porysowane okno wkrada się szare światło. Wyblakła różowo-żółta tapeta w kwiaty zwija się na łączeniach. Na sosnowej komodzie przy oknie stoi biało-niebieski nakrapiany dzbanek z kwiatami,

które teraz są suche jak pieprz. Pokój pachnie drożdżami, jakby warzyło się piwo; to pewnie z głębi materaca.

Na szarym wiklinowym stoliku nocnym leży butelka po czerwonym winie, którego zostało na dnie ze trzy centymetry. Z dawnej umywalki zwisają liliowe figi. Jako dziecko nie byłam świadoma braku zamięłowania do porządku u moich rodziców: odbywające się dwa razy do roku sesje z odkurzaczem były dla niego tak traumatyczne, że od razu się zapychał, a wtedy moja matka dźgała go rozprostowanym drucianym wieszakiem. Uważałam to za normalny stan rzeczy, dopóki nie wpadła do mnie Imogen Priestley; stanęła w drzwiach mojej sypialni i zapytała, dlaczego wszędzie jest brudno. Przysiadła nerwowo na brzeжку mojego łóżka i poprosiła moją matkę o zadzwonienie do jej taty, żeby przyjechał po nią wcześniej.

Zanoszę Bena do kuchni, gdzie jedną ręką napełniam jego butelkę. Chropowate ściany kuchni wyglądają jak spleśniałe. Koślawy kredens sprawia wrażenie domowej roboty. Na obdrapanej lodówce stoi mała szafka z drucianymi drzwiczkami, zapewne do przechowywania sera. Nieopodal na podłodze leży pułapka na myszy, z zaschniętą czarną myszą wielkości mojego kciuka.

Ben siedzi na moich kolanach, opróżniając głośno butelkę, jakby w każdej chwili z chwiejnego kredensu mógł się wyłonić Jonathan i powiedzieć: „No! To jesteśmy. Wstawić wodę na kawę?”.

Ale oczywiście tak się nie dzieje. I nie przywiozłam ze sobą kawy. Nie wiem nawet, gdzie jest toaleta.

*Opieka nad niemowlęciem* nie ostrzega cię, że kiedy ośmiomiesięczne niemowlę zostaje pod wyłączną opieką swojej matki, następuje u niego kolosalny przeskok w rozwoju. Nikt nie zwraca uwagi na fakt, że dzieci są tak

właściwie mądrzejsze od swoich rodziców, bo nigdy nie angażują się w nieodpowiednie związki ani nie zamieniają bez zmruczenia oka czystego, ciepłego łóżeczka na wilgotny materac zalatujący grzybami.

Choć nadal uzależniony ode mnie, jeśli chodzi o odżywianie i procedury związane z toaletą, Ben dojrzewa w tak zawrotnym tempie, że spodziewam się lada chwila zastać go przy czytaniu pozostawionej na kominku ulotki na temat Châtillon, a wtedy będziemy musieli pojechać do Musée Archéologique z jego oryginalną grecką wazą z brązu.

Instyktownie wie, co powinniśmy robić. Kucam przy kominku w salonie, przypominając sobie Ranalda na naszym biwaku, jak wyszcze kiwał instrukcje na temat sposobu wykonywania podpałki z gazety (Co ty chcesz zrobić? Pączka?). Kiedy Ben jest świadkiem, jak jego matka miota przekleństwa nad paleniskiem, raczkuje szybko do frontowych drzwi, w które wali swoją piąstką, domagając się, żeby go wypuścić.

Ma rację, ogień może poczekać. Pewnie zamarzniemy i zostaniemy odkryci jak mamuty, uwięzieni w lodzie, ale bez podpałki nic raczej nie zdziałam z kominkiem. Teraz nam pilnie potrzeba (o czym mówi mi jego zapadnięta twarz) wyprawy do supermarketu. Nie możemy bez końca żyć na bananach, podstarzałych kanapkach z promu i mleku.

Kiedy jedziemy do Châtillon, rozmawiam z nim jak z dorosłym. Pytam go:

- Powinniśmy sobie sprawić prawdziwą mapę, zamiast polegać na serwetce dziadka - proponuję.

Ben chyba uważa, że to dobry pomysł. Nie ma nikogo innego, z kim mogę pogadać. Mam tylko jego.

W supermarkecie wygląda w zamyśleniu z wózka, już przyzwyczajony do tego środka transportu. Lady chłodnicze buczą leniwie, kiedy przemierzam rzędy regałów w poszukiwaniu środków czystości. Kiedy już je odnajduję, nie jestem pewna, na co się zdecydować. Może wystarczy po prostu płyn do mycia naczyń i gąbka?

Wybór jest zbyt kłopotliwy, więc opuszczamy supermarket ze świeżym mlekiem, serem, dużym przezroczystym opakowaniem biszkoptów i jedzeniem dla niemowląt: łosoś z warzywami, co w słoiczku wygląda jak prze-

platające się różowo-szare paski i zawiera zarówno cukier, jak i sól. Z powrotem w domu jemy szybko i niechlujnie, dorzucając do ognia, żeby było cieplej. Ben siedzi przycupnięty na moich kolanach, z pieluchą nasączoną kilkoma litrami sików, rozpromieniony na całej zapaćkanej łososiem buzi.

Mam poczucie zupełnej anonimowości, kiedy zwiedzamy wieś, a w ogóle co to za wieś? Mam wrażenie, że jej mieszkańcy gdzieś wybyli - może na Karaiby albo do kina, którego jeszcze nie zlokalizowałam. Niekiedy widać przemykający płaszcz, kiedy ktoś zatrzaśnie drzwi od samochodu, albo mignie jakaś rozmazana twarz w oknie. Jedynie w piekarni, którą okazał się tamten zamknięty sklep, stykamy się z bliska z inną istotą ludzką: kobietą o kręconych włosach, z wyrazistymi kreskami od nosa do ust, która przygląda mi się, jakbym planowała porobić dziury w jej chlebach.

Nabieramy zwyczaju jeżdżenia do Chatillon co drugi dzień. W ten sposób nasze życie ma jakiś porządek, unikamy tej przerażającej kobiety od chleba i zmniejszamy nasze szanse na poznanie kogokolwiek. Nie chcę żadnej nowej przyjaciółki, nawet korespondencyjnej. Dni płyną Ben drzemie po pochłoniętych na lunch przysmakach w paseczki (czymkolwiek to jest), a mój głos z braku używania przerodził się w zduszony skrzek.

„Nina, tak się martwimy... nie dajesz znaku... myślimy o tobie. .. - Potem słyhać faceta, przypuszczalnie Matthew, i Beth traci panowanie nad sobą: - Rozmawiam przez telefon, przymknij się. Zostawiam wiadomość Ninie”.

Głos Jonathana jest stłumiony, jakby dochodził z wnętrza kosza na śmieci. „Chciałem tylko sprawdzić, jak sobie radzisz. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi zaraz znać, okay?”

Wiem, że jest w pracy. Dzwonię do domu, starając się, żeby mój głos nie był zbyt przybity, bo wtedy założyłby, że stało się coś strasznego, ale też nie udaję imprezowego nastroju.

- Wszystko w porządku - mówię. - Ben próbuje się podciągać. Prawie już stoi...

Ścisza mnie w gardle i muszę odłożyć słuchawkę. Ben otwiera jedno oko, jakby chciał sprawdzić, kto się dławi, a potem powraca do bezpiecznej, wolnej Od matki strefy swojej drzemki.



Dom zrobił się znajomy i nauczyłam się wykorzystywać poszczególne pomieszczenia w zależności od pory dnia. Po południu, kiedy Ben się budzi, głaskaniem sprowadzam go do rzeczywistości w mniejszej sypialni. Jest ponura i ma przytłaczający pochyły sufit, ale trochę bardziej nastraja do snu niż reszta domu. *Większość gości przyjeżdża wiosną i latem* - zauważają w przewodniku *Wędrowki po wschodniej Francji*, który zwędziłam z promu. *Zima może być malownicza, ale bardzo mroźna*. Tak więc siedzimy w małym pokoju, co jakiś czas zapuszczając się w mroczne przestrzenie kuchni, gdzie czai się bojler. Zużyte zapalki zaśmiecają podłogę. Dzwonię do taty z nadzieją, że jakoś rozjaśni sytuację z ciepłą wodą.

- Nigdy nie mieliśmy z tym problemu - mówi pogodnie.

Usiłuję znowu podążać za jego instrukcjami i zlokalizować czerwony guzik, który musi być wciśnięty przez trzydzieści sekund, aż zapali się płomień, ale nie ma żadnego czerwonego guzika, a co za tym idzie, nie nastąpił zapłon i nie ma ciepłej wody.

Na noc wsuwam Bena w mój płaszcz, który potem zapinam. Układamy się tak blisko kominka jak to tylko możliwe, żeby nie zaczęły nas lizać płomienie. Ogień jarzy się niepewnie, wzniecony za pomocą profesjonalnej rozpalarki i stosu papierowych paczków. Dwa wrzecionowate drewniane krzesła, położone na boku, uniemożliwiają Benowi badanie płomieni. Czajnik jest wstawiany w podwójnym celu: żeby podgrzać mleko dla Bena i wyprać ubrania pobrudzone w ciągu dnia, które potem suszą się rozwieszona na krzesłach przy kominku, czemu towarzyszy zapach spalenizny. Nie jest to całkiem w stylu „InHouse”, ale Eliza mogłaby stwierdzić, że to miejsce ma swój wyświechtany urok.

Główka Bena śmierdzi drożdżami. Mały ma brud pod paznokciami, którego nigdy się nie usunie. Zastanawiam się, co by powiedziała Lovely, gdybyśmy pojawili się na castingu.

„Matka profesjonalistka przykłada dużą wagę do wyglądu swojego dziecka. Jak i do swojego”. Tak mówiła.

Pocieszam się, że nikt nas tu nie zna.

Ale nas zauważają. Zaczyna się od skinięcia głową, przelotnego uśmiechu rozpoznania, choć wszyscy są zbyt zakapturzeni i poowijani szalami, żeby nawiązać rozmowę. Musiałam zainwestować w zimowy kombinezon dla Bena. Spod puchowego kaptura wyziera zaczerwieniona, zirytowana buzia.

Ta kobieta jest zauważalna, bo nie ma na sobie prawdziwego zimowego stroju, tylko jasnożółty kostium w turkusowe koniki morskie. Mówi w ożywiony sposób, od czasu do czasu poklepując swoje ekstrawaganckie kasztanowe loki. Jej towarzyszka ma kosmaty brązowy sweter, który wygląda jak końska derka. Starsza kobieta macha. Podchodząc bliżej, rozpoznaję jej twarz: to ta kobieta pokierowała nas do domu, ale dziś nie ma błyszczących powiek.

- Znalazłaś dom? - pyta uprzejmie.

- Tak, dziękuję.

Spogląda na Bena i łaskocze dostępny kawałeczek policzka, który nie jest ukryty pod kombinezonem.

- To miejsce - mówi - chyba nie jest zbyt odpowiednie dla dziecka?

Zastanawiam się, czy się z nią zgodzić - wyszczególnić problemy z instalacją i armaturą, wspomnieć o złośliwym bojlerze - ale mówię tylko:

- Jest w porządku. Fantastycznie spędzamy tu czas.

Mówi coś do drugiej kobiety; uśmiecham się głupkowato. Kobieta od koników morskich poklepuje mnie po ramieniu i pyta:

- Nie zostaniesz długo w tym domu?

Tym domu. Ile dezaprobaty! Teraz słyszę Constance: „Cóż, mogłam ci już wcześniej powiedzieć, że nic nie wyjdzie z tą Niną”.

- Jeszcze nie wiem, jak długo zostaniemy - mówię. - Nasze plany są dość... luźne. - Zastanawiam się, czy rozumie, co to znaczy.

- Nie - mówi, poklepując mnie po ramieniu ręką w skórzanej rękawiczce - nie, moja droga, posłuchaj, mamy hotel. Bardzo spokojny o tej porze roku. Nikt nie przyjeżdża, dopiero na wiosnę. - Zastanawiam się, czy współczuć jej kulejącego biznesu. - Zapraszam serdecznie - mówi. - Możecie zostać z nami. Jest ciepło i bardzo wygodnie. Żadnych opłat. - Uśmiecha się

szybko i kiwa głową, jakby sprawa została załatwiona. - Proszę, zadzwoń do mnie i przygotujemy pokój.

Podaje mi kremową wizytówkę z nadrukiem Hotel Beauville, do tego szkic budynku i nazwisko właściciela, Sylvie Laman.

- Sylvie - mówi, poklepując się po gardle. - A to jest moja córka, Nadine.

Sylvie nie zdaje sobie sprawy, że mamy tu wszystko, czego potrzebujemy. Płomyk zapalacza nadal nie chce się ujawnić, ale w szafie znalazłam zieloną pikowaną narzutę i cętkowany szary koc z naszytymi harcerskimi odznakami. Choć mamy dodatkową pościel, nadal śpię w dżinsach, koszulce, swetrze i skarpetach, a Ben w wełnianej jednoczęściowej pidżamce ze stopami, troskliwie podarowanej przez Beth.

Przychodzą zaadresowane do Bena paczki. Potrząsam swetrem ze wzorem w warkocz dla dzieci od dwunastego do osiemnastego miesiąca i kra-ciastymi wełnianymi spodniami, spodziewając się znaleźć jakiś liścik. Jakieś parę linijek świadczących o tym, że Jonathan szaleńczo za nami tęskni, nie może się pozbierać i zapomina o wystawieniu przed dom kosza w środowy wieczór. Ale nie ma nic. Poznałam, że to od Jonathana, tylko po charakterze pisma na opakowaniu z brązowego papieru.

Ale oczywiście chce, żebyśmy wrócili, a przynajmniej Ben. Czeka, wiedząc, że nie wytrzymamy długo. Widział zdjęcia tego domu. „Interesujące - powiedział, kiedy moja matka wcisnęła mu fotki do ręki. - Kryje w sobie potencjał. Ciekawy eee... projekt”.

Tak więc czeka, w dalszym ciągu przygotowuje jedzenie dla Bena, choć teraz już mniej brejowate, żeby Ben mógł się nauczyć, jak sobie radzić z bryłkami. Nie poprosi nas, żebyśmy wrócili do domu na Boże Narodzenie. Jonathan nigdy mnie o nic nie prosił. Spędzi święta z Constance i żadne z nich nie zauważy pustych miejsc, gdzie powinni być Nina i Ben.

Robię świąteczne zakupy w Châtillon. Najpierw oczywiście idę do domu towarowego, ale jest wypełniony kupującymi, którzy tłoczą się ze swoimi reklamówkami i mają przy tym czas, żeby się pośmiać, pogawędzić i wyca-

łować na tę ich francuską modłę, choć zostało im jeszcze mnóstwo osób do obkupienia.

Przez tych ludzi wymiękam. Czasami działa tak na mnie Eliza. Z powrotem w Londynie będę wytrząsać pradawne okruszki z tosterka i dzwonić do niej, żeby odbyć jakąś błahą rozmowę - może opowie mi o modelce, która płakała, bo jej wizażystka nie dysponowała jej ulubionym kremem pod oczy z ekstraktem z kałamarnic, ale nic tym płaczem nie załatwia; została jedynie poinformowana przez asystentkę, że Eliza poszła na indyjski masaż głowy i nie będzie miała czasu aż do końca Tygodnia Mody.

Nie będąc na siłach zmierzyć się z domem towarowym, zakradam się do apteki. Mogę wejść ze spacerówką, jednocześnie nie masakrując niczyich tydek. Jest tu okropnie sterylne - większość produktów jest zapakowana w białe pudełka. Dla Elizy wybieram zestaw błyszczących lakierów do paznokci w przezroczystym, plastikowym pudełku. Zrozumie. Wie, że sytuacja jest skomplikowana. Dla mojej matki zgarniam fioletową skórzaną sakiewkę wypełnioną wyrafinowanymi akcesoriami do manicure. Dla taty biorę kosmetyczkę w biało-czarne paski ze zmywalną podszewką i zastanawiam się nad kupnem drugiej takiej samej dla Jonathana. Co mówią zasady dobrego wychowania na temat kupowania prezentów facetowi, którego się właśnie Opuściło? Czy kupuje się jakiś drobiazg w dowód pamięci? A może coś drogiego - na przykład cyfrowy aparat fotograficzny - żeby uwolnić się od poczucia winy? Nie, prezent ode mnie tylko by go wprowadził w zakłopotanie, może nawet zdenerwował: Po tym, co zrobiła, wyobraża sobie, że może wszystko naprostować dzięki gównianej kosmetyczce, jak tamta, którą mi kupiła na urodziny. Wybieram komplet plastikowych statków dla Bena, optymistycznie wierząc, że wraz ze zbliżającymi się świętami bojler obudzi się do życia i będziemy brać kąpiel za kąpielą dla czystej przyjemności.

Po drzemce w samochodzie Ben jest ożywiony i chętny do demonstrowania swoich osiągnięć. W sypialni próbuje podźwignąć się z pozycji raczkującej, czepia się harcerskiego koca. Rozpromienia się w szerokim uśmiechu.

Podnosi się. Przemieszcza się, stawiając niepewne kroczki, aż krzywe nóżki załamują się i leci do tyłu, lądując na pulchnej, opancerzonej pieluchą pupie. I śmieje się: Podobało ci się? Chcesz, żebym pokazał ci jeszcze raz?

*Vanvey, 4 grudnia Drogi Jonathanie!*

*Jesteśmy już tu całkiem zadomowieni. Dom nie jest aż w takim złym stanie, jak to wyglądało na zdjęciach mamy. Dach przecieka w jakichś osiemnastu miejscach, ale tylko kiedy pada, oczywiście. Teraz nie jest to już taki problem jak na początku, bo odkryłam, skąd cieknie woda, i znalazłam odpowiednią ilość wiader i garnków, żeby ją łapać:*

*Mam dla ciebie świetne wiadomości. Ben chodzi. Właściwie to nie całkiem jeszcze chodzi, lecz już potrafi się utrzymać w pionie, więc niewiele brakuje. Ciągle jest trochę chwiejny, ale powinieneś go zobaczyć! To naprawdę niesamowite!*

Gniotę list i ciskam w płomień (rozpaliłam naprawdę imponujący ogień). Zaczynam od nowa:

*Nie wiem, od czego zacząć, nie wiem nawet, dlaczego tu przyjechałam. Dom jest okropny, o wiele gorszy, niż nam się wydawało. Benowi ciągle cieknie z nosa. Nie możemy zrobić porządnego prania - nie ma ciepłej wody, tyle co zagotuję w czajniku. Myślę o tym, żeby wrócić i poprosić Elizę, żeby przechowała nas przez jakiś czas. Może nawet poproszę o to moich rodziców. W tej chwili w domu panują prawie znośne warunki, ale kto wie, jak to będzie wyglądać w styczniu czy lutym. Tata mówi, że tu często pada śnieg. Jeśli zamarzną rury, w ogóle nie będzie wody. Nie rozmawiam z nikim oprócz Bena i chyba wariuję. Nawet Ben patrzy na mnie, jakbym była niespełna rozumu.*

Przerywam pisanie i sprawdzam datę. Dzień naszego ślubu. Jonathan i Nina mają zaszczyt zaprosić na swój ślub, który odbędzie się czwartego grudnia o godzinie jedenastej w Hackney Town Hall, a potem na przyjęcie weselne w Foksie, Bishop Road, Londyn N4.

To dzień naszego ślubu, a ja nawijam o pogodzie. W małej sypialni z instalacji elektrycznej kapie woda do wyszczerbionego emaliowego kubka. Chlup, chlup, chlup.

Sylvie zjawia się w pikowanej złotej marynarce w malinowe paprocie. Uśmiecha się elegancko, tak jakbym się spodziewała jej wizyty. W kasztanowych włosach ukrywają się ciężkie, złote kolczyki.

- Przejeżdżałam tędy - mówi. - Przywiozłam ci trochę rzeczy, które nie są nam potrzebne - Cofam się, żeby mogła wejść do kuchni. Z jej plecionej torby na zakupy wyłaniają się pomidory, ciasto pomarańczowe obsypane migdałami, papierowa torebka fasolki szparagowej. - Myślałam o tobie - mówi, opatulając się mocniej żakietem. - Macie wystarczająco ciepło? Mogę przywieźć grzejnik z hotelu. Masz dość drewna na opał? Mój syn ci trochę przyniesie.

- Niczego nam nie trzeba - mówię, odsuwając się od niej. -Dziękuję, ale radzimy sobie.

Rozgląda się po kuchni. Blat jest usłany okruszkami po cieście. Ben stoi przy zmaltretowanym kredensie, kurczowo się trzyma zmatowiałego uchwytu. Jego kraciaste spodnie mają plamy po kurczaku i brokułach. Spodziewa się, że poczęstuję ją kawą czy co? Myślę o zastosowaniu mojej starej taktyki - kawa z zimną wodą - żeby szybciej sobie poszła. Nie chcę, żeby tu była, wyłapując różne szczegóły.

- Zostajesz na Boże Narodzenie? - pyta.

- Prawdopodobnie.

- Spędzisz święta sama w tym domu?

Gdybym tylko miała na sobie płaszcz, mogłabym udawać, że właśnie gdzieś wychodziłam. Wybacz, Sylvie, ale jesteśmy umówieni z przyjaciółmi w uroczej, ciepłej restauracji. Mamy tu znajomych. Nie jesteśmy już obcy.

- Sama z dzieckiem - mówi.

Otrzepuję urągające higienie spodnie Bena cuchnącą szmatą.

- Mój mąż miał przyjechać na święta - wyjaśniam. - Ale pracuje i nie może się wyrwać. Jesteśmy tu tylko na jakiś czas, dopóki... dzięki za jedzenie. Wygląda przepysznie.



Dotyka mojej ręki i mówi:

- Mogę zaprosić was na lunch? W tę sobotę? Będzie nam bardzo miło was gościć.

Oddała się truchcikiem na wysokich obcasach, pozostawiając za sobą zapach lawendy; pachnie niczym szuflada z bielizną.

Hotel Beauville znajduje się na końcu zakrzywionego zwirowego podjazdu, z oddali wygląda jak żółta plama. Po obu stronach drogi stoją gipsowe zwierzęta. Z zaniedbanej rabaty sterczy domek dla ptaków z drewnianym mężczyzną naciskającym klamkę. Ben wierci się w spacerówce, chce wyjść. Czuję się nieswojo, idąc tak z pustymi rękami. Ben i ja przeszukaliśmy supermarket w Châtillon - medytowałam nad ładnie zapakowanymi oliwkami, ciastkami i serami - ale nie mam pojęcia, czy to nie jest chleb codzienny Francuzów, odpowiednik krakersów Jacob czy pikli Branstona.

Sylvie zerka zza falban białej firany i otwiera drzwi, zanim do nich docieramy. Wyjmuje Bena z wózka i bierze na ręce. Prowadzi mnie, opierając dłoń na moich plecach, do holu, który pachnie leśnym odświeżaczem.

- Tędy - mówi i trafiamy do salonu, w którym panuje niezły miszmasz. Biblioteczka nie jest zastawiona książkami, tylko zabawkami: pluszowymi misiami w kamizelkach i okularach, myszami odstrojonymi w ekstrawaganckie stroje wieczorowe. We wszystkich oknach jest udrapowana marszczona biała satyna, migocząc połyskliwie jak tanie figi. Wilgotne drewniane wiosła zostały niedbale oparte o ścianę w bratki.

Nadine grucha coś słodko do Bena. Znów ma na sobie ten przypominający końską derkę sweter. Ben chichocze, przenosząc wzrok z jednej ożywionej twarzy na drugą. Uświadamiam sobie teraz, że moja twarz zrobiła się płaska i bez wyrazu jak płyta chodnikowa.

- Christophe! - woła Sylvie.

Gdzieś z góry dobiega męski pomruk, a potem Christophe zjawia się we własnej osobie, schodząc po trzy stopnie naraz. Długonogi chłopak; właściwie wszystko ma długie. Jest zbyt wysoki, jakby został rozciągnięty. Nos też ma długi, a na brodzie widać zaczątki zarostu. Nie całuj mnie, błagam w myślach. Nie odstawiaj tego francuskiego ceremoniału z podwójnym pocałunkiem.

Oczywiście odstawia ceremoniał z podwójnym pocałunkiem i skupia uwagę na Benie, któremu właśnie ściągają wierzchnie ubranie. Jest zupełnie jak na planie reklamówki, gdzie nie musisz się niczym sama zajmować. Sylvie mówi, żebym usiadła, Nadine rzuca parujący kopic jedzenia na mój talerz: zielona fasolka, parę łyżek puree i jakieś mięso pływające w błyszczącym sosie. Ben, który siedzi w klasycznym wysokim krzeselku - wyraźnie niespełniającym kryteriów bezpieczeństwa- jest karmiony przez Sylvie; entuzjastycznie rozdziawia usta za każdym razem, kiedy zbliża się łyżka. Mój kieliszek jest napełniony w dwóch trzecich winem; gospodarze dbają o to, żeby nigdy nie było w nim mniej. Jest też deser: coś białego - chyba jakiś krem i beza - przybranego jagodami.

Pomimo nieustannej paplaniny jestem świadoma dźwięków, jakie wydaję przy jedzeniu, mlaskając językiem. Sylvie mówi o rozbudowaniu hotelu o oszkloną werandę z tyłu. Nadine patrzy na mnie, jakbym za chwilę miała zrobić coś zabawnego. Christophe przygląda się moim pracującym szczękom. Sylvie ślini papierową serwetkę i wyciera twarz Benowi. Tak się najadłam, że ledwie mogę oddychać, nie wspominając już o jakimkolwiek ruchu. Dom moich rodziców jest na innym kontynencie. Czy mogą normalnie chodzić po wchłonięciu takiej ilości jedzenia? To pierwszy posiłek na ciepło, jaki jadłam od czasu tamtej kielbaski na promie, kiedy to mój system trawienny zaczął szaleć.

Pada ulewny deszcz.

- Musisz zostać, dopóki nie przestanie - mówi Sylvie. Zdejmuje z półki ciężki zielony album, który, jak podejrzewam, zawiera fotografie.

- Jedzenie było cudowne, ale musimy wracać. O tej porze Ben śpi-mówię jej.

- Może spać tutaj - ówierka, poklepując sofę w różyczki. Coś podchodzi mi do gardła; może strach przez utonięciem w bieliźnianych zasłonach i beżowym deserze.

- Po co taki pośpiech? - pyta. - Jesteście na wakacjach.

- Przykro mi, ale naprawdę musimy już iść.

Kiedy Nadine wkłada Bena do jego kombinezonu, Sylvie wrzuca resztę deseru do miski z zielonego szkła, którą owija torebką i wsuwa do koszyka pod wózkiem.

- Christophe odprowadzi cię do domu - oświadcza.

- Poradzę sobie. To niedaleko.

- Ale pada. Masz parasol?

- Oczywiście, że nie.

- Znakomicie. Chcesz, żeby biedne dziecko zachorowało na Święta?

- Mam przeciwdeszczowy kaptur ochronny na wózek - protestuję, przypominając sobie, że zostawiłam go w domu. Czuję się podle, bo ona okazała mi życzliwość, a ja się nażarłam i uciekam, ale czy już tego kiedyś nie robiłam? - Naprawdę nie ma potrzeby, żeby mnie odprowadzać do domu.

- Ale on chce - mówi Sylvie. - Prawda, Christophe?

Pachnie mokrą ziemią. Jestem wdzięczna za świeże powietrze; hotel wydał mi się przegrzany i duszny - pewnie przez nadmiar pluszowych zabawek. Christophe trzyma nade mną i wózkiem parasol, jak byśmy byli przybyłymi na premierę filmu V7J?-ami stąpającymi po czerwonym dywanie. Wyjątkowe istoty, które nie mogą się zamoczyć. Pod naszymi stopami chrzęści mokry żwir. Kiedy idę, klekocze podeszwa od mojego prawego buta. Skrećamy na drogę prowadzącą z powrotem do wsi. Nie ma chodnika, tylko rozmokłe trawiaste pobocze, zbyt wąskie, żebyśmy mogli iść obok siebie. Christophe dotyka mojego ramienia, a ja aż podskakuję.

- Masz - mówi. - Weź parasol. Ja popcham wózek. - Ściąga kurtkę, z której robi wodoodporną pelerynę nad Benem, a potem msza naprzód, pchając

wózek. Jest w swetrze, który szybko przemoknie. Odwraca się do mnie, śmiejąc z absurdu sytuacji, a mnie przenika jakieś dziwne uczucie, coś jak przebłysk lekkomyślności.

Docieramy do wsi, gdzie jest chodnik i możemy iść obok siebie. Teraz może mnie wypytywać o różne rzeczy. Najwyraźniej ciekawość to ich cecha rodzinna.

- Opiekujesz się domem twoich rodziców? - pyta.

-Tak jakby.

- Sama, tuż przed Gwiazdką?

W odpowiedzi zarzucam go swoimi pytaniami. Czym się zajmujesz? Głównie pomagasz matce w hotelu? Czemu twój angielski jest taki dobry?

- Mieszkalem w Londynie - mówi. - Pracowałem tam. Trochę tu, trochę tam..

Jest na takim etapie, kiedy praca na zasadzie trochę tu, trochę tam, jest jak najbardziej realnym sposobem na życie. Nie jest to styl życia Jonathana. Dorośli zachowują się inaczej. Mijamy piekarnię. Właścicielka drągiem potrząsa baldachimem, gdzie zebrała się woda. Pozdrawia Christophe'a skinięciem głowy. Patrzy na mnie zaskoczona, z pogardą, jakby ten zalany wodą baldachim to była jakimś cudem moja wina.

- Dlaczego wróciłeś? - pytam.

- Ze względu na matkę. I hotel, który kupili razem z moim ojcem. Wspólnie go prowadzili. A potem on odszedł? Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewa, dopóki nie przyszedł faks, w którym zostaliśmy poinformowani, że mieszka z fryzjerką.

Spływa na mnie tyle informacji, że nie wiem, jak zareagować.

- Swoją fryzjerką? Ścinała mu włosy i nagle... - Muszę się powstrzymać. Wyczuwam historię, która by się nadawała do „Lucky”.

- Nie, to fryzjerka mojej matki - mówi Christophe.

- Zakładam, że teraz to już jej była fryzjerka. Christophe śmieje się, gwałtownie skręcając spacerówką na drogę prowadzącą do domu.

- Moja matka nadal do niej chodzi. Jest bardzo wymagająca, jeśli chodzi o włosy.

Otwieram drzwi wielkim kluczem, który zawsze zostawiam pod żółtym kamieniem przy drzwiach. To taka gra: Ej, włamywacze! Wejdźcie. Widzicie? Nie ma tu nic do zabrania, chyba że jesteście zainteresowani stęchlými biszkoptami.

Christophe wchodzi za mną, otrząsając włosy jak mokry pies. Jednym szybkim ruchem ściąga przez głowę przemoczony sweter razem z T-shirtem (pewnie przez przypadek). Szkoda, że nie wiem, co z nim zrobić. Linda z promu wcisnęłaby mu w dłonie gorący napój i dałaby mu coś, żeby miał się czym zająć, ze swojej pasiastej niczym zebra torby wypełnionej książeczkami do kolorowania (choć on jest już z pewnością trochę za stary na malowanki).

- Poproszę ręcznik - mówi.

W łazience obwąchuję ręcznik do rąk. Pachnie, jakby leżał uwięziony w torbie z mokrymi kąpielówkami. Kiedy wracam, Ben jest już wyjęty z wózka, rozebrany z kombinezonu i siedzi w swoim samochodowym foteliku. Głowa mu się kiwa. Pora spać.

Christophe wyciera się do sucha. Ja tymczasem ścieram okruszki ciasta z blatu i myję butelki Bena tak dokładnie, jak to tylko możliwe w zimnej wodzie.

- Chcesz sweter? - pytam, stojąc do niego tyłem.

- Super - odpowiada. Wychodzi do pokoju, badając otoczenie. Kiedy go znajduję, widzę jego plecy; wąskie i błyszczące, z wyraźnie widocznym kręgosłupem. Rozpala w kominku, ubrany w mój turkusowy sweter, który kończy się mu na pępku. Z szerokim uśmiechem unosi swoje uczernione dłonie.

- Nie ma ciepłej wody - mówię niechętnie. Nie chcę, żeby Christophe ani ktokolwiek inny z tej rodziny uznał, że nie radzę sobie wcale aż tak cudownie. Mam ochotę zapytać: Dlaczego twoja matka tak się mną przejmuje? I dlaczego tu jesteś? Chyba na pierwszy rzut oka widać, że potrzebuję pomocy. A wcale tak nie jest. Patrzcie na mnie, sama, tylko z synem. To ja się opiekuję innymi - czy nie taka jest rola matki? Jestem jedną z tych mamuś,

które widujecie w parku. Jedną z tych prawdziwych matek, które wiedzą, co robią, mają czyste dzieci i zapas odpowiednich przekąsek w podręcznej torbie. Należę do tego klubu.

Nalewam wodę do czajnika, kiedy to się znowu dzieje: fala mdłości, jak na promie, tylko tym razem gorętsza, a towarzyszy jej pot i zbyt świeże wspomnienie sosu Sylvie, który krąży po moich wnętrznościach razem z winem i beżowym deserem. Kiedy jest ci niedobrze, twoje ciało ci wcale nie pomaga, podsuwając wyraźne obrazy pokarmów, od których żółć podchodzi do gardła: surowe jajka, sardynki. Tylko po to, żeby z ciebie zdrwić.

Mój brzuch świetnie się bawi, fundując mi te sensacje, kiedy mam w domu młodego faceta, a właściwie to dwóch. Ile ja wypiałam? Chwiejnie idą do salonu, gdzie Christophe grzebie w kominku pogrzebaczem, którego mnie nie udało się znaleźć - używałam wyszczerbionej drewnianej łyżki.

Opadam na zmaltretowaną sofę, świadoma, jak jest zatłuszczona. Powolne, głębokie oddechy. Cokolwiek, żeby to uczucie minęło. Jakby wyczuwając, że jego matka cierpi, Ben budzi się, rezygnując ze swojej zwykłej dwugodzinnej drzemki. Natychmiast wpada w zrzędlawy nastrój i z furią kopie fotelik. Ale nie mogę do niego podejść. Jestem przyrośnięta do sofy i ciężko dyszę z zasłoniętymi dłońmi ustami.

- Coś jest nie tak? - pyta Christophe. - Wyglądasz...

Ma dobre intencje, ale nie może pomóc. Zawodzenie Bena staje się odległe. Gdybym tylko mogła zwrócić posiłek Sylvie, pozbyć się go. Jest w moim gardle, rozpryskuje się na moje buty do parku. A Christophe jest obok mnie i mówi:

- Biedna Nina.

Przez chwilę myślę, że to się nigdy nie skończy; wyrzucę z siebie wszystko i sflaczeję jak stary balon. Christophe obejmuje mnie jedną ręką drugą przytrzymuje mi włosy. Pełne dostojeństwo. Wyrafinowany wizerunek, do jakiego zawsze dążę, kiedy jestem z kimś nowym. Zmęczony zawodzeniem, Ben przygląda się zafascynowany, jak jego matka zdaje się jeść na rewersie.



Christophe sprząta. Wyciera wymiociny kobiety, którą zna zaledwie od kilku godzin, nawet znajduje środek odkażający wetknięty za muszlę klozetową. Żeby Ben nie zaczął badać zanieczyszczonego terenu, konstruuje wokół niego coś w rodzaju zagrody z trzech położonych bokiem krzeseł.

Tak się wstydzę, że zbiera mi się na płacz.

- Lepiej się już czujesz? - pyta Christophe. Potrząsam głową i mówię:

- Tydzień temu miałam wyjść za mąż. - Nadal jest obok mnie w zdumiewającej kombinacji wilgotnych dżinsów i damskiego turkusowego swetra. - I nie było ślubu - opowiadam mu. - Mieliśmy. .. coś w rodzaju kłótni. W sumie o nic, tak jak większość kłótni. A ja to wykorzystałam. Jako pretekst. Wycięłam mu numer. To była pomyłka, wszystko działało się za szybko. Poznaliśmy się przez ogłoszenie w samotnych sercach, gdzie się ogłaszasz, bo nie możesz... Macie tu coś takiego? Samotne serca?

Marszczy brwi, potrząsając głową.

-I urodził się Ben. Również za wcześnie. Nie byłam gotowa. Nikt nie był.

- Lepiej nie wychodzić za mąż, jeśli tak się to wszystko postrzega - stwierdza.

- Wiem.

- Mimo że czujesz się źle z powodu...

- Jonathana - mówię. Jego imię wyrwało mi się podstępnie. Nie wypowiedziałam go na głos od czasu, kiedy od niego odeszłam. Nie mówiłam nawet „tata”. Ciekawe, czy Ben zapomniał, że ma ojca. Jak daleko sięga pamięć niemowlęcia? Miesiąc? A może ledwie parę sekund, jak u złotej rybki?

-I przyjechałaś tutaj, bo...

- Nie kocham go - mówię, zastanawiając się, dlaczego nie przyszło mi do głowy, żeby skłamać.

Christophe zostaje na wieczór, kręci się po domu jak u siebie. Daję Benowi jego wieczorną butelkę, popijając kawę, którą zrobił Christophe, i nasłuchuję brzęczących odgłosów dochodzących z wilgotnej wnęki, gdzie mieszka bojler. Przesuwa się coś ciężkiego i metalicznego. Jakieś skrobanie i zduszony skowyt, jakby Christophe się zranił. Mam nadzieję, że wie, co robi. Może i jest niezwykle zręczny w zbieraniu wymiotów, ale podejrze-

wam, że mógłby nie zdać wszystkich egzaminów wymaganych do majstrowania z gazem.

Ale coś się dzieje. Podmuch powietrza niczym oddech zasysany przez rurkę i ciche „puff”, jakby zaskoczył płomień.

Christophe staje przede mną i mówi:

- Masz ciepłą wodę.

Gdybym nie była dwa razy od niego starsza ani nie podejrzewała, że nadal mogę zalatywać wymiocinami, mogłabym go uściskać.

Przychodzą prezenty świąteczne. Od Jonathana dla Bena: drewniana konstrukcja z powycinanymi dziurami w różnych kształtach, do których wrzuca się odpowiednie klocki, żeby pobudzić sprawność manualną. Od Beth: kartka z bałwanem zrobionym z maleńkich skrawków białej bibułki przyklejonych do tekturki być może z drobną pomocą Rosie, do tego niebieskie kapcie w kształcie króliczków. Na kartce tekst: *Brakuje nam Ciebie. Życzymy Ci szczęśliwych świąt. Uściski, Beth, Matthew i Maud.* Bez Rosie. Może znajduje się zbyt nisko w rodzinnej hierarchii, żeby zasługiwać na wspomnienie na świątecznej kartce.

Od Constance dla Bena: żółty rozpinany sweter z pokraccznymi perłkowatymi guzikami. Nic od Jonathana dla mnie. Nic od moich rodziców dla nikogo. Chowam prezenty Bena z powrotem w opakowania i odkładam wysoko na półkę.

Dzwonię do moich rodziców, żeby przypomnieć im o istnieniu córki i wnuka, i pochwalić się, jak dobrze sobie radzę.

- Wygodnie ci się tam mieszka? - pyta matka.

„Teraz, kiedy mam ciepłą wodę, jest odrobinę lepiej - chcę powiedzieć. - Dlaczego mnie nie ostrzegliście? Dlaczego wysłaliście mnie tam z kluczem, nieczytelną mapą i niemowlęciem?” Ale to nie jej wina. Nikt mnie do tego nie zmuszał.

- Jest idealnie - mówię jej.

- Och, prawda? Razem z tatą tęsknimy za tym domkiem. Zwykle nie jeździmy tam zimą - jest okropnie zimno, prawda? No i ta wilgoć. Ale skoro

tam jesteś, pomyśleliśmy sobie, czemu nie? Tak więc przyjedziemy na Nowy Rok. Mogłabyś tam wysprzątać i postarać się o jakieś jedzenie?

- Dobrze - mówię, przekonując się do propozycji Sylvie, oferującej nagrany pokój hotelowy. Żadnych rodziców!

Przychodzą prezenty od Elizy: dla Bena mięciutki czarny pulower; dla mnie zestaw aromatycznych olejków do kąpieli (świetne wyczucie czasu, biorąc pod uwagę pojawienie się ciepłej wody). Jest też znacznie przece-niona soulowa składanka na CD, na której zostawiła naklejkę z ceną; będę jej mogła słuchać jedynie w samochodzie, bo w domu nie ma sprzętu stereo. Na nowo zawijam prezenty, dzięki czemu będę miała co rozpakować w pierwszy dzień świąt. W przesyłce od Elizy jest jeszcze koperta; spodziewam się, że będzie w niej kartka, ale okazuje się, że to nabazgrany na szybko list:

*Kochana Nino!*

*Wszystko w porządku? Nadal siedzisz w tej ruderze rodziców? Przepraszam, że się do Ciebie nie odzywałam, ale różne rzeczy się pokomplikowały. Dzwonił Jonathan, chciał się dowiedzieć, czy czegoś nie wiem, na przykład jakie masz plany.*

*Rozmowa była trochę napięta. Chyba podejrzewał, że coś ukrywam - jakbym wiedziała więcej, niż wiem. Co mogłam mu powiedzieć? Musi odchodzić od zmysłów ze zmartwienia. Czy to jakaś opóźniona forma depresji poporodowej? Dlaczego nie wrócisz i nie doprowadzisz się do porządku? Mogłabyś brać tabletki. Sarita ode mnie z pracy bierze coś z serotoniną i to działa. Co prawda poci się w nocy i wygląda trochę jak odurzona, ale częściej się uśmiecha. Nina, muszę przyznać; że czuję się częściowo odpowiedzialna za ten galimatias, bo to ja wymyśliłam, że Ben może pozować. Zadzwoń, proszę.*

*Buziaki, Eliza*

*PS Mam wyrzuty sumienia, że nie wspierałam Cię, kiedy tu jeszcze byłaś. Byłam przejęta tą sprawą z Dale'em. Cóż, to już skończone. Mówi, że chce kogoś takiego jak ja - zabawnego, seksownego, inteligentnego. Tylko młod-*

*szego. Sama jestem sobie winna, że wplątałam się głupio w romans z młodszym mężczyzną. W moim wieku.*

Z dachu dochodzi stukot dachówek, na co stopy Bena podskakują do góry, uderzając w kuchenny stół. Siedzi na moich kolanach, je na śniadanie kawałki tarty truskawkowej. Ktoś jest na dachu - moim dachu! - i kradnie przewody.

Wybiegam szybko na dwór, ciągnąc ze sobą Bena, którego policzki są wypchane breją z tarty, i patrzę w górę.

- Cześć - mówi Christophe. - Widziałem, że jesteś zajęta. Nie chciałem przeszkadzać. Ale może lepiej przestaw swój samochód.

- Co robisz?! - krzyczę do góry.

- A jak myślisz? Naprawiam dach.

- Nie trzeba go naprawiać - mówię ostro. Ben wpatruje się w górę, zlizując truskawkowy glut ze swojego kciuka.

- Przecież przecieka - mówi Christophe.

- Tylko kiedy pada.

Jakby epizodu z dachem było jeszcze mało, pojawia się kilka godzin później i rzuca na kuchenny stół wyświechtany pomarańczowy plecak wypełniony zimowymi ubraniami: mój sweter turkusowy, który teraz pachnie lawendą, do tego trzy ogromne wełniane swetrzyska wciągane przez głowę i jeden na guzki, w różnych odcieniach szarości, pachnące obcym, męskim zapachem.

- Co to za swetry?- pytam.

- Dla ciebie. Jeśli zamierzasz tu zostać na zimę, będziesz potrzebować cieplejszych ubrań.

- Mam ciepłe ubrania - mówię rozdrażniona. O co chodzi z tą rodziną i ich potrzebą, żeby mnie karmić i odziewać?

- To pulower- wyjaśnia, jakbym nie była zdolna przypomnieć sobie nazw podstawowych elementów garderoby. - Włóż dzisiaj coś cieplejszego. Zabieram was na łódkę.

Ben podciąga się na uchwytych od kuchennego kredensu. Christophe bierze go za ręce. Ben niepewnie stoi. Christophe cofa się, Ben idzie za nim,

kroczkami nowicjusza. Chłopcy w wieku Christophe'a nie wiedzą, co się robi z niemowlakami. Przestanie się nim interesować, Ben przewróci się do tyłu. Czaszka niemowlęcia kontra kamienna podłoga kuchni. Szaleńcza jazda do Chatillon, Pielęgniarka, która pyta: „Co pani z nim robiła? Gdzie jest ojciec tego dziecka?”.

- Ostrożnie - mówię. - Nie umie chodzić. Christophe mnie ignoruje.

- Przebierz się. Przyniosłem jedzenie... - mówi.

- Nie – odpowiadam. - Jest grudzień. Zamarzniemy.

Pod Benem nóżki się uginają, ale mały nadal zadziera głowę, szukając u Christophe'a aprobaty. Przypominam sobie ostatni rozdział *Opieki nad niemowlęciem: Nie bój się pozwalać swojemu dziecku na przeżywanie nowych doświadczeń. Badanie świata ma zasadnicze znaczenie dla jego rozwoju i zrozumienia otaczającej go rzeczywistości.*

- Gdzie jest ta łódka? - pytam.

Łódka jest niedaleko Hotel Beauville, przy zakolu rzeki. Brzegi są zarośnięte nasiąkniętymi deszczówką chwastami opadającymi leniwie do wody. W szopie na łódki panuje zapach rozmokłego drewna. Stawiam wózek w wąskim przejściu, upewniając się, że jest odpowiednio zabezpieczony na wypadek deszczu.

Christophe wkłada Benowi maleńką kamizelkę ratunkową, którą zapina na rzepy i sprzączki. Wchodzi do łódki. To zwykła łódź wiosłowa w błyszczącym kolorze toffi; łódź, która drży, kiedy tylko na nią patrzysz.

Przysuwa się i sięga po Bena, którego przytrzymuje pod pachą. Potem podaje mi rękę w wełnianej rękawiczce. Pomaga mi wejść na łódkę, jakbym była staruszką. Nie jestem zbyt mocna, jeśli chodzi o łódki. Wystarczy przypomnieć sobie tamten incydent na promie: wymiotowałam, kiedy morze było spokojne jak szklanka wody. Jeśli chodzi o małą łódkę, najmniejszy ruch, zmiana ułożenia nóg czy nawet mrugnięcie sprawia, że już nią rzuca. Christophe podaje mi Bena. Chwytam syna, uświadamiając sobie, że mocno zaciskam szczęki.

Ben siedzi czujny i prosty jak struna. Co przeraża niemowlęta? Wydaje się, że niewiele. Przygląda się uważnie, jak Christophe odwiązuje linę i łapie za wiosła, i już płyniemy, a Ben obserwuje każde uderzenie wiosła, myśląc pewnie, że jego ojciec został zastąpiony przez młodszego, kochającego wodę model z bródką.

Podążamy leniwymi zakolami rzeki. Christophe milczy. Ben ma rację, nie ma się czego bać, kiedy tak sobie płyniemy, zostawiając w tyle wieś. Zauważam poważny zegarek, który się mi przypatruje, i naciągam rękaw swetra za nadgarstek.

Zatrzymujemy się przy drewnianym palu, żeby zacumować łódkę. Christophe wysiada i bierze ode mnie Bena. Jesteśmy na małym poletku ogrodzonym przez niesforne żywopłoty. Stoi tu stara kamienna szopa, tak rozklekotana, że ostry podmuch wiatru mógłby ją rozwalić. Ben raczkuje przez pole, a jego odziana w kombinezon pupa kołysze się nad trawą. Christophe wynosi z szopy naręczę suchego drewna. Błysk zapalki. Sadowimy się wokół ogniska. Ben otwiera posłusznie usta, kiedy Christophe podaje mu kawałki jedzenia. Jego oczy rozszerzają się w świetle płomieni. *Wykorzystuj każdą sposobność, żeby stymulować zmysły swojego dziecka. Pozwól mu sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy woda przepływa między palcami, obserwować tańczące płomienie ognia.*

Czyli co, *Opieko nad niemowlęciem*, według ciebie to w porządku? Że pielucha mojego syna, głęboko schowana w kombinezonie, nie była zmieniana od paru godzin? Że pochłania jedzenie dostarczone przez tego chłopaka będącego zastępczym męskim wzorcem, czyli głównie herbatniki? Jak mi idzie, zgodnie z twoimi regułami dla młodych matek?

- Po pewnym czasie już się tego nie zauważa - mówi Christophe.

- Czego? - pytam.

- Kołysania łodzi. Następnym razem nie będziesz nawet o tym myśleć.

- Nie myślałam o tym. Wiesz, nawet mi się podobało.

-I nie wymiotowałam - mówi.

Ben przelewa się sennie w moich ramionach. Musimy wracać do domu, choć wcale nie chcę.



- Powinnam wracać - mówię.

- Do Anglii? - pyta.

Teraz się nad tym zastanawiam. Wracać? Do czego? Żeby naprawić wszystko z Jonathanem? Postąpić właściwie. Mamy młodą rodzinę (ale wielkie słowo - rodzina - jak na dwoje dorosłych, którzy do siebie nie pasują, i dziecko, zbyt małe, żeby wyrażać swoje opinie co do ustaleń dotyczących jego życia). Ale Jonathan zadzwonił tylko dwa razy, za każdym razem zostawiając krótką wiadomość. Nie widział, jak jego syn stoi na miękkich nóżkach. Pozycja pionowa: różnica jest ogromna. Ben nie jest już leżącym na wznak stworzeniem, które uderza rączką w stojaczek z zabawkami; jest chłopcem. A ja już nie drzę, kiedy zaczyna kwilić z głodu. Potrafię sobie z tym poradzić.

Jest już prawie ciemno, kiedy wiosłujemy z powrotem do szopy na łódki. Ben śpi, rozłożony na moich kolanach; nawet się nie wzdryga, kiedy przekładam go do wózka i jedziemy do domu. Zanoszę go do łóżka. Jego włosy są oblepione trawą i pachną dymem z ogniska. Kiedy schodzę na dół, Christophe rozbiera jego zagrodę z krzesel. Smród wymiocin już się ulotnił, pokój wygląda niemal normalnie.

- Nie musisz wracać - mówi Christophe. - Czy nie jesteś tu szczęśliwa? Benowi się nie podoba?

- To nie takie proste.

- Ale może być. Pomógłbym ci. Mogłabyś urządzić tu sobie dom.

Przez ułamek sekundy wydaje się to zupełnie sensownym pomysłem.

Z wielu powodów nie powinnam spać z Christophe'em. Przede wszystkim: ma czelność zakładać, że zostaje na noc, po tym jak narażał na szwank nasze zdrowie na łódce. Tak jakbym tego chciała. Z kimś, kto jest nawet jeszcze bliżej dzieciństwa niż Dale (i proszę, co tam się stało!). Myśli, że jestem zdesperowana? Albo że go potrzebuję do różnych prac, jak naprawianie dachu czy sprzątanie wymiocin, dlatego też należy mu się jakaś zapłata?

Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Mniej niż nic, o czym moglibyśmy ze sobą rozmawiać. Nic nie robił, nigdzie nie był. Owszem, był w Londynie, no ale czym się tam zajmował? Popracował trochę tu, trochę tam, generalnie się obijał. Czasy, kiedy mogłam się obijać, są dla mnie tak odległe, że nawet gdybym miała taką szansę, nie mogłabym sobie przypomnieć, jak to się robi.

Istnieje jeszcze więcej powodów, żeby unikać intymnego fizycznego kontaktu z aroganckim, niedojrzałym (choć niezaprzeczalnie atrakcyjnym) szczeniakiem:

Jestem matką.

On mieszka ze swoją matką. Jest dzieckiem. Mam Jonathana (tak jakby). Pamiętam grupę Haircut 100. Jego hormony buzują. Pachnie młodością.

Prawdopodobnie waży mniej od mojego jednego uda.

I - a to najbardziej mnie martwi z tego wszystkiego - co będzie, jeśli ze chce rozmawiać o francuskim popie?

Rozlega się niecierpliwe walenie do drzwi. Jest tak ciemno, że nie widzę własnej dłoni. Wyskakuję z łóżka, zabierając ze sobą satynową pikowaną narzutę, którą zarzucam sobie na ramiona, i schodzę po omacku na dół.

Znowu walenie. Zapalam światło i uchylam lekko drzwi, ale listonosz udaje, że nie zauważył. Stoi profilem, a jego oddech unosi się w postaci białych chmurek. Deszcz, który spadł zeszłej nocy, zamienił ziemię w breję. Otwieram drzwi na całą szerokość; czuję się głupio w mojej pelerynie.

Podaje mi paczkę. Żeby ją odebrać, muszę wystawić rękę spod narzuty, a potrzebne są mi obie, żeby ze mnie nie spadła.

Wskazuję ruchem głowy na ziemię. Listonosz kładzie przesyłkę i kręci głową. Szalona turystka. I nawet nieubrana.

Przesyłka zawiera świąteczny prezent opakowany w gustowny papier bez Mikołajów: srebrne gwiazdki na liliowym tle, do tego taki sam bilecik: **Nina, jak to zobaczyłam, pomyślałam o Tobie. Uściski, Beth.**

Jest to książka *Zacznij rozmawiać, zacznij kochać*. Na okładce znajduje się zakreślony rysunek pary. On ma komiksową, kwadratową szczękę. Jej rzęsy są pociągająco zawinięte. Siedzą do siebie tyłem, z założonymi rękami. On się znowu spóźnił, psując kolejną kolację. A może tylko zobaczył swojego syna w reklamie przed filmem w kinie.

Po lewej stronie z tyłu okładki znajduje się zdjęcie autorki: ma na sobie kremowy moherowy sweter, a na jej ustach maluje się dodający otuchy uśmiech. Rozdział pierwszy rozpoczyna się od kilku pytań:

Czy podnosisz głos, jeśli chcesz, żeby cię słuchano? Czy twój partner krzyczy, żeby przyciągnąć twoją uwagę? Czy kłóciecie się w publicznych miejscach? Czy bez końca wałkujecie te same stare nieporozumienia?

Nie, nie, nie, nie.

*Moje gratulacje!* - zachwyca się Moherowa Dama. *Porozumiewacie się bez uciekania się do krzyku czy kłótni. Mimo to wszyscy możemy skorzystać na szlifowaniu swoich umiejętności mówienia i słuchania. Dzięki ćwiczeniom z tej książki staniecie się sobie jeszcze bliżsi jako para.*

Przede mną pojawia się Christophe, rozcierając przedramiona, gdzie wyskoczyła gęsia skórka. Wokół bioder ma zawiązany niczym sarong harcerski koc. Ponad nim widać zebra.

Zamykam frontowe drzwi i wrzucam książkę do wiklinowego kosza na śmieci.

- Wracaj do łóżka - mówi.

Ben i ja spędzimy Wigilię w Hotel Beauville, gdzie rodzina Sylvie będzie celebrować swój świąteczny posiłek. Nie ma żadnego formalnego zaproszenia, tylko założenie, że tam będziemy. Sylvie bardzo przygotowuje się na ten wielki dzień. Obrębione zasłony zostały udekorowane ozdobnymi wstążkami. Jodła skrzy się bielą i srebrem, bogato obwieszona szklanymi świecidełkami. Zniszczone wysokie krzesło zostało przyozdobione błyszczącymi szyszkami jodłowymi, złączonymi w łańcuch, co wygląda jak złoty pasek od szlafroka. Sylvie jest zadyszana, podszczypuje i poklepuje, rozdziela zadania pomiędzy Nadine i Christophe'a, ale nie pozwala, żebym w czymś pomogła.

- Jesteś naszym gościem - przypomina mi. - Dla ciebie nie ma nic do roboty, nic.

Tak więc siedzę przycupnięta na sofie, racząc się słodkimi bezalkoholowymi drinkami i miękkimi, okrągłymi babeczkami. Ben podciąga się, przytrzymując sofę i fotel, i skubie pluszowe zabawki. Zastanawiam się, czy woli Hotel Beauville od domu moich rodziców. Nie ma tam żadnych zabawek, oprócz prezentów, które czekają na święta. Od tygodni nie pokazywałam mu żadnej książki z obrazkami. Ale ile stymulujących bodźców potrzebuje dziecko? Ben może cały ranek walić we wgnieciony rondel drewnianą łyżką. W dawnych czasach nikt nie przejmował się stymulowaniem dzieci. Od trzeciego do jedenastego roku życia całe dnie bujałam się na bramie. I zobaczcie tylko, jak świetnie sobie radzę.

Teraz mam dwa domy, jak osoba z wyższych sfer: jeden pełen ludzi i brzęku naczyń, i drugi, w którym śpię. Prawie codziennie wpada Christophe, przynosząc w darze jedzenie, wino lub swoje ciało. Jednego ranka zjawił się z ciężarówką zrobioną z czerwonych i żółtych puszek po oleju kuchennym. Zabawka ma niewątpliwy rustykalny urok, ale jest strasznie niebezpieczna ze swoimi postrzępionymi brzegami, mogącymi odciąć niemowlęciu rękę. Widzicie? Nie wie nic o dzieciach. Dziękuję mu i odstawiam ciężarówkę wysoko na półkę regału, razem z innymi świątecznymi prezentami.

Pijemy dość wina, żeby rzeczywistość była zamazana. Zastanawiam się, czy służyć Christophe'owi jako ktoś, z kim może poćwiczyć seks, dzięki

czemu będzie mieć doświadczenie, kiedy znajdzie sobie prawdziwą dziewczynę. Z jakiego innego powodu by tu był? Jestem stara. Zużyta. Zniekształcona po porodzie. Ciągłe jeszcze nie zdobyłam się na to, żeby obejrzeć siebie tam na dole, bojąc się tego, co znajdę.

Ben śpi na dużym łóżku, zabezpieczony ze wszystkich stron poduszkami. My wymykamy się do małego pokoju, gdzie ogrzewamy siebie nawzajem pod zieloną satyną i cętkowanym szarym kocem. Nie wygląda to tak, jakby ćwiczył. Nie wiem, jak to wygląda, bo nie mogę myśleć. Kiedy budzę się, przykryta przez harcerski koc, gapi się na mnie jedna z odznak.

Dzwoni moja matka z przeprosinami, że nie wysłała Benowi w porę świątecznego prezentu.

- Wygląda jak nowy, choć coś jest nie tak z klaksonem. -Dalej wyszczególnia swoje wymagania co do zaopatrzenia lodówki w związku z jej noworoczną wizytą: - Nie zapominaj, żadnego nabiału ani glutenu. Czerwone mięso zakazane, Ashley nie jest też zachwycony kurczakami, więc lepiej pozostanę przy rybach. Upewnij się, że są świeże. - Według Ashleya leczenie mojej matki dotarło do rozstrzygającego etapu. Majają zrezygnować z oczyszczania zatoru w jej mózgu.

- Z rybami może być problem - mówię jej. - Jesteśmy dość daleko od wybrzeża, mamo.

Pociąga nosem do słuchawki i mówi:

- Twój tata i ja nigdy nie mamy problemów z zaopatrywaniem się w świeże produkty.

- Mamo - wzdycham - jesteś pewna co do tej podróży? Co będzie, jeśli spadnie śnieg? Możecie utknąć tu na wiele dni, może nawet tygodni.

- Ale z ciebie pesymistka - beszta mnie. - A nawet jeśli utkniemy, to co? To cudowne miejsce. Pomyślałam, że będziesz zadowolona. Sama w domu z dzieckiem. Co robisz przez cały dzień?

Każdego ranka Christophe budzi się przede mną. Ciepła dłoń na moim brzuchu, piersiach lub udzie. Zachowujemy się cicho jak myszki, miękka platanina ciał pod opadającym na nas pochyłym sufitem.

Ben śpi po lunchu. Drzemki są bardzo ważne dla niemowlęcia. *Kiedy twoje dziecko skończy dziewięć miesięcy, prawdopodobnie będzie spać w ciągu dnia przez dwie godziny, może nawet więcej. Wykorzystaj ten czas. To dla ciebie okazja, żebyś i ty się zdrzemnęła, dzięki czemu będziesz czuć się wypoczęta, kiedy twoje dziecko się obudzi.*

Poznajemy nowe sztuczki. Po porządnym lunchu bogatym w węglowodany, plus pełna butla ciepłego mleka, Ben będzie spał aż do czwartej. My w tym czasie wmykamy się do małego pokoju, gdzie ściągamy poważny zegarek i zamykam go w szufladzie, nie dbając o to, że zmierzam do piekła.

Wigilia. Stół Sylvie ugina się pod obfitością perłowych świec, parujących półmisek i gigantycznego stroika z suszonych kwiatów wetkniętych w srebrną gąbczastą kopułę. Sylvie ma na sobie czarną jedwabną sukienkę w miedziane listki. Nadine jest ubrana w swoje zwykłe swetrzysko, Obie są przegrzane w wyniku jedzenia, mówienia i częstego kursowania do kuchni. Christophe je zupełnie spokojnie, jakby to był codzienny posiłek.

Talerze zostają usunięte, żeby zrobić miejsce na prezenty. Sylvie dostaje opiekacz takich rozmiarów, że nadawałby się dla olbrzymów.

- Można opiekąć w nim mięso - wyjaśnia Nadine. Kiwam głową jakbym miała dokładnie coś takiego w domu.

Sylvie wręcza mi małą paczuszkę - perfumy nieznannej mi marki w butelczce ze szkła rżniętego z połączoną zatyczką. Całuję ją, ocierając się twarzą o jej spryskane lakierem loki. Przyniosłam ciasto w kształcie wulkanu, obsypane orzechami i kandyzowanymi owocami, co wygląda jak lawa. Jej wdzięczność jest przesadna, biorąc pod uwagę rodzaj podarunku.

Muszę jeszcze znaleźć coś w miarę odpowiedniego dla Christophe'a. Ostatnio, kiedy byłam ciągle zajęta w tym małym pokoju, nie miałam okazji wyskoczyć do Châtillon. Ciągle jeszcze nie odwiedziłam Musée Archéologique.

Napchałam się, ale nadal jestem głodna. To mi się często zdarza. Wszystkie moje dzinsy jakby się skurczyły. Sylvie kroi mi kawał wulkanicznego ciasta, a potem nagle składa dłonie w delikatnym kłaśnięciu. Unosi kieliszek.



- Nina - mówi - witaj w naszej rodzinie.

Zdaje się, że znalazłam sobie nową matkę. I nie tylko.

Jonathan nie dzwoni. Pewnie jest z Constance, posłusznie wcinając jej specjały z mięsa mielonego. Dwudziestego szóstego grudnia dzwonię do Beth, pod pretekstem złożenia jej świątecznych życzeń.

-Nina! - wykrzykuje z udawaną wesołością. - Dostałaś książkę? Mam nadzieję, że nie poczułaś się urażona. Pomyślałam tylko, że skoro siedzisz tam, z dala od wszystkiego.

- Masz rację, tu nie ma księgarni - mówię.

- Ile jeszcze zamierzasz to ciągnąć? Myślałam wczoraj o tobie, jak siedzisz w tej ponurej chałupie. Sama, bez...

- Mam Bena - przerywam jej. Słysząc szelest, jakby owijała coś folią. - Widziałaś Jonathana? - pytam pogodnie.

- Hm, niech pomyślę... to chyba było tydzień temu, kiedy Jonathan wpadł do nas na kolację, co, Matthew? Od tamtej pory jestem zajęta. Są u nas moi rodzice, chcieli, żebyśmy przyjechali do nich na święta. Strasznie się dąsali. Ale kto chciałby utknąć na wsi? Gdyby napadało dużo śniegu, byłibyśmy tam uwięzieni.

- Jak Jonathan sobie radzi?

- Radzi? - skrzypi. - Ma się dobrze, biorąc pod uwagę, z czym się boryka.

- Nie mam żadnych wieści... - Co spodziewam się usłyszeć?

- Och, Jana, przypilnuj Maud z tym sokiem jabłkowym! -krzyczy Beth.

- Jana?

- Nowa au pair. Czeszka. Ma okropne doświadczenia ze swoją poprzednią rodziną, uważa nasz dom za prawdziwy pałac.

- Co się stało z Rosie? - pytam.

Rozlega się trzaśnięcie, jakby drzwiczek od piekarnika.

- Nie wypaliło. Tak to już jest z tymi dziewczynami. Musisz ich dużo wypróbować, zanim znajdziesz odpowiednią au pair.

- Jaka jest Jana?

- Pracowita. W ciągłym ruchu. Nie jest może najpiękniejszą dziewczyną na Ziemi, ale dla Maudie nie ma to znaczenia.

Zabieram Bena i Christophe'a do Chatillon. Kupujemy wszystkie pozycje z listy podyktowanej przez moją matkę. W czasie ich pobytu lodówka będzie pękać od świeżych produktów. Mama nie chce, żeby brak tolerancji organizmu na jakieś jedzenie zepsuł jej wakacje.

Na kuchennym stole będzie stał duży półmisek z owocami. Jabłka będą błyszczeć. Ja będę miała przez cały czas szminkę na ustach i zadbane paznokcie. Ben będzie paradować w stylu retro - prosty strój składający się z czarnego pulovera i kraciastych spodni. Musi to wywrzeć na nich wrażenie, prawda?

Christophe jest rozbawiony moim spisem, często poprawianym i upstrzonym znakami zapytania, gwiazdkami oraz rysunkami dziewczynek o napiętych twarzach.

- Czy twoi rodzice są... trudni? - pyta.

Patrzę na niego z ukosa. Mógłby być moim synem, którego podrzucam do jego dziewczyny. Smukłej dziewczyny w białym staniku w rozmiarze 32A, bez rozlewającego się tłuszczu pod pachami.

- Z tego, że chcesz zrobić wrażenie na swoich rodzicach, nigdy się nie wyrasta - mówię.

Nie ma żadnych zmarszczek, nawet kiedy się śmieje. Twarz gładka jak u niemowlaka. Matka pierze mu ubranie, podaje jedzenie. Nawet nie potrafi prowadzić samochodu.

Bierze płytę CD z tablicy rozdzielczej. To ta soulowa składanka od Elizy. Na okładce jest zbliżenie lśniących ust czarnej dziewczyny. Wkłada płytę do odtwarzacza.

*Teraz, kiedy odeszłaś, Została mi tylko złota wstążka. Po snach, które śniłem, Została tylko złota wstążka.*

Patrzę, co to za utwór: Temptations. *Ball of Confusion*. Christophe dotyka mojego uda. Ściskam mocno kierownicę, wpatrując się w przednią szybę, którą zaczynają bombardować krople deszczu. Kolejna piosenka: Jackson Five *I Want You Back*.

Wyłączam odtwarzacz.

- Hej, Nina, co jest? - pyta Christophe, zabierając dłoń z mojej nogi.
- Nie mam nastroju na muzykę - mówię.

Trzydziesty grudnia. Spadł śnieg, akurat na przyjazd moich rodziców. Drzwi frontowe otwierają się ciężko, zamiatając łuk na warstwie bieli. Ben wychodzi chwiejnie na dwór; za jedną rękę trzymam goja, za drugą Christophe. Pod pokrywą ze śnieżnej kołdry rysuje się kształt samochodu.

- Odśnieżają drogę do Chatillon? - pytam.
- Może skończą przed wieczorem. Ale jak spadnie więcej śniegu...
- Nigdy tu nie dojadą.
- Powinniśmy odgarnąć śnieg - mówi. - Jeśli uda im się tu dotrzeć, nie mogą zostawić samochodu na ulicy.

Spędzamy poranek na robieniu dróżki od domu do ulicy, obserwowani przez Bena, który siedzi prosto na pupie. Zlizuje płatki śniegu z grubych, granatowych jednopalczastych rękawiczek. Świeży śnieg przykleja się do jego włosów jak maleńkie piórka. W domu tłoczmy się przy kominku, opatuleni kocami; trzy twarze, tak jak sobie wyobrażałam tę scenę, po tym jak urodzę Bena na poboczu. Tyle tylko, że jedna z tych twarzy powinna należeć do ojca dziecka. To, co robię, jest złe. Gdyby wiedziała o tym Moherowa Dama, wkroczyłaby tu ze swoim poradnikiem, żeby dać mi klapsa.

Jemy lunch i przygotowujemy dom na przyjęcie rodziców. Przeczesałem wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu rzeczy Christophe'a: na fotelu leżą jego kosmate skarpety, w łazience jest jego miętowa pasta do zębów, a na półce przy łóżku kondomy.

Ben zasypia ze smoczkiem w ustach. Zanoszę go na górę, układam w łóżku. Kiedy wyglądam za okno, nie widać już ścieżki, którą zrobiliśmy.

Christophe się rozbiera. Ściągam z siebie dzinsy, sweter i bieliznę. Narzuca na nas przykrycie. Ma lodowate stopy, ale jego usta są ciepłe, a palce jeszcze cieplejsze. Długo później dociera cichy płacz Bena.

- Przyniosę go - mówi Christophe. Ale przesuwa się tylko po to, żeby mocniej do mnie przywrzeć.

- Powiedzieli, że będą na podwieczorek - denerwuję się. -Powinni już tu być do tej pory. Coś się stało.

Christophe naprawił światło przed domem i teraz przekopuje się w jego żółtawym blasku przez śnieg. Jakimś cudem pod plastikową pokrywę osłaniającą żarówkę dostały się owady i poniosły śmierć.

- Musieli się zatrzymać - mówi Christophe. - Spójrz, nadal pada. Przyjadą jutro.

Chcę, żeby przestał kopać; to zupełnie bez sensu. Mimo zimna jego czoło jest pokryte potem.

- Powinieneś iść - mówię mu. - Na wypadek gdyby się zjawili.

- Dlaczego? To jakiś problem, że tu jestem?

Nie rozumie tego, ale w sumie dlaczego miałby rozumieć? Nigdy nie musiał się borykać z cudzymi rodzicami. To przychodzi później, kiedy zyskujesz teściów. W pakiecie dostajesz również matkę, która tak naprawdę nie jest twoją matką.

- Co powiem, że kim jesteś? - pytam.

- Możesz powiedzieć, że jestem znajomym.

Jest wpół do dwunastej i nadal nie widać reflektorów zbliżających się w stronę domu. Kładę moją komórkę na popękanej drewnianej półce obok pojedynczego łóżka i obejmuję ramionami plecy Christophe'a. Telefon dzwoni jakiś czas później.

- Gdzie jesteście? - mówię szybko.

Słysząc czyjś oddech. W końcu odzywa się głos:

- Nina, to ja. - Nie mogę skojarzyć tego głosu. Męski głos, który powinienam znać. - Ona nie żyje.

Podnoszę się. Christophe przesuwa swoje kończyny, uświadamiając sobie, że nie jestem już do niego przytulona.

- Uważają, że to się stało wczoraj - ciągnie głos. Wydaje się spięty; ktoś ma kłopoty.

- Kto? - pytam. - Kto nie żyje? Kto mówi?

-Znaleźli ją w fotelu. Telewizor ryczał na cały regulator. Znaleźli ją ci świadkowie Jehowy. Zostawiła otwarte drzwi. Tak jak zawsze. A co jej ciągle powtarzam?

Spod przykryć wyłania się ręka Christophe'a, wyczuwając pustą przestrzeń.

- Wracam do domu.

- Nie ma takiej potrzeby - mówi Jonathan. - Pomyślałem tylko, że powinnaś wiedzieć.

Christophe siada, łapiąc mnie za rękę. Strząsam jego dłoń.

- Jak się czujesz? - pytam. Zamieniłam się w Moherową Dame.

- Chciałem tylko dać ci znać - powtarza.

- Jonathan, wracam do domu. Przecież będzie pogrzeb. Muszę. ..

- To nie ma znaczenia - mówi. - Będę tylko ja, Beth z Matthew, oczywiście, no i Billy, choć wolałbym, żeby trzymał się od tego z daleka, bo nie chcę, żeby wyciął.

- Muszę tam być - protestuję. Drży mi głos. Christophe wstaje, podnosząc zwinięte ubrania.

- Dlaczego? - pyta Jonathan. - Dlaczego musisz tam być?

- Bo jestem twoją...

- No kim?

Patrzę, jak Christophe przewraca swoje dzinsy na dobrą stronę. Wciąga je na siebie i zapina suwak.

- Ktoś tam jest? - pyta Jonathan.

- Oczywiście - odpowiadam. - Ben.

Christophe mówi, że nie mogę jechać. Nie w taki śnieg. Muszę myśleć o dziecku. Jest ciemno.

- Mam reflektory - przypominam mu.

- Wracaj do łóżka - mówi. - Porozmawiamy o tym jutro. Idzie do kuchni. Wygląda mniej świeżo na twarzy niż zwykle, jakby pokrywała go cienka warstwa farby w kolorze ochry. Żałuję, że tu nadal jest. Muszę się spakować: tylko niezbędne rzeczy, wystarczające na krótką podróż. Nie potrzebujemy dużo. Ubrania, butelki, mleko, pieluchy, nawilżające chusteczki, jedzenie w słoiczkach. Jakże łatwo jest spakować rzeczy dla dziecka - przychodzi mi to teraz naturalnie. Nie potrzebuję już listy z *Opieki nad niemowlęciem*. Ale rozprasza mnie Christophe, który krąży na bosaka po kuchni. Wrzuciłam nasze paszporty do torby z zasuwakiem i ulotniły się w jakiejś niewidocznej przegródce. Ma je Christophe. Otwiera mój na stronie ze zdjęciem. Myśli: Co się stało?

- Czuję się staro - mówię nagle.

- Ty to ty - mówi, wsuwając paszporty do zewnętrznej kieszeni torby, żeby łatwo je było znaleźć.

Idę na górę, żeby zabrać Bena z dużego łóżka. Jest zaskoczony nagłą zmianą temperatury, kiedy przypinam go pasami w samochodzie. Christophe patrzy za nami z otwartych drzwi. Mam na sobie jego sweter. Drapie mnie przy szyi i sięga do kolan, a łokcie się przetarły. Czuję się jak ptasie gniazdo, które powoli się rozpada.

Silnik warczy z irytacją, jakby zakłócono mu sen zimowy.

- A co z twoimi rodzicami? - pyta; teraz drży. - Co mam im powiedzieć?

- Po prostu powiedz, że jesteś znajomym.

Christophe zamyka drzwi. Ale najpierw krzyczy coś jeszcze, co brzmi jak:

- Myślałem, że z nim było już skończone.

Jakby wszystko było takie proste.

Christophe nie miał racji. Nocna jazda jest idealnym rozwiązaniem dla matki z małym dzieckiem. *Opieka nad niemowlęciem* zaleciłaby takie rozwiązanie, jeśli musisz odbyć długą, skomplikowaną podróż. Żadnych przystanków na karmienie czy przewijanie; żadnego Pajączka Incy Wincy na tapecie. Ben śpi przykryty pod szyją harcerskim kocem. Gdyby przypad-



kiem obudziły go światła stacji obsługi, mrużenie silnika ukołysze go na nowo do ciepłego stanu nieświadomości. Zatrzymuję się na kawę; zostawiam Bena w samochodzie i wpatruję się szeroko otwartymi oczami za szybę, kiedy obsługuje mnie dziewczyna ze stacji. Ma okrągłą, szklistą twarz, jak szklana kulka do gry, i nie może znaleźć wieczka do kubka.

Piję kawę w samochodzie. Prowadzę szybko i nieostrożnie. Gram w grę na wyzwania. Wyzywam cię, żebyś gwałtownie skręciła: co się stanie? Kiedyś grałam w to w odniesieniu do pociągów metra. Stań na peronie, palce stóp na krawędzi. Jedzie pociąg. Wyzywam cię.

Śnieg przyprószył szare pola. Ben otwiera i zaciska usta wokół niewidzialnego smoczka. Śni o mleku. Czasami mu zazdroszczę. Nie sprawia ludziom przykrości ani nie musi podejmować trudnych decyzji. Ma zapewnione jedzenie, ciepłe ubranie i kierowcę. Chcę być nim.

Łapiemy pierwszy prom. Bar wygląda, jakby odbywało się tu przyjęcie, z którego prawie wszyscy wyszli. Kobieta w czarnym kasku włosów zaznacza kielbaskowate kształty w literowej wykreślanie. Końcówka jej długopisu jest zupełnie zgryziona. Łysy mężczyzna śpi; od czasu do czasu podbródek opada mu na klatkę piersiową, po czym na nowo podskakuje. Kobieta za barem ma na głowie błyszczące różki. Stuka w sałatkę z szynką - najprostsze z proponowanych dań - i głośno ziewa, ukazując szare plomby.

Karmię Bena pomarańczową miazgą ze słoiczka. Wypycha ją z ust językiem. Odmawia też zjedzenia ciepłego *fromage fraise*. Zastanawiam się, czy nie dać mu suchego pieczywa, ale uświadamiam sobie, że to sztuczne bułki, pokryte warstwą lakieru.

*Odstępstwo od rutyny może rozstroić żywieniowe przyzwyczajenia twojego dziecka. Powinny zostać zachowane również zwykłe pory posiłków. Mądra podróżniczka pakuje ulubione jedzenie swojego dziecka do osobnej torby.*

Przewijam go na składanym stoliku w pokoju dla rodziców. Z kosza na pieluchy wydobywa się smród zgniłego mięsa. Ben tak się wierci, że jestem zmuszona dać mu mój poważny zegarek, żeby go oślinił, kiedy ja mu za-

kładam czystą pieluchę. Skrzeczy bezradnie, usiłując wyrwać się na moką podłogę.

Na ścianie wisi zdjęcie rodziny na promie. Rodzice mają zdrowy wygląd jak z reklamy pasy do zębów. Na rękach trzymają niemowlę i trochę starszego szkraba. Patrzą na morze, wskazując coś ręką. Zastanawiam się, czy są z agencji Little Lovelies. Tak samo jak pojedyncze niemowlęta i starsze dzieci, Lovely wynajmuje całe rodziny. Oczywiście wszyscy członkowie rodziny muszą zachwycać zdrowiem i witalnością. Kobieta nie może mieć piersi wyciągniętych jak uszy spaniela, a mężczyzna worków pod oczami. Przyglądam się mojej twarzy; śmiertelnie blada z ogromnymi porami. Jedno oko jest mniejsze od drugiego. Ale powiedzmy, że wyglądam inaczej - jestem delikatniejszej budowy, a na ramiona mam luźno zarzucony brzoskwiniowy pulower. Powiedzmy, że Jonathan bardziej przypomina modela z katalogu wysyłkowego - jest w typie Ranalda, z silną szczęką i dobrze się prezentuje z jedną ręką w kieszeni. Ciekawa jestem, jak by zareagował, gdybym zasugerowała, że powinniśmy zgłosić się do Little Lovelies jako cała rodzina.

Kiedy wracam do barku, kobieta w kasku włosów wpatruje się we mnie żarliwie.

- Lubi pani wykreślanki? - pyta. - Mam jeszcze jedną książeczkę w torbie.

- Nie, dziękuję. Brak mi do tego cierpliwości.

- Albo może pani wziąć tę. Jeśli woli pani rozwiązywać krzyżówki.

- Nie, proszę ją zatrzymać.

Szczerzy zęby w uśmiechu jak wilk. W miejscu jednego kła ziejie złowieszcza dziura.

- Będę pisać moje noworoczne postanowienia - mówi, wyciągając z kieszeni kurtki notes w czarnej okładce z imitacji skóry.

- Robię to co roku. Pić więcej wody. Rozsądniej zarządzać pieniędzmi. Korzystać ze schodów zamiast windy. I jeszcze inne, poważniejsze sprawy.

- Jej oczy świdrują mnie jak wiertło dentystyczne. - Jestem spirytystką-oświadczają. - Pani też, wiem to. Pani wierzy w karmę. Wszystko zatacza pełne koło. Robi pani jakieś postanowienia noworoczne?

- To co zwykle - mówię. - Bardziej się starać.

Ben wita ojczyznę, wyrzucając z siebie falę pomarańczowej brei. Śmierdzi kwasem żołądkowym i zalewa sweter Christophe'a. Zachwiał mu się cały rozkład dnia. Teraz popłakuje za mlekiem, ale planowo butelkę powinien dostać dopiero po lunchu. Poddaję się, mając nadzieję, że nie zwymiotuje potem w samochodzie, który jest zaśmiecony polistyrenowymi kubkami po kawie i zatłuszczonymi celofanowymi opakowaniami, w których kryją się okruchy. Śmierdzi jak kosz na śmieci. Zastanawiam się, co zrobi z tym Jonathan i czy policzy mi za czyszczenie.

Jego matka nie żyje. Oczywiście nie będzie się przejmował samochodem.

Naciskam ponownie dzwonek, tym razem dłużej. W końcu rozlega się tępy zgrzyt klucza. Skóra Elizy jest mocno napięta na kościach policzkowych.

- Mogę zostać? - pytam.

Obejmuje mnie cienkimi jak słomki rękami.

- Szczęśliwego Nowego Roku - mówi w moją szyję.

Popołudnie spędzam w półśnie. Eliza jest na tyle miła, żeby odstąpić mi prawdziwe łóżko, nie to nadmuchiwane. Przynosi mi kubek z herbatą. Od czasu do czasu drzwi otwierają się ze skrzypem i Eliza zagląda do mnie. Ale nie otwieram oczu. Czuję zapach tego kremu, który nakłada sobie na szyję.

Daje z siebie wszystko, jeśli chodzi o Bena, biorąc pod uwagę, że obchodzi się z niemowlakami, jakby mogły się rozerwać.

- Nie dotykaj tego - słyszę, jak mówi. - Ostrożnie, Ben. Zostawmy ten korkociąg w spokoju. - Rozlega się głuchy dźwięk, jakby z półki zjechał stos czasopism. Eliza wydaje z siebie jęk i znowu skrzypią drzwi, kiedy sprawdza, czy śpię.

Nie mam pojęcia, która jest godzina. Na moim nadgarstku nie ma już zegarka od Jonathana. Jeśli zostawiłam go na promie, czy ktoś go znalazł?

Może ma go ta dziewczyna z różkami i spogląda na niego za każdym razem, kiedy stuka w zamówienie. To był drogi przedślubny prezent. Zorientowałam się po pudełku.

Kiedy wyłamiam się z sypialni Elizy, okazuje się, że nie wydarzyło się nic strasznego. Ben nie wygląda, jakby cierpiał głód, i jest ubrany w czysty pajacyk, choć oczywiście Eliza miała problem z zapięciami. Nie mam ochoty rozpocząć podsumowania zeszłego miesiąca, więc zamiast tego pytam:

- Co tak naprawdę stało się z Dalem?

- Oczekiwał ode mnie, że będę się nim zajmować - Eliza wzrusza ramionami. Gotować obiady i takie tam. Kiedy podał mi swój brudny talerz, zapytałam: „Jestem twoją matką, czy co?”. A on tylko spojrział na mnie w dziwny sposób.

Wrzuca klapki do otwartego pudełka. Salon sprawia wrażenie, jakby dopiero się wprowadziła albo przygotowywała się do pospiesznego opuszczenia mieszkania. W kątach stoją kartonowe pudła, częściowo wypełnione uszkodzonymi abażurami i niezidentyfikowanymi częściami garderoby. Jedno zawiera niepełne kolekcje talerzy w kształcie liści sałaty i asymetrycznych kapeluszy.

- Co z tym robisz? - pytam.

- Szykuję dla organizacji dobroczynnej. Oczyszczam przestrzeń, mam już dość gratów. Jak coś chcesz, weź sobie.

Czy tak właśnie spędziła sylwestra? Ładując rzeczy do pudeł? Włosy ma upięte nieporządnie do góry, szyję dłuższą i cieńszą niż to zapamiętałam. Wygląda na wyczerpaną. Siedzi nerwowo na sofie, jakby obicie było pokryte kawałkami szkła.

- Bawiłaś się gdzieś zeszłej nocy? Ktoś robił imprezę? - pytam.

Patrzy na mnie, mrugając oczami.

- Ciekawy sweter.

Patrzę w dół. Jeden rękaw mam zapaćkany zwróconą pomarańczową papką.

- Nie jest mój. Należy do...

- Widziałam się z Jonathanem - mówi. Nie jest dla mnie jasne, czy to znaczy, że się z nim spotkała, czy widziała go przelotnie na ulicy. - Dzwonił do mnie - ciągnie. - To było dziwne, za pierwszym razem. Zawsze był...

- Nie wie, co o tobie myśleć.

- Zrobiło się to dosyć regularne. Pytał o ciebie, Bena i takie tam, choć nigdy nie miałam mu zbyt dużo do powiedzenia.

Zastanawiam się, co dać Benowi na lunch i czy gdzieś w kuchni dalej można znaleźć prastare bułeczki.

- Potrzebował przyjaciela - mówi Eliza.

- To naturalne.

-I chce, żebym przyszła na pogrzeb.

- Super! - mówię kpiąco.

- Przykro mi, Nina, ale on nie chce tam ciebie.

- Tak, wiem. Dał mi to zupełnie jasno do zrozumienia.

- Na porysowanej ławie leży stos nieotwartej poczty, przypuszczalnie kartki świąteczne. Układam je w porządną kupkę, żeby się czymś zająć.

- Więc dlaczego przyjechałaś? - pyta Eliza.

- Pomyślałam, że może mnie potrzebować - mówię.

Constance jest chowana na rozległym cmentarzu z szarymi żwirowymi alejkami pomiędzy rzędami grobów. Dostrzegam Beth, która przytrzymuje jedną ręką swój granatowy słomkowy kapelusz, żeby nie odfrunął. Zamieniła plecaczek z królikiem na czarną torebkę starej kobiety. Matthew ma na sobie garnitur a la businessmen i wpatruje się w żwir. Czerń garnituru Billy'ego podkreśla błysk bananowej koszuli. Billy pali papierosa i rozgląda się po grobach, jakby wybrał się na zwiedzanie.

Tam, skąd stoję (kamienna szopa zasłana mokrymi opakowaniami po rybie z frytkami) mogę przyglądać się Elizie w jej wąskiej czarnej spódnicy i zakiecie wykończonym futrem, a może piórami. Ma wyeksponowane nogi i niewygodne buty na wysokim obcasie, w których jest tak chwiejna, jakby miała się przewrócić. Jonathan ma złożone ręce, jakby się modlił, ale pew-

nie się rozgrzewa. Kiedy opuszczają trumnę, Eliza obejmuje go ramieniem, jak zrobiłby to każdy przyjaciel.

Mieszkanie Jonathana wygląda jak hotelowy apartament; brakuje tylko przyczepionej do drzwi informacji zawierającej instrukcją postępowania w razie pożaru. Jonathan nagle wykazuje niezwykle zainteresowanie swoimi skórkami od paznokci.

Zjawiłam się bez wcześniejszej telefonicznej zapowiedzi. Jonathan wziął Bena w ramiona, ale na mnie nawet nie spojrzał.

- To jak to wszystko załatwimy? - pyta teraz. Zastanawiam się, jakie są opcje. - Jeśli masz jakieś problemy - ciągnie - możesz zostać tutaj. Dopóki nie postanowimy, co z tym wszystkim zrobić. Ja wyniosę się do Billy'ego.

- Nie musisz tego robić - protestuję. - Będzie nam dobrze u Elizy.

Rzuca mi szybkie spojrzenie. Ben stoi przy sofie, a jego buciki ślizgają się na wypolerowanej podłodze. Martwię się moim oddechem. Nie minęła nawet godzina, a w wyniku mojej obecności już pomięły się poduszki i pojawił się smród psiej kupy. Wyglądam, jakbym pracowała w kopalni.

Jonathan chwyta rękę Bena, namawiając go, by trochę pochodził, ale Ben nie jest jeszcze gotowy, żeby obejść się bez pomocy rąk dorosłych czy sofy. Wyje oburzony, wyciągając do mnie rączki, przewraca się do tyłu i uderza głową o drewnianą podłogę.- Jonathan trzyma go na rękach, wycierając mu łzy wierzchem dłoni, ale Ben przestaje płakać, dopiero kiedy jest z powrotem w moich ramionach.

Eliza buszuje po wyprzedazach, zostawiając na mojej głowie usunięcie niebezpiecznych przedmiotów i stworzenie w miarę przyjaznego dziecku otoczenia. Christophe dzwoni, żeby zdać raport, że moi rodzice są cali i zdrowi pomimo drobnego wypadku spowodowanego przez mamę, której śniło się, że jadą pod prąd jednokierunkową ulicą, i wrzeszczała tak głośno, że aż mój ociec wjechał w drewnianą szopę pełną kurczaków.

Cieszę się, że Elizy nie ma. Nie mam ochoty wyjaśniać, kto to jest Christophe.



- Co mama powiedziała na temat naszego powrotu do Londynu? - pytam go.

- Powiedziała, że zawsze uciekasz. Narzekała, że zabrałaś jej ulubiony koc. Czy ona ma bardzo słabą pamięć? Nie może zapamiętać mojego imienia. Nazywa mnie „majster”. Mówi: „Majster to zrobi”. Kazała mi wyczyścić komin. Mówi, że muszę przynieść bardzo długą szczotkę.

- Nie słuchaj jej - mówię.

- I chce, żebym znalazł jej coś w Châtillon, jakąś wielką pigułę na czoło...

- Chodzi o jej zator. -Jaki zator?

- W mózgu - wyjaśniam.

Oczyszczam wannę Elizy z wilgotnych myjek i szczoteczek do paznokci, na których osadziła się szara maź. Mijają całe wieki, zanim wanna się napelni wodą, co daje mi czas na zajrzenie do łazienkowej szafki. Pełno w niej zniekształconych tubek i słoiczków bez pokrywek. Choć napływa do niej niekończący się strumień balsamów i różnych innych mazideł, Eliza jest wierna kremowi z minerałami z Morza Martwego. Zauważam nierozpakowany komplet błyszczących lakierów do paznokci z Châtillon i tampony, takie jakich kiedyś używałam.

No właśnie. Używałam.

Otwieram moją kosmetyczkę i wyjmuję perfumy od Sylvie. Są w kolorze bursztynu w buteleczce ze szkła rżniętego. Woda w wannie nie jest dość gorąca. Jak zawsze u Elizy. Jedynym sposobem na przeżycie gorącej kąpieli jest napełnienie wanny wodą na wysokość niecałych dziesięciu centymetrów, która pluska żałośnie wokół twoich ud.

Wpatruję się w tampony. Jak mnie mama uświadomiła w sprawie miesiączki?

- Podpaski znajdziesz na dole w mojej szafie - powiedziała, stojąc do mnie tyłem.

Nie wiedziałam, co to podpaski. Kojarzyło mi się to z opaską do włosów.

- Jak długo ma się okres? - zapytałam.

- Kończy się po czterdziestce albo po pięćdziesiątce. Potem jest menopaauza i wszystko wysycha.

Wyobrażałam sobie całe dziesięciolecia krwawej powodzi bez chwili przerwy.

Słyszę, jak wchodzi Eliza. O podłogę głucho uderzają torby z zakupami.

- Wszystko w porządku?! - woła Eliza, wystawiając głowę zza drzwi. Zauważa otwartą szafkę. - Czestuj się wszystkim - mówi, wracając z filiżanką herbaty, która smakuje zlewem. Patrzy na mnie, na brzuch matki, który wygląda, jakby uszła z niego większość powietrza. - Coś nie tak? - pyta.

Tampony opierają się niebezpiecznie o odżywkę do włosów, która odżywia od środka. Zastanawiam się, jak to działa, jak dociera prosto do wnętrza twoich włosów.

- Ty wiesz, prawda? - dociera do mnie jej głos.

Moje ciało może mnie nabierać. Wszystko zatacza pełne koło, jak powiedziała kobieta z promu. Wypadłam z mojej normalnej rutyny. To trochę przerażające, jak wtedy, kiedy wychodzisz z delikatesów z brązową torbą wykwintnego orzechowego chleba i uświadamiasz sobie, że wózek z twoim dzieckiem nadal stoi przy stoisku z salami.

Eliza odgarnia włosy z twarzy. Nie może na mnie patrzeć.

- Potrzebował kogoś - mówi.

Woda jest teraz zdecydowanie za zimna, pomijając ciepłą kałużę w miejscu, gdzie kapie z kurka od gorącej wody. Wychodzę z wanny i owijam się ręcznikiem, który ma zapach grzybów.

- To był tylko jeden raz - mówi Eliza.

Dzwoni Christophe, który chce się podzielić fantastycznymi wieściami - zlokalizował źródło darmowego drewna na opał. Jego ojciec rozstał się z fryzjerką, a ona porąbała siekierą zbudowany przez niego płot. Drewno zostało złożone w salonie domu moich rodziców do wysuszenia. Matka wie-sza na nim pranie. Zaangażowała Christophe'a do odśnieżania i wysłała do Chatillon po siemię lniane, które Ashley zalecił jej włączyć do diety.

- Jest dość drewna, że wystarczy do wiosny - mówi Christophe. - Kiedy wracasz?

Beth robi miniaturowe torciki, każdy oddzielnie ozdabiając fantazyjnymi wzorkami z różowego lukru. Jana upiekła podkład biszkoptowy i teraz szoruje podłogę, która się przy tej okazji zachlapała. Z wysiłku aż stęka. Beth mówi, że na tym polega cała sztuczka, jeśli chodzi o radzenie sobie z au pair: nie należy się przejmować tym, że będzie musiała spełniać cięższe obowiązki. Jana myje okna, czyści fugi, nawet naprawiła zawór w spłuczce. Beth dzięki temu może się zabawiać na przykład zdobieniem jedzenia.

- Zakładam, że zatrzymałaś się u Elizy tylko chwilowo - mówi. - To nie w porządku, czyż nie? Jesteście rodzicami Bena. Należycie do siebie. Bóg raczy wiedzieć, jakiego rodzaju wiadomość wyślesz dziecku.

Ben jest przypięty do wysokiego krzesła Maud i wpycha palce do wypełnionego lukrem kieliszka do jajek. O ile wiem, nie jest świadomy żadnych negatywnych wiadomości. Jego zęby są zabarwione na różowo. Maud nie może jeść z nim: sam cukier. Trzeba myśleć o szkliwie. Beth zdążyła już wyjaśnić Janie kilka podstawowych zasad - jak na przykład, proszę, nie kupuj więcej żelkowych wężyków. Praktycznie czuć od nich na odległość E-dodatki.

Palce Beth są poplamione borówkami, co wygląda, jakby paliła jasnoczerwone papierosy.

- Po tym wszystkim będziecie mocniejsi jako para - mówi. - Potraktuj to jak doświadczenie, z którego wyciągasz wnioski. Tak właśnie zrobiliśmy ja i Matthew. Mieliśmy swoje problemy.

Jana patrzy na nią oczami jak księżycy i przemieszcza się do góry prasowania. Na szczycie stosu leżą szykowne bokserki Matthew, oczekując, żeby się nimi zajęła.

- Wszystko da się rozwiązać - dodaje lakonicznie Beth. - Przeczytałaś książkę, którą ci wysłałam? Jest o komunikowaniu się. Na tym właśnie jesteśmy skupieni. Rozmowa, wyrażanie swoich potrzeb. Nawet staramy się o dziecko. Podchodzimy do tego bardzo poważnie, biorąc pod uwagę, ile czasu nam to zabrało poprzednim razem. Realizujemy nasz program co

drugi dzień, żeby Matthew miał dzień przerwy na... no wiesz, uzupełnienie zapasów.

Jana teraz pochyła się nad bokserkami w pingwiny.

- Nie możemy doczekać się seksu - dodaje Beth.

Jest mi niedobrze. Może to przez ten różowy lukier. Moje zęby są tak lepkie, jakby potrzebowały czyszczenia pod ciśnieniem.

- Oczywiście chcemy mieć dziewczynkę, siostrę dla Maud -ciągnie. - Nie wydaje mi się, żebym mogła sobie poradzić z chłopcem. - Patrzy na Bena, którego język jest czerwony jak barwnik z koszenili. - Wybacz - mówi.

Robię test ciąży wy, który, jak można było przewidzieć, zabarwia się na niebiesko, i spotykam się z doktor McKenzie, która za pomocą płaskiego plastikowego kółka z różnymi wyliczeniami określa termin porodu na koniec lipca. Doktor McKenzie ma szerokie policzki i dodające otuchy piegi. Siedzę na czerwonym jutowym krześle; nie chcę stąd wychodzić. Gabinet pachnie mokrym tynkiem. Ben szpera w pudełku ze zmalretowanymi plastikowymi zabawkami, przeciskając rękę przez okno piętrowego autobusu.

- Czyli to już pewne - mówię.

- Oczywiście. Jesteś prawie w czternastym tygodniu. Nie zauważyłaś żadnych objawów?

- Wyjeżdżałam. Myślałam, że to zwykłe zaburzenia cyklu. -Doktor McKenzie nie ma serca, żeby mnie wyrzucić, choć czeka mnóstwo pacjentów, którzy chcą jej pokazać swoje tajemnicze guzki i zagrzybione paznokcie u nóg. - Mdłości ustąpią -dodaje. - Wkrótce poczujesz się lepiej.

- Super - mówię, przyosięta do jutowego krzesła.

Eliza przygotowuje się do podróży. Leci na Kretę, gdzie na wynajętej łodzi modelki będą udawać, że trzymają rumpel i naciągają żagle. Ciągłe wisi na telefonie, sprzecząc się z fotografem. Hector jest wschodzącą gwiazdą, bardzo despotyczną, co aż promieniuje z telefonu.

- Nie chcę brać Mimi - ciska się Eliza. - Blondynka, aż za bardzo, sprawia tanie wrażenie. Mam zaklepaną Jade. Nie jest już zawodową modelką, jest artystką. Możemy mówić o szczęściu, że ją mamy.

Głos Hectora brzęczy jak monety w puszcze. Cały ten wysiłek i zamieszanie tylko po to, żeby wypełnić siedem stron magazynu, który zostanie wciśnięty pod rozklekotane nogi łóżka. Nie widzę w tym sensu. Eliza chyba też nie. Ma zmęczone usta i szare cienie pod oczami.

- Nie może zmieniać zdania, -jeśli tylko ma taki kaprys - narzeka.

Podejrzewam, że ten mały dramat jest jej na rękę. Jest o czym mówić i nie wspomina się o niczym innym.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu Eliza chowa się w swoim pokoju i zamyka drzwi. Kiedy się wyłania, żeby wziąć z łazienki krem, uśmiecha się z obawą jak złodziejka sklepowa. Zastaję ją, jak siedzi po turecku na swoim łóżku, przyglądając się zdjęciu Mimi: jasna, beztroska dziewczyna jak pianka na piwie.

- Może Hector ma rację - mówi. - Moglibyśmy przetestować ją w ciągu tygodnia, dać jej szansę. Jest lalkowata, ale moglibyśmy zrobić to wszystko w trochę ironicznej konwencji.

Zwijam się w kłębek na jej łóżku i kartkujemy razem zdjęcia modelek, jak za dawnych czasów, obie udając, że Eliza nie uprawiała seksu z ojcem mojego dziecka.

Znowu jestem u doktor McKenzie, ale tym razem z powodu Bena, który rzezi i jest zasmarkany. Zastanawiam się, czy ma z tym coś wspólnego mieszkanie Elizy. Akcja oczyszczania przestrzeni nabrała rozpędu. Pudła z niechcianymi rzeczami są zgromadzone w moim pokoju, zasłaniając dwie trzecie okna. Eliza wróciła z Grecji lekko przypieczona i z wielką determinacją, żeby zaprowadzić porządek. Stawiła czoło przerażającemu wnętrzu swojej szafki w łazience, ciskając zaschnięte tubki do worka na śmieci. Rzuciła mi niebieską buteleczkę perfum, mówiąc, że to nie był jej zapach. Okazało się, że to butelka z wystawy, napełniona wodą.

Doktor McKenzie patrzy na mnie uważnie swoimi zielonymi oczami, kiedy opowiadam jej o problemach oddechowych Bena.

- Nie sądzę, żeby był astmatykiem - mówi. - Złapał wirusa, to wszystko, i ma zapchane śluzem drogi oddechowe. - Wyobrażam sobie te drogi oddechowe jako wijące się kolorowe przewody w skrzynce bezpieczniko-

wej w Vanvey. - Przyjdź z nim znowu, jeśli tylko coś cię będzie niepokoić - mówi doktor McKenzie. - I mam nadzieję, że dbasz o siebie.

- Naturalnie - mówię, szczerząc zęby. - Nigdy nie czułam się lepiej.

Po opuszczeniu gabinetu idę do apteki, gdzie Ben kaszle jak najęty na gablotę ze szminkami, które nie były testowane na zwierzętach. Z apteki wychodzimy zaopatrzeni w syrop wykrztuśny i poradę od starszej pani kupującej wściekle czerwony róż - mam postawić w sypialni Bena miskę z gorącą wodą. Nie wspominam nic o tym, że Ben nie ma własnej sypialni i śpi przy chwiejnym stosie „Confetti”.

Kiedy wracam do Elizy, napełniam plastikową lekarską łyżeczkę do kreski oznaczającej połowę. Ben mocno zaciska buzię. Rozwieram mu usta jedną ręką w drugiej trzymam pewnie łyżkę, a między kolanami ściskam butelkę. Ben przewraca się do tyłu, a łyżka strzela syropem na sweter Christophe'a. Ben wrzeszczy, przerażony, że matka chce mu zrobić coś strasznego. Upuściłam butelkę. Syrop tworzy na dywanie lepka kałużę, która nie wsiąka, tylko utrzymuje się na powierzchni.

Opieram się o pusty karton, zastanawiając się, co Eliza planuje włożyć do środka. Pudełko jest otwarte, czeka na podjęcie decyzji. Tak to jest ze starymi rzeczami: co wyrzucić, a co dalej trzymać, na wypadek gdyby któregoś dnia miało ci się przydać. To jest najtrudniejsze.

Garie Bartholomew został przeniesiony do biura w Londynie. Unosi się wokół niego lekka aura smutku, jakby zmarło mu zwierzątko. Rozmawia przez telefon.



- Wybacz, ale wyśmieją tę ofertę. Mają wielu zainteresowanych. Mówimy o najlepszej państwowej szkole średniej w okręgu wyborczym.

Patrzy na mnie, pocierając spalony słońcem nos. Jego oczy otaczają owale po narciarskich goglach.

- Pani... - zaczyna, przypominając sobie jak się nazywam.

- Nina - mówię. - Pokazywałeś mi... nam pewien dom w...

- Cedrowy domek, zgadza się? Mamy o wiele więcej w ofercie i jeśli poczekaś chwileczkę... - Otwiera szufladę, przerzucając papiery. Jego garnitur błyszczy, jakby został lekko wysmarowany olejem. - Proszę - mówi, wręczając mi szczegółowe dane na temat współczesnego domu stylizowanego na zabytkowy, z greckimi kolumnami strzegącymi biało-złotych drzwi frontowych. - Niedawno zbudowany - mówi. - Wiem, że ty i twój... że szukaliście czegoś stylowego, racja? Cóż, nigdy byś nie zgadła, że to nowy dom. Jest osadzony w prawdziwej skale. Widzisz, jak solidnie to wygląda?

- Tak, jest solidny - potwierdzam.

- I nie jest to dom, który by spaskudził jakiś samozwańczy majsterklepka, więc nie trzeba będzie robić kompletnej renowacji. Po prostu dam ci numer do Tani, która ustawi oglądanie.

- Dzięki, ale szukam czegoś na miejscu. Garie odrywa kawałek skóry z nosa.

- Macie coś do wynajęcia? - pytam. - Z dwiema sypialniami, a nawet i jedną?

Garie mówi, że nie ma nic takiego, w każdym razie nic, co byśmy mogli brać pod uwagę.

- Zobaczę cokolwiek - mówię. - Cokolwiek macie.

Dzwoni Christophe, żeby poinformować, że dach już w ogóle nie przecieka, a kiedy tylko poprawi się pogoda, zlikwiduje ten nasyp za domem, co powinno rozwiązać problem wilgoci. Moi rodzice pojechali na południe, zmęczeni zimnem, zostawiając Christophe'owi długą listę rzeczy do zrobienia.

- Dzięki za ten dach - mówię.

- Jest gotowy dla ciebie - słyszę.

Mieszkanie znajduje się na środkowym piętrze bloku mieszkalnego, graniczącego z bazarem, na którym sprzedają warzywa, owoce i tanie artykuły gospodarstwa domowego w plastikowych koszykach. Garie otwiera drzwi, ale wydaje się, że nie ma ochoty wejść do środka. Wygląda spodnie, przygląda się wnętrzu swoich dłoni. Wszystkie pomieszczenia są beżowe, z wyjątkiem łazienki, która jest w kolorze kremowej żółci.

- Mieszkanie nie jest jeszcze gotowe do wynajęcia - wyjaśnia Garie od progu. - Właściciel musiał wyjechać w pośpiechu. Miał jakieś problemy emocjonalne. - Kuchnia jest długa i wąska, z popękkanymi pomarańczowymi szafkami; panuje w niej zapach starego sosu. - Właściciel chce je odświeżyć przed wynajęciem - dodaje Garie.

- Kiedy to mieszkanie będzie dostępne?

- Może w kwietniu. - Wzrusza ramionami. - Zostaw mi swój numer. Dam znać, kiedy będzie w lepszym stanie.

Drzwi z jednego końca salonu wychodzą na balkon, gdzie stoi stara mikrofalówka, po której kuśtyka kulawy gołąb.

- Możesz otworzyć te drzwi? - pytam.

Garie wzdycha, spogląda na zegarek. Wychodzę na balkon i przyglądam się zaniedbanym tarasom dachowym. Kiedy wracam do środka, łapię go na tym, że patrzy na mój brzuch. Jego kształt sugeruje, że w środku jest jakaś istota, która się niecierpliwie rozpycha.

- Potrzebne mi mieszkanie od zaraz - wyjaśniam. - Wezmę je w takim stanie, jak jest teraz.

Odrywa wzrok od mojego brzucha.

- Oczywiście twój partner będzie chciał je zobaczyć.

- Nie mam partnera.

Wygląda na zirytowanego, jakby do tej pory zmarnował już dość czasu. Mógłby pokazywać miłym parom poważne domy z oszklonymi werandami, pomieszczeniami gospodarczymi i specjalnymi przybudówkami dla au pair.

- Ale myślałem, że chodzi ci o coś bardziej w wiejskim stylu - mówi. Jego wzrok pada na mój tani czerwony zegarek, który kupiłam na straganie.

- Nie - mówię. - Nigdy nie chciałam mieszkać na wsi.

Rzeźenie ustępuje i Ben z nową energią zwiedza nieznane terytorium. Raczkuje w zawrotnym tempie, wykazując obsesyjną miłość do balkonu. Dzwoni Jonathan, trochę bardziej przyjazny, i proponuje mi stare łóżko Constance.

- Jest porządne - mówi - dobrze wykonane, choć będziesz potrzebować nowego materaca. Wynajmę furgonetkę i je przywiozę.

Tłumaczę mu, że nie zmieści się na schody, potem kupuję nowe łóżko, które trzeba samodzielnie zmontować, łącząc listwy jakimś sznurem. Materac stoi oparty o ścianę sypialni. Facet, który go dostarczał, musiał przeciągnąć go przez wszystkie zakręty klatki schodowej i rozdarł plastikowy pokrowiec.

Jonathan powiedział, żebym wzięła, co tylko potrzebuję z naszego wspólnego gospodarstwa domowego. Zamiast tego załatwiłam sobie pożyczkę z banku, blefując, że niedługo zaczną napływać przelewy za moje zlecenia wolnego strzelca.

Kupiłam także stół do samodzielnego montażu z rozkładanymi dodatkowymi blatami, przenośny telewizor i szafkę na sprzęt stereo, którego jeszcze nie mam. Różowy dywan w salonie jest zasłany instrukcjami. Żeby od tego uciec, wychodzę po banany, a wtedy spotykam Kobieta Filc, która transportuje swojego syna w nosidełku na plecach. Maszeruje przez ulicę w stronę na targ, zatrzymując samochód rozpostartymi rękami.

- Słyszałam o tobie i Jonathanie, przykro mi - zaczyna, łapiąc śliwkę ze straganu.

- Jak tam filc? - pytam szybko.

- Odeszłam od filcu. Nadal pracuję w papierze. I robię butelkowe drzewo. Butelkom odcina się denka i nakłada się je na gałęzie drzewa. - Sprzedawca owoców przesuwa ręcznie napisaną informację w bardziej widoczne miejsce. Jest na niej napisane PROSZĘ NIE ŚCISKAĆ owoców. - Mogę liczyć na ciebie w sprawie akcji CWOK? - pyta Kobieta Filc.

- A z czym to się wiąże?

- Ja, Beth i pozostałe spotykamy się o szóstej rano co niedzielę. Będziesz potrzebować kredy. Dzielimy się na grupy. Zaznaczamy kółkiem każdą

psią kupę, jaką znajdziemy, i piszemy To JEST OBRZYDLIWE. Pomysł polega na tym, żeby ich zawstydzić.

- Nie sądzę...

- Przyłącz się. Potrzebujemy jak najwięcej ludzi. Mieszkasz tu w okolicy?

Wskazuję budynek, który spina placyk z bazarem jak wielka klamra.

- Boże! - mówi Kobieta Filc.

Sześć ciężarnych kobiet układa niesprawne nogi na małych pufkach w salonie Jennifer, nauczycielki szkoły rodzenia, która pali lawendowe świece, żeby stworzyć atmosferę sprzyjającą relaksowi. Jest też czterech mężczyzn; wszyscy udają, że czują się swobodnie. Kobieta z ogromnym jak balon brzuchem mówi, że spodziewa się bliźniaków.

- Moja siostra ma bliźnięta - mówi Jennifer. - Teraz to już nastolatki. Są aktorkami. Wiecie, jest duży popyt na bliźnięta. Reżyserzy je lubią, bo jeśli jedna jest zmęczona albo ma wolne, mogą sprowadzić drugą. Bliźnięta bardzo dobrze się sprzedają.

- To raczej nie nasza bajka - śmieje się kobieta. Facet o przygnębionym wyrazie twarzy wisi nad nią jak peleryna.

Ta sama kobieta siedzi obok mnie podczas przerwy na ziołową herbatę i pyta:

- Twój partner nie może przychodzić na zajęcia?

- Nie jesteśmy razem - mówię. Łapie się za swój brzuch i mówi:

- Przepraszam, a tak w ogóle może lepiej wracajmy do salonu na pogadankę na temat uśmierzania bólu.

- W porządku! - wołam za nią. - Już to przerabiałam. Później zauważam, że zajęła miejsce jak najdalej ode mnie, a kiedy napotykam jej spojrzenie, przekręca swoją obrączkę, jakby zakłopotana, że ma męża.

Nie jestem tu jedyną kobietą bez faceta. Ta druga ma szczelinę między zębami i dumny brzuch jak arbuz. Jest w pozycji na czworakach, z głową pochyloną do podłogi. Kiedy ją unosi, mówi:

- Cześć, Nina.

- Rosie! - To wszystko co jestem w stanie powiedzieć.

Dwie wiadomości.

Christophe donosi, że część dachówek zerwał wiatr i do małej sypialni nalało się deszczu. Łóżko jest całe nasiąknięte wodą. Nie ma nadziei na wysuszenie. Z automatycznej sekretarki sączy się rozczarowanie.

Beth drżącym głosem pyta, czy mogę w to uwierzyć: jasno określiła, że szuka niepalącej, ale coś wyczuła. Coś takiego wyczuje się na kilometr, jeśli nigdy w życiu nie miało się papierosa w ustach, prawda? Górna szuflada komody, przeznaczona na bieliznę, pełna niedopałków po papierosach Jany. Nic dziwnego, że kupowała płyny do płukania ust i miętówki. Maud paliła biernie od listopada. Bóg raczy wiedzieć, jaki to miało wpływ na jej układ oddechowy. Agencja przysłała im Szwajcarkę o imieniu Beatrice, która lubi zajęcia na świeżym powietrzu.

Kupuję ogromne puszki farby emulsyjnej i wkrótce wszystkie pomieszczenia są śnieżnobiałymi pudełkami, pomijając łazienkę, gdzie spod bieli wyłazi żółć. Ben budzi się i mruży oczy. Białe ściany sprawiają że różowy dywan z salonu okazuje się nagle brudny, więc biorę Bena i pukam do drzwi mieszkania na dole.

Kobieta, która tam mieszka, jest młodsza ode mnie i pachnie groszkiem. Włosy ma niedbale odgarnięte do tyłu.

- Właśnie się wprowadziłam na górę - wyjaśniam. - Nie mam jeszcze odkurzacza... nie było okazji...

- Naturalnie - mówi. - Zaraz przyniosę.

Ma na imię Helen i opiekuje się gromadką maluchów w różnym wieku. Charlie, pięcioletni chłopiec, idzie za nią do mojego mieszkania. Wygląda na to, że to jej syn. Udaje, że pomaga nieść odkurzacza, ale tak naprawdę wali w guzik, którym wciąga się z powrotem kabel.

- Jesteś... sama? - pyta.

- Cóż, mam Bena.

- I jesteś...

- Tak. Termin mam wyznaczony na koniec lipca. Uśmiecha się życzliwie. Charlie wpatruje się w mój brzuch, jakby mógł się otworzyć i ukazać wirującą figurkę, jak z pozytywki.

Dzięki odkurzaczowi dywan zmienia barwę z przykurzonego na intensywny róż taniej szminki. Ktoś wali do drzwi z taką mocą, jakby zależało od tego jego życie. Zakładam, że to Helen, która chce odebrać odkurzacza, albo ktoś z góry, żeby się poskarżyć na hałas. Ale to Charlie. Nie wiem, czego chce. Jest mały jak na swój wiek. Nadgarstki ma chudziutkie jak patyczki. Wpuszczam go do środka, nie bardzo wiedząc, co dziecko w jego wieku lubi jeść i pić. Zastanawiam się, czy mógłby się pobawić stojaczkami z zabawkami.

- To twoje mieszkanie? - pyta. Mówi przesadnie głośno, pewnie dlatego, żeby było go słychać wśród innych dzieci.

- Tak jakby - mówię mu. - Mieszkam tu.

Krąży po salonie i przygląda się mikrofalówce na balkonie.

- Potrzebne ci to? - pyta.

- Nie, a co, chcesz?

- Będę trzymać w środku swoje rzeczy. Mogę wyjść na balkon?

Wpuszczam go na balkon; mam nadzieję, że nie myśli o robieniu kaskaderskich sztuczek na barierce.

- Jesteś zwiedziona?! - krzyczy z balkonu.

- Nie, nie jestem rozwiedziona.

- Czy twoje dziecko ma tatę?

- Tak - odpowiadam cierpliwie. - Po prostu z nami nie mieszka. - Mówię jak książka, która ma za zadanie pomóc dzieciom przejść przez trudne chwile: *Nie widuję często tatusia, ale to nic.*

Charlie już mnie nie słucha. Wrócił z balkonu, włączył telewizor i śmieje się radośnie, kiedy kreskówkowa dziewczynka z rudymi warkoczami tłucze chłopca swoim tornistrem.

Jonathan chce formalnie uzgodnić różne sprawy. Wisi nade mną, kiedy kąpię Bena, przyglądając się, jak opłukuję pulchne nóżki jaskraworóżową gąbką. Jest zbyt uprzejmy, żeby skomentować moje licze zdolności malarzkie.

W salonie jest Charlie; robi miksturę, mieszając chrupki kukurydziane z sosem pomidorowym i mlekiem. Jada zdumiewające mieszaniny pokar-



mów z różnych grup. Czasami zjawia się i mówi, że potrzebuje zimnej zupy groszkowej z szynką i majonezem. Przyłapuję go na zanurzaniu surowych marchewek w drożdżach. Zawsze coś żuje lub chrupie. Jego przednie zęby próchnieją przy dziąsłach. Zachowuje się, jakby był w ciąży.

Powinniśmy z Jonathanem dyskutować nad ustaleniami, ale on wpatruje się w mój nadgarstek, zastanawiając się, dlaczego noszę to czerwone bandziewie ze straganu zamiast zegarka od niego. Trudno rozmawiać przy Charliem, który hałasuje metalową łyżką.

- Musimy ustalić jakiś system - szepcze Jonathan.

- Po co? Możesz widywać się z Benem, kiedy tylko chcesz. Usta drgają mu w rozdrażnieniu.

- Wolę, żeby wszystko było bardziej zorganizowane.

- Może byś go brał na weekendy? - Tak naprawdę wcale tego nie chcę. Nie chcę, żeby moje weekendy były puste, bez Bena.

- To może być trudne, gdyby Ben miał zostawać na noc. Mieszka u mnie Billy. Trochę mu odbija. Wyszedł do fryzjera, potem na szybkiego drinka, a w następnej chwili miał już płukanie żołądka.

Wyciągam Bena z wanny i owijam go w ręcznik z kapturem. Zastanawiam się, czy Jonathan naprawdę przejmuje się Billym. Ktoś, komu można gotować. Inna osoba w domu.

Kiedy ubieram Bena w pidżamę, Jonathan ogląda stare gniazdko i przypatruje się odpływowi w kuchennym zlewie, jakby oczekiwał, że wystrzeli z niego coś obrzydliwego. Przyniósł moją pocztę. Właściwie to jedna przesyłka jest zaadresowana do Bena, z wypisanym na granatowo nadawcą: Little Lovelies. W środku jest czek za udział Bena w reklamówkach. Jestem zdumiona sumą. Jonathan wyrywa mi czek z palców.

- Odłożę to na jego rachunek oszczędnościowy. - Zupełnie jakbym zamierzała roztrwonić wszystko na luksusowe kremy nawilżające ze złotymi drobkami. - Będą jeszcze jakieś pieniądze? - pyta.

- Nie. Skończyliśmy z tym. A poza tym wyrzucili nas z agencji.

Charlie unosi wzrok, oblizując groźnie łyżkę. Jonathan wycofuje się chwiejnie.

- Przeżywasz trudne chwile - syczy przy drzwiach. - Ta ciąża. Zachowujesz się, jakby to wszystko było normalne.

Wiosna zjawia się na *prima aprilis*. Jednego dnia mam na sobie wielki sweter Christophe'a, a następnego pocę się w moim różowym rozpinanym sweterku, w biurze wyszminkowanej kobiety z nosem jak dziób i australijskim akcentem. Catherine rozkręca nowe czasopismo. Eliza mnie jej poleciła. Może chciała w ten sposób zrehabilitować się za incydent z Jonathanem? Jednak bardziej prawdopodobne, że uznała, iż powinnam częściej przebywać poza domem.

- Nie będziemy zajmować się tym starym badziewiem dotyczącym związków - mówi zjadliwie zza swojego pustego biurka. - Nasze czytelniczki są bardzo inteligentne. Nie obchodzi ich wyłącznie zadowalanie mężczyzn. - Nie chcę jej wytykać, że na razie nie ma jeszcze żadnych czytelników. Catherine mówi, że ma dwa wolne miejsca w dziale reportaży.

Źle mnie zrozumiała. Nie mogę podjąć tej pracy. Nie teraz. Robię wdych z nadzieją, że nie patrzy poniżej mojej szyi.

- Szukam pracy jako wolny strzelec - wyjaśniam.

- W porządku, masz jakieś pomysły?

- Mogę coś wymyślić i ci przesłać. Widzisz, przez jakiś czas nie było mnie w kraju.

Dzięki temu wydaję się bardziej interesująca. Ona zapewne myśli o Los Angeles czy Nowym Jorku, nie o jakiejś zapadłej wsi we wschodniej Francji.

- Podoba mi się, jak piszesz - oświadcza. - Tandetny chłam, ale z pazurem i zabawny. Zadzwoń do ciebie.

Przed powrotem do domu zapuszczam się do Hamleya w poszukiwaniu stymulującej zabawki dla jednolatka. Jutro Ben ma urodziny. Maud już obchodziła swoje, jest jeden krok do przodu, w każdym znaczeniu. Beth odnowiła swój stary dom dla lalek, wymieniając wyposażenie z lat siedemdziesiątych na bardziej proste, w skandynawskim stylu. Właściwie zrobiła to Beatrice, ta Szwajcarka. Zdomowiła się u nich bez problemów. Beth mówi, że jest bardzo zręczna.

Trwa wiosenna obniżka. W Hamleyu pełno jest spoconych rodziców, kupujących przecenionego Action Mana z warczącymi psami husky. Kobieta z oczkiem w rajstopach goni córkę po ruchomych schodach. Pomarszczony chłopiec o wyzywającym spojrzeniu zadziera świetlnym mieczem moją spódnicę. Wychodzę stamtąd bez żadnego prezentu, pocieszając się, że roczne dziecko nie rozumie jeszcze znaczenia urodzin. Jak długo będzie mi to uchodziło na sucho? Żadnego prezentu od matki i niewielki kontakt z tatą. W którym momencie dziecko zaczyna się domagać własnego Action Mana z psem zaprzęgowym i dorosłego faceta na co dzień?

Kiedy odbieram Bena od Helen, jest pochłonięty wspaniałą zabawą, która polega na psuciu wież zbudowanych przez Charliego z klocków lego. Tata Charliego, rozłożony na sofie, je curry z chlebkiem naan. Uśmiecha się do mnie znad widelca. Jest starszy i pulchniejszy od Helen; wygląda, jakby potrzebował dźwigu, żeby podnieść się z sofy.

Charlie przeżuwa pakorę i dekoruje kwadratowy biały tort czerwonym lukrem z wyciskarki.

- Rysuję czołg - mówi, ale wygląda to jak odcisk kanapki z dżemem.

W moim mieszkaniu jest za gorąco. Otwieram drzwi na balkon i pozwalam Charliemu wyjść pobawić się mikrofalówką. Przyniósł tort i srebrne serpentyny, którymi dekoruje mosiężne kinkiety o rurkowatych szklanych kloszach.

Jonathan zjawia się dokładnie o czternastej z płaską niebieską paczką. Jego jabłko Adama wygląda na zmartwione. Razem z Helen przynosimy na stół jedzenie z kuchni: kanapki z jajkiem i majonezem, herbatnikowe zwierzątka oblane z jednej strony czekoladą, tort Charliego. Otwieram drzwi na balkon, żeby wypuścić zapach jajek. Jonathan bawi się z Benem na podłodze, pokazując mu drewniane puzzle, które przyniósł. To arka Noego. Jonathan wyjmuje zwierzęta i rozsiada się wygodnie, pewnie oczekując, że Ben powkłada je w odpowiednie miejsca. Ben wgryza się w drewnianą zębę. Jonathan wyrywa mu ją z ust i Ben zaczyna płakać. Jonathan patrzy na tort, mrugając oczami.

Zjawia się Beth z Maud i Beatrice, która nosi włosy upięte na bok dziewczęcą spinką.

- Chce pani, żebym zajęła się muzyką i gramy? - pyta głośno Beatrice. Trzyma przenośny odtwarzacz CD.

Nikt nie wydaje się tym szczególnie zainteresowany. Charlie zdejmuje pastę jajeczną z kanapek i smaruje nią czekoladowe herbatniki. Inne starsze dzieci - troskliwie zorganizowane przez Helen, żeby nie było pusto - domagają się od jednej dziewczynki, żeby nosiła je na barana; dziewczynka jest mniej więcej w wieku Charliego, ale wygląda, jakby została zbudowana w stoczni.

- Potrzebna nam muzyka - mówi Beatrice, uśmiechając się jak dyrektorka szkoły.

Mam tylko jedną płytę CD: soulową składankę od Elizy. Moje ulubione płyty nadal są u Jonathana. Beatrice włącza *Sex Machine* Jamesa Browna. Dziewczynka ze stoczni chichocze.

- Może nie będziemy słuchać muzyki - mówię.

Przyjęcie zdaje się ciągnąć całą wieczność. Co jakiś czas chodzę do toalety, żeby dyskretnie sprawdzić na moim tanim zegarku, która godzina.

- Okropność, prawda? - mówi ze współczuciem Beth, przyłapując mnie, jak wymykam się z łazienki.

- Tak? Zdaje się, że dzieci dobrze się bawią

Starsze dzieciaki okładają się nawzajem balonami. Dziewczynka ze stoczni pomalowała swój balon, który teraz wygląda jak diabeł.

- Chodziło mi o to, że ciągle trzeba chodzić do toalety - mówi Beth. - To parcie na pęcherz. W którym już jesteś tygodniu?

- Straciłam rachubę. Myślę, że dwie trzecie ciąży mam już za sobą.

Beth patrzy na mnie dziwnie i oddala się, żeby odciągnąć Maud od tortu. Geniusz z Bethnal Green chodzi już od dawna. Prawdopodobnie jest najmłodszym piechurem, jaki kiedykolwiek pojawił się na świecie. Ben na razie w dalszym ciągu tylko stoi; zdaje mi się, że trwa to już całe stulecie. Gdybym przykładała większą wagę do jego diety, teraz brałby udział w minimaratonach.

Wszyscy oprócz Jonathana wychodzą gromadnie punkt czwarta, robiąc taką wrzawę, jakby mieszkanie się paliło. Pomimo wysiłków Beatrice, żeby jakoś to wszystko ogarnąć, pokój jest zdewastowany. Jonathan wpatruje się w różowy dywan, gdzie leżą rozrzucone zwierzęta z arki Noego.

- Jak możesz żyć w takim miejscu? - pyta. - Ktoś zwymiotował na schodach, widziałaś?

- To nie wymiociny. Charlie robił miksturę. Musiała się wywrócić, kiedy...

- A ten dzieciak - mówi. - On jest jakiś hiperaktywny czy co?

- Jest po prostu chłopcem.

- Czyjego matka nie zwraca uwagi na to, co on je? Praktycznie zjadł wszystkie herbatniki i rozłożył kanapki na części pierwsze. Obserwowałem go. Czyjej to nie obchodzi? Nie nadzoruje syna?

Wreszcie zostaję sama z Benem. Mieszkanie robi się spokojne i niezwykle przestronne, jak pusty szkolny korytarz.

Puchnę. Jestem grubsza niż poprzednio; brzuch mi rośnie jak ciasto na pizzę, rozlewa się wokół mnie. Noszę czarne ogrodniczki ze sklepu z demobilem i ogromne białe figi, które nazywają się supermajtki. Jem pięć posiłków dziennie, wszystkie pozbawione dodatków smakowych, i budzę się kilka razy w nocy, żeby się wysikać. Z muszli wydobywa się dziwny grzmiący odgłos po każdym splukaniu. Benowi podobają się moje rozmiary. Rozciąga się na mnie, chwyta rączkami piersi i wyciera pot z mojej twarzy. Jest okropnie gorąco i praży takie słońce, po jakie Eliza jeździ na Antigę. Moi rodzice napisali, żeby poinformować, że nadal są w okręgu Roussillon i zakochali się w słodkim małym młynie, który mają nadzieję kupić, kiedy sfinalizują sprzedaż domu w Vanvey. Nabywcą jest miejscowa kobieta, której złożyli idealną ofertę, biorąc pod uwagę, że jej syn wykonał dużo prac związanych z renowacją. Ta kobieta - Sylvia, jak nazywa ją moja matka - zamierza zamienić chałupę w hotel.

*My też mogliśmy coś takiego zrobić - pisze moja matka - ale czy mieliśmy kogoś, żeby nam pomógł? Syn Sylvii, majster, jest takim pracowitym młodym człowiekiem. Nie takim tułaczem jak ty. Dużo o ciebie pytał, Nina. Był*

*ciekaw, czy wracasz. Kiedy mu powiedzieliśmy, że znalazłaś sobie mieszkanie w Londynie, wyglądał na zdenerwowanego, co było niezwykle, bo zawsze jest taki miły.*

Charlie lubi chodzić ze mną na zakupy. Pcha spacerówkę swoimi wątlami rękami, zbaczając niebezpiecznie blisko zakurzonych krawężników. Jest to okolica, jaką Carie określa mianem „rozwijającej się”. Mieszkają tu rodziny ze zdrowymi szczękami i dziećmi o imionach Hannah i Max. Otwarto wegańską knajpę i centrum jogi. Ale nadal jest tu trochę małych, zapyziałych sklepików, tajemniczych tureckich barów z niebieskimi światłami, mężczyzn, którzy wystają w drzwiach z papierosami, a także przerażający pub z mokrą podłogą, gdzie możesz stracić oczy za zamówienie lemoniady. Jednej nocy z pubu wytoczył się rozgniewany facet i darł się do domofonu, że wie, że tam jestem.

-I następnym razem pożałujesz, Shirley!

Charlie niesie moje zakupy na górę, mówiąc, że chciałby zjeść gotowane jajko, i pyta, czy mam jeszcze trochę marmolady z limonek. Nalewam mu soku pomarańczowego.

- Chcesz mieć jeszcze jedno dziecko? - zagaduje.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Moja mama ma w środku taką rzecz od lekarza i nie może mieć więcej dzieci. Nie wolno jej. Coś jest nie tak z jej krwią.

Pada na moją nową, obitą niebieskim sztruksem sofę. Zamówił ją Jonathan; upierał się, że muszę mieć coś do siedzenia. Pojawia się co kilka dni, żeby przeprowadzić inspekcję mieszkania, pobawić się puzzlami z Benem i ukradkiem rzucić parę spojrzeń na mój brzuch.

Moja córka rodzi się trzy tygodnie przed czasem, dwadzieścia siedem minut po drugiej w nocy. Tak bardzo pali się do przyjscia na świat, że już tu jest, w moich ramionach; mamy jedynie Helen do pomocy. Przyjeżdża położna i błyskawicznie zabierają mnie do szpitala, najwyraźniej w stanie szoku. Helen zgodziła się zaopiekować Benem. Mały obudzi się, nie wiedząc nic o nowej siostrze ani co się stało na dywanie w salonie, gdzie się



bawi swoimi zabawkami. Możesz załatwić mnóstwo spraw, kiedy twoje dziecko śpi.

Jonathan odwiedza mnie w szpitalu, żeby przypomnieć mi, że jestem w szoku, i przynosi Bena, który jest ubrany w sztywne ogrodniczki w szkocką kratę i ma równo przyciętą grzywkę. Ben próbuje włamać się i wejść do środka szafki przy łóżku, wyciągając czekoladowe herbatniki dostarczone przez Helen i książkę o radzeniu sobie z poporodową depresją bez przepisanym leków, prezent od Beth. Jonathan bierze córkę na ręce, ale kiedy mała zaczyna płakać, oddaje ją mnie. Siedzi przycupnięty na krawędzi mojego łóżka, jakby sprawdzał jego sprężystość.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Dobrze. Chcę wrócić do domu.

- Nie - mówi. - Możesz czuć się dobrze, ale tak nie jest. Hormony podnoszą ci nastrój, ale to chwilowe. Za dzień lub dwa się rozkleisz.

Ben płacze, kiedy Jonathan zabiera go z oddziału.

- Wracam do domu! - krzyczę za nimi.

Jestem u Jonathana i jest tak samo, tyle że jest jeszcze nowe dziecko, które miauczy cicho w nosidełku, i Billy, który nie miauczy. Billy dorobił się dodatkowej warstwy tłuszczu, upasiony przez Jonathana. Zmienił się; już jest mniej prawdopodobne, że obudzi się w Ongar i będzie się bawić z zabawkami.

Śpię z maleństwem w łóżku Jonathana. On sam śpi grzecznie na odległym brzeżku. Mógłby być na innym kontynencie. Kiedy mała się budzi, Jonathan przygląda się, jak ją karmię. Układa poduszki, żeby było mi wygodnie, i przynosi wodę z kuchni.

*Choć może nie ma odpowiedniego sprzętu, młody ojciec może wiele zrobić, żeby wesprzeć swoją karmiącą piersią partnerkę. Rano szepcze:*

- Nie martw się. Teraz, kiedy wróciłaś, Billy coś sobie znajdzie.

- Nina! Właśnie zestrzeliłem samolot. - Charlie bawi się na klatce schodowej, strzelając z niewidzialnej broni do rys na suficie. Zaczęły mu się wakacje i najwyraźniej zamierza spędzić te siedem tygodni, krążąc pomiędzy swoim mieszkaniem, gdzie znajduje się cała horda dzieci, a moim, gdzie jest tylko dwoje, z którymi łatwiej sobie poradzić. Cieszy się, że wróciłam. Brakowało mu zabaw z mikrofalówką. Wchodzi do środka i łapie Bena za rękę, z zamiarem zlokalizowania guzika, którym włącza się opcję „chodzenie”.

Dzwoni Catherine z informacją że wstępne badania wykazują iż potencjalni czytelnicy nie zachwycili się jej propozycją w postaci inteligentnych artykułów i politycznych analiz, wolą to samo stare, emocjonalne badziewie.

- Chcesz się w to bawić? - pyta zmęczonym głosem. - Myślmy o czymś takim: „Czy twój związek jest w stanie przetrwać romans?”. Wiesz, o co w tym biega. Znajdź jakiegoś psychologa, żeby ponudził coś na temat komunikacji, o dobrych rzeczach wynikających ze złych i takie tam bzdury.

- Catherine wypłaci mi astronomiczne honorarium, które zamieni się zgrabnie w zestaw stereo. Może nawet kupię kolejną płytę.

Charlie pomaga mi kąpać Bena, wrzucając do wanny plastikowe łódki. Łódki huśtają się w pianie Little Squirts. Kiedy Charlie wychodzi, karmię małą która zasypia, a ja wysmarowuję historię o romansie, nawet nie robiąc sobie przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

Moi rodzice zjawiają się z zaskakująco opalonymi twarzami i zestawem małego konstruktora, składającym się z rdzewiejących metalowych elementów; zabawka przeznaczona dla dziecka w wieku około dwunastu lat. Mama pokazuje mi zdjęcia starej, zniszczonej stodoły i mówi:

- Musisz przyjechać następnym razem, kiedy będziemy we młynie. Wymaga trochę pracy, trzeba przyznać, ale kryje w sobie ogromny potencjał i można by go przekształcić w... eee... prawda, Jack?

Tata trzyma małą w taki sposób, jakby była maleńkim ciasteczkiem z wróżbą, kryjącym w sobie przerażające przesłanie. Mama omiata wzrokiem plastikowe węgle elektrycznego kominka.

- Jesteś tu tylko tymczasowo, dopóki nie staniesz na nogi, tak?- pyta.

- Nie, ja tu mieszkam.

Charlie wchodzi bez pukania i staje jak wryty, kiedy napotyka sztruksy mojego ojca.

- Kiedy oni sobie pójda? - pyta.

Mama wpatruje się w zamknięte drzwi wejściowe jeszcze długo po jego wyjściu.

- Myślę, że możesz mieszkać z nami - wzdycha.

Polubiłam sprzątanie. Mieszkanie jest tak małe i jest w nim tak niewiele mrocznych zakamarków, że stało się to śmiesznie łatwe. Zrobiłam zapas środków czyszczących w sprayu i mam nawet odkurzacz ze specjalną końcówką do obić. Zamierzam w czasie sprzątania pomyśleć nad jakimiś pomysłami dla Catherine, ale kiedy kończę pucowanie i łazienka przyjemnie pachnie cytrusami, uświadamiam sobie, że przez moją głowę nie przepłynęła ani jedna związana z pracą myśl.

Pracuję w nocy, kiedy Ben i mała śpią. Sporadycznie ktoś wypada z pubu. Jest około drugiej w nocy, kiedy dzwoni Jonathan. Głos ma przesiąknięty alkoholem.

- To wszystko przeszłość - sepleni.

- Coś się stało?

- Przepraszam - mówi. Zachęca go jakiś niższy, męski głos. Słysząc jęk akordeonu.

- Nie ma za co przepraszać - mówię.

- Owszem, jest. Ta sprawa z jego udziałem w reklamach, jakie to ma znaczenie? Świetny pomysł! - Odbija mu się, za co przeprasza.

- To już skończone.

- Przepraszam - ciągnie dalej - za tę historię z wsią. Nie chcesz się wprowadzić. W porządku. Przepraszam.

- Za co? - pytam.

- Za wpakowanie cię w całe to...

- Proszę - mówię. - Może przyjdiesz jutro? Wtedy porozmawiamy. Jesteś po prostu zmartwiony. Nie musimy...

Przepraszam, że pozwolił mi jechać do Francji.

Że mnie nie zatrzymał.

Że krytykował moje mieszkanie.

Że jest seksualnie przewidywalny.

Że nie pozwolił mi przyjść na pogrzeb jego matki. Że próbował mnie zmusić do wyjazdu na tamtą farmę. Czy wiedziałam, że to nie było do końca tak, jak opisywał te wakacje? Jego tata tam był. Wymyślał sobie podróże służbowe i urywał się od swojej idealnej jak z obrazka rodziny. Ten mężczyzna spędzał tydzień w Szkocji z Constance i synem, któremu nie wolno było do niego mówić „tato”. Ten mężczyzna był przyjacielem rodziny, to wszystko. Powiedzieli Jonathanowi, że ma go nazywać Tony.

- Nie powinienem tego robić - bełkocze niewyraźnie. - Tamtej nocy z Elizą. To zdarzyło się tylko raz, wiesz? Właściwie się nie zdarzyło. Nie tak naprawdę. Zwykły wypadek. - Język mu się płacze.

Słysząc głuchy ryk akordeonu. Jonathan przepraszam za niezrozumienie. Za to, że nie słuchał. Zmieni się.

- Jonathan - przerywam mu. - Idę do łóżka.

On mówi coś jeszcze, ale zagłusza go jęk, zupełnie jakby kogoś przygniół akordeon.

Moja córka wpada w prostą rutynę: jedzenie, spanie, wpatrywanie się w szare dachy przez okno balkonowe. Przygląda się, jak wyrasta nad nią Ben, olbrzymi chłopak. Dałam jej na imię Jane. Krótkie i proste, tak jak jej przyście na świat. Beth mówi, że jest mała - mniejsza nawet od Bena w jej wieku - ale każdy by się wydawał mały w porównaniu z Maud, która głośno tupie w mojej kuchni swoimi przerażającymi trzewikami.

Eliza mówi, że Jane jest podobna do mnie. Najwidoczniej ma mój mocny nos i ciemne, nijakie włosy. Ale nie jestem pewna, czy Eliza widzi cokolwiek jasno. Postanowiła rzucić swój magazyn, żeby pracować wyłącznie z tamtym despotycznym fotografem.

- Hector chce, żebym była jego muzą - mówi, a kiedy pytam, co właściwie taka muza robi, wyjaśnia: - Będę stymulować go wizualnie. Będziemy razem tworzyć.

Uprzedzam ją, żeby była ostrożna, żeby spojrzała na mnie i Jonathana, na to co się stało, kiedy zabraliśmy się do tworzenia, ale ona się rozmarza i mówi, że nie będzie musiała więcej pracować z żadną modelką, która przyjechała do Maroka i beczy, bo tęskni za swoim chłopakiem.

Eliza mówi, że z Hectorem jest inaczej, jeśli chodzi o seks. Jest kreatywny. Chce ją fotografować. Najwyraźniej jest oczarowany jej szyją, choć lubi, kiedy zrzuca z siebie wszystko na sesję fotograficzną.

Dopiero co zanurzyłam się w wannie, kiedy Ben się budzi. Gaworzy i stuka w barierki swojego łóżeczka. To coś nowego: od kiedy się tu wprowadziliśmy, przesypiał całe noce. Podgrzewam mu butelkę i trzymam go na kolanach. Pije równomiernie, patrząc na mnie jednym brązowym jak roźdzynka okiem. Mleko jednak wcale go nie usypia. Jest pełen energii i wierzga, żeby uwolnić się od moich kolan. Puszczam go na podłogę, owijam się szlafrokiem i otwieram drzwi na balkon.

W pubie jest karaoke i do środka wchodzi grupa dziewczyn piszczących jak kurczaki. Ben siedzi w zaciemnionym salonie, grzechocząc foliowym workiem z metalowym zestawem młodego konstruktora. Za balkonem znajdują się zapomniane ogrody na dachu i niebo, które nigdy nie jest zupełnie ciemne; ktoś śpiewa: *I will always loveyouuu...*

Kiedy oglądam się na Bena, jest na nogach. Nie ma ręki, żeby się złapać, żadnego konkretnego obiektu, żeby się przytrzymać. Idzie chwiejnie w moją stronę, w stronę innych domów i tej okropnej śpiewaczki, która teraz wydiera się, jakby miała usuwane bez znieczulenia zęby trzonowe. Idzie niepewnym krokiem przez tani, różowy dywan w kierunku drzwi na balkon. Tu traci równowagę i uderza głową o futrynę.

Spodziewam się łez, może nawet krwi i szaleńczej jazdy do szpitala, ale on się uśmiecha. Taki uśmiech widuje się w reklamach. Nie dzieje się nic strasznego, w ogóle nic.

- Ty chodzisz - mówię. - Ty naprawdę chodzisz.

Patrzy na mnie, jakby to było pierwsze rozsądne zdanie, jakie padło z moich ust.

KONIEC

RS



## **Podziękowania**

*Za wsparcie i zachętę na olbrzymie podziękowania zasłużyli Jenny Tucker, Kath Brown, Sue Wheeler, Marie O 'Riordan, Michelle Dickson, Jane Parbury, Fliss Terrill, Nick i Helen Fisher, Cathy Gilligan, Ellie Stott, Gavin Convery, Wendy Rigg. Dziękuję cudownym pisarkom z Dolphinton - Pam Taylor, Vicki Feaver, Amandzie McLean, Elizabeth Dobie i Tani Cheston - za wskazówki i wiele rad. Dziękuję Jane Wright z „ Sunday Herald” za podnoszenie mojego morale. Cheryl i Stephenowi za dawne spotkania przy burgundzie. Mojej wspaniałej agentce, Annette Green, za to, że pierwsza podsunęła mi pomysł napisania tej książki. Wszystkim z Hodder, a zwłaszcza Philippie Pride. Margery Taylor i Keith Gibson za skuteczne zachęty. Sam, Dex i Erin - dziękuję wam za cudowną inspirację. Jimmy 'emu za to, że udało mu się zachować zdrowy rozsądek. I Wendy Varley, mojemu „pisarskiemu kołu ratunkowemu ”, za nieustające wsparcie, pomysły i sokoli wzrok w wylapywaniu wszelkich usterek za opieką, jaką roztaczała nadę mną z wyspy Wight od początku do końca tej książki.*